

PETER MATTHIESSEN



Śnieżna pantera

PETER MATTHIESSEN

Śnieżna pantera

**ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO**

ZYSK I S-KA WYDAWNICTWO
ul. WIELKA 10
61-774 POZNAŃ

The Snow Leopard

przełożyła Blanka Kuczborska

ISBN: 83-7150-544-2

(samizdat)

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

ZYSK I S-KA WYDAWNICTWO
ul. WIELKA 10
61-774 POZNAŃ

SPIS TREŚCI

PROLOG

DROGA NA ZACHÓD

28 września

29 września

30 września

1 października

2 października

3 października

4 października

5 października

6 października

7 października

8 października

9 października

DROGA NA PÓLNOC

10 października

11 października

12 października

13 października

14 października

15 października

16 października

17 października

18 października

[19 października](#)

[20 października](#)

[21 października](#)

[22 października](#)

[23 października](#)

[24 października](#)

[25 października](#)

[26 października](#)

[27 października](#)

[28 października](#)

[29 października](#)

[30 października](#)

[31 października](#)

[KRYSZTAŁOWA GÓRA](#)

[1 listopada](#)

[2 listopada](#)

[3 listopada](#)

[4 listopada](#)

[5 listopada](#)

[6 listopada](#)

[7 listopada](#)

[8 listopada](#)

[9 listopada](#)

[10 listopada](#)

[11 listopada](#)

[12 listopada](#)

[13 listopada](#)

[14 listopada](#)

[15 listopada](#)

[16 listopada](#)

[17 listopada](#)

[DROGA POWROTNA](#)

[18 listopada](#)

[19 listopada](#)

[20 listopada](#)

[21 listopada](#)

[22 listopada](#)

[23 listopada](#)

[24 listopada](#)

[25 listopada](#)

[26 listopada](#)

[27 listopada](#)

[8 listopada](#)

[29 listopada](#)

[30 listopada](#)

[1 grudnia](#)

[8 grudnia](#)

[9 grudnia](#)

[PRZYPISY](#)

[Peter Matthiessen](#)

PROLOG

Pod koniec września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku wyruszyłem z G. S. w podróż na Kryształową Górę, wędrując na zachód pod Annapurną i na północ wzdłuż rzeki Kali Gandak, a potem znów na zachód i na północ, wokół szczytów Dhaulagiri i przez Kanjirobę, jakieś czterysta kilometrów do Krainy Dolpo, na Płaskowyżu Tybetańskim.

G. S. to zoolog George Schaller. Poznałem go w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku na równinie Serengeti w Afryce Wschodniej, gdzie pracował nad swoim słynnym studium o lwach.¹ Kiedy spotkaliśmy się ponownie, w Nowym Jorku na wiosnę tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku rozpoczął właśnie badania nad życiem dzikich owiec i kóz oraz spokrewnionych z nimi kozo-antylop. Zaproponował mi, czybym nie zechciał towarzyszyć mu w przyszłym roku w wyprawie do północno-zachodniego Nepalu, w pobliżu granicy tybetańskiej, w celu obserwacji natury, czyli błękitnej owcy himalajskiej: żywił bowiem przeświadczenie, które zamierzał udowodnić, że ta dziwna „owca” zamieszkująca odległe tereny jest w rzeczywistości bardziej kozą niż owcą i być może przypomina ich wspólnego praprzodka. Pojedziemy tam jesienią, żeby obserwować zwierzęta w czasie rui, gdyż samo jedzenie i spanie, którymi zajmują się przez resztę roku, nie dawało niemal żadnych wskazówek co do ewolucji i badań porównawczych. W pobliżu Shey Gompa, Kryształowego Klasztoru, gdzie lama buddyjski zakazał ludziom robić im krzywdę, nachury są podobno liczne i łatwo można je podpatrzeć. A tam, gdzie nachury są liczne, powinien też pokazać się ten najrzadszy i najpiękniejszy z wielkich kotów, śnieżna pantera. G. S. wie o dwóch tylko ludziach z Zachodu - sam był jednym z nich którzy w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat widzieli na własne oczy himalajską śnieżną panterę; nadzieja na ujrzanie choćby w przelocie tego niemal mitycznego zwierzęcia na tle pokrytych śniegiem gór była wystarczającym powodem do odbycia całej podróży.

Dwanaście lat temu, podczas pobytu w Nepalu, widziałem te oszłamiające śnieżne szczyty daleko na północy - przemierzyć ten dystans, iść krok po kroku przez największe pasmo gór na ziemi gdzieś do miejsca zwanego Kryształową Górą, to najprawdziwsza pielgrzymka, wędrowka serca. Od zajęcia Tybetu przez Chińczyków Kraina Dolpo, nieznaną bliżej ludziom z Zachodu nawet i dziś, jest uważana za ostatnią enklawę czystej kultury tybetańskiej, a kultura tybetańska przedstawia sobą „wszystko to, czego pragnie dzisiejsza ludzkość, gdyż albo już to utraciła, albo jeszcze nie odkryła, albo też boi się, że wkrótce na zawsze zniknie jej z oczu: trwałość tradycji, która ma swoje korzenie nie tylko w historycznej lub kulturalnej przeszłości, lecz w najskrytszych tajnikach duszy ludzkiej...”² Kiedy siedemnaście lat temu do Kryształowego Klasztoru dotarł badacz religii tybetańskiej³, lama z Shey, najczcigodniejszy ze wszystkich „rinpoców” czyli „Czcigodnych” w Dolpo, zamknął się właśnie przed światem na samotną medytację, ale my z pewnością będziemy mieli więcej szczęścia.

W drodze do Nepalu zatrzymałem się w Varanasi, świętym mieście nad Gangesem, i

odwiedziłem świątynię buddyjskie w Bodh Gaya i Sarnath. Podczas tych monsunowych dni w połowie września brunatny skwar Indii był nie do zniesienia, toteż po paru dobach spędzonych w dolinie Gangesu z przyjemnością poleciałem na północ do Katmandu, w zielone wzgórza leżące u stóp Himalajów. Dzień był pogodny i pomiędzy iglicami świątyni i piętrowymi dachami pagód fruwały na wietrze czarne i czerwone latawce. Suche powietrze na wysokości ponad tysiąca metrów stanowiło prawdziwe wytchnienie od wilgoci Indii, ale na północy szczyty były zasnute gęstymi, monsunowymi chmurami i zanim nadszedł wieczór, już padało.

Znalazłem G. S. w hotelu. Nie widzieliśmy się od roku lub dłużej, nasza ostatnia korespondencja miała miejsce w połowie lata, toteż z ulgą powitał fakt, że bez przeszkód stawilem się na miejscu. Przez następne dwie godziny rozmawialiśmy tak żarliwie, że zastanawiałem się, o czym będziemy mówili w nadchodzących miesiącach, kiedy mieliśmy być skazani tylko na własne towarzystwo, a nie znaliśmy się nawet zbyt dobrze. (Wcześniej pisałem o G. S., że jest „pochłonięty pracą, niełatwy w kontaktach” i „surowy pragmatyk o srogim spojrzeniu, niezdolny wykrzesać z siebie pobłażliwości w obliczu nienaukowego podejścia do badań”. Określiłem go także jako „szczupłego, pełnego zapału młodego człowieka”⁴ i teraz znalazłem go równie szczupłym i pełnym zapału jak niegdyś.)

Przez ostatnie trzy dni w Katmandu cały czas padał deszcz. G. S. zdecydowany był wyruszyć jak najprędzej, nie tylko dlatego, że nie cierpi miasta, ale również dlatego, że zima w Himalajach nadchodzi wcześniej i te monsunowe deszcze sprowadzą gęsty śnieg na wysokogórskie przełęcze leżące po drodze do naszego celu. (Później dowiedzieliśmy się, że tegoroczne październikowe opady ustanowiły rekord wszechczasów.) Dużo wcześniej wystąpił o pozwolenie na wejście do Dolpo, ale dopiero teraz, w przeddzień wyjazdu, dostaliśmy przepustki. Napisaaliśmy i wysłaliśmy ostatnie listy - tam dokąd idziemy, nie będzie już poczty. Pozbyliśmy się całego zbędnego sprzętu i ubrań, a czeki podróżne zamieniliśmy na brudny plik drobnych rupii, gdyż grubsze banknoty nie mają zastosowania wśród mieszkańców podgórskich wiosek. Z pomocą naszych Szerpów spakowaliśmy namioty i naczynia i dokonaliśmy ostatnich zakupów na orientalnym targowisku Asan Bazaar, gdzie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku kupiłem małego Buddy z brązu, zaśniedziałego ze starości. Moja żona i ja postanowiliśmy zostać adeptami buddyzmu zen i właśnie tę zaśniedziałą, brązową figurkę Buddy z Katmandu postawiłem na ołtarzyku w pokoju Debory, w nowojorskim szpitalu, gdzie zimą zeszłego roku umarła na raka.

Wczesnym rankiem dwudziestego szóstego września, w ulewny deszczu, załadowaliśmy się z sfoferem, dwoma Szerpami i całym naszym bagażem do Land-Rovera, który miał zawieźć nas aż do Pokhary; dwóch innych Szerpów i pięciu Tamangów, tragarzy, miało nadjechać nazajutrz autobusem, abyśmy wszyscy razem mogli dwudziestego ósmego wyruszyć z Pokhary. Ale jakakolwiek podróż stanęła teraz pod znakiem zapytania - deszcz lał od trzydziestu godzin bez chwili przerwy. Przy tej fatalnej pogodzie nasza wyprawa traciła wszelki pozór realizmu i ciepły uśmiech ładnej turystki w recepcji hotelowej napelniał mnie zwątpieniem: dokąd ja się właściwie wybieram, dokąd i po co?

Z Katmandu przez krainę Gurkhów wiedzie droga do Pokhary na środkowym podgórzu, dalej na zachód nie ma już żadnych dróg. Trakt wije się wśród urwistego wąwozu rzeki

Trisuli, teraz występującej z brzegów. Brudna piana zalewa progi rzeczne, a brunatny strumień co chwila zbiera grzmiącą lawiną kamieni osypujących się ze ścian wąwozu. Głazy raz po raz spadają też na ziemię: szofer odczekuje i toruje sobie drogę przez rumowisko, a my mamy oczy utkwione w skałach wiszących nad głowami. W zasnutych deszczem górach minęło nas kilka niewyraźnych sylwetek niosących ciało jakiegoś zmarłego i widok ten wzbudził niejasne, niespokojne przeczucie.

Po południu deszcz ustał nieco i Land-Rover wjechał do Pokhary w snopie światła. Nazajutrz pokazało się mokre słońce i lekko rozjaśnione niebo, ale na północy szare, kłębiące się tumany zasnuły całe Himalaje. O zmierzchu białe czaple przeleciały na tle nawisłych chmur, teraz pociemniałych od deszczu; na ziemi zapadł mrok. A później, siedem kilometrów nad błotnistymi uliczkami nizin, w punkcie położonym tak wysoko, że zdawał się wisieć wprost nad głową, zapłonęło jasne światło - biel śniegów. Lodowce wynurzyły się i znów znikły w chmurach, niebo rozstąpiło się i śnieżny stożek Machhapuchare załśnił jak iglica świątyni. W nocy pokazały się gwiazdy i wielki duch Machhapuchare promieniował światłem, chociaż nie było księżyca. W szopie, w której spaliśmy, dokuczały nam moskity. Mój przyjaciel krzychał coś przez sen. Niewyspany wyszedłem o świcie na dwór i zobaczyłem trzy szczyty Annapurny wznoszące się ponad niskimi, pierzastymi chmurami. Dzisiaj wyruszymy na północny zachód.

DROGA NA ZACHÓD

Podobnie jak biała letnia chmurka w harmonii z niebem i ziemią płynie swobodnie po błękitnym niebie z jednego krańca horyzontu na drugi, zdawszy się na oddech atmosfery, tak samo pielgrzym zdaje się na oddech wspanialszego życia, co... wiedzie go za najdalsze horyzonty do celu, który nosi w sobie, choć jest on jeszcze ukryty przed jego wzrokiem.

Lama Govinda „The Way of the White Clouds”

Wszelkie inne stworzenie patrzy w dół na ziemię, ale człowiekowi dano twarz, aby mógł zwrócić oczy ku gwiazdom i wzrok ku niebu.

Owidiusz „Metamorfozy”

O wschodzie słońca nasza mała ekspedycja spotyka się pod gigantycznym drzewem figowym za Pokharą - dwóch białych sahibów, czterech Szerpów i czternastu tragarzy. Szerpowie pochodzą ze słynnego górskiego szczepu zamieszkującego północno-wschodni Nepal w pobliżu Namche Bazaar, którego członkowie towarzyszą wspinaczkom na wielkie szczyty; są to buddyjscy pasterze, którzy w ciągu ostatnich stuleci zesłi ze wschodniego Tybetu - „szerpa” to tybetańska nazwa „mieszkańca wschodu” - i ich język, kultura oraz wygląd wskazują na tybetańskie pochodzenie. Jeden z tragarzy jest również Szerpą, dwaj inni to uchodźcy tybetańscy, a reszta to mieszkańcy rasy aryjskiej i mongolskiej. Przeważnie boso, w podartych szortach albo w szerokich w biodrach a wąskich dołem hinduskich szarawarach, ubrani od góry w najrozmaitsze stare lachy i nakrycia głowy, tragarze przebijają między wysokimi wiklinowymi koszami. Oprócz własnej żywności i kocy każdy z nich musi nieść blisko czterdziestokilowy ciężar przywiązany do zgiętych pleców linką biegnącą przez czoło, toteż przed każdą wyprawą w góry odbywa się ważenie i mierzenie ładunków przy akompaniamencie sporów i głośnych targów. Tragarzami są zwykle miejscowi mężczyźni o bliżej niesprecyzowanym źródle utrzymania i nie najlepszych obyczajach, znani z przysparzania kłopotów. Ale prawdą jest też, że ciężko harują za nędzną opłatę wynoszącą około dolara dziennie. Z reguły towarzyszą wyprawie nie dłużej niż przez tydzień, po czym zastępują ich inni i przebieganie bagażu oraz spory zaczynają się od nowa. Dzisiaj minęło prawie dwie godziny i zdążyły się zebrać chmury, zanim udało się nam pogodzić wszystkich czternastu i rwana linia ruszyła na zachód.

Cieszymy się, że jesteśmy już w drodze. Przedmieścia Pokhary niczym się nie różnią od peryferii każdego innego orientalnego miasta: bezdomne dzieci, apatyczni dorośli, pokurczone psy i chude kurczęta pośród zapadniętych chałup, śmieci i rumowisk; błoto, chwasty, rowy ze stojącą wodą, niezdrowy słodkawy zapach, połamane jaskrawe kawalki plastiku i oierki owoców czekające na plądrującą świnię; z braku lepszego wiktu zarówno świnię jak i psy pożerają ludzkie ekskrementy, które leżą wszędzie wzdłuż ścieżek. Przy ładnej pogodzie to wszystko jest do zniesienia, ale teraz, pod sam koniec pory deszczowej, całe bagno życia zdaje się wyzierać z ziemistej cery tych wychudzonych istot ludzkich, które co rano w kucki namydlają się i piorą ubrania w kałużach deszczowych.

Brązowe oczy obserwują nas, kiedy przechodzimy. Na cierpienie Azji nie sposób patrzeć i nie sposób nie patrzeć. W Indiach niedola ludzka jest tak wszechobecna, że zauważa się tylko przypadkowe detale: chromą nogę albo martwe oko, chorego bezpańskiego psa gryzącego zeschniętą trawę, starą kobietę podnoszącą sari, żeby się załatwić tuż przy drodze. A jednak w Varanasi istnieje jeszcze nadzieja życia, którą już porzucono w takich miastach jak Kalkuta, oddana, zda się, w całkowite władanie umarłym i umierającym w rynsztokach. Tutaj bóg Śiwa tańczy w pikantnym jadłe, w wesółych dzwoneczkach mrowia rowerów, w gniewnych klaksonach autobusów, w paplaninie świątynnych małp, w cynobrowych kropkach tikka na czołach kobiet, a nawet w zapachu węglonego ciała ludzkiego unoszącym się nad górami. Ludzie się uśmiechają i to jest prawdziwy cud. W skwarze, zaduchu i zgiełku Varanasi, gdzie o płomiennym wschodzie słońca fruują jaskółki, niczym duchy odchodzące za wielką, cichą rzekę, można znaleźć radość w uśmiechniętych twarzach - ślepej dziewczynki wiedzionej za rękę, hinduskiego

dżentelmena w białym turbanie spoglądającego dobrotliwie na kierowcę autobusu, który mu wymyśla, małego żebraka grającego na flecie, ociężałej starej kobiety polewającej świętą wodą z rzeki Ganges czerwonego, kamiennego słonia.

W pobliżu stosów calopalnych i przemysłu śmierci stoi pałac rzeczny wymalowany w olbrzymie, prążkowane tygrysy.

To z pewnością Varanasi stanowi ostateczny cel wędrowki wiekowego Hindusa, którego widzimy na przedmieściach Pokhary, podpartego sztywno w koszu niesionym na żerdziach na ramionach czterech służących - w jego ostatniej, niewątpliwie, pielgrzymce do Matki-rzeki Ganges, do ciemnych świątyni atakujących płonące stosy, do tych przystani, gdzie pielgrzym czeka na swoją kolej, aby przyłączyć się do towarzystwa innych okrytych białym całunem zwłok nad brzegiem rzeki, a potem znów czeka, aż go położą na zapalonym drewnianym stosie: pomocnicy wepchną poźólką stopę i pomarszczony łokieć z powrotem w ogień i zsuną grabiami szczątki z płonącej platformy do bystrej wody. Ale i tak pozostanie dość resztek, aby podtrzymać życie w trupożernych psach o długich pyskach, które grzebią w popiele, gdy święte krowy - wielkie, białe, ciche stworzenia - żują słomiane powrośla, jakimi przywiązuje się ciało do noszy.

Starzec był już wyzarty od środka. Ślepe i zachłanne spojrzenie, zapadnięta klatka piersiowa i usta w ruchu wskazywały, kto go teraz zamieszkuje i kto patrzy przez te oczodoły.

Pokloniłem się Śmierci, kiedyśmy się mijali, świadom odgłosu własnych stóp na ścieżce. Starzec odszedł już do świata cieni i nie dał mi żadnego znaku.

Szara droga rzeczna, szare niebo. Pośród skał i głazów fruwa nad potokiem pstrokata pliszka.

Wędrowcy: delikatna kobieta niesie kosz srebrnych rybek, inna ugina się pod koszem kamieni, przy którym mój własny lekki plecak napawa mnie wstydem; te kamienie kobiety z Pokhary rozbijają potem na żwir we wspólnej pracy tysiąca brunatnych rąk budujących nawierzchnię nowej drogi na południe.

W snopie słońca ukazuje się grupa Mangarek w szkarłatnych szalach; w lewej dziurce od nosa mają ciężkie mosiężne ozdoby. W rannym słońcu kogut o czerwonym grzebieniu wzbija się na słomiany dach przydrożnej chaty i naraz rozlega się śpiew małej dziewczynki.

Światło opromienia białe szczyty Annapurny zstępujące z nieba, aby połączyć się z ogromnym wałem, który ciągnie się ze wschodu na zachód przez ponad dwa i pół tysiąca kilometrów - Himalaje: Himalaya czyli siedziba, dom lub kraina (alaya) śniegu (hima).

Hibiskus, uroczyn czerwony, bougainvillea widziane pod ośnieżonymi szczytami te tropikalne rośliny stają się kwiatami heroicznego krajobrazu. Makaki skaczą po zielonej łące, a turkusowa kraska wiruje w złotej poświacie. Srokosze, kraski, brodacze i biały sęp egipski to pospolite tu ptaki i wszystkie mają bliskich krewnych w Afryce Wschodniej, gdzie poznaliśmy się z G. S., który teraz się zastanawia, jak by ten sęp zareagował na jajo strusia,

również pospolitego ptaka w Azji w epoce plejstocenu. W Afryce białosepa zalicza się do gatunku stworzeń posługujących się narzędziami dzięki jego umiejętności rozbijania wielkich jaj strusich za pomocą rzuconych dziobem kamieni.

Do niedawna te nepalskie niziny były bujnym, zielonym lasem „sal” (*Shorea robusta*), siedliskiem słoni, tygrysów i wielkich indyjskich nosorożców. Wyrąb lasu i kłusownictwo wytrzebiły je; oprócz kilku ostatnich azyli jak dolina Rapti na południowym wschodzie, nie spotyka się już świętych śladów słoni. Ostatniego dzikiego geparda indyjskiego widziano w środkowych Indiach w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku, lew azjatycki został zredukowany do jednej, niewielkiej populacji w lasach Gir, na północny zachód od Bombaju, a tygrys jest już niemal wszędzie legendą. Zwierzętom kopytnym, zwłaszcza w Indiach i Pakistanie, grozi zagłada przez zniszczenie środowiska ekstensywnym rolnictwem, nadmierny wyrąb lasu, wyjadanie traw przez wychudłe zwierzęta domowe, erozję, powodzie cały ten smutny cykl wydarzeń, który towarzyszy przeludnieniu. W Azji bardziej niż gdziekolwiek na świecie powinno się natychmiast założyć rezerwaty dla dzikich zwierząt, zanim ostatecznie z nich wyginą. G. S. napisał: „Człowiek tak szybko i tak drastycznie zmienia świat, że większość zwierząt nie może się przystosować do nowych warunków. W Himalajach, jak i gdzie indziej, zwierzęta masowo wymierają i jest to nieskończenie smutniejsze niż zagłada z epoki plejstocenu, gdyż teraz człowiek ma świadomość i potrzebę zachowania relikwów swojej przeszłości”.¹

Droga wzdłuż rzeki Yamdi, główny szlak handlowy, wiedzie przez poletka ryżowe i wioski na zachód od rzeki Kali Gandak, gdzie skręca na północ do Mustang i Tybetu. Zielone skupiska wiosek pośród gigantycznych figowców, starych kamiennych sadzawek i murków są wystrzyżone do ziemi przez bawoły i bydło; świeża woda i delikatny cień nadają im harmonijny wygląd parków. Tutejsi wieśniacy mają jeszcze skromniejszy dobytek niż mieszkańcy Pokhary, ale odwieczne prawa gospodarki rolnej chronią ich przed współczesnym ubóstwem: tu można zrozumieć, dlaczego tak wielu myślicieli od Lao-cy do Gandhiego sławiło „wiejskie życie” jako naturalną i szczęśliwą domenę człowieka. Dzieci bawią się w ciepłym słońcu, kobiety piorą kijankami bieliznę na kamieniach przy wiejskiej studni i tłuką ziarno w kamiennych móżdżkach, wszędzie unosi się znajomy zapach łąna, popiskiwanie kurcząt i dym z palenisk. Na czystych podwórkach za mocnymi ogrodzeniami stoją kryte strzechą chaty z cieplej czerwonej gliny, o ręcznie rzeźbionych parapetach i okiennicach, oplecione żółto kwitnącą dynią. Kukurydza leży spiętrzona w wąskich korytkach, ryż suszy się na szerokich, słomianych matach, a między bananowcami i papajami wiszą na tle nieba wielkie, nieruchome papąki.

Środkiem po błyszczących kamykach płynie wolno kanał, przez który tu i ówdzie przerzucone są trzymetrowej długości granitowe płyty. Jest południe, słońce praży, a my siedzimy na murze w chłodnym cieniu. Przy kanale stoi wiejska herbaciarnia, zwykła otwarta od frontu chata ze skleconymi naprędce ławami i glinianym piecem w kształcie kopca. Kopiec ma z boku otwór na chrust, a z wierzchu dwa otwory na naczynia z wrzątkiem, który nalewa się przez warstwę taniej sproszkowanej herbaty do szklanki z brązowym cukrem i bawolim mlekiem. Ten napój zwany „chiya” pogryzamy chlebem i świeżym ogórkiem; dzieci bawiące się na lśniących kamieniach udają, że chcą nas spryskać wodą, a kryzowany gołąb kołysze się na długiej łodydze bambusa.

Jeden po drugim nadchodzą tragarze i odwracają się, by złożyć ładunki na murku. Tragarz o nieśmiałej twarzy i dzieciennym uśmiechu, wyglądający zbyt drobno jak na to, co niesie, gra na liściu figi niczym na grzebieniu. „Za dużo gorąco” - mówi inny, uśmiechając się. To Szerpa Tukten, żyłasty, niewysoki mężczyzna o mongolskich oczach, wydatnych uszach i niewyraźnym uśmiechu - zastanawiam się, dlaczego ten Tukten został tragarzem.

Ruszam w drogę idąc samotnie w chłodnym powiewie doliny. W jasnym wrześnieowym świetle i w cieniu gór strome zbocza wzgórz zbiegają się u wąskiego ujścia wąwozu i nie widać już osnieżonych szczytów na północy - ścieżka idzie groblą między trzcinastym kanałem a zielonymi poletkami ryżowymi, które schodzą tarasami nad brzeg rzeki. Za kanałem następne tarasy wznoszą się ku grzbietom, ku błękitnemu niebu.

Przy murku wypoczynkowym posadzono dawno temu dwa różnego rodzaju figowce: jeden to banian, czyli nigrodha (*Ficus indica*), a drugi pipal (*F. religiosa*), święte drzewa figowe zarówno dla hinduistów jak i dla buddystów. Między wystającymi korzeniami wyzierają dzikie kwiaty i pomalowane kamienie, które mają przynieść podróżnikowi szczęście; murek wokół pni jest tak zbudowany, że spragniony cienia podróżny może na stojąco oprzeć się i złożyć na nim swój ładunek. Takie miejsca wypoczynku spotyka się wszędzie przy głównych szlakach handlowych, a niektóre są tak stare, że ogromne drzewa dawno wymarły zostawiając dwie okrągłe dziury w kamiennym, owalnym podwyższeniu. Podobnie jak herbaciarnie i wyłożone płaskimi kamieniami stopnie w zboczach wzgórz, te murki wypoczynkowe nadają krajobrazowi sielski wygląd, zupełnie jakbyśmy zawędrowali do zaginionej krainy ze złotego wieku.

Czekając na wijący się wśród poletek ryżowych sznur tragarzy siedzę na najwyższym poziomie murku, oparty plecami o pień drzewa, z nogami na stopniu, na którym stawia się bagaże. W suchych promieniach słońca i rześkim powiewie wiatru od gór dwie czarne krowy młocą ryż, ich boki lśnią w południowym świetle. Najpierw osusza się ziemię i ścina sierpem ryż, potem uwiązuje się zaprzężone zwierzęta długim powroślem do palika na środku pola i prowadzi je wkoło, zataczając coraz mniejsze kręgi, a dzieci podkładają im łodygi pod kopyta. Następnie odrzuca się plewy, a ziarno zgarnia do koszy i bierze do wioski do oczyszczenia. Ogniste wałki wczesnej jesieni, pochylone plecy w jaskrawych czerwieniach i żółciach, łagodny blask bijący z czarnych grzbietów bydła i ze ścierniska, świeża zieleń pól i skrząca się rzeka - wszystko to jest spowite odwieczną poświatą jak przejrzystym srebrem.

W czystym powietrzu, w ciszy, przy braku najprostszej nawet maszyneryi - bo droga jest za kręta i za stroma, zbyt często przecinana strumieniami na jazdę rowerem - w ciepłej, harmonii i pozornej obfitości odżywa obraz rajskiego wieku. Zapewne gaj drzew „sal” zwany Lumbini, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów na południe od tego tu drzewa, w żyznej okolicy na północ od rzeki Rapti, niewiele się zmienił od szóstego wieku p. n. e., kiedy to w bogatym rodzie plemienia Śiakjów, w królestwie słoni i tygrysów przyszedł na świat Siddhartha Gautama. Gautama wyrzekł się łatwego życia, aby zostać świętym żebrakiem czyli „tułaczem” - praktyka dość powszechna w Indiach północnych nawet dzisiaj. Później był znany jako Śiakjamuni (Mędrzec z rodu Śiakjów), a jeszcze później jako Budda - Przebudzony. Figowce i dym z ognisk wieśniaków, darninę i wychudzone bydło, białe czaple i dzikie kruki nadal widuje się na Nizinie Gangesu, gdzie spędził życie

Śiakjamuni, wędrując na południe i wschód od Lumbini do Varanasi (które było starym miastem już wtedy, gdy przybył tam Gautama), po Rajgir i Gayę. Tradycja podaje, że zawędrował na północ aż do Katmandu (kwitnącego miasta Newarów) i nauczał na wzgórzu Swayambhunath, pośród małp i sosen.

W czasach Śiakjamuniego nauki jogistyczne były już dobrze znane. Jakies tysiąc lat wcześniej ciemnoskórzy Dravidzi z nizin Indii zostali pokonani przez aryjskich nomadów ze stepów azjatyckich, którzy nieśli przez Eurazję swoją wiarę w bogów nieba, wiatru i światła.² Credo Ariów wyrażały ich sanskryckie Wedy czyli „wiedza” - starożytne teksty nieznanego pochodzenia, które zawierały również Rygwedę i Upaniszady i miały stać się podstawą hinduizmu. Wędrowiec asceta imieniem Śiakjamuni uznał, że te epickie kazania na temat istoty wszechświata i natury człowieka nie mogą posłużyć za lek na ludzkie cierpienie. W swoich tezach znanych później jako Cztery Szlachetne Prawdy Śiakjamuni głosi, że życie ludzkie jest nierozzerwalnie związane z cierpieniem; że przyczyną cierpienia jest pragnienie; że spokój można osiągnąć przez wyzbycie się wszelkich pragnień; że do wyzwolenia prowadzi Ośmioraka Ścieżka: należyta dbałość o własne poglądy, postanowienia, słowa i czyny; należyty żywot, wysiłek, sposób myślenia i należyte skupienie, rozumiane jako zjednoczenie się ducha i ciała przez ćwiczenia jogi.

Już w Wedach zawarta jest myśl, że w wyższych bytach nie ma miejsca na pożądanie dóbr doczesnych, które samo przez się zakłada poczucie braku; że istotna jest właśnie owa „śmierć za życia” i duchowe odrodzenie poszukiwane przez wszystkich nauczycieli, od dawnych szamanów do współczesnych egzystencjalistów. Credo Śiakjamuniego nie tyle odzwierciedla filozofię Wed, ile stanowiło próbę jej zastosowania, a jego intensywna praktyka medytacji nie zadowalała się błogostanem osiągniętym podczas ćwiczeń jogi (który w jego mniemaniu dzieli już tylko krok od absolutnej Prawdy), ale idzie dalej aż do momentu, gdy przejrzysta jasność wyciszzonego umysłu otworzy się na prajnę, transcendentalną wiedzę, tę wyższą świadomość czyli „Mądrość”, która jest wrodzona wszystkim czującym istotom i polega na świątym ogarnięciu istoty bytu. Prawdziwe doświadczenie prajny odpowiada „oświeceniu” czy wyzwoleniu - nie jest to zmiana, ale transformacja ma się przełożyć wrazenie swojej jedności ze światem, z całą przeszłością, terażniejszością i przyszłością; to uczucie nie pozwala człowiekowi krzywdzić innych i uwalnia go od strachu przed narodzinami i śmiercią.

W piątym wieku p. n. e., w pobliżu miasta Gaya na południowy wschód od Varanasi, Śiakjamuni doznał oświecenia poprzez intensywne odczucie, że jego własna „prawdziwa istota”, jego istota Buddy, nie różni się niczym od istoty wszechświata. Odtąd przez pół wieku, w różnych miejscach takich jak Jeleni Park w Sarnath, Nalanda i Sępia Góra obok dzisiejszego Rajgir, głosił doktrynę opartą na przemianowaniu ludzkiej egzystencji, na wiecznej i nieustannej przemianie, podobnej, jaka zachodzi w wodach rzeki, która rano wydaje się być taka sama jak poprzedniego wieczoru, mimo że tamte wody już odpłynęły. (Chociaż nauczał także kobiety i osłabił system kastowy dopuszczając do swojej sekty nisko urodzonych braci, Śiakjamuni nigdy nie angażował się czynnie w walkę o sprawiedliwość społeczną ani tym bardziej w politykę; jego nauka zakłada, że samodoskonalenie jest największym darem, jaki człowiek może ofiarować swoim współziomkom). W wieku osiemdziesięciu lat zakończył życie w mieście Kusinagara (współczesna Kusinara), ponad sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Gorakhpur i na zachód od rzeki Kali Gandak.

Wszystko to jest prawdą historyczną, reszta stanowi część wielkiej legendy o życiu Buddy, która jest prawdą w innym wymiarze. O jego oświeceniu mówi się, że ten tułacz miał już po trzydziestce, kiedy porzucił rygory surowego ascetyzmu i wybrał „Drogę Środka” między przyjemnościami życia a umartwianiem się, przyjmując z rąk córki wodza wioski pożywienie w złotej misie. Skutkiem tego opuścili go uczniowie. O zmroku usiadł sam pod świętym drzewem figowym z twarzą zwróconą na wschód przysięgając, że choćby mu szczyły skóra, mięśnie i kości, choćby mu wyszła krew w żyłach, nie ruszy się stąd, dopóki nie dozna Najwyższego Oświecenia. Całą noc, oblegany przez demony, siedział Śiakjamuni pogrążony w medytacji. I o złotym brzasku Ten, który się Sam Przebudził, po raz pierwszy ujrzał naprawdę Gwiazdę Poranną, jakby nie widział jej dotąd nigdy w życiu.

W miejscu znanym dzisiaj jako Bodh Gaya są tu nadal tereny pasterskie, błyszczące strumyki, poletka ryżowe, palmy i wioski z czerwonej gliny bez bruku i elektryczności stoi buddyjska świątynia obok wiekowego drzewa figowego, potomka drzewa „bodhi” czyli Drzewa Oświecenia, pod którym siedział ten człowiek. Tutaj dziesięć dni temu, o ciepłym świcie, w towarzystwie trzech tybetańskich mnichów w brązowych habitach obserwowałem wejście Gwiazdy Porannej i nie poczułem się ani trochę mądrzejszy. Ale później zadałem sobie pytanie, czy Tybetańczycy zauważyli, że drzewo „bodhi” roi się od chmar ptaków, podczas gdy sąsiedni duży figowiec, stojący tak blisko, że styka się ze świętym drzewem wieloma konarami, jest bez życia. Nie zamierzam interpretować tego faktu, stwierdzam tylko, co widziałem w Bodh Gaya.

Yamdi Khola zwęża się. Wkrótce zniknie w górach. W wiosce na północnym zboczu chaty są przeważnie okrągłe lub owalne, nie prostokątne, i Jang-bu, główny Szerpa, mówi, że to wioska zamieszkała przez Gurungów, plemię, które dawno temu przywędrowało z Tybetu. W tym rejonie południowego Nepalu żyją różne plemiona górskie pochodzenia mongolsko-aryjskiego, głównie Paharzy, czyli Hindusi z gór. Od wieków Hindusi z wielkiej Niziny Gangesu ciągnęli w góry wzdłuż koryt rzecznych, a Tybetańczycy przekraczali przełęcze górskie od północy; plemiona buddyjskie mówiące po tybetańsku, w tym Szerpów, nazywa się Bhotyjczykami lub Tybetańczykami południowymi. (Bhot lub B'od to Tybet; Bhutan, który leży na południowym krańcu Tybetu, znaczy „Koniec Bhoty”). Z plemion reprezentowanych przez tragarzy Gurungowie i Tamangowie skłaniają się ku buddyzmowi, podczas gdy Czetrowie i Mangarowie są hinduistami. Ale czy to wyznawcy hinduizmu, czy buddyzmu, większość tych plemion - a już zwłaszcza Gurungowie oddaje hold animistycznym bóstwom dawnych religii, które przetrwały w odległych zakątkach gór azjatyckich.

Kilku długowłosych Tybetańczyków o błyszczących ochrą, czerwonych płaskich twarzach schodzi boso w dół rzeki stąpając po srebrzystych kamieniach. (Ochra jest tradycyjnym środkiem zapobiegawczym przeciwko zimnu i owadom; przed cywilizacyjnym wpływem buddyzmu Tybet był znany jako „Kraj diabłów o czerwonych twarzach”). Ci ludzie idą do Pokhary z Dhorpatan położonego o tydzień drogi stąd. Po żniwach Tybetańczycy. Bhotyjczycy z Mustang i inne plemiona górskie wędrują grzbietami gór i dolinami na południe i wschód do Pokhary i Katmandu, oferując wełnę i sól w zamian za ziarno, papier, noże, tytoń, ryż i herbatę. Chłopczyk tybetański schwyił na mieliznie rybę i spróbował mi ją pokazać z radością błyszczącą w migdałowych oczach. W ogóle wszystkie spotkane po drodze dzieci są przyjacielskie i pogodne, a nawet wesole; choć trochę żebrzą,

nie traktują tego tak serio jak posępne dzieci hinduskie w miastach. Raczej skłonne są wziąć wędrowca za rękę i odprowadzić kilka kroków lub wywinąć koziołka, pobiegać trochę w kółko i uciec.

W miejscu, gdzie dolina zwęża się w kanion, stoi herbaciarnia i kilka chat; właśnie schodzi tu z gór, w takt melodii dzwoneczków i plusku bystrej zielonej wody przy brodzie, sznur objuczonych, kudłatych kucyków mongolskich. Za herbaciarnią droga wspina się stromo ku niebu na południowy zachód. Na tych terenach gospodarką żywnościową zawsze rządził handel wędrowny i w ciągu dziesiątków lat a może setek plemiona górskie wydeptały w skalistym szlaku szerokie stopnie. Nad ścieżką zwisają dzikie kasztany; ściągamy w dół gałęzie, żeby zerwać kolczaste owoce.

O zachodzie słońca dochodzimy do wioski zwanej Naudanda. Wypróbuję tu mój nowy dom, jednoosobowy namiot w dość kiepskim stanie. Phu-Tsering, nasz pogodny kucharz w jaskrawej czerwonej czapeczce, przynosi kolację złożoną z soczewicy i ryżu, a potem siedzę przed namiotem na wiklinowym stołeczku kupionym w herbaciarni przy brodzie i słucham cykad i szakali. Ten biegnący od wschodu na zachód grzbiet górski opada stromymi zboczami do doliny Yamdi na północy i doliny Marsa na południu, od Naudandy Yamdi Khola jawi się niczym biała wstążeczka biegnąca między ciemną ścianą drzew iglastych do swojego wąwozu. Hen na wschodzie, daleko w dole, rzeka Marsa wpada do jeziora Phewa w pobliżu Pokhary, które lśni w słońcu zachodzącym nad wzgórzami. Na zachód od Pokhary, ostatniego posterunku współczesnego świata, nie ma już żadnych dróg - jeden dzień marszu cofnął nas o całe stulecie.

Promienny, górski poranek. Mgielka i dym z ogniska, sopy słońca i ciemne parowy: jeden z wierzchołków Annapurny unosi się nad pierzastymi chmurkami. W świeżym świetle, przy akompaniamencie popiskiwań kurcząt zjadamy śniadanie w miejscowej herbaciarni i dobrze przed siódmą ruszamy w drogę.

Po zboczach wzgórz za wioską czołga się w górę dziecko ciągnąc za sobą powykręcane, bezużyteczne nogi. Z nosem w kamieniach, kozim łajnie i grudkach błota dziewczynka podciąga się do przodu jak przetrącony świerszcz. Zwalniamy kroku, wstydząc się swego prężnego chodu, a ona to zauważa i patrzy na nas w górę pogodnie, bez niechęci i co gorsza jest ładna. „W Bengalu żebracy łamią swoim dzieciom kolana, żeby osiągnąć ten sposób swoje przygnębienie. Ale dziewczynka leżąca u naszych stóp nie jest żebraczką; to tylko dziecko patrzące z ciekawością na wysokich, nieznanym białych. Chciałbym jej coś dać - nowe życie? ale boję się zachować niewłaściwie wobec takiej godności. Uśmiecham się więc tylko jak umiem i mówię: „Namas-te!” „Dzień dobry!” Co za nonsens! I kiedy odchodzimy, dobiega nas jej głos, cieniutki, pogodny głosik: „Namas-te!” sanskryckie słowo na powitanie i pożegnanie, które znaczy „Pozdrawiam cię”.

Jesteśmy przybici tym przypomnieniem o ludzkiej śmiertelności. Myślę o ciele w krainie Gorkha niesionym w deszczu na chudych ramionach w rozwianych czarnych szatach: widzę starca umierającego na przedmieściach Pokhary; znów słyszę ostatni oddech mojej żony. Właśnie takie widoki kazały Śiakjamuniemu opuścić Lumbini i udać się na poszukiwanie sekretu życia, który wyzwoliłby ludzi z bolesnego bytowania zwanego samsarą.

„Nie mnie oplakujcie, ale tych, co zostają, związani doczesnymi pragnieniami, których owocem jest smutek... bo i cóż pewnego możemy mieć w życiu, kiedy śmierć jest zawsze na wyciągnięcie ręki?... Nawet gdybym powodowany uczuciem wrócił do swojej rodziny, to i tak w końcu śmierć nas rozłączy. Spotkania i rozstania istot żyjących są jak rozchodzenie się chmur po niebie lub opadanie liści z drzew. Nie ma nic, co moglibyśmy nazwać swoją własnością, we wspólnocie, która jest uludą...”³

A jednak w obliczu nadchodzącej śmierci Śiakjamuni zawrócił na północ („Chodź, Anando, pójdziemy do Kusinagary”). Jak i my wszyscy pewno zatęsknił za domem.

Ścieżka skręca na zachód wokół niewielkich wzgórz i wspina się do wioski leżącej na przełęczy. Biały sęp płynie w słonecznej poświacie, a pod nim odsłania nam się widok wysokiego lasu pociętego kaskadami. Przez wioskę eskortuje nas chłopiec grający na bębnie; ma na sobie zawadiacki kapelusik, krótką koszulkę, kamizelkę i nic więcej. Pewnego dnia on i inni zniszczą ten las, deszcze wywołają pastwiska na stokach, a licha gleba spłynie w potokach wody, zatykając koryta rzeczne na niższych terenach i powodując liczne powodzie monsunowe. Przy swoim gwałtownym wzroście populacji, prymitywnym rolnictwie i górzystym terenie Nepal ma najpoważniejsze kłopoty z erozją ze wszystkich państw na świecie, a ten problem pogarsza jeszcze płądrowanie i niszczenie lasów w

poszukiwaniu żywności i opału; we wschodnim Nepalu, a zwłaszcza w dolinie Katmandu, drewno na ogień do gotowania (nie mówiąc o opalaniu) jest już w tej chwili bardzo drogie, przynoszą je na plecach wieśniacy, którzy przemierzają wiele kilometrów, żeby sprzedać nędzną wiązkę chrustu. Miejscowa ludność gotuje pożywienie paląc płacki bydłęcego łajna i pozabawiając tym samym glebę cennego nawozu, który by ją użyźnił i pomógł utrzymać wodę. Bez próchnicy leśnej i nawozu gleba marnieje, pęka i zamienia się w pył, zmywany później przez deszcze w porze monsunu.

Zdaniem G. S. Azja jest jakieś piętnaście do dwudziestu lat w tyle za Afryką Wschodnią, jeśli chodzi o ochronę środowiska i to opóźnienie może się okazać nieodwracalne w skutkach. Cały obszar od Indii zachodnich po Turcję, podobnie jak i cała północna Afryka zamieniły się w pustynię, a tymczasem takie państwo jak Pakistan, choć mu zostało zaledwie trzy procent zalesionego terenu, nic absolutnie nie robi, aby zapobiec zbliżającej się katastrofie, mimo całej olbrzymiej, stojącej beczynnym armii - utrzymywanej, rzecz jasna, przez militarno-przemysłowe interesy Stanów Zjednoczonych - która mogłaby z powodzeniem udać się na wyniszczony obszar kraju, aby sadzić tam drzewka.

Sosny, rododendrony, berberysy. Kamienna ścieżka pośród położonych na zboczach pół lśni w słońcu jak rtęć, nawet chaty mają dachy ze srebra. Ścieżka wije się wokół góry do podnóża porośniętego lasem sosnowym, gdzie cienista wioska spogląda na zbieg rzeki Modir z jej dopływem z północy. Tak właśnie podróżuje się pieszo w Nepalu: stromo w górę i stromo w dół po labiryncie dolin. Droga w dół jest uciążliwa dla nóg i stóp, przez stały nacisk od kolan do czubka dużego palca w bucie. W Katmandu nasz najmłodszy Szerpa, Gyaltsen, zaniósł moje buty wysokogórskie do szewca, żeby je rozciągnął; buty powróciły nie rozciągnięte, ale za to ze starannie naszytymi łatkami z jasnej skóry w miejscach oznaczonych do rozciągnięcia. Łatki zostały zdjęte w Pokharze, lecz tamtejszy szewc nie miał kopyta do rozciągania butów, są więc teraz równie wąskie i - przez to, że zostały przedziurkowane - mniej wodoodporne niż przedtem.

Dzisiaj szliśmy przez dziesięć godzin; pojawiają się pęcherze. Gyaltsen, który niesie mój bagaż, jest gdzieś daleko z tyłu, a ponieważ w swoim plecaku nie mam trampek, idę boso. Mam stwardniałe podeszwy stóp jeszcze od zeszłego lata, a ścieżki są przeważnie rozmięknięte deszczem, bo znów zeszliśmy na nizinę. Z oczami wbitymi w ziemię w obawie przed ostrymi patykami i kamykami podziwiam czekoladową żabę leśną i jasne, lawendowo-niebieskie kwiaty orchidei (Bauhinia), jak również ciepły placek łajna bawołu, złożony tu - z wyglądu sądząc - w pełnym spokoju, a może nawet w zamyśleniu.

Ale od spotkania z czołgającą się dziewczynką patrzę na ten pozorny raj innym wzrokiem. Idąc wzdłuż rzeki Modir kaleczę sobie stopy ostrymi łupkami skalnymi i po rozbiciu obozu w wiosce Gijan odrywam z nóg pijawki; G. S. przy kolacji z ryżu w miejscowej chacie sprawdza, czemu ma mokry but - okazuje się, że jest pełen krwi.

Pociesza mnie to, że i G. S. jest śmiertelny i nie obce mu są bóleczki pielgrzyma. Sam jestem dobrym piechurkiem, ale on jest niezmordowany; gdyby nie wolne tempo tragarzy, wycisnęłoby ze mnie ostatnie poty. Silne nogi są tak istotne przy pracy w wysokogórskich regionach świata, że G. S. nie jeździ na nartach ani nie uprawia żadnych wyczerpujących sportów z obawy, aby nie doznać kontuzji. Drocę się teraz z nim z powodu tego

zakrwawionego buta, cytując list od kustosa działu ssaków w Amerykańskim Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku (w związku z zestawem pułapek na myszy, które miałem przywieźć G. S. z Ameryki): „Ciekaw jestem Waszych wrażeń i osiągnięć z marszu przez Nepal. Muszę Cię ostrzec, że mój poprzedni przyjaciel, który wybrał się na wędrownkę z George'em po Azji, wrócił - a raczej zawrócił - kiedy jego buty były pełne krwi...”

- Facet był nie w formie - mówi G. S. krótko.

30 WRZEŚNIA

Wczoraj zśliśmy przez jedenaście godzin cały czas stromo w górę i w dół, i dziś rano delikatny tragarz, który grał na liściu figowym, zniknął. Jang-bu, główny Szerpa, zastąpił go w Gijan starym Mangarem o imieniu Bimbahadur; jest to krzywonogi weteran oddziałów Gurkhów, który idzie bosy, w szerokich szortach. (Czy to hinduista, czy buddysta, Nepalczyk, który wstępuje do wojska, nazywa się „Gurkha”. Legenda otaczająca tych żołnierzy ma swój początek w 1769 roku, kiedy armia króla krainy Gorkha wyspała się ze środkowych dolin wchłaniając małe plemienne księstwa i tworząc stan hinduski zwany teraz Nepalem; w swej zaciekłości wtargnęła także do Tybetu, skąd przepędzili ich Chińczycy, którzy już wtedy uważali Tybet za część Chin. W połowie dziewiętnastego wieku oddziały Gurkhów, wymachując złowrogimi maczetami, zwanymi „kukri”, zostały wysłane na pomoc brytyjskiemu zwierzchnictwu podczas powstania sipajów, i oddziały Gurkhów były później utrzymywane zarówno przez Indie jak i przez Wielką Brytanię).

Nasz tragarz-Szerpa, Tukten, jest także weteranem Gurkhów, toteż on i Bimbahadur szybko się zaprzyjaźniają, zwłaszcza że Tuktena (może dlatego, że przyjął pracę tragarza, a może z innych, nieznanych powodów) nasi młodszy od niego Szerpowie trzymają lekko na dystans. Tukten może mieć trzydzieści pięć albo pięćdziesiąt trzy lata - jego twarz nic nie mówi - podczas gdy Jang-bu, kucharz Phu-Tsering i dwóch pomocników obozowych, Gyaltsen i Dawa, mają po dwadzieścia kilka lat. W swoich krótkich spodkach i wysokich wibramach Gyaltsen wygląda jak uczeń - i rzeczywiście niesie ze sobą kilka wystrzępionych podręczników szkolnych.

Szlak z Gijan prowadzi na zachód grzbietem aż na wzniesienie z widokiem na cztery głębokie doliny. W dole, w wiosce, gdzie rzeka Modir spotyka się z rzeką Jare, siedzi w oknie kobieta otoczona framugą rzeźbioną w ptaki. Przekraczamy Modir drewnianym mostem z łańcuchową poręczą; most huśta się i skrzypi nad szarymi potokami wody, które spływają z lodowców Annapurny.

Ścieżka biegnie wśród pól ryżowych przez wąskie groble udeptane na masło tysiącem stóp. Góry zasnutę mgłą; duszący upał. Zielony ryż, brunatne chaty, czerwone stroje kobiet tworzą barwne plamy na tle mrocznych dolin. Zza rzeki dochodzi pianie koguta, które rozdziera nieruchome powietrze, czasem gniewny głos ludzki: kobiety gromiącej swojego bawołu, który uciekł do lasu, lub bezmyślny śmiech szaleńca odbijający się echem wśród gór.

Słońce w skrzydełkach ważek, nad łąkami jeszcze pogrążonymi w cieniu; krzyk gołębia gdzieś z tajemnych czeluści gór. Teraz wylania się Machhapuchare w aureoli chmur kłębiących się ciasną spiralą wokół wierzchołka. (W przeciwieństwie do innych szczytów masywu Annapurny, Machhapuchhare pozostał nietknięty, nie dlatego, że jest nie do zdobycia - w 1957 roku cofnięto się piętnaście metrów przed szczytem - ale dlatego, że wejście na wierzchołek jest zakazane; Gurungowie uważają tę górę za świętą i rząd nepalski mądrze czyni utrzymując ją „in mysterium tremendum”). Wkrótce Annapurna w całej swej okazałości stoi jasna i czysta zmieniając się z minuty na minutę przez cały dzień naszego marszu w kierunku zachodnim. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku

najbardziej wysunięty na zachód szczyt Annapurny, zwany Annapurna 1, został pierwszym zdobyty przez człowieka szczytem powyżej ośmiu tysięcy metrów.4

Jak przyjemnie czuć się nieistotnym pionkiem na tej wyprawie, nigdzie się nie spieszyć, nie mieć żadnego konkretnego celu - typowe „gnaskor” czyli „wędrowanie z miejsca na miejsce”, jak określa się w Tybecie pielgrzymki. G. S. pogania tragarzy, którzy nie zaniedbują żadnej okazji do odpoczynku; Szerpowie niby usiłują mu w tym pomóc, ale wiedzą, że tragarze zrobią wszystko, aby nie iść dłużej niż siedem godzin dziennie, a ponieważ nie mają namiotów, obmyślają zwykle z góry, jeszcze zanim wyruszą rano w drogę, w jakiej chacie czy jaskini spędzą noc. G. S. także wie to wszystko, ale wie również, że pora roku jest przeciwko niemu i nie spocznie, póki nie dotrze do krainy błękitnych owiec i śnieżnej pantery. „Od momentu, kiedy zaczynam zbierać dane - powiedział w Katmandu - nic więcej mnie nie obchodzi; czuję, że po coś żyję.” (To umiłowanie pracy w terenie przyczyniło się do jego reputacji: słyszałem, jak jeden z jego kolegów nazwał go „najznakomitszym współczesnym biologiem”.) Poza tym G. S. nie lubi tych wszystkich małych wiosek; jesteśmy wciąż zbyt blisko cywilizacji jak na jego upodobania. „Im mniej ludzi, tym lepiej” - powtarza często. Początkowo chciał, żebyśmy lecieli aż do Dhorpatan, siedziby uchodźców tybetańskich na zachód, gdzie można by wynająć potrzebnych nam tragarzy. Ale najbliższy samolot był dopiero w drugim tygodniu października, toteż przy wciąż niepewnej pogodzie najlepszym wyjściem było pokonanie trasy do Dhorpatan pieszo. Teraz dogania mnie, rozdrażniony:

- Cała droga zabrałaby nam cztery dni zamiast ośmiu albo dziewięciu, gdybyśmy nie musieli czekać na tych przekłetych tragarzy. - G. S. wzdycha, bo wie, że nic się nie da zrobić, żeby przyspieszyć tempo. - Chciałbym już być na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów, lubię rześkie powietrze.

Nie odpowiadam. Tempo tragarzy w zupełności mi odpowiada, tym bardziej że moje buty są twarde i przyciasne. Sam też lubię rześkie powietrze, ale w tej chwili czuję się zupełnie szczęśliwy; już wkrótce i tak znajdziemy się w zimnym, wysokogórskim klimacie.

Połykająca orzechowym tłuszczem wiewiórka obserwuje nas ze swojej żerdzi na drzewie bawelnianym (Bombax), okrytym jaskrawoczerwonym kwieciem. Ten krewniak afrykańskiego baobabu jest często jedynym pozostałym dzikim drzewem i przydaje wioskom coś z aury rezerwatu, łagodząc surowość krajobrazu. Powietrze rozdziera donośny głos cykady, przenikliwy, niesamowity, ostry jak zgrzyt noża o szkło, a jednak subtelny, podzwaniający, o nucie, która porusza migoczące w słońcu nitki pajęczyn. Przystaję porażony tym niezemskim dźwiękiem, który zdaje się dobiegać naraz ze wszystkich stron, a Tukten, mijając mnie, uśmiecha się. W tym enigmatycznym uśmiechu jest coś z uśmiechu Kasapy. Szukając pośród swoich uczniów następcy, Śiakjamuni podniósł w górę kwiat lotosu i milczał. Ujrzawszy w tym symbolicznym geście istotę jedności bytu, Kasapa uśmiechnął się.

Kusma, duża hinduska wioska w pobliżu rzeki Kali Gandak, leży na wysokości około tysiąca metrów, co stanowi niemal najniższy punkt w naszej podróży. Phu-Tsering uzupełnia nasze zapasy o świeże ogórki i gujawy, i jeszcze przed południem znów jesteśmy w drodze, idąc na północ wschodnim brzegiem rzeki. W pierwszej napotkanej wiosce jest mała drewniana świątynia z dwoma kamiennymi krowami wystrojonymi w czerwony hibiskus; kamienna twarz w ścianie świątyni też wita mnie niezgłębionym uśmiechem. Wioska

skrzypi w łagodnym rytmie prastarej stępy do tłuczenia ryżu, pod oknami huśtają się niemowlęta w wiklinowych koszykach. W pogodnej i harmonijnej swojskości tych słonecznych wiosek maciora i prosię, krowa i cielę, matka i dziecko, kura i kurczęta, koza i kozłę jednoczą się we wspólnym pulsie życia. Jemy owoc melonowca w herbaciarni, a potem kąpiemy się w głębokiej sadzawce górskiego potoku, który spływa w bryzgach piany z jasnych skał za wioską. Jest ostatni dzień września i stoję przez dłuższy czas pod ciepłym wodospadem, w wilgotnym słońcu, a moje świeżo wyprane ubranie suszy się na kamieniach.

Przez całe popołudnie szlak prowadzi w górę rzeki Kali Gandak, która biegnie z Mustang i Tybetu na Nizinę Gangesu, a ponieważ płynie między niebotycznymi masywami Annapurny i Dhaulagiri, z których każdy ma ponad 8 tysięcy metrów, Kali Gandak ma najgłębszy przełom ze wszystkich rzek na świecie. Kali znaczy „czarna niewiasta” albo „ciemna kobieta” i to prawda, że strome ściany, szary potok i czarne głazy spowijają tę rzekę w iście piekielnym mroku. Dzika Czarna Kali, żeński odpowiednik Czasu i Śmierci oraz Pożeracz Wszecznego jest małżonką hinduskiego boga Himalajów, Wielkiego Śiwy Stworzyciela i Niszczyciela; jej czarna postać z naszyjnikiem z ludzkich czaszek jest symbolem tej ciemnej rzeki, która tocząc swe wody z niewidocznych szczytów, z zasnutych chmurami nieznanymi obszarów, napędza serca podróżników obawą, odkąd pierwszy człowiek, który usiłował ją przekroczyć, został porwany jej nurtem.

Ponad głuchym szumem wody unosi się daleki, wysoki i czysty głos cykady. Blask poranka, samotny mlecz, kasja, orchidee. Zdumiewa mnie widok purpurowego kraba lądowego - tak daleko od morza wygląda niczym relikw z zamierzchłej przeszłości, kiedy kontynent indyjski dryfując po skorupie ziemskiej, przemieścił się na północ i zderzył z bryłą lądu azjatyckiego, wypychając skały morskie centymetr po centymetrze na osiem kilometrów w niebo: rzeka Kali Gandak jest słynnym źródłem świętych czarnych kamieni zwanych saligramami, które zawierają spiralne skamieliny skorupiaków morskich. Kształtowanie się Himalajów zaczęło się w eocenie, jakieś pięćdziesiąt milionów lat temu, i ciągle trwa: trzęsienie ziemi w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku strąciło góry do rzek i zmieniło bieg wielkiej Brahmaputry, która płynie z Tybetu przez północno-wschodnie Indie, żeby połączyć się z Gangesem w pobliżu jego delty w Zatoce Bengalskiej. Wszystkie wielkie rzeki Azji południowej biorą swój początek z tego najwyżej położonego kraju na świecie, od rzeki Indus, która uchodzi do Morza Arabskiego, poprzez Ganges, Brahmaputrę, Mekong, Jangcy do potężnej Huang-go, która płynie na wschód przez całe Chiny do Morza Żółtego; ponieważ płyną z Płaskowyżu Tybetańskiego, te rzeki są o wiele starsze od gór, i przepastne przełomy Kali Gandak powstawały równocześnie z wypiętrzającymi się masywami.

W wiosce Paniavas, której studnię zdoła mosiężna głowa krowy, trafiamy na most przerzucony nad huczącą rzeką i rozbijamy obóz po drugiej stronie w strugach niespodziewanego deszczu. O zmierzchu spaceruję pomiędzy ociekającymi drzewami. Z pobliskiego wzgórza paharskie dzieci wykrzykują cienkimi głosikami kilka wyuczonych na lekcji angielskiego zdań, śmiejąc się z moich odpowiedzi.

- Dzień dobry!

- Jak się nazywasz?

- Która godzina?

- Dokąd idziesz?

1 PAŹDZIERNIKA

Deszcz monsunowy pada przez całą noc, rano jest zimno i pochmurnie. Wzdłuż szlaku w górę rzeki Gandak jest coraz mniej osad i coraz mniej kamiennych szalasów, w których podróżni mogliby znaleźć schronienie; wraz z północnym wiatrem nachodzi nas nie mile uczucie, że teraz późną jesienią jesteśmy skazani na złą pogodę. Znad rzeki nadlatuje pospolity brodziec piskliwy, azjatycki krewniak nakrapianego brodzieca z moich stron rodzinnych: kołysze się w powietrzu i przemyka od jednej czarnej skały do drugiej, zmierzając na południe, ku ciepłym, błotnistym stronom. Widziałem tego wesołego ptaszka w wielu miejscach, od Irlandii po Nową Gwineę, i czuję się nieco podniesiony na duchu, kiedy spotykam go tutaj.

Pod chmurami dolne stoki wielkiej Dhaulagiri, mającej 8172 metry wysokości, lśnią bielą po zesłonocej burzy; linia śniegu schodzi znacznie niżej, niż musimy się wspiąć idąc do Dolpo. Ten szlak prowadzi na północ do Jamoson i Mustang; początkowo planowaliśmy dojść aż do Jamoson, a potem skręcić na zachód do Dolpo, przez Tsharkę. Ale od rządu nepalskiego trudno uzyskać pozwolenie na podróż poza Jamoson z powodu drażliwej sytuacji na dzikich terenach przy południowo-zachodniej granicy. Przed wojnami Gorkhów pod koniec osiemnastego wieku Dolpo i Mustang były królestwami tybetańskimi - fakt historyczny, który mógłby zachęcić Chińczyków do ewentualnego najazdu. Poza tym oba regiony stanowią kryjówkę dla dzikich plemion tybetańskich zwanych Kham-pa, które ciągle przeciwstawiają się zbrojnie chińskiej okupacji i chronią się w Dolpo i Mustang po swoich wypadach. Już w czasach Marco Polo Kham-powie byli znanymi rozbójnikami i sądząc z wszelkich relacji, są nadal przywiązani do dawnych obyczajów. Nasza obecna trasa, biegnąca z południa, zmniejsza możliwość napotkania Kham-pów i zaognienia sytuacji, na którą Nepal, dla utrzymania dobrych stosunków z potężnym sąsiadem, gotów jest przemykać oko.

Most przecina rzekę przy centrum handlowym w Beni, skąd wiedzie na zachód inny szlak biegnący u stóp Dhaulagiri. Będziemy szli w tym kierunku przez sześć dni, a potem wokół zachodniego krańca masywu Dhaulagiri na północ przez Himalaje. Tu, w Beni Bazaar, policjanci są podejrzliwi i agresywni, sprawdzają nas z przesadną skrupulatnością nasza przepustka do Dolpo należy do rzadkości. Ale w końcu zwracają nam papiery i odchodzimy stamtąd jak najprędzej.

Ścieżka wiedzie północnym brzegiem Magyandi, dopływu Kali Gandak; zbocza doliny są tu zbyt strome na uprawę roli, a w paru nędznych przydrożnych wioskach nie ma nawet herbaciarni. Jest już październik, orchidee powoli znikają. Po drugiej stronie rzeki upiorne wodospady - czasem widać po kilka naraz - lecą w dół prosto z chmur. Kamienny młyn spiętrza białe wody strumienia w miejscu, gdzie wawóz wpada do rzeki; nie ma tu mostu ani żadnego śladu życia i tutejszy pustelnik, jeśli jeszcze żyje, dzieli swą samotność z makakami, które siedzą w warcie pośród drzew wokół cichego budynku.

Mija nas Tybetańczyk z dwoma kobietami; przystaje na chwilę i podnosi głowę lustrując nas, po czym zaprasza, żebyśmy mu towarzyszyli do Dhorpatan. G. S. i ja lubimy szybką wędrówkę i chętnie byśmy z nim poszli, ale wskazujemy tylko w kierunku tragarzy, którzy

jak zwykle są o jakąś godzinę lub więcej w tyle.

Rozbijamy obóz w ulewnym deszczu, nad rzeką w wiosce Tatopani.

2 PAŹDZIERNIKA

Dawno temu jakiś podróżnik przyniósł do Tatopani poinsecję i oleander; jest tu też herbaciarnia. W chacie naprzeciwko rośnie na strzesze ogórek z żółto kwitnącym pnączem, pod okapem, na glinianym parapiecie okiennym, fujarka, drewniany grzebień i jasnoczerwona papryka tworzą harmonijną kompozycję. Pod oknem baraszkują dzieci, a mała dziewczynka, spokojna i poważna, przebiera się od stóp do głów. Na błotnistej ulicy, w deszczu, trzech chłopców kucając głowa przy głowie gra w karty pod czarnym parasolem.

Przed południem wyruszamy dalej w lekkiej mżawce. Rzeka Magyandi wzbiera, nad grzęzącym i rwącym potokiem, przy wtórze huku kamieni, odlatują na południe jaskółki. Deszcz to pada, to ustaje. Po południu docieramy do największej w tych okolicach wioski, zwanej Darbang; domy są tu kryte dachówką i solidnie zbudowane z czerwonej i białej cegły, okna mają drewniane, rzeźbione ramy.

Jang-bu i Phu-Tsering rozpalają ognisko na szkolnej werandzie i suszą śpiwory, a Dawa i Gyaltzen co jakiś czas przewracają je na drugą stronę. Jak każdą pracę i tę Szerpowie podejmują i wykonują radośnie, często też pomagają im Tukten, choć takiej pomocy nikt nie oczekuje od tragarza i nikt mu za nią nie płaci. Szerpowie wypatrują sposobów, żeby być użyteczni, ale nigdy nie są nachalni, a tym mniej służalczy; ponieważ jednak płaci się im za usługę, to dlaczego by mieli nie wykonać jej jak najlepiej? „Chwileczkę, sir! Ja to oczyszczę z błota!” „Ja to poniosę, sir!” Rację ma G. S. mówiąc:

- W trudnych chwilach myślą przede wszystkim o nas.

Niemniej ich godność nic na tym nie cierpi - usługa jest usługą, wykonują ją nie dla pracodawcy, ale po to, aby wywiązać się z zadania, którego się podjęli. Jako buddyści wiedzą, że uczynki liczą się bardziej niż zdobycze czy nagrody, że służyć bezinteresownie, to znaczy być wolnym. Z powodu swojej wiary w karmę - zasadę przyczyny i skutku, którą przesiąknięty jest buddyzm i hinduizm (a także, jeśli już o tym mowa, chrześcijaństwo: „co człowiek siewie, to i żąć będzie”) - są tolerancyjni i nikogo nie osądzają, wiedząc, że złe czyny spotkają się z należną karą bez interwencji ofiary. Otwarta i życzliwa postawa Szerpów, ich pogodna bezbronność, to cechy wcale nie takie częste, nawet wśród prostych ludzi, nigdy przedtem się z tym nie spotkałem, może z wyjątkiem Eskimosów. A ponieważ uważa się, że w prehistorii mongolscy nomadzi, przodkowie zarówno Tybetańczyków jak rdzennych Amerykanów, pochodzili z tego samego regionu północnej Azji, zastanawiam się, czy to podejście do życia nie jest wspólną spuścizną z dalekiej przeszłości.

Ci prości i niewykształceni mężczyźni zachowują się z rozważnym spokojem mnichów, a ich dobre samopoczucie jest nieodłącznie związane z ich religią. Oczywiście każdy z nich i każdy z nas - to rodzący się Budda, jak mówią teksty mahajany zebrane kilka wieków po śmierci Siakjamuniego. Mahajana wyznaje niezależność wszystkich bytów i daje prawo zbawienia wszystkim istotom, nie tylko ludziom, którzy podporządkują się regułom zakonu, toteż nie wymaga wyrzeczenia się normalnego życia (choć zakłada, że to wyrzeczenie przyjdzie później samo przez się) i jest pod wieloma względami mniej rygorystyczna niż

hinajana z Cejlonu i południowo-wschodniej Azji, która trzyma się ściśle wczesnego buddyzmu Śiakjamuniego. Podobnie jak w tradycji hebrajskiej i chrześcijańskiej, które rozwijały się w tym samym czasie, mahajana zakłada, że nie osiągnie pełni duchowej ten, kto szuka Boga tylko dla siebie: „Czy zespoliłeś swą istotę z ogromem cierpienia całej ludzkości, kandydacie do Oświecenia?”⁶ I tak powstał ideał bodhisattwy (z grubsza, wcielenia Buddy), który odsunął własne przejście w doskonały spokój nirwany, aby pozostać z nami w stanie samsary, dopóki wszyscy nie doznamy oświecenia; w ten sposób mahajana zaspokaja ludzką potrzebę wiary w osobistego boga i cierpiącego zbawiciela, której nie uwzględnił wczesny buddyzm i hinajana. Mahajana leży u podstaw buddyzmu tantrycznego Himalajów, Tybetu i Azji centralnej, jak również niezwyklej sekty, która narodziła się w Chinach, przeszła na wschód do Korei i Japonii, a teraz przyjęła się w Stanach Zjednoczonych.

Tradycyjnym założycielem buddyzmu ch'an (w Japonii zen) był Bodhidharma, wielki nauczyciel w apostołskim stylu Śiakjamuniego, który w roku pięćset dwudziestym siódmym przyniósł swoje nauki z Indii do Chin. Być może pod wpływem prostoty filozofii chińskiej zwanej Tao (Droga) dziki „niebieskooki mnich” lub „wpatrujący się w ścianę” nawoływał swoich uczniów, żeby porzucili sekciarskie dysputy, napuszone pisma, rozliczne wizerunki i kapłańskie pułapki zorganizowanych religii, a w zamian powrócili do intensywnej medytacji, która otworzyła Buddzie jego Ścieżkę. Nauczany później przez szereg wielkich mistrzów, zen (którego Bodhidharma był Pierwszym Patriarchą w Chinach) natchnął całą orientálną kulturę i sztukę rzadką jasnością swojego posłania. W zenie nawet przywoływanie „złotych słów” Buddy może przeszkodzić w osiągnięciu zrozumienia wszechrzeczy; stąd powiedzenie wyznawców zenu: „Zabij Buddę!” Święta księga zenu to nic innego jak sam Wszechświat, a religia to ni mniej ni więcej tylko uchwycenie każdej chwili w nieskończoności.

Jakie to cudowne, jakie tajemnicze!

Niosę drewno na opał, czerpię wodę ze źródła.⁷

3 PAŹDZIERNIKA

Od strony rzeki nad Darbang nadchodzi złowrogi grzmot. Lecą w dół skały; trzy mokre psy buszujące po szkolnym podwórku odwracają się i nastawiają uszu. Głazy dudnią i spadają do rzeki, która wezbrana po dwudniowej ulewie z hukiem i łomotem toczy się przez kanion.

Nieustający deszcz działa nam na nerwy, zwłaszcza mnie, gdyż mój ciasny i dziurawy namiot mocno przecieka. Skulony w zimnym i mokrym śpiworze, między tworzącymi się kałużami, zazdrosczę śpiącemu obok właścicielowi nowego błękitnego namiotu i zapewne to prymitywne uczucie staje się przyczyną naszej pierwszej kłótni, kiedy nazajutrz rano G. S. wyrzuca zużyte puszki i papiery na szkolne podwórko. Jak twierdzi, dlatego że miejscowa ludność zawsze chciwie wypatruje pojemników - co jest prawdą. Ale czy nie mógł ustawić puszek przy ścianie zamiast śmiecić nimi wokoło i zmuszać ludzi do wyciągania ich z błota?

Pod surowym opanowaniem G. S. kryją się przebliski gniewu, ale on sam mało o sobie mówi - i trudno jednoznacznie go ocenić. Z natury jest chyba samotnikiem; ślady nieśmiałego ciepła dają się odczuć, kiedy opowiada o wronach i świniach. Zeszłego roku w Nowym Jorku powiedział:

- Może ty mnie nauczysz, jak pisać o ludziach; ja tego nie umiem.

Taki rodzaj otwartej i bezradnej wypowiedzi kompensuje jego surowość i sporadyczny brak należnych form spowodowany po prostu żarliwością.

- Czasem kiedy Kay przepisuje na maszynie moje notatki i przez chwilę nie słyszę stukotu maszyny - mówi do mnie - to idę i pytam, co się stało, a ona się na mnie wścieka.

Często to powtarza: „Kay się na mnie wścieka”, jakby dla przypomnienia sobie, że jego żona może mieć ku temu niezgorsze powody.

W Serengeti G. S. był bardzo ceniony i lubiany, gdyż ma cały szereg wspaniałych, staroświeckich zalet. Podobne jak u niego połączenie rozumu, siły i prawości wcale nie zdarza się często i bardzo się liczy w takiej wyprawie jak nasza: w dzisiejszych czasach nie tak łatwo o przyjaciół, którym można powierzyć życie.

Kiedy deszcz trochę ustaje, wyruszamy w drogę, ale wkrótce jakiś podróżny idący z zachodu ostrzega Phu-Tseringa przed niebezpieczeństwem grożącym na szlaku. Phu-Tsering, który z natury rzadko się martwi, teraz mruczy: „Dwa dni deszcz, bardzo źle”, robiąc półkolistą gest brązową ręką. W niektórych miejscach skalna ścieżka obsunęła się do rzeki, a w innych zasypała ją lawina głazów. Idąc tamtędy tragarze patrzą w górę przez klęby mgły na zwisające skały. Młody tragarz z plemienia Tamangów, Pirim, liźnął trochę angielskiego i kiedy mnie mija, rzuca uwagę: „Dzisiaj i jutro szlak niedobry”. Dla podkreślenia, że mówi poważnie, obraca się z ciężkim ładunkiem i patrzy na mnie spod rzemyka biegnącego przez czoło, po czym kuśtyka po stromej ścieżce w górę kanionu. Takie

skargi, mówi G. S., poprzedzają zwykle zapowiedź odejścia lub żądanie wyższej zapłaty, ale później i on uznaje groźbę sytuacji i nakazuje tragarzom trzymać się razem.

- Gdyby któryś z nich spadł - mówi - nikt by tego przed wieczorem nie zauważył.

Wkrótce potem musimy wspinać się przez krzaki, gdyż cały trawers obsunął się w dół zbocza.

Za mostem nad strumieniem Danga jest jeszcze urwiste, śliskie podejście, ale już niebawem najgorszy odcinek mamy za sobą. Mijamy lasek sosnowy spowity w oparach mgły, a naprzeciwko rozstępujące się chmury odsłaniają na ścianie górskiej wstęgi wody, które z białych zamieniają się w brązowe, zbierając ziemię po drodze do huczących rzek. Na zakręcie szlaku stoi dziwna kapliczka, w której z rogów zabitych kozłów ustawiono coś na kształt ołtarza, a do gałęzi pobliskich drzew przywiązano czerwone wstążeczki. O tej porze roku ludzie składają hołd Durdze, okrutnej bogini z zamierzchłych czasów, która w pierwszych wiekach naszej ery ożyła jako czarna Kali, przerażająca żeńska postać boga Śiwy i ucieleśnienie wszystkich ciemnych stron doczesnej egzystencji.

Jedynie śpiew ptaka i szum wody zakłócają ciszę. Nawet w deszczu ten krajobraz wygląda nieziemsko: jary i wodospady, sosny i chmury, ognistoczerwone domostwa wymalowane w przedziwne kwiaty i niezwykle ornamenty; spiętrzone niczym obłoki poletka ryżowe leżące tarasowo na stromym zboczu, stadko cynobrowych kukulek przelatujące przez targane wiatrem bambusy.

Idziemy w błocie, mroku i chłodzie. W górskiej wiosce zwanej Sibang mieszkańcy przy wtórze bębnów zarzynają rytualnie bawołu w obrzędach na cześć Durgi i wypijają świeżą jeszcze krew, a dzieci otaczają ich kołem na deszczu. Tutejsze dzieci mają brzuchy rozdęte z niedożywienia i chociaż wydają się nie mniej szczęśliwe niż dzieci z nizin, te są cichsze, nie wyśpiewują piosenek; jedno z nich, pijące krew, ma najpiękniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widziałem.

4 PAŹDZIERNIKA

Deszcz jeszcze się wzmógł nad ranem i ponieważ szlaki są nie do przebycia, zostajemy w starej oborze, która nam posłużyła na nocleg. Dobry Dawa w swoich pomarańczowych podkolanówkach - duży, silny mężczyzna, ale tak nieśmiały, że boi się spojrzeć sahibowi w twarz - zgarnął gnój na kupkę przy ścianie i wyłożył największe kałuże w klepisku płaskimi kamieniami. Zyjemy na wysepce płótna namiotowego rozciągniętego pomiędzy ciekącymi dziurami i spędzamy większość chmurnego dnia w śpiworach, oparci o ścianę.

Ostatnio egzystujemy niemal wyłącznie na mącznej diecie, złożonej z ryżu i chapatis (przaśny chleb), z dodatkiem *dhal* (drobnej soczewicy) i tłuczonej kukurydzy lub ziemniaków. W wioskach wzdłuż rzeki można było jeszcze dostać papaje, gujawy, ogórki i figi, ale odkąd szlak pnie się na północ i na zachód, a jesień robi się coraz późniejsza, już i tego nie widać. Wczoraj Phu-Tsering przyniósł kilka srebrnych rybek schwytych w wiklinowe siła w strumieniu, a do tego świeże mięso zabitego bawołu, wobec tego czcimy święto Durgi. Znalazło się trochę araku czyli raki - alkoholu pędzonego z ryżu, kukurydzy lub prosa - i stary, jednooki tragarz tańczy przy organkach Jang-bu, którego palce połyskują pierścienkami. Nasz główny Szerpa jest bardzo chłপিący, nawet jak na swoje dwadzieścia cztery lata, ale jest także inteligentny, przystojny i budzi szacunek.

Prawdę mówiąc, wcale nie jesteśmy w nastroju do zabawy. G. S. siedzi pogrążony w zadumie, a ja myślę o moich dzieciach. Rue, Sara i Luke są w szkołach z internatem i tylko najmłodszy został w domu. Zeszłego lata G. S. napisał parę słów z Pakistanu, że jeśli Alex jest pogodnym i przyjacielskim dzieckiem - był i jest - to Kay Schaller chętnie weźmie go do siebie, do Lahore, gdzie ich dwaj synowie chodzą do szkoły amerykańskiej. Ale ponieważ Alex ma dopiero osiem lat, uznałem, że lepiej będzie odrzucić to wspaniałomyślne zaproszenie i zostawić go we własnym domu, wypożyczonym na ten czas rodzicom jego przyjaciół. I na razie przynajmniej wszystko jest w porządku. Tuż przed wyruszeniem z Katmandu otrzymałem następujący list:

„Kochany Tato!

Jak się czujesz. Ja dobrze. Było mi bardzo smutno i nawet płakałem, że nie napisałem do Ciebie listu. Ale teraz już czuję się o wiele lepiej, bo do Ciebie piszę. Kot i pies są fajni, ale będzie mi smutno, kiedy umrą. W szkole wszystko w porządku. Mam nadzieję, że wrócisz na Święto Dziękczynienia. Czy dobrze to napisałem? Tak □ Nie □

Mam nadzieję, że Twoje buty wysokogórskie są wygodne. Mam nadzieję, że wszystko idzie dobrze. Całuję Alex

Zachowaj moje listy i przywieź do domu, żebym wiedział, czy je dostałeś. Ucałowania i uściski. Pa, pa, catusów 122. Twoje słoneczko Alex.”

Myślę o rozstaniu z moim słoneczkiem w dniu rozpoczęcia szkoły, miesiąc temu, pięknego wrześnieowego poranka pełnego królewskich motyli i złotych gałęzi, późnych róż, błyszczących igieł sosnowych i stad kormoranów lecących w suchym, wschodnim wietrze wzdłuż wybrzeża na południe. Alex spytał, jak długo mnie nie będzie, a kiedy mu powiedziałem, wybuchnął: „Za

długo!” Odwiozłem go do szkoły, a on się martwił, że dzieci zobaczą jego łzy. „To o wiele za długo” - płakał i miał rację. Tuląc go przyrzekłem, że wrócę przed Dniem Dziękczynienia.

5 PAŹDZIERNIKA

Wyruszamy o świcie w lekkiej mżawce, która trwa przez cały ranek. A przecież już dawno powinien nastąpić koniec pory monsunowej.

W Munie ścieżka oddala się od potoku Magyandi, płynącego daleko w dole, i przez kilka kilometrów biegnie grzbietem nad doliną Dara Khola. Na tej wysokości, ponad dwa tysiące metrów, szlak prowadzi pomiędzy dębami. Na górze nie ma ani śladu ludzi czy pól uprawnych i G. S. jest wniebowzięty. Rozglądamy się za tropem leśnych zwierząt takich jak czarny niedźwiedź azjatycki (zwany niedźwiedziem księżycowym), żółtoszyjna kuna i piękna, czerwona panda. Ten ciemny las - kto wie? - może być kryjówką yeti. Na skraju rośnie olcha i ostrokrzew, kalina, berberys i rododendron, stokrotki i nieśmiertelniki, dzikie poziomki, mech, paproć i jasnowawendowe astry, podobne do tych, jakie pokrywają teraz nasze lasy i pola. W listowiu jesiennych drzew stukanie dzięcioła i tęskne nawoływanie sikorek przywodzą na myśl dom i wraca mój niepokój o dzieci.

Rozbijamy obóz na wysokości trzech tysięcy metrów, w ciemnym borze omszałych dębów. Poprzez postrzępione korony drzew widać rozjaśniające się niebo. Wschodzi księżyc, jest zimno.

Jakie to wszystko wydaje się dziwne. Jakie to wszystko jest dziwne. Jedno „ja” czuje się obserwatorem tego mężczyzny, który leży tu w śpiworze w górach azjatyckich; drugie „ja” myśli o Alexie; trzecie jest zmęczonym wędrowcem usiłującym zasnąć.

W pierwszych latach swego życia mój syn, zapominając o zabawkach, potrafił blisko godzinę stać urzeczony w piaskownicy w sadzie, pośród fruujących w ciepłym wietrze gołębi i drożdów, tańczących liści, płynących obłoków, śpiewu ptaków i słodkiego zapachu ligustru i róż. Chłopiec nie obserwował niczego, stał tylko pełen skupienia i spokoju w samym środku wszechświata, był częstką wszechrzeczy, nieświadomą początku i końca, wciąż jeszcze pozostającą w zgodzie z odwieczną naturą stworzenia, był dzieckiem, które wchłania całe światło i wszystkie zjawiska. Ekstaza to poczucie tożsamości z otaczającym światem, i tę ekstazę było widać w jego kolorowych rysunkach: jak oryniacki myśliwy, który zamienił się w jelenia, Alex rysował na ścianie jaskini i nie było w tym żadnego „ja” dzielącego go od ptaka czy kwiatu. Tę samą spontaniczną tożsamość z obiektem widać w śmiałych japońskich grafikach w stylu sumi - jest to dobitny wyraz kultury zen, gdyż utożsamienie się z tym, co się robi, stanowi prawdziwą realizację Drogi.

Zadziwiające, jak z góry zakładamy, że instynkt samozachowawczy i strach przed śmiercią muszą stać na przeszkodzie czystego, nieskażonego doznania, w którym ciało, umysł i natura stapiają się w jedno. I to zdeprecjonowanie naszego widzenia, odwrót od cudu, wycofanie się rakiem ze swobodnych wód do bezpiecznej szczeliny, rozpaczliwe poczucie, że życie przepływa obok nas, ma swoje odbicie w prokreacji bez radości, w pogoni za pieniądzem, w ogromnym zanieczyszczeniu ziemi, powietrza i wody, z których powstaliśmy.

Porównajmy dzikie, swobodne malunki dziecka ze sztywnymi, skrzepowanymi „obrazami”,

w jakie się przekształcają, kiedy malarz dostrzega swoje dzieło i próbuje odtworzyć „rzeczywistość” tak, jak widzą ją inni; nagle oniesmielony wychodzi ze swojego obrazu, przekonuje się, że stanowi odrębną całość, dostrzega ciszę wokół i jest przerażony niezmiernym bogactwem Świata. Zaczyna się opancerzanie własnego „ja”, budowanie i rozpaczliwe poszukiwanie tożsamości, samotność: „Człowiek tak dalece zamknął się w sobie, że teraz widzi wszystko przez wąską szczelinę swojej pieczary”.⁸

Alex ma dopiero osiem lat i już odseparował się od dzikiego, swobodnego świata. Ja także straciłem ten świat we wczesnym dzieciństwie. Ale wspomnienia wracają na skrzydłach światła: lśniący ptak, wysokie sosny i słońce, ogień w szybującym liście, jesienne ciepło w ogołconym lesie, zapach drewna, dziecko, miękki mech na kamieniu dają mi roziskrzone blaskiem złudzenie bliskości, migoczącej i pulsującej, a jednak nieuchwytnej aż do bólu i utraty tchu. Pewnej nocy w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku na okręcie marynarki wojennej, podczas sztormu na Pacyfiku, mój zmiennik na dziobie powalony chorobą morską nie wyszedł na wachtę i byłem sam przez osiem godzin w wirze wiatru i wody, huku i żelaza; raz za razem fale uderzały o pokład, aż w końcu woda, powietrze i żelazo zlały się w jedno. Oszołomiony, wyczerpany, wypłukany z myśli i uczuć, straciłem poczucie własnego „ja”, bicie serca, które słyszałem, było biciem serca świata, oddychałem z potężnym wznoszeniem się i opadaniem ziemi, i ten zanik tożsamości napępiał mnie nie tyle strachem, ile uniesieniem. Potem czułem się, jakbym coś stracił - ale co, zastanawiałem się, nic nie rozumięć.

Większość poetów zna to uczucie bólu po stracie; tu i ówdzie czytając prozę też natykam się na dziwne ustępy, które niczym jednorozce wyskakują ze stronicy. „Głos piszczałki o świecie”⁹ to wczesny przykład, i opis śpiewających ryb w powieści Hamsuna, i fragment z Borgesa, a inny z Thoreau, i wiele takich fragmentów u Hessego, który niemalże o niczym innym nie pisał. Postaci Hamsuna dążą ku samozagładzie. Hamsun i Hesse jako znawcy porażki ostrzegają przed zgubnym urokiem mistycznych poszukiwań podobnie jak Kierkegaard, który twierdził, że zbytnie zawierzenie „możliwościom” prowadzi do domu wariatów. Ale kiedy natrafiłem na te ostrzegawcze słowa, zapadłem już na to, co Kierkegaard nazywa „chorobą nieskończoności”, błąkałem się między różnymi drogami nie zdając sobie nawet do końca sprawy ani z tego, że rozpocząłem poszukiwanie, ani z tego, czego właściwie szukam. Wiedziałem tylko, że czuję wewnątrz pustkę, którą trzeba wypełnić.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku w Paryżu uczeń świętej pamięci mistyka-filozofa George'a Gurdjieffa zapoznał mnie z „Dziełem”, w którym (jak w tylu innych doktrynach) wielki nacisk kładzie się na „samoświadomość” zwracanie baczej uwagi na chwilę obecną zamiast błąkanie się w efemerycznym świecie przeszłości i przyszłości. Kontynuowałem te nauki po powrocie do Ameryki, ale krótko; zdawało mi się, że metody Gurdjieffa są zbyt ezoteryczne, że mimo niewątpliwej siły przywódców niewielu z nas zdoła pójść ich drogą. Wróciłem do czytania i zacząłem pisać, a moje zagubienie jest widoczne w moich pierwszych książkach.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku w dżungli Peru zakosztowałem yaje czyli ayahuasca, halucynogenu o groźnych skutkach, za pomocą którego szamani plemion z dorzecza Amazonki wywołują świat zjawisk określanych przez nas mianem

„nadprzyrodzonych” nie dlatego, że wykraczają poza prawa przyrody, ale dlatego, że wciąż umykają opisowi oficjalnej nauki (większość halucynogenów to wyciągi z dzikich roślin - grzybów, kaktusów, wilca i wielu innych - używane do celów religijnych na całym świecie; sama starożytnych mogła być robiona z trującego grzyba z gatunku Amanita). Chociaż przerażające, doświadczenie to uzmysłowiło mi, że owa grupa związków chemicznych (fenoloalkaloidy) może doprowadzić do innego widzenia świata i to nie w mozole ascetycznej dyscypliny, lecz rzeczowo i szybko, niejako w locie. Nigdy nie uważałem narkotyków za drogę wyjścia ani tym bardziej za sposób na życie, ale w ciągu następnych dziesięciu lat zażywałem je regularnie - przeważnie LSD, lecz również meskalinę i psylocybinę. Wszystkie wizje były wstrząsające, często piękne, często groteskowe, a od czasu do czasu zdarzał się obraz pełen błogości, który w swojej ignorancji brałem za doznanie religijne: prawdziwie wierzyłem w mój czarodziejski dywan i byłem gotów lecieć, dokąd mnie zabierze. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku jadąc na wyprawę do Nowej Gwinei zatrzymałem się po drodze w Syjamie i Kambodży i skosztowałem wiejskiej, nieczyszczonej odmiany heroiny (sprzedanej mi jako „opium”), która śmiertelnie mnie przstraszyła; w każdym razie czułem się bliski śmierci owej pustej nocy, w starym hotelu, na skraju czarnej dżungli i na tle ruin Angkor Wat. Po pierwszym ekstatycznym transie byłem unieruchomiony, sparaliżowany, bez tchu; nie mając nikogo do pomocy, nie mogąc wydobyć głosu byłem pewien, że nadszedł Koniec - tu, w tym grobowo cichym pokoju, pod wolno obracającym się wentylatorem. W drodze powrotnej w kilka miesięcy później podchodziłem już do narkotyków z większym respektem, podjąwszy nad nimi poważne studia wraz z pewnym odszczepieńcem-psychiatrą, który robił pierwsze śmiałe eksperymenty z użyciem halucynogenów w terapii. Moją towarzyszką była dziewczyna, Debora Love, którą gnało przed siebie to samo instynktowne poszukiwanie celu.

Poszukiwanie może zacząć się uczuciem niepokoju, jakby ktoś nas obserwował. Rozglądamy się we wszystkie strony i nic nie widzimy. A jednak czujemy, że ten głęboki niepokój ma swoje źródło, a droga wyjścia wiedzie nie gdzieś w obce strony, lecz do domu („Ależ jesteś w domu! - krzyczy Czarownica z Północy. - Musisz się tylko obudzić!”) Podróż jest ciężka, bo tajne miejsce, „w którym od zawsze przebywamy”, porastają ciernie i gąszcz „idei”, strachu, mechanizmów obronnych, uprzedzeń i zahamowań. Święty Graal to według buddystów zen nic innego jak nasza własna „prawdziwa natura”; każdy człowiek jest więc sam sobie zbawicielem. „Fakt, że wielu ludzi, którzy idą własną drogą, źle kończy, o niczym nie świadczy... Taki człowiek musi słuchać wewnętrznego nakazu, jakby to był demon szepczący mu do ucha o nowych i cudownych ścieżkach... Niejednego zbudziło wezwanie tego głosu, co od razu odseparowało go od innych, bo poczuł, że stoi przed problemem, o którym oni nie mają pojęcia. W większości przypadków nie można wytłumaczyć im, co się stało, gdyż odgradza ich mur uprzedzeń: »Nie jesteś inny niż wszyscy« - powiedzą chórem, albo: »nic takiego nie istnieje«, a nawet jeśli istnieje, będzie natychmiast określone jako »chorobliwe«... Zostanie odsunięty i osamotniony, bo postanowił posłuchać głosu wewnętrznego nakazu. »Jego własnego nakazu!« - wszyscy zakrzykną. Ale on wie swoje: to jest właśnie ten jedynie słuszny nakaz... Życie tylko wtedy ma sens, kiedy zmierza do indywidualnego wypełnienia - w sposób ostateczny i bezwarunkowy - owego własnego szczególnego nakazu... Niewierność wobec niego określa, do jakiego stopnia człowiek sprzeniewierzył się sensowi swojego życia.

Żyjąca cząstka psyche to wciąż niezbadany element naszej natury; klasyczna filozofia chińska nazywa to wewnętrzną drogą - Tao, i porównuje do wody płynącej nieprzeparcie do celu. Zanurzenie się w Tao oznacza samorealizację, pełnię, osiągnięcie celu, spełnienie misji, poczucie początku i końca oraz doskonale urzeczywistnienie wrodzonego każdemu sensu bytu".¹⁰

Ten urywek z Junga był pierwszym wyraźnym śladem wskazującym na istotę mojego niepokoju. Było to we Włoszech, siedziałem w ogrodzie w górach i kiedy to przeczytałem, byłem tak podniecony, że po raz pierwszy i ostatni w życiu wrzasnąłem na cały głos podnosząc się z krzesła: a więc poszukiwanie wcale nie jest czymś chorobliwym!

Co nie znaczy, że D. i ja uważaliśmy się za „poszukujących prawdy”: takie określenia wprawiały nas w zakłopotanie i uciekaliśmy od ludzi, którzy ich używali. Czytaliśmy, rozmawialiśmy i znów czytaliśmy, ale przede wszystkim potrzebny nam był nauczyciel i nauka. W tamtych czasach jeden guru po drugim wyrastali jak grzyby po deszczu, ale o prawdziwego nauczyciela było bardzo trudno. W końcu D. poprosiła mnie, żebym zapoznał ją z działaniem halucynogenów. Pewnej słotnej i wietrznej jesiennej nocy dałem jej meskalinę.

Podczas swojej pierwszej podróży narkotycznej D. odpłynęła - to termin narkotyczny, ale nie ma lepszego. Zaczęła się śmiać, otworzyła szeroko usta i nie mogła ich zamknąć; jej pancierz pękł i hulały w nim wszystkie wichury świata. Patrząc na mnie widziała, jak moje ciało się rozkłada, moja głowa zamienia się w trupa czaszkę - trwało to całą noc. Ale później zrozumiała, że przeżywając strach przed śmiercią i szaleńczą wściekłość na własną bezradność, odzwierciedlane przez halucynacje narkotyczne, może się wyzwolić i pozbyć zabójczej dla życia piramidy systemów obronnych. I zaakceptowała to niebezpieczeństwo mistycznych poszukiwań: nie ma odwrotu bez wyrządzenia sobie krzywdy. Jest wiele dróg, ale skoro już się jedną wybierze, trzeba nią iść do końca.

Toteż z wielkim hartem ducha D. próbowała dalej i czasami było lepiej. Pamiętam kwietniowe popołudnie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku, kiedy razem wzięliśmy LSD. Wyszła na taras domku letniskowego i poszybowała ku mnie przez trawnik. D. miała czarne włosy i piękne, wielkie oczy; w wiosennym powiewie i w blasku kwiatów wyglądała jak czarodziejka. Ostatnio ciągle się kłóciliśmy i teraz pretensje wróciły, cisnąc się gwałtem na usta - lecz kiedy zbliżyliśmy się do siebie, wymówki, tak częste w niedalekiej przeszłości, teraz jedna po drugiej ulatywały w milczeniu. Nie trzeba było nic mówić, jedno wiedziało dokładnie, co powie drugie. Porażeni tą telepatią zamknęliśmy usta w tym samym momencie i uśmiechnęli się szeroko z precyzyjnej synchronizacji tej komicznej pantomimy naszych kłótni; zachwyceni, objęliśmy się i wybuchnęliśmy śmiechem. I dalej nie padło ani jedno słowo; dopiero później odkryliśmy, że wszystkie nasze myśli, nastroje, uczucia były nie tyle podobne, ile takie same, jedna dusza, jedna Dusza, aż do tego stopnia: kiedy trzymaliśmy się w objęciach, oba ciała zamieniły się w młode drzewka, które wytrysnęły ku sobie i zrosły się razem w jeden potężny pień pchający główny korzeń coraz głębiej do ziemi.

A jednak... a jednak „ja” pozostało, świadome, że coś się dzieje, świadome nawet, że dzieje się to pod wpływem narkotyków. Ani przez chwilę moje „ja” w cudowny sposób się nie

rozpłynęło.

To głównie D. miała długie, ponure wizje, napiętnowane strachem przed śmiercią. Ja też miałem złe przeżycia, ale rzadko; przeważnie były to mistyczne widowiska, tajemnicze i pełne czaru. Ale po każdym takim doświadczeniu nawet złym - miałem wrażenie, że idę po swojej drodze lżejszy, zostawiając za sobą resztki złości i cierpienia. Narkotyczne wizje, złe czy dobre, potrafią być zadziwiające, ale w końcu zaczynają się powtarzać i nawet magiczne widowisko staje się nudne; u mnie to nastąpiło pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy to D. już zwróciła się ku buddyzmowi zen.

Teraz, kiedy te psychodeliczne lata wydają się bardzo odległe, ani ich nie żałuję, ani mi ich nie brak. Narkotyki mogą wymazać przeszłość, uwypuklić przyszłość, są jednak tylko drogowskazem do wewnętrznego ogrodu. Przy braku samokontroli, jaką daje ćwiczenie się w ascezie, wizja narkotyczna pozostaje czymś w rodzaju snu, którego nie sposób przenieść do codziennego życia. Starą mgłę można rozwiać, to prawda, ale obcy czynnik chemiczny tworzy nową mgłę, która nadal oddziela „ja” od rzeczywistego doznania Jedności.

6 PAŹDZIERNIKA

Świt oblewa miedzianym połyskiem eteryczne paprocie u stóp dębów, ale w miarę jak podchodzimy coraz wyżej, w miejsce paproci pojawia się siwobrody mech. Na wysokości trzech tysięcy trzystu metrów dęby nikną i znów zamykają się nad nami chmury z kapryśnym deszczem.

Na grzbiecie Jaljala wysokościomierz G. S. wskazuje trzy tysiące czterysta metrów. Widać stąd zarówno ciemne podgórze Annapurny jak i Dhaulagiri, a cień między nimi, daleko w dole na wschodzie, to wąwóz Kali Gandak. Wszystkie szczyty są zasnuwane chmurami, a tuż pod nimi rozciąga się biel; przybliżająca się linia śniegu jest teraz jakieś trzysta metrów nad nami, o wiele poniżej wysokich przełęczy, jakie nas jeszcze czekają. Jeżeli monsun się nie skończy, dopóki jest na tyle ciepło, żeby stopniał śnieg, w nadchodzących tygodniach możemy mieć kłopoty.

Szlak skręca na zachód nad Jaljalą, przecinając mokrą tundrę upstrzoną purpurową goryczką i różowym wrzosem. I nagle pierwszy promień słońca od wielu dni przesywa kolorowe upierzenie dudka, co widząc, uśmiecham się. Jak wiele podgórskich ptaków Upupa żyje również w Afryce, ale widziałem jednego z nich całkiem niedawno ściśle biorąc w naszym miesiącu - w górach Umbrii, we Włoszech. Z powodu swojego przypominającego promienie czuba, dudek jest „słonecznym ptakiem” - niewątpliwie zwiastuje teraz zmianę pogody - a w mitologii sufijskiej wzorek na jego piersi oznacza, że ptak wszedł na drogę duchowego poznania:

„Ja (dudek) jestem posłańcem niewidzialnego świata... Przez całe lata podróżowałem lądem i oceanem, nad górami i dolinami...

Mamy prawdziwego króla, który żyje za górami... On jest blisko nas, ale my jesteśmy z dala od niego. Miejsce, gdzie mieszka, jest niedostępne i żaden język nie potrafi wymówić jego imienia. Przed nim wisi sto tysięcy zaston światła i ciemności...

Nie myślcie, że podróż jest krótka; trzeba mieć serce lwa, żeby przemierzyć tę niezwykłą drogę, bo jest bardzo długa... Idzie się naprzód mozolnie, w osłupieniu, czasem uśmiechając się, a czasem płacząc”.¹¹

Ośnieżony stożek Wielkiej Dhaulagiri, o wysokości ośmiu kilometrów, wylania się z chmur i zaraz skrywa go mgła; chociaż tak oddalony, wypełnia sobą cały północny wschód. Przed nami dolina żółtych klonów opada łagodnie na zachód, po jednej stronie ściana jodeł, po drugiej wał gołych skał; w głębi strumień migocze iskierkami światła, przyciągając trzy wspaniałe okazy azjatyckiej pleszki (Phoenicurus), spokrewnionej ze słowikiem.

- Po raz pierwszy, odkąd wyruszyliśmy, czuję, że nareszcie wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń - mówi G. S.

Ale po tej pustce i odludziu z pewnością nie zostanie śladu pod koniec naszego stulecia. Już teraz, kiedy dolina się rozszerza, widać pogorzeliska („Ogień bardzo źle, sah!” mówi

Tukten), a kamienne lawiny, spowodowane zniszczeniem lasów, blokują rzekę powalonymi ogromnymi drzewami. Woda robi się brunatna i rwąca, i szeregiem strumyków przedziera się po mieliźnie uschniętych drzew i zamulonych kamieni to Uttar Ganga (Północna Rzeka) płynąca między zachodnimi górami na spotkanie z Bheri i wielką Karnali, która poniesie ją na południe, do Indii.

Szlak, zalany przez monsunowe potoki, ginie pośród rzecznych wysepek, zakoli i licznych strumyków. Tu i ówdzie przerzucone przez wodę drzewa służą nam za kładki i G. S. powoli, ale pewnie wszystkie niemal przechodzi wyprostowany. Ale ja nie mam już tak pewnego kroku, poza tym plecak przeszkadza mi w utrzymaniu równowagi, toteż muszę przez niektóre przesuwając się sromotnie na siedzeniu. W końcu ucinam sobie kij mojej wysokości, który ma mi służyć jako sonda i podpora - a wkrótce okaże się także przydatny do obrony.

Las otwiera się na jedyną w tych górach szeroką i płaską dolinę, w lecie pastwisko dla Mangarów z południa. W ostatnich latach Dhorpatan stał się wielkim obozowiskiem Tybetańczyków, którzy nadciągali tutaj od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku uciekając z Chin. Hodują konie i ziemniaki, a w zimie wędrują do Pokhary i Katmandu, żeby sprzedać na bazarze swoje ostatnie turkusy, srebro i wyroby religijne oraz pogwarzyć z rodakami z innych osiedli, bowiem Tybetańczycy są z pochodzenia nomadami i mają wędrowną we krwi.

W Tybecie, gdzie nietrudno o wilki czy o rozbójników, obozów nomadzkich i samotnych wiosek strzegą wielkie czarne lub pręgowane mastiffy. Te psy widuje się także w północnym Nepalu; w zeszłym roku, w rejonie Bhote Khosi. G. S. cudem uniknął poważnych obrażeń natknąwszy się na dwa takie okazy pilnujące pozostawionych na szlaku pakunków jakiś Bhotyńczyków. Mastiffy są tak groźne, że podróżnicy tybetańscy noszą ze sobą amulet z wizerunkiem dzikiego psa zakutego w łańcuch: łańcuch jest spięty mistycznym piorunem czyli „dorje”, a napis głosi: „Pysk błękitnego psa został związany”.¹² W ciągu dnia zwierzęta są na uwięzi, w nocy biegają wolno służąc jako wartownicy. W pierwszym z napotkanych obozowisk sześliśmy samym środkiem przez błoto, żeby tylko uniknąć styczności z warczącymi, szarpiącymi się psami po obu stronach, gdy wtem jeden zerwał się czy wyszłignął z łańcucha i bezgłośnie rzucił się za nami.

Ponieważ G. S. był w przodzie, ja zostałem wybrany na przedmiot ataku, który odparłem dosłownie w ostatniej sekundzie. Na szczęście usłyszałem psa i zamachnąłem się na niego moim okazałym kijem: bestia potoczyła się do tyłu i znów przypuściła atak, warcząc nisko i chrapliwie. Na próżno rozglądając się za dużym kamieniem, robotem, co mogłem, żeby rozwalić mu czaszkę, podczas gdy pies szarpał się z przerażającą wściekłością na końcu mojego kija. Tymczasem G. S. znalazł solidne polano i walnął nim z całej siły w zwierzę. Pies odskoczył i rzucił się na nie, wbijając zęby głęboko w drewno. W końcu odciągnął go od nas Tybetańczyk, który do tej pory obserwował spokojnie całe zajście z drzwi swojej chaty, chcąc się przekonać, jak sobie poradzę. Podobno w Himalajach na północ od Dhorpatan te psy są często spotykane, toteż nigdy więcej nie ruszam się bez mojego kija. Gdybym nie uciął go sobie nie dalej, jak przed godziną (po ośmiu dniach marszu), mógłbym zostać poważnie pogryziony i do dziś zdumiewa mnie to precyzyjnie wymierzone w czasie następstwo wypadków.

Dhorpatan nie ma ani targowiska, ani prawdziwego centrum, są to po prostu grupki chat rozsiane po całej północnej stronie szerokiej doliny. Jest tu kilku Mangarów niskich kast, ale reszta mieszkańców to Tybetańczycy. Buddyjskie flagi modlitewne powiewają na każdej chacie, a kupki kamieni modlitewnych wyrastają w dolinie niczym wielkie kretowiska.

Kiedy nadchodzą tragarze, składamy nasze zapasy w chłodnym pokoju wilgotnego glinianego domu, stojącego na otwartym zboczu. Będziemy tu także spać, aby pilnować naszych rzeczy, bo jak w większości obozów dla uchodźców, morale jest tu niskie a złodziejstwo nagminne. Po drugiej stronie korytarza jest wspólny pokój, gdzie kręcą się mieszkańcy wioski, a za tym pokojem, w sercu domu, znajduje się prosty ołtarz. Tutaj wszyscy kończą dzień cichym mruzeniem OM MANI PADME HUM. Podczas śpiewu stara kobieta przesypuje ciemne paciorki z kości słoniowej jedną wysuszoną ręką, a drugą obraca stary młynek modlitewny ze srebra i miedzi. Na młynku modlitewnym jest wypisana ta sama mantra, podobnie jak na ciasnym zwoju wewnątrz, który przy rozwijaniu przywołuje swą inwokacją uwagę świata:

OM!

7 PAŹDZIERNIKA

Połowa naszych tragarzy odeszła dziś rano, wracając przez grzbiet Jaljali do doliny Kali Gandak, a Tybetańczycy, którzy mogliby ich zastąpić, są zajęci przy wykopkach ziemniaków po drugiej stronie gór. G. S. jest ze zrozumiałych względów zdenerwowany: dlaczego nie został uprzedzony o tym zbiorze ziemniaków przez dostawców ekwipunku w Katmandu, którzy zapewniali go, że w Dhorpatan będzie bez liku tragarzy? Jang-bu mówi, że nie można znaleźć ani jednego chętnego - „może jutro”.

Zostało z nami pięciu młodych Tamangów wziętych z Katmandu, Szerpa Tukten i stary Bimbahadur, Mangar. Tamangowie, inaczej Lamowie, to górskie plemię mongolskiego pochodzenia z okolic rzeki Trisuli, na zachód od Katmandu, jak Gurungowie i Mangarowie, Tamangowie są pradawnymi mieszkańcami Nepalu i wyznawcami któregoś z odłamów starej religii bon. Obecnie skłaniają się ku buddyzmowi i dobrze współżyją z Szerpami, których bardzo przypominają swoim pogodnym i życzliwym sposobem bycia. Pirim i jego brat Tulo Kansha, Karsung, Danbahadur i Ram Tarang to szczupli, bosonodzy młodzieńcy, którym ciężka praca nie przeszkadza cieszyć się z przygody i poznawania nowych miejsc, toteż pójdą z nami, dokąd trzeba, chociaż nie mają butów ani ubrań na śnieg. Jeśli chodzi o starego Mangara, to ten się już pożegnał i był gotów odejść wraz z innymi, ale Tukten go od tego odwiódł, nasz Tukten ze swoim zagadkowym uśmiechem.

Tukten ma uszy elfa, cienką szyję, żółtą twarz i dzikie, mądre oczy „naljorpy”, czyli tybetańskiego jogina. Emanuje z niego spokój wewnętrzny, który często bierze się za oznakę duchowego wtajemniczenia, ale jego wtajemniczenie miało chyba i ciemne strony. Inni Szerpowie odnoszą się do niego niechętnie; szemrzą, że za dużo pije, klnie, że nie można mu ufać. Najwyraźniej zdegradował się biorąc pracę tragarza. A jednak ulegają mu, jakby posiadał jakąś magiczną moc, i czasem myślę, że sam czuję jej działanie.

Ten podejrzany osobnik jest mi w jakiś sposób znany, jak niewyraźna postać z innego życia. Tukten też zdaje się czuć, że łączy nas dziwne powinowactwo. Akceptuje to w sposób naturalny, czego ja nie umiem; mój niespokojny instynkt mówi mi, że ten Szerpa nie znalazł się tu przez przypadek, podczas gdy on uważa nasz osobliwy związek za rzecz oczywistą. Częściej niżym sobie życzył, czuję na sobie jego wzrok, jakby był tutaj, żeby mnie pilnować, jakby to on nakłonił mnie bezgłośnie do uciecia sobie w odpowiedniej chwili kija; jego spojrzenie jest otwarte, spokojne, życzliwe, bez śladu krytyki, a jednak w zderzeniu z nim, jak przed lustrem, uświadamiam sobie wszystko, co jest we mnie puste, co jest chciwe, złe i niemądre.

Jestem wdzięczny za dzień wypoczynku. Bolą mnie kolana, stopy i krzyż, wszystkie rzeczy mam mokre. Ostatnie suche skarpetki wkładam na siebie odwrotnie, pięta do góry, żeby dziura była na wierzchu stopy, rozerwane kalesony muszę nosić tył na przód, złamana oprawka okularów sklejona jest taśmą, włosy mam skudłone. Dawa przynosi gorącą wodę do prania i mycia Dawa i ja jesteśmy jedynymi członkami tej wprawy, którzy lubią się kąpać wkładam na siebie czyste, mokre ubranie, po czym, na moją prośbę, G. S. obcina mi włosy do skóry. Od lat nosiłem wokół nadgarstka grubo pleciony rzemień, najpierw dlatego, że był to prezent, a później ze względów sentymentalnych teraz i on jest przecięty. W końcu

zdejmuje także zegarek, gdyż czas, jaki wskazuje, nie ma tu żadnego znaczenia.

Przez cały deszczowy dzień Tybetańczycy przychodzą nas oglądać i znów uderza mnie podobieństwo pomiędzy naszymi amerykańskimi Indianami a tym mongolskim ludem. Większość tutejszych Tybetańczyków ma drobną budowę, małe ręce, stopy i nosy Eskimosów, mongoloidalny wykrój oka, ciemnomiedzianą skórę i kruczoczarne włosy; nawet krótkie, czerwono wykańczane kapce ze skóry i filcu są bardzo podobne w kształcie i deseniach do eskimoskich butów z foczych lub reniferowych skór. Z drugiej strony, ich ozdoby z turkusu i srebra przywodzą na myśl Indian Pueblo i Nawaho, podczas gdy paciorki, przepaski i pasiaste koce noszone na gołych ramionach kojarzą się natychmiast ze starymi sztychami przedstawiającymi szczepy z Równin, a ten efekt wzmacnia jeszcze nędzny wygląd ich obozowisk i hałaśliwe psy. W podróży używają skórzanych namiotów, dzieci noszą na modłę Indian, a podstawą ich diety jest jęczmień lub kukurydziane danie zwane „tsampa”; nie ustalono dotąd żadnego pokrewieństwa między rdzennymi językami amerykańskimi i azjatyckimi, ale podobną mączkę plemiona Algonkinów z moich stron nazywają „samp”.

Te podobieństwa są może trochę naciągane, ale istnieją inne, z pewnością godne uwagi u dwóch kultur tak bardzo odległych w czasie i przestrzeni. Wiara w animistyczne pokrewieństwo z otaczającym światem, wyznawana przez Gurungów i inne plemiona w zakamarkach tych gór (nawet te, które przeszły na współczesne religie), a także przez Eskimosów czukockich i pozostałych myśliwych i zbieraczy wschodniej Azji, niewiele się w swej istocie różni od przekonania większości Eskimosów i Indian obu Ameryk. Ogromny, gromowladny ptak Ameryki Północnej znany jest aż po Puszczę Tunguską na Syberii, a symbole słońca, magiczne oczy, krzyże oplecione pajęczą ną nitką, drzewa kosmiczne i swastyki, które symbolizują tajemne nauki Starego Świata od starożytnego Egiptu po dzisiejszy Tybet były rozpowszechnione w Nowym Świecie od najwcześniejszych dni tak wczesnych, jeśli chodzi o ścisłość, że trudno to przypisać azjatyckim myśliwym sądząc po latach, w jakich według ostatnich obliczeń fale nomadów przepływały się przez lądowy most Beringa do Nowego Świata. (Takie daty są z reguły korygowane na coraz wcześniejsze i mogą nic nie znaczyć: w pogodny dzień można w gruncie rzeczy zobaczyć jeden kontynent z przybrzeżnych wysepek drugiego i kto wie, czy ludzie nie podróżowali w obie strony po morzu i lodzie, nawet kiedy Ziemia Beringa była pod wodą).

Pomijając całą tę specyficzną pseudonaukę opartą na zaginionych kontynentach i Mistrzach z kosmosu¹³ i zostawiając na boku obecne rozważania na temat podróży oceanicznych takich nietypowych Indian jak Inkowie, oraz liczne podobieństwa kulturowe między prearyjskimi Drawidami i Majami, jak i relacje wskazujące na to, że misjonarze buddyjscy dotarli na Wyspy Aleuckie i zapuścili się dalej na południe aż do Kalifornii już w czternastym wieku¹⁴ wciąż zostaje niełatwy wybór pomiędzy dziwnie precyzyjnymi archetypowymi symbolami a odwiecznym istnieniem rodzaju głębokiej intuicyjnej wiedzy, która poprzedza wszystkie znane religie w historii ludzkości.

Tradycje azjatyckie nawiązują do ukrytego królestwa Shambali (Środek) - w nieznannej części Azji Centralnej. (Często umieszcza się je na pustyni Gobi, która niegdyś urodzajna, teraz jest składnicą zbiegających kości; odwodnienie Azji Centralnej, kiedy wielkie jeziora zniknęły w wyschniętych nieckach, a pastwiska zamieniły się w lotne piaski, mogło przekształcić starożytne miasto w legendę. Śmierć cywilizacji może nadejść szybko: zmiana

klimatu, która wysuszyła rzeki i zniszczyła sawanny środkowej Sahary, rozsypała w proch wielkie pasterskie cywilizacje Fezzan i Tassili zaledwie w kilka stuleci po roku 2500 p.n.e.) Co jednak wydaje się bardziej prawdopodobne, Shambala jest symbolem kultur aryjskich, które powstały na tym ogromnym obszarze pomiędzy sześciami a pięćmioma tysiącami lat przed naszą erą, stanowiąc dla całej Eurazji źródło ezoterycznych misterii, których echa do dziś pobrzmiwają w tantryckim buddyzmie Tybetu. Według słów pewnego tybetańskiego lamy te misteria to „odległe wspomnienia nauk głoszonych od niepamiętnych czasów w centralnej i północnej Azji”¹⁵. Inny lama wierzy, że „żaden człowiek od początku... ani przez chwilę nie był pozbawiony choćby niewielkiego ułamka owej tajemnej wiedzy”¹⁶. Ten pogląd podtrzymują etnologowie¹⁷, którzy odnajdują podobny rytuał szamańskich praktyk nie tylko w Azji i obu Amerykach, ale i w Afryce, Australii, Oceanii i Europie. Szerzeniu się takich nauk w czasach historycznych - a może i prehistorycznych - sprzyja uderzająca konsekwencja w praktykowaniu tego, co ludzie Zachodu, utraciwszy dostęp do tych tajemnic, nazywają z mieszanymi uczuciami fascynacji i pogardy „mistycyzmem” albo „okultyzmem”, a co dla mniej wyobcowanych kultur, dawnych i obecnych, jest tylko innym przejawem rzeczywistości.

Tradycje autochtonów amerykańskich biorą się z kultur Wschodu i są odległe o tysiące mil, a zapewne i tysiące lat od swojego źródła. Nikogo, komu nie obcy jest zen albo nauki buddyzmu tybetańskiego, nie zdziwią nadzwyczajne zdolności przypisywane w ostatnich latach indiańskiemu czarownikowi z plemienia Yaqui z północnego Meksyku.¹⁸ Jeśli chodzi o treść, podejście, a zwłaszcza wieloznaczny sposób wyrażania tego, czego się nie da powiedzieć wprost, wszystko, co głosi ten szaman, mogłoby wyjść z ust lamy sekty Kagyu-pa albo rosiego zenu. Można by przytoczyć niezliczone paralele między naukami Wschodu a wierzeniami Indian amerykańskich, jak na przykład aztecka koncepcja życia jako snu¹⁹ albo wielki strach przed wiatrem i niebem, który szczep Odźibwejów z naszych północnych prerii podziela z wymarłymi Ariami z azjatyckich stepów.

Wszystkie praktyki tybetańskich kapłanów-wróźbitów i syberyjskich szamanów, jak podróże we śnie, telepatia, mistyczne ewokowanie ciepła, błyskawiczne przenoszenie się z miejsca na miejsce, przepowiadanie śmierci i metempsychoza, znane są również szamanom Nowego Świata: znachor z plemienia Algonkinów, który w postaci ptaka podróżuje do świata duchów, czy szamani-jaguary z dorzecza Amazonki byłiby pełni podziwu, ale nie zdumienia z powodu mocy przypisywanej jogom i „naljorpom”. Energię, witalność czy oddech życia, zwane „prana” przez hinduskich joginów, a „chi” przez Chińczyków, Indianie Kri określają mianem „orenda”.²⁰ Takie pojęcia jak karma i czas kołowy są przyjęte w niemal wszystkich wierzeniach autochtonów amerykańskich; czas jako przestrzeń, a śmierć jako przechodzenie w inny stan można znaleźć w poglądach Indian Hopi, którzy unikają konstrukcji linearnych wiedząc równie dobrze jak każdy buddysta, że „wszystko jest tutaj i teraz”. Podobnie jak wyznawcy wielkich religii Wschodu Indianie amerykańscy nie robią wielkiej różnicy pomiędzy ceremonią religijną a codziennymi czynnościami: samo życie to obrzęd religijny.

Jak Atman z Wed, jak Umysł Buddy, jak Tao, Wielki Duch amerykańskich Indian jest wszechobecny i niezmienny. Nawet aboryginowie australijscy - uważani za najstarszą rasę na świecie - wprowadzają rozróżnienie pomiędzy czasem linearnym a „Wielkim Czasem” snów, mitów i bohaterów, w którym wszystko jest obecne w teraźniejszości. Zadziwiające, jak ta

odwieczna intuicja została uwieczniona słowem i czynem wzdłuż i wszerz niezliczonych horyzontów i przez nie kończące się wieki, rzucając światło na mgliste życie ludzi pierwotnych, na wczesną Indoeuropejską cywilizację Sumerów i Hetytów, na starożytnych Greków i Egipcjan; w mrokach średniowiecza strzeżona przez tajemne kultury, odradza się w chrześcijańskim, chasydzkim i muzułmańskim mistycyzmie (sufizm) jak również we wszystkich wspaniałych religiach Wschodu. I jest w tym jakaś głęboka pociecha, może jedyna, dla tego ściganego zwierzęcia na dwóch nogach, które traci większość długiej i beznadziejnej egzystencji roztrząsając przyszłość i przeszłość w poszukiwaniu sensu życia, tylko po to, aby w końcu zobaczyć w oczach pobratymców, że musi umrzeć.

8 PAŹDZIERNIKA

Ostatnio przybył do Tybetańczyków wysłannik Dalaj Lamy z jego siedziby na obczyźnie, w Dharmśala w Indiach. Szedł przez Tarakot, leżące na północy za górami, i mówi, że szlak jest „bardzo trudny, bardzo stromy i śliski, za dużo chodzenia w górę i w dół”. Ponieważ tak wygląda większość himalajskich szlaków, zwłaszcza w śniegu, nie należy tego brać na serio. Ale inny Tybetańczyk przybyły niedawno na południe mówi, że na przełęczy Jang, dzielącej nas od Tarakot, śnieg sięga powyżej kolan i ta zła nowina utrudni nam zdobycie tragarzy. Poza tym policja w Tarakot jest podobno bardzo samowolna i nie respektuje dokumentów wydanych przez kolegów w dalekim Katmandu; mogą nie puścić nas do Dolpo, chociaż nasze przepustki uprawniają nas do dojścia aż nad jezioro Phoksumdo. Zeszłego roku pewien antropolog miał przepustkę do Tarap, w Dolpo, ale zabroniono mu wyjść poza Tarakot, gdzie ugrzązł na całą zimę przez październikową zamieć, która odcięła przełęcz Jang. Możliwość tak wczesnych zamieci to też zła nowina, jako że przełęcz pomiędzy Tarakot i Shey jest położona znacznie wyżej niż ta pierwsza w Jang, a musimy pokonać ją tam i z powrotem przed zimą.

Dhorpatan to coś w rodzaju czyścica. Zatęchłe powietrze tych zimnych pomieszczeń, bezlitosny deszcz kapiący na klepisko przez nieszczelny dach, wściekły jazgot psich walk pod oknem - co najmniej czterech co noc - pogłębiają przygnębienie wywołane opowieściami o ryzyku i przeszkodach, o lodowatych strumieniach i głębokim śniegu między nami a naszym celem.

Zeszłej nocy poruszyła mnie dziwna, rzewna piosenka tybetańskiego chłopca, nie tyle przez swoją niezwykłość, ile przez jakąś znajomą nutę; w końcu uprzytomniłem sobie, że przypomina mi tęskne „huainy” Indian Keczua z Andów. Później snił mi się mój piękny ośmioletni synek, którego matka umarła na raka zaledwie w zeszłym roku. We śnie odwiedzałem ciemne, podobne do klatki pomieszczenie, gdzie trzymano go wraz z innymi dziećmi. Podeszedł do mnie z uśmiechem i razem pieściliśmy małego liska, który też był w klatce. Naraz klatka zamieniła się w zagrodę dla zwierząt, pełną smutnych, zabiedzonych stworzeń chowających się po kątach, i zauważyłem, że mały lisek jest zaniedbany i brudny. Zagubiony, usiłował jak mógł schronić się pod wielką, panoszącą się kurą, zajęta własnymi kurczętami. Zdając sobie sprawę, że mały lisek to Alex, obudziłem się zlany potem.

To już niemal pewne, że nie zdołam dotrzymać obietnicy powrotu do domu przed Świętem Dziękczynienia. Początkowo planowaliśmy, że dotrzemy do Shey Gompy Kryształowego Klasztoru przed piętnastym październikiem. Teraz nie ma już na to szans ani żadnej realnej nadziei na powrót przed grudniem.

Możliwość, że utknemy w Shey przez zadyмки śnieżne, to niewesoła perspektywa także dla G. S., który obiecał żonie, że spędzi Boże Narodzenie z rodziną; Kay i dzieci mają się z nim spotkać w Katmandu. Toteż i on jest przygnębiony, chociaż nie przykłada zbyt wielkiej wagi do ponurych relacji z północnych szlaków.

- Gdyby brać poważnie tutejszych ludzi - mówi - nie należałoby się ruszać na krok z domu.

Rzeczywiście, miejscowa ludność zawsze wylbrzymia niebezpieczeństwa i trudności, choćby po to, aby wyludzić większą zapłatę lub tym łatwiej udać niedyspozycje. Chcąc się przekonać, jak jest naprawdę, trzeba samemu sprawdzić.

Drżymy z niecierpliwości, żeby opuścić tę niezbyt cywilizowaną dziurę i przebyć wysokie przełęcze, póki to jeszcze możliwe. Zeszłego roku w marcu, podczas pierwszej wyprawy do wschodniego Nepalu, G. S. zebrał zaledwie wstępne, niczego jeszcze nie rozstrzygające materiały na temat błękitnych owiec; jeśli teraz z powodu śniegu spóźnimy się na ruję, jego druga wyprawa też pójdzie na marne. Zważywszy wysokość stawki, jest zadziwiająco cierpliwy i spokojny, i udaje się nam zachować dobre stosunki mimo naszego ciasnego i zimnego mieszkania.

G. S. pochłonił już wszystkie swoje książki (w ten sam sposób pochłania swoją ostatnią porcję czekolady, na co patrzę z podziwem, sam będąc zbyt przezorny, zbyt niepewny „przyszłości”), i teraz z rozpaczy czyta moją „Bardo Thodol” (tybetańską „Księgę Śmierci”), co więcej, robi z niej notatki. Tworzy nawet haiku, konstruując je ze znanstwem i wigorem, i moim zdaniem jest ono lepsze od wszystkich, które ja napisałem:

Idę szlakiem chmur Sam, wśród rozgadanych tragarzy. I widzę kruka.

9 PAŹDZIERNIKA

Dzisiaj rano deszcz jest słabszy, często ustaje, ale musimy tu zostać jeszcze jeden dzień. Dobrze przynajmniej, że wiemy, iż samoloty nie latają w góry przy takiej pogodzie, toteż gdybyśmy liczyli na drogę powietrzną do Dhorpalan, tkwilibyśmy do dziś w Katmandu. Tymczasem zima i śnieg są coraz bliższe, a nowi tragarze coraz oporniejsi. Jang-bu, główny Szerpa, obawia się, że jeśli deszcz potrwa jeszcze dłużej, mogą się w ogóle wycofać. Teraz są tutaj i przymierzają się do koszy pod krytycznym spojrzeniem Phu-Tseringa, który przedrzeźnia ich nie zadając sobie trudu, żeby ukryć, iż uważa ich za nicponiów i złodziei. Phu-Tsering towarzyszył G. S. zeszej wiosny w pierwszej wyprawie badawczej poświęconej błękitnym owcom i nie tyle jego kuchnia, ile pogoda ducha zyskały mu ponownie miejsce.

Nasze rozważania na temat Kryształowego Klasztoru nieuchronnie prowadzą do rozmów o buddyzmie i o zenie. Zeszłego roku, chcąc uprzedzić G. S. o moich nienaukowych zainteresowaniach, wysłałem mu książeczkę pod tytułem: „Myśl zenu dla początkujących”. Bardzo uprzejmie odpisał: „Dziękuję za książkę o zenie, którą Kay przywozila ze sobą do Pakistanu. Przejrzałem ją już trochę, niektóre rzeczy wydają mi się całkiem sensowne, inne mniej, ale wprawdzie muszę przeczytać to dokładniej”. G. S. nie wierzy, aby człowiek Zachodu mógł w pełni przyswoić sobie nielinearną wschodnią percepcję; jak wielu innych uważa, że myśl Wschodu ucieka od „rzeczywistości” i dlatego brak jej odwagi do życia. Ależ właśnie odwaga do bycia tu i teraz jest tym, do czego zen nawołuje: Jedz, kiedy jesz, śpij, kiedy śpisz! Zen nie ma ciepłości do „mistycyzmu”, a jeszcze mniej do okultyzmu, chociaż nacisk, jaki kładzie na oświecenie (zwane kensho lub satori) odróżnia go od innych religii i filozofii.

Przypominam G. S. o mistykach chrześcijańskich takich jak Meister Eckhardt, święty Franciszek, święty Augustyn i święta Katarzyna z Sieny, która spędziła trzy lata na cichej medytacji. „Już sama droga do Nieba to Niebo” - powiedziała święta Katarzyna i to jest właśnie kwintesencja zenu, który nie stawia wyżej boskości nad zwyczajne cuda codziennego życia. G. S. odparowuje, że wszyscy ci ludzie żyli, zanim rewolucja naukowa zmieniła samą istotę myśli Zachodu, co jest oczywiście prawdą, ale jest również prawdą, że w ostatnich latach zachodni naukowcy zaczęli się odnosić z nowym szacunkiem do intuicyjnych nauk Wschodu. Einstein wielokrotnie wyrażał zastrzeżenia co do ograniczeń, jakie narzuca myślenie linearne, stwierdzając, że wnioski wyciągane na podstawie czysto logicznych przesłanek są zupełnie oderwane od rzeczywistości, nawet założywszy, że dałoby się tę „rzeczywistość” zdefiniować; to właśnie intuicja, utrzymywał, leży u podstaw jego myślenia. Istnieje ścisła analogia między teorią względności a buddyjską teorią tożsamości czasu i przestrzeni, która, podobnie jak hinduska kosmologia, bierze się z pradawnych nauk zawartych w Wedach. W którejś ze swoich prac Einstein wspomina, że jego teorię bez trudu zrozumieliby Indianie z uto-azteckiej rodziny językowej, do których zaliczają się Pueblo i Hopi. („Hopi nie mówią »światło zabłysło«, ale tylko »błysk« bez podmiotu i aspektu czasu; czas nie rusza się, bo jest również przestrzenią. Te dwa elementy nigdy nie występują oddzielnie, nie ma słów ani wyrażen mówiących o czasie lub przestrzeni istniejących osobno. Jest to bliskie teorii »pola« w nowoczesnej fizyce. Co więcej, nie ma przyszłości w czasie, jest ona już w nas, rozgrywa się i »manifestuje«. To, co

w języku angielskim jest różnicą w czasie, w języku hopi jest różnicą w ważności”).²¹

Nauka postępuje w kierunku teorii fundamentalnej jedności, kosmicznej symetrii (jak w jednolitej teorii pola) - a czym się one w końcu różnią od jedności, którą Platon nazwał „nie do wyrażenia”, „nie do opisania”, od holistycznej wiedzy podzielanej przez tyle społeczności na ziemi, łącznie z chrześcijanami, póki rewolucja przemysłowa nie zrobiła z ludzi Zachodu nowych barbarzyńców? W Stanach Zjednoczonych, zanim pod koniec zeszłego wieku spirytualistyczne bzdury nie pomyliły mistycyzmu z okultyzmem, dyskredytując jedno i drugie, William James napisał doskonale dzieło o metafizyce; Emerson mówił o „mądrzej ciszy, uniwersalnym pięknie, z którymi każda część i cząsteczka jest połączona w odwiecznej Jedności...”; Melville odwoływał się do „głębokiej ciszy, tego jedyne go głosu Boga”; Walt Whitman sławił najstarszy sekret, że żaden Bóg nie jest „bardziej boski niż ty sam”. A później, niemal wszędzie, jasną i delikatną poświęcią, która otaczała życie blaskiem a śmierć Spokojem, przyćmił rażący blichtr technologii. Niemniej ta poświęć jest wszechobecna, jak światło gwiazd. Człowiek musi ją dostrzec, jeśli chce przezwyciężyć strach przed bezsensu życia, bo żaden, choćby największy „postęp” jej nie zastąpi. Jak żarłoczne małpy przechytryliśmy sami siebie i teraz wypełnia nas trwoga.

Nie tak dawno temu w zachodnim świecie toczył się spór, czy słońce, czy też ziemia leżą w centrum Wszechświata. Jeszcze w tym wieku wierzono, że nasza galaktyka jest jedyna, podczas gdy azjatyccy mędrzy na długo przed narodzeniem Chrystusa z godną podziwu intuicją twierdzili, że galaktyk są miliardy, a pojęcie Czasu jest niezgłębione: ponad cztery miliardy lat to zaledwie jeden dzień w życiu Stwórcy, a Jego noc trwa równie długo, wszystko zaś razem to tylko „mrugnienie oka niezmiennego, nieśmiertelnego, odwiecznego Boga, Pana Wszechświata”. W Rigwedzie pulsujący Wszechświat jest przedstawiony jako rozdymający się od środka - co by się zgadzało z teorią „Wielkiego Wybuchu”, która dopiero w ostatniej dekadzie spotkała się z szeroką akceptacją wśród astronomów. W jednym z mitów hinduskich Stwórca ubija „Ognisty Pył” jak morze mleka i z tego ubijania zestalają się gwiazdy i planety czyli teoria mgławicowa współczesnej astronomii z pyłem gwiazdowym złożonym z wolnych atomów wodoru, z których miała powstać wszelka materia.

„Nie ma nic prócz atomów i próżni” - napisał Demokryt. I to właśnie „próżnia” leży u podstaw nauki Wschodu - nie pustka czy nieobecność, ale to, co Niestworzone, to, co poprzedzało tworzenie, niemający początku ni końca potencjał wszechrzeczy.

Przed niebem i ziemią Było coś mglistego samotna cisza, niezmienna i głucha, odwieczna. Matka Wszechrzeczy. Nie znam jej imienia. Nazywam ją Tao.²²

„Wszędzie była ciemność, otoczona jeszcze większą Ciemnością... Początek skrywała Próżnia. To Jedyne... narodziło się przez wybuch ciepła z wnętrza pustki... Jak powstał Świat, wie tylko Ten, który to nakazał z najwyższych niebios; On jeden to wie - a może też nie wie”.²³

Mistyczna percepcja (która jest „mistyczna” tylko w wypadku, gdy rzeczywistość ograniczymy do tego, co można zmierzyć intelektem i zmysłami) jest zadziwiająco spójna w każdym miejscu i czasie, na Wschodzie i na Zachodzie - co nie uszło uwagi współczesnej nauki. Fizyk chce zrozumieć rzeczywistość, a mistyk uczy się bezpośrednio ją przeżywać.

Obaj zgadzają się, że mechanizmy percepcji człowieka, stępione przez wychowanie społeczne, uznające tylko elementy praktyczne w postrzeganiu zmysłowym, dają bardzo ograniczony obraz życia, które z pewnością wychodzi poza granice doznań czysto fizycznych. Co więcej, obie grupy zgadzają się, że pozory są złudne. Jeden z wielkich fizyków rozwija tę myśl: „Współczesna nauka klasyfikuje świat... nie na różne grupy przedmiotów, ale na różne grupy połączeń... I tak świat jawi się jako skomplikowany splot wydarzeń, w którym połączenia różnego rodzaju nachodzą na siebie, wiążą się lub kolejno po sobie następują, określając w ten sposób strukturę całości”.²⁴ Wszystkie zjawiska są następstwem procesów, połączeń, wszystko jest w nieustannym ruchu i czasem ten ruch można wręcz zobaczyć: wystarczy otworzyć się w medytacji lub zburzyć zapory i zmienić kąt widzenia pod wpływem narkotyków czy snu, aby ujrzeć, że nie ma wyraźnych granic, że w odwiecznym przenikaniu się wszechświata strumieni cząsteczek, energia kosmiczna lśni w każdym kamieniu, w każdym metalu podobnie jak w każdym ciele.

Starożytna idea, że cała materia, cała „rzeczywistość” to energia; że wszystkie zjawiska, łącznie z czasem i przestrzenią to nic innego jak krystalizacja myśli, nie napotyka już na opór fizyków, zwłaszcza odłąk teoria względności po raz pierwszy zakwestionowała odrębność energii i materii. Dzisiaj większość naukowców zgodziłaby się ze starożytnymi Hindusami, że nic w przyrodzie nie istnieje i nie ginie, jedynie zmienia kształt i formę, że materia jest właściwie niematerialna, stanowi tylko chwilowe skupienie przenikliwej energii, ożywiającej elektrony. A czym jest ta nieskończona mała cząstka przy pyłku kurzu, czym jest pyłek kurzu przy kuli ziemskiej? „Czy naprawdę wiemy, czym jest elektryczność? Znamy rządzące nią prawa i wykorzystujemy je, ale nadal nie wiemy nic o początku i prawdziwej naturze tej siły, która może być samym źródłem życia i świadomości, potęgą boską i motorem wszystkiego, co żyje”.²⁵

Promieniowanie kosmiczne, które miało powstać z pierwotnego wybuchu, bombarduje Ziemię z równą siłą ze wszystkich stron, co by dowodziło, że albo Ziemia jest w środku wszechświata, jak niegdyś w naszej nieświadomości uważaliśmy, albo że znany nam wszechświat nie ma środka. Taka myśl nie jest groźna dla mistycyzmu; w mistycznym widzeniu świata wszechświat jako środek i jego początek są równoczesne, są wokół nas, są w nas i stanowią Jedność.

„Jestem wszędzie i we wszystkim: jestem słońcem i gwiazdami. Jestem czasem i przestrzenią, i Nim. Skoro jestem wszędzie, jak mogę przenosić się z miejsca na miejsce? Skoro nie ma przeszłości ani przyszłości, a ja jestem wiecznością, to gdzie jest czas?”²⁶

W Księdze Hioba Bóg pyta: „Gdzieżeś był, kiedy zakładałem podwaliny ziemi? Odpowiadaj, jeżeli wiesz, jak zrozumieć. Na czym wsparte były jej filary i kto jej kamień węgielny położył? Kiedy razem śpiewały gwiazdy poranne i wszyscy synowie Boży wykrzykiwali z radością?” „Byłem przy tym!” - to z pewnością właściwa odpowiedź na pytanie Boga. Gdyż bez względu na to, jak powstał świat, większość atomów w tych kruchych skorupach, które nazywamy swoimi ciałami, istniała od samego początku. To, czego Budda doświadczył, było właśnie jednością ze wszechświatem; każdy, kto czuje w podobny sposób, jest Buddą. Nawet oślepiające „białe światło”, które może towarzyszyć mistycznemu oświeceniu („wewnętrzne światło” poświadczane przez eskimoskich szamanów), można uznać za przeblysł odwiecznej pamięci o stworzeniu świata.

„Człowiek to materia pogrążonego w kontemplacji kosmosu”, powiedział pewien współczesny astronom²⁷, a inny zwraca uwagę, że z każdym oddechem wdychamy setki tysięcy rozsianych, biernych atomów argonu, które wdychał też w swoim czasie Budda, a wraz z nimi cząstkę „parsknięć, westchnień, ryków i pisków”²⁸ wszystkich stworzeń, jakie istniały lub będą istnieć. Te atomy płyną tam i z powrotem w takich użytecznych choć sztucznych konstrukcjach jak czas i przestrzeń, w tym samym uniwersalnym rytmie co przypływ i gwiazdy, łącząc się z żywymi i umarłymi w energię, która ożywia wszechświat. To, co niezmienne i nieśmiertelne, to nie poszczególne dusze, ale raczej Duch, wspólny dla wszystkich bytów, bezruch, początek, który się nigdy nie kończy, bo nigdy się nie staje, ale po prostu JEST. Ta nauka, wciąż obecna w hinduistycznej i buddyjskiej religii, sięga wstecz aż do koncepcji Mayi, która pojawiła się w filozofii wedyckiej, a może pochodzić i z kultur jeszcze starszych. Maya to Czas, złudna natura ego, tworzywo pojedynczego życia, sen, który dzieli nas od prawdziwego obrazu całości. Często się ją porównuje do szklanej wazy, która oddziela powietrze wewnątrz od czystego, niczym nieograniczonego powietrza na zewnątrz lub wodę od wszechpotężnego morza. A jednak ta waza sama nie różni się od morza i rozbicie jej oznacza włączenie się na nowo w nurt uniwersalnego życia, tak poszukiwanego przez mistyków, drogę do domu, powrót do utraconego raju naszej „prawdziwej natury”.

Dzisiejsza nauka mówi nam to, czego Wedy uczyły ludzkość od trzech tysięcy lat: że wszechświat nie jest taki, jakim go widzimy. To, co widzimy, to Maya, Iluzja, „magiczne widowisko” Natury, zbiorowa halucynacja tej cząstki naszej świadomości, która jest wspólna naszemu rodzajowi i która daje wspólny grunt dla życiowych doświadczeń. Według buddyzmu (ale nie hinduizmu) ten świat postrzegany zmysłami, ta względna, lecz nie absolutna rzeczywistość, ten sen, także istnieje i także ma znaczenie - ale jest to tylko jeden aspekt prawdy, jak obraz wszechświata widziany oczyma kozła, który stoi tu pod naszymi koślawymi drzwiami i patrzy na błoto w strugach deszczu.

Jutro zaczynamy wędrowkę na północ. Przez przełęcz Jang w masywie Dhaulagiri do rzeki Bheri, potem w górę rzeki Suli Gad i Phoksumdo i przez przełęcz Kang w łańcuchu Kanjiroba na Kryształową Górę. Wiosną lub latem mogłyby wystarczyć nam na to dwa tygodnie, teraz, przy śniegu na wysokich przełęczach, będziemy mieli szczęście, jeżeli w ogóle dotrzemy na miejsce.

Wczesnym popołudniem pokazuje się słońce - pierwsze jasne promienie od ponad tygodnia. Dolina Dhorpatan, która wydawała się taka ponura, jest piękna. Schodzę na pastwisko i okrążam wielki mur modlitewny z dużych kamieni, starych i nowych, płaskich i okrągłych, rozmaitych kolorów i z rozmaitych miejsc - jak i kiedy znalazły się tu te najstarsze, nikt już nie wie. Na czterech wysokich palach białoniebieskie - kolor nieba - flagi modlitewne powiewają w rześkim wietrze, wysyłając OM MANI PADME HUM na wszystkie strony świata. Pułap nieba się podnosi i o zmierzchu nad dalekim wschodnim krańcem doliny wylania się szczyt Annapurny. W ostatnich dniach niskie okoliczne góry pokryły się bielą.

DROGA NA PÓŁNOC

„Ach, wszystko było niezrozumiałe i właściwie smutne, chociaż takie piękne. Nie wiedziało się nic. Żyło się i chodziło po ziemi i jeździło po lasach, a niejedna rzecz spoglądała na człowieka tak wyzywająco i obiecująco, taką budziła tęsknotę: gwiazda wieczorem, błękitny dzwoneczek, zielone od sitowia jezioro, oko człowieka albo krowy, a niekiedy miało się wrażenie, jakby zaraz, natychmiast musiało się stać coś nigdy niewidzialnego, a jednak tak dawno upragnionego że ze wszystkiego opaść musi zasłona ale potem przemijało to, i nic działało się nic, i zagadka nie była rozwiązana, tajemny czar nie zdjęty, a wreszcie starzał się człowiek i wyglądał sprytnie... albo mądrze... i może wciąż jeszcze nic nie wiedział, wciąż jeszcze czekał i nadśluchiwał”.

Przekład: Marceli Tarnowski

Herman Hesse „Narcyz i Złotousty”

Mnich: Co się dzieje, kiedy opadają liście i drzewa zostają nagie?

Unmon: Objawia się złoty wiatr!

Hegikan Roku (Zapiski Błękitnej Skały)

10 PAŹDZIERNIKA

W słonecznym blasku migocą pajęczyny, a dzwońce ozłoczone październikową poświatą latają pośród błyszczących sosen. Słychać dzwoneczki i wesołe pogwizdywanie; dzieci podskakują, jakby wróciły do życia. Śliczna dziewczynka ma srebrny naszyjnik i czerwonozielone paski materiału wplecione w kruczoczarne włosy; niemowlę, które niesie na plecach, jest jej własne.

Wymarzony dzień do podróży, lecz również wymarzony do zbierania ziemniaków. Nowi tragarze nie chcą nigdzie iść ani oddać zaliczki wypłaconej im na zakup żywności.

- W Dhorpatan źli ludzie - mówi Phu-Tsering.

Jang-bu zostaje, żeby znaleźć dziewięciu mężczyzn, a z nim Gyaltsen, żeby pilnować ładunków, kiedy przyjaciel będzie szukał tragarzy. G. S. chce poczekać chwilę na rezultat, a ja z resztą wyruszam na trasę i zobaczę się z nim dopiero pod koniec dnia.

Zachodni szlak idzie w górę wąwozu Phagune pośród żywicznego zapachu sosen i cedrów. Bażant o szkarłatnym czubie wzbija się w powietrze nad doliną, a małe, podobne do świstaków szczekuszki wygrzewają się w swoich norkach ignorując stada pięknogłosych górskich ptaków. Srebrne porosty, złote mchy, świst sokoła - widok na południe, w głąb wąwozu Phagune, jest pełen światła.

Podchodzimy pod Dhaulagiri, „Białą Górę”.

Wczorajszy śnieg cofa się coraz wyżej, w miarę jak słońce się wznosi i dochodzimy do niego dopiero w południe, na wysokości trzech tysięcy siedmiuset metrów. Szary śnieg pokrywa strome grząskie piargi, a szlak pnie się aż po chmury, zasłaniające białe szczyty. Ciemnozielona irga o czerwonych jagodach to jedyna kolorowa plama na szarym tle.

Ciężko się idzie w tej bryi, a szczyt ani na krok się nie zbliża. Przełęcz odcina się widełkami daleko i wysoko na tle kapryśnego, zmiennego nieba, a kiedy jej wreszcie dosięgamy, okazuje się, że to tylko wejście do innej, wyżej leżącej doliny z następnymi widełkami na jej krańcu. W mokrym śniegu wąska ścieżka biegnąca trawersem stromego zbocza jest niebezpieczna i zdradziecka. Phu-Tsering i Dawa mają buty wysokogórskie odziedziczone po poprzednich ekspedycjach, lecz większość Tamangów idzie boso, aby odsprzedać później w Katmandu trampki, które od nas dostali. Ale i tak trzymają się lepiej niż stary Bimbahadur na pałkowatych nogach, który co rano wyrusza przed innymi, a do wieczora pozostaje daleko w tyle.

Z powodu bąbli sam idę w trampkach i mokre stopy mam całkiem zdrętwiałe. Przy przełęczu, na wysokości przeszło czterech tysięcy metrów, mija mnie Dawa, krocząc równym krokiem z koszem zawierającym nasz obozowy ekwipunek kuchenny. Tutaj chmury tak zgęstniały, że ledwo się widzimy; wieje silny wiatr i pada rzadki śnieg. Z tyłu i z dołu, z wąwozu Phagune, dochodzi nas dudnienie kamiennych lawin, po których następuje głucha cisza. Dawa stawia na ziemi swój ładunek i zaniepokojony wraca

kawałek, żeby zagwizdać na Phu-Tseringa i resztę.

Czekam, zwrócony twarzą na północ; instynkt każe mi stać w zupełnym bezruchu. Pierzaste chmury, śnieg i absolutny spokój, absolutna samotność - zamarły świat. Nagle, w głębokiej ciszy, chmury rozstępują się ukazując dalekie śniegi Dhaulagiri. Wciągam głęboki oddech, chmury skłębiają się i wszystko znika - nie ma już nic! Mimo woli składam lekki ukłon.

W dół ścieżka prowadzi przez mokry śnieg, kierując się ku linii karłowatych cedrów dwieście metrów niżej i wylaniając się o zmierzchu na siodełkowatym grzbiecie porośłym kosówką, gdzie jest wystarczająco płasko, aby rozbić namiot. Tutaj doganiają nas Tukten i G. S. Wieczorem chmury rozchodzą się i nasz obóz, na wysokości trzech tysięcy osmiuset metrów, jest otoczony jasnymi lodowcami. Pięć szczytów Dhaulagiri błyszczy na czarnym firmamencie, a nad tą bielą łśni srebrny księżyc, październikowy księżyc w pełni, przy którym kwitnie kwiat lotosu.

11 PAŹDZIERNIKA

W przejrzystej nocy jasne punkciki gwiazd schodzą aż do widnokręgu, a przed brzaskiem za górami pojawia się przepastna czerń, jakby poprzez ziemski horyzont otworzył się widok na przestrzeń kosmiczną. Srebrzysta poświata poróżniała i rozjaśniła się bielą, kiedy słońce rozzarzyło Churen Himal, leżący na wysokości siedmiu tysięcy trzystu sześćdziesięciu metrów, i Patha Hiunchuli sto dwadzieścia metrów niżej. Powietrze dzwoni ciszą. G. S. mówi, że nie widział we wschodnim Nepalu, pod Everestem, nic, co by mogło się równać z widokiem z tego miejsca, otoczonego lodowymi wierzchołkami.

Puste niebo nad górami i wiatr, wiatr i zimno. Z powodu zimna Tamangowie wcisnęli się do namiotu Szerpów, ale w nocy porywisty wiatr przewrócił namiot i teraz o świetle wszyscy razem śpiewają spod płachty. Po chwili, wpólnadzy w rześkim powietrzu, Tamangowie kucają boso przy ognisku przygotowując „tsampe” i nucąc cicho w kłębach dymu; przypominają mi młodych Indian z plemienia Machiguenga z obozowisk nad rzeką andyjską dawno temu. Jang-bu i Gyaltsen z nowymi tragarzami musieli zrobić postój gdzieś po południowej stronie przełęczy; z powodu zimna szybko zwijamy obóz i nie czekając ruszamy w dalszą drogę na północ.

Z głębi ziemi dochodzi huk rzeki. Liście rododendronów wzdłuż przepaści połyskują srebrzyście, ale noc panuje jeszcze w głębokich parowach, do których za dnia schodzi pożywić się i odpocząć wędrująca na południe zwierzyna. Złote ptaki przemykają w porannym blasku jak lśniące iskierki, które ulatują i gasną w ciemności.

Z pierwszymi promieniami słońca schodzimy do cichego lasu skarłałych brzoź i prostych, ciemnych jodeł. W przefiltrowanym przez porosty świetle srebrny ptaszek siada na cedrze, machając szkarłatnymi skrzydełkami na tle osłonecznionej kory. Po chwili odlatuje, zostawiając po sobie niejasną tęsknotę, smutną pustkę.

Ścieżka biegnie w dół pomiędzy dębami. Trzysta metrów niżej jest górską łąka i tu, przy kamiennym pasterskim szałasie, czekamy na Jang-bu. W ciepłym zapachu słomy i łajna opieram się o rozgrzane kamienie. Zbliża się piękny, czarno-czerwony żuk i pałakowaty konik polny, pocierający swe ogniste nogi. Na cedr przy rzece opada kruk i jego skrzydełka są także pokryte ostrym, srebrzystym blaskiem Himalajów.

- Gdziekolwiek jesteś, wszędzie prędzej czy później spotkasz kruka - mówi G. S. - Ze wszystkich ptaków, te właśnie lubię najbardziej. Na Alasce, przy czterdziestu stopniach poniżej zera, ani śladu życia, a kruk jest! (G. S. miał oswojonego kruka, kiedy studiował na uniwersytecie w Alasce i to dzięki niemu poznał dziewczynę, która później została jego żoną; jej uwagę przyciągnął mężczyzna wykrzykujący w niebo rozkaz powrotu niewidocznemu ptakowi).

Ta kotlina, ze swoimi krukami, wierzbami nad rzeką i ośnieżonymi szczytami wkoło, mogłaby leżeć na zachodzie Ameryki Północnej. D. pokochałaby te góry. Jako młoda dziewczyna moja żona spędzała dużo czasu w Górach Skalistych w Kolorado, a później w Alpach na południu Francji - zawsze chciała zobaczyć Himalaje.

„Jako dziecko wjeżdżałam konno na wierzchołek wzgórza, gdzie z góry padało na mnie słońce, a w dole leżała zielona, porośnięta trawą łąka. Patrzyłam w niebo i czekałam, przepelniona tęsknotą. Żadnego dźwięku. W rozpaczy kładłam się na ziemi wyciągając ramiona, żeby ją objąć. O Ziemię, ciepłą i pełną doskonałości, jak kształt kory, jak zapach trawy, jak szmer liści na wietrze ja też chcę być taka!

Ale odpowiada mi cisza, wstaję więc z niemej murawy, wsiadam na konia i zjeżdżam w dół”.1

Piękna na ciele i duszy, zdolna pisarka i wspinała nauczycielka o chłodnym, dociekliwym umyśle, wyjątkowo inteligentna i miła - tak określali ją wszyscy, którzy ją dobrze znali. Jeden z przyjaciół powiedział: „Jej dusza jest bez skazy”. Ale czasami praktykowała cechy nadziemskiej istoty, jakby już przygotowywała się do dnia, w którym zgodnie z oczekiwaniem przejdzie w stan wyższy. Życie z osobą świętą nie jest trudne, bo ona nie robi porównań, ale życie z kimś, kto chce być święty, stanowi pewien problem. Jej dobroć doprowadzała mnie do szału i zachowywałam się coraz gorzej. Moje dni z D. były pasmem wyrzutów sumienia. Nie mogłem z nią wytrzymać i dlatego wykorzystując moją pracę wyjeżdżałem na długie wyprawy w rozmaite części świata - raz nie było mnie aż siedem miesięcy. A jednak łączyła nas miłość, na wpół stłumiona, ale nie wygasła; do braku szacunku, który kładzie kres związkowi, nigdy nie doszło.

Ostre światło na szczytach przywodzi mi na myśl śniegi Courchevel we francuskich Alpach, dokąd pojechaliśmy na narty zaledwie na rok przed śmiercią D. Był to szczęśliwy okres i dał nam nadzieję na przyszłość. Z Courchevel udaliśmy się do Genewy, skąd D. miała następnego dnia lecieć do Ameryki. Ja wybierałem się do Włoch, żeby sprzedać małą farmę w górach Umbrii ona nie chciała tam jechać.

Ciemnym zimowym popołudniem, w starej dzielnicy Genewy odkryliśmy w oknie wystawowym przepiękną wazę o delikatnym deseni: siedem eleganckich, wysmukłych, czarnych rybek na przydymionej bieli i jasnym błękitcie. Waza, wypalona w trzynastym wieku w Isfahanie, unosiła się w ręku jak liść. Ale była za droga i kupiłem D. coś innego. Nazajutrz jej samolot odlatywał na godzinę przed moim odlotem i w tym czasie, poruszony naszym rozstaniem, zatelefonowałem do antykwiariatu i załatwiłem sprawę kupna isfahańskiej wazy, którą przesłano mi do Włoch, skąd przywoziłem ją do domu. Ten kruchy przedmiot miał być symbolem nowego życia i chciałem sprawić nim D. niespodziankę na urodziny, ale kiedy nadszedł ten dzień, pokłóciliśmy się i waza, odłożona na lepszą okazję, została zapomniana wobec rozpadania się małżeństwa. Żadne rozstanie nie było ostateczne, lecz po każdym gorącym pojednaniu następował nowy kryzys - w końcu pewnego letniego poranka, na pięć miesięcy przed śmiercią D., podjęliśmy niełatwą decyzję o rozwodzie. Decyzja była definitywna, podjęliśmy ją spokojnie i oboje odczuliśmy ulgę. Zaraz następnego dnia, działając pod wpływem nagłego nakazu wewnętrznego postanowiłem, że zostanę z D. tym razem na dobre. Ona to zrozumiała, pijąc kawę w słońcu skinęła tylko głową.

Wydaje mi się teraz, że ten tajemniczy nakaz miał związek z moimi wcześniejszymi przeczuciami. Przez kilka lat miałem wzrastającą pewność, że moje życie zmierza ku

dramatycznym przemianom i było to tak silne, że zastanawiałem się, czy nie oznacza to bliskiej śmierci. Podzieliłem się dręczącymi mnie myślami z kilkoma przyjaciółmi i pracowałem intensywnie nad książką o Afryce, wiedząc, że zostało mi niewiele czasu chciałem skończyć pisać, póki miałem na świeżo w głowie wszystkie wrażenia i zebrane materiały. Oddałem książkę do maszynistki na dzień przed pierwszym pobytom D. w szpitalu, pod koniec listopada, i przez niemal rok nic od tamtej pory nie napisałem.

Jesienią D. zaczęła cierpieć na dziwne bóle, których lekarze nie potrafili wytłumaczyć; schudła, oczy jeszcze się jej powiększyły, wyglądała bardzo pięknie. Na początku grudnia wróciła ze szpitala, gdzie nie znaleziono przyczyny bólów, ale dwa tygodnie później stwierdzono raka z przerzutami i tuż przed Bożym Narodzeniem wzięto ją do innego szpitala. Bala się, była przynębiona i bardzo jej zależało na pewności, że moja miłość to nie tylko litość, że zawsze w jakimś stopniu ją kochałem. Przypomniałem sobie isfahańską wazę.

W dzień Wigilii pojechałem do domu, żeby urządzić jakoś Święta dzieciom i zapomniałem zabrać ze sobą wazę z powrotem do Nowego Jorku. Gdybym dał ją wcześniej, D. zrozumiałaby jej wymowę, ale w styczniu była już tak cierpiąca i odurzona środkami znieczulającymi, że żaden prezent nie mógł już chyba mieć znaczenia. Nie poznawała nawet przyjaciół, którzy przychodzili ją odwiedzić, cóż mogła jej powiedzieć waza, widziana raz w życiu, rok temu, na innym kontynencie? Straciłem cenną okazję i pamiętam, że kiedy posadziłem D. na łóżku prosząc, żeby się skupiła, a potem otworzyłem pudełko i włożyłem jej w ręce wazę, serce biło mi jak oszalałe. Ze ściśniętym gardłem obserwowałem, jak D. zmarszczywszy brwi wpatruje się w nią, wyężając siły, aby przezwyciężyć ból, środki usmierające, raka zżerającego jej mózg. Ale kiedy już chciałem ją zabrać, D. przycisnęła wazę do piersi, oczy zabłyśły jej jak dziecku, oparła się o poduszki i wyszeptala tylko jedno słowo: „Szwaj... caria!”

Wysoko nad naszymi głowami krąży i krąży orłosep brodaty.

Tragarze gotują swój poranny posiłek; drugi i ostatni zjedzą po skończonej dziennej turze, późnym popołudniem. Wciąż nie widać Jang-bu i nie słychać w górach żadnych głosów; może jest jeszcze w Dhorpatan i szuka tragarzy, a może miał z nimi kłopoty w drodze. Phu-Tsering wysła Dawę, żeby poszedł sprawdzić, a niezmordowany Tukten ofiarowuje się dotrzymać mu towarzystwa i wspinają się obaj z powrotem pod stromą górę. Po niecałej godzinie wracają, zobaczywszy tamtych wysoko na górskich szlakach. Kiedy wreszcie w południe Jang-bu i Gyaltsen nadchodzą, nowi tragarze zabierają się do przygotowania porannego posiłku i znów mamy godzinę zwłoki.

Czekamy przy kamiennej chacie. G. S., wściekły, wyladowuje swoją energię idąc na spacer w górę rzeki; za powrocie wpatruje się w góry przez lunetę. Na wysokich, gołych zboczach mogłyby już pokazać się błękitne owce, ale zostały one w tym regionie mocno przetrzebione przez połujących na nie Hindusów Pahari i nie widać ani jednej sztuki. Na zalesionej grani udało mu się za to wypatrzeć dwa himalajskie tary, archaiczne zwierzęta, które stanowią formę przejściową między kozo-antylopami a kozami. Ciemne sylwetki stoją nieruchomo pod szerokim niebem, ożywiając jednak całą górę, a Tamangowie, którzy po raz pierwszy w życiu patrzą przez lunetę, tańczą i gwizdzą z podniecenia.

Nowi tragarze to szaroskórzy mężczyźni w brudnych lachmanach i małych czapeczkach, noszący zakrzywione noże Gurkhów zwane „kukri”. Luneta ich nie interesuje. Większość z nich to „Kamisi”, członkowie kasty kowali, osmaleni i obyci z ogniem i kradzionym żelazem „czarni czarownicy”, przedmiot strachu i pogardy wszystkich prymitywnych plemion Eurazji i Afryki od początku Ciemnego Wieku Żelaza. Idą z nimi dwaj młodzi Tybetańczycy, którzy niosą najcięższe ładunki, nie tylko dlatego, że są najmniejsi i najsłabsi, ale i dlatego, że jako buddyści są traktowani z góry nawet przez takich jak ci Hindusów z niskich kast.

„Brudni Kamisi” tylko patrzą, gdzieby coś zwęździć, więc i my nie spuszczaamy ich z oka. I ledwo ruszamy, w dół doliny, już pierwszy symulant pada przy ścieżce skarżąc się na ból nogi i na biegunkę - na co wszyscy znikają wraz z bagażami w krzakach. Wyciągamy ich stamtąd i puszczamy przodem, żeby uniemożliwić im ucieczkę z naszymi szczupłymi zapasami. Podczas częstych przerw na odpoczynek przebiegły Tukten infiltruje ich szeregi paląc z nimi i utyskując, przy czym puszcza do nas oko, co ich do reszty konsternuje.

Szlak biegnie południowym brzegiem Ghustangu, rwącego potoku spływającego w kaskadach z lodowców Dhaulagiri przez brunatne skały i zielone lasy na zachód, gdzie łączy się z rzekami Uttar Ganga i Bheri. W miejscu, gdzie pojawia się bambus, jakiś kilometr poniżej naszego obozowiska, potok przecina kładka z bali i szlak wspina się na otwarte, trawiaste zbocze, które porastają wyniosłe dęby i gibkie dzikie oliwki, tańczące w srebrzystym powiewie południa.

Na grani szlak skręca na zachód wzdłuż grzbietu górskiego. Natykamy się na odchody lisa i żółtoszyjej kuny, ale prócz trzech spłoszonych bażantów ptactwa nie widać. Nadciągają chmury i spada drobny, ale długotrwały deszcz, który kończy się o zmierzchu, kiedy rozszalałe promienie późnego słońca bombardują góry; daleko za nami i nad nami, blisko linii śniegu, słoneczna plama wyróżnia teren naszego obozowiska na zboczu Dhaulagiri.

Szlak znów biegnie w dół przez górskie pastwiska do wioski Yamarkhar, zbiorowiska kamiennych chat na stromym zboczu. Przychodzimy już po zapadnięciu zmroku. Jang-bu poluje na miejsce do spania - ponieważ tragarze nie mają namiotów, muszą znaleźć sobie jakieś schronienie. Cały dzień szliśmy na przemian w górę i w dół od położonego na wysokości czterech tysięcy metrów obozowiska na zboczu Dhaulagiri do leżącej na wysokości dwóch tysięcy czterystu metrów wioski Yamarkhar. Bola mnie stopy, kolana, plecy, i myślę o widzianym dziś rano orłosepie, który w piętnaście minut, jednym machnięciem skrzydeł, mógł dolecieć tam, gdzie my musieliśmy iść przez dziesięć morderczych godzin.

W wąwozie zapada noc. Chociaż księżyc zasłaniają szczyty, jego odbłask ukazuje głębie dolin. Na ciemnej ścianie naprzeciwko migający samotny punkcik ognia zda się dochodzić z czołusci piekielnych jak odprysk światła z wnętrza góry.

12 PAŹDZIERNIKA

Brudni Kamisi, zgodnie z odwieczną tradycją wszystkich tragarzy na całym świecie, nie chcą iść dalej; z pewnością odstrasza ich - podobnie jak mnie - widok urwistego szlaku na górskiej ścianie z rzeką. Rzucając ostatnie tęskne spojrzenie na niespłodowane ładunki odchodzą do Dhorpatan zabierając ze sobą dwóch tybetańskich chłopców. Chociaż cieszymy się, żeśmy się ich pozbyli, wkrótce okazuje się, że w Yamarkhar nie można wynająć tragarzy i Jang-bu pertraktuje z właścicielem chaty, żeby wynająć od niego pięć kucyków. Jak sobie one dadzą radę w śniegu na przełęczy Jang to problem, który będziemy musieli rozwiązać już na miejscu.

Z powodu wysokiego pasma gór na wschodzie wioska do południa pogrążona jest w mroku, ale górne zbocze wierzchołka naprzeciwko łśni już w słońcu, kiedy schodzimy z G. S. długim, śliskim zejściem między tarasami pól do lasku bambusowego nad strumieniem Pema, który huczy w zimnym, ciemnym jarze. Niezwykły drewniany mostek ma poręcze rzeźbione w kwiaty, a cztery słupy na jego końcach przedstawiają dwie pary „dhaulijów” czyli „opiekunów” reprezentujących miejscowe bóstwa starych religii - podobne męskie i kobiece posągi u portali robią również Indianie z północno-zachodnich wybrzeży Pacyfiku. Figury żeńskie mają szeroko rozwarte krocza, jakby w powitaniu królestwa górskich bogów; z powagą przekraczamy mostek i znów zaczynamy się wspinać.

Doganiamy słońce w małej wiosce - źródle ogniska widzianego zeszłej nocy przy zaciemionym księżycu - zamieszkałej przez jedną z tych prymitywnych społeczności, jakie ciągle jeszcze można spotkać w głębokich, ukrytych przed światem kanionach Himalajów. Lotem ptaka to miejsce leży nie dalej niż milę od Yamarkhar, ale obie wioski wyglądają jak z innych krajów, z innych epok. Kamienne domy w Yamarkhar stoją każdy osobno, jak w Tybecie, podczas gdy tutaj zabudowania tworzą spiętrzone na zboczu wzgórza pueblo, w którym dach jednego domu stanowi taras drugiego, a różne poziomy połączone są drabinami wyrąbanymi w pojedynczych, surowych balach. Mieszkańcy Yamarkhar ubierają się jak nepalscy wieśniacy, tutaj zaś mężczyźni noszą przepaskę na biodrach i koc na ramionach, a kobiety skręcają włosy w gigantyczne koki, które czeszą w słońcu sztywnymi, miotłopodobnymi szczotkami. Kilka kobiet i jeden mężczyzna mają na sobie frapujące naszyjniki z białych kłów piżmowca, jednego z wielu pierwotnych zwierząt, jakie można znaleźć w tym ewolucyjnym ustroniu, odciętych od reszty Eurazji wysokimi górami; obecnie zamiast długich, wygiętych kłów u rodziny jeleniowatych występują rogi. Na tego małego ssaka poluje się głównie dla jego piżma stosowanego przy wyrobieniu perfum, a ponieważ jedna torebka piżma (duży gruczoł na skórze brzucha samca) kosztuje w Katmandu do pięciuset dolarów, piżmowiec znika już z Nepalu.

Obserwowanie mieszkańców tego dziwnego miejsca jest jak podglądanie ludzi z ukrycia, bo z całą ostentacją udają oni, że nas tu nie ma. Jeden z mężczyzn z głową odchyloną mocno do tyłu pali prymitywną rurkową fajkę, kobieta tłucze kukurydzę w kamiennym moździerzem, a trzy dziewczynki siedząc rozgniatają małe ciemne orzechy z jedynek drzew, jakie tu pozostały. Na krytym ganku tańczy dwoje dzieci, trzecie przygrywa im na bębnie. Bardzo stary mężczyzna, zgięty we dwoje, sunie brzegiem poletka tytoniowego u podnóża budynków; w rękach za plecami trzyma pustą miszkę.

G. S. zostaje jeszcze, ja idę dalej; po jakimś czasie zatrzymuję się, żeby napić się wody i umyć w górskim strumieniu. Nadciągają dzwońce, w głąb doliny splywa jastrząb. Astry i nieśmiertelniki, lawenda i biel, ciche bzyczenie trzmiela brzmi kojąco. Siadam na chwilę na ciepłym kamieniu i podziwiam widok Yamarkhar, do której właśnie dochodzi słońce. O tej porze roku płaskie dachy płoną ognistymi kolorami zbiorów, które będą służyć mieszkańcom przez całą długą zimę; żółte dynie, czerwona papryka, brązowy tytoń, czerwone proso, kukurydza i konopie, z których robi się sznury i olej jadalny, a także haszysz.

Ścieżka wspina się dalej i biegnie teraz obok świeżo wykarczowanego pola wysoko pod niebem. Obdarty mężczyzna wrzeszczy na dwa przygięte do ziemi czarne woły, a prymitywny lemiesz opornie zмага się z kamienistym gruntem; takich drewnianych pługów używano trzy tysiące lat przed Chrystusem. Jeszcze wyżej, w rzadkim dębowym lasku spotykam pasterza, który z letniego pastwiska pod szczytem prowadzi sznur kudłatych kucyków, jakieś czterdzieści sztuk lub nawet więcej, i znów nachodzi mnie to uczucie, że idąc teraz na północ przez Himalaje poruszamy się pod prąd, odwrotnie niż reszta stworzeń o tej porze roku. Chłopak biega tam i z powrotem po żołędziach ciskając drobnymi kamieniami, żeby utrzymać zwierzęta w szeregu, a pochod zamyka mała dziewczynka z długim patykiem. Przestraszona moją obecnością w lesie odskakuje na bok, a potem z bezpiecznej już odległości wykrzykuje cienkim głosem nieśmiało pytanie: „Kim jesteś?” albo coś w tym rodzaju. Nie rozumiem i nie mogę odpowiedzieć. Uśmiechamy się do siebie, mała składa ręce jak do modlitwy: „Namas-te!” Robię to samo: „Namas-te!” - „Pozdrawiam cię!” I dziewczynka zbiega w dół za swoimi kucykami.

Czekam w dębowym lesie na innych. Daleko w dole, w chmurze bieli, gołębie śnieżne szybują od słońca do ciemnego jaru. W szumie białych skrzydeł przy świetle poranka słyszę gołębie, które hodowałem w dzieciństwie w stodole w Nowej Anglii. Zawsze pociągały mnie dzikie gołębie, zwłaszcza rodzime gołębie karolińskie.

Tysiąc metrów nad Pemą szlak skręca na północ, trawersując wyższe piętra dolin. Nadszedł G. S. i jak rozjuszony niedźwiedzie przedzieramy się przez krzaki berberysu i dzikiej róży. Teraz szlak biegnie wilgotnym, skalistym parowem bez słońca, coraz wyżej i wyżej, mijając wielkie jaskinie i samotne kopczyki kamieni. Biwakujemy u wylotu kanionu pod niebem, z nadzieją, że Jang-bu dotrze do nas wieczorem z kucami.

13 PAŹDZIERNIKA

Deszcze monsunowe, które powinny się były skończyć w pierwszym tygodniu października, ciągle nas prześladowają; jesteśmy po uszy oblepieni błotem. Wczoraj, jeszcze zanim koło ósmej wieczorem przybył Jang-bu z obładowanymi kucykami, spadł zimny deszcz i dziś w południe nadal leje. Rano kucyki urwały się podczas burzy i teraz właściciel szuka ich po górach; niewykluczone też, że wróciły do Yamarkhar. Moje posłanie jest przemoczone na wylot przez błotnistą kałużę przed namiotem, który z braku płaskiego terenu musiałem rozpiąć na stoku. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się wysuszyć rzeczy na słońcu, zanim ruszymy dalej - już teraz trzęsę się z zimna. Ten deszcz oznacza, że na Jang La, trzy dni drogi stąd, musi padać śnieg, ale jesteśmy już skazani na tę trasę - za późno, żeby wracać i próbować iść szlakiem przez Jamoson i Tsharkę albo lecieć do Jumli, nawet gdybyśmy dostali nowe przepustki. G. S. woła przez deszcz:

- Musimy pokonać tę przełęcz, nawet jeśli miałoby nam to zająć tydzień, w przeciwnym razie koniec z nami.

Ale nastrój mamy dobry, teraz kiedy nareszcie zostawiliśmy za sobą Dhorpatan. Ja się osobiście nigdzie nie spieszę, a G. S. pracowicie układa haiku. Poniewczasie, choć nieproszeni, Dawa i Gyaltsen okopują nasze namioty w moim przypadku to już mniej lub bardziej zbędny środek ostrożności a inni Szerpowie rozpięli plandekę nad ogniskiem i robią nam w tej ulewie herbatę. Radosny, zaraźliwy śmiech Phu-Tseringa rozlega się w odpowiedzi na coś, co powiedział Tukten, który jest w końcu też Szerpą i zrzuca pod koniec dnia swój ładunek, żeby pomóc rozpiąć namioty albo przynieść wodę czy drewno na opał.

Tukten bierze udział w wyprawach od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, kiedy towarzyszył zespołowi brytyjskiemu na Annapurnę, w tym samym roku był kucharzem brytyjskiej ekspedycji botanicznej we wschodnim Nepalu. W następnym roku przystąpił do Szóstego Pułku Gurkhów w Armii Brytyjskiej i służył w kuchni polowej przez dziesięć lat, wychodząc z wojska w samą porę, aby znów przystać na kucharza brytyjskiej wyprawy na południową ścianę Annapurny; później służył jako Szerpa w japońskiej wyprawie na Dhaulagiri Jeden. Zeszłej wiosny znów był kucharzem brytyjskiej ekspedycji botanicznej, tym razem w regionie Tsharki we wschodnim Dolpo. W drodze powrotnej zatrzymał się w wiosce Szerpów koło Pokhary, gdzie znalazł go Jang-bu.

- Wioski Dolpo dużo cuchną, sah - mówi Tukten, jedyny spośród nas, który tam był; ma się wrażenie, że w tym czy innym życiu był w każdym zakątku ziemi. Cichym głosem snuje opowieści oparte na swoim bogatym doświadczeniu, a inni Szerpowie chętnie go słuchają, choć nie akceptują jako współtowarzysza. Normalnie Tukten powinien przebywać z tragarzami, którzy chronią się na noc w jaskiniach, ale lubi być przydatny, a jego hipnotyzujący głos, wznosząc się i opadając na deszczu i wietrze, przykuwa uwagę młodszych Szerpów, choć na co dzień są wobec niego nieufni i trzymają się na dystans. Wygląda mi na to, że się go boją nie tyle jego gwałtowności, choć mówią, że jest agresywny po pijanemu, ile jego dziwnej mocy. Kimkolwiek jest ten człowiek: wędrowcem, upadłym mnichem, świętym czy czarnoksiężnikiem, ma w sobie coś, co Tybetańczycy nazywają

„zwariowaną mądrością” jest wolny.

Młodzi Tamangowie są nierozłączni i poprzestają na własnym towarzystwie, toteż Tukten je posiłki przeważnie z Bimbahadurem, cichym, krępyim, wielkogłowym niezdarą, o pałakowatych nogach i stwardniałych stopach, który nie może się rozstać ze swoimi wąsami gwardzisty i strzępami pułkowych łańców. On też zaledwie toleruje Tuktena, albowiem Bimbahadur ma duszę pustelnika; musi być z ludźmi, żeby zarobić na swoje utrzymanie, ale nie jest pośród nich żyje na świecie, ale nie dla świata, jak powiedzieliby sufi. Jeden przy drugim, skuleni w mżawce, dwaj odszczepieńcy siorbią „tsampe”, potrawę z prażonej kukurydzy lub jęczmienia, które tłucze się na proszek i gotuje jak owsiankę na wodzie względnie w herbacie - jest to główne pożywienie w Himalajach. Ogorzałe twarze umorusane białą papką pochylają się jak widma nad kamieniami ogniska i osmalonym garnkiem; zda się, że mężczyźni lada chwila wstaną i w śmiertelnej ciszy odtanczą powolny taniec „sennin”, dzikich mędrców z gór w starożytnych Chinach i Japonii, którzy nie udzielali żadnych nauk, ale wyzwalali prawdziwą naturę rzeczy samą doskonałością swego oświecenia.

„Sennin” stanowią ulubiony temat wielkich malarzy zen i czasem ich taniec życia jest wystawiany na scenie na tle pejzażu skopiowanego z tych obrazów, jakby dla podkreślenia, że dla istot prawdziwie wolnych cała przyroda jest dziełem sztuki. Kanzan czyta zwój, a Jittoku opiera się niedbale na miotle - kiedy obraz ożywa, „sennin” zaczynają kroki dziwnego tańca.

Wkrótce Kanzan staje, odsuwa się na bok i w zamyśleniu wpatruje się w przestrzeń. Jittoku, mocno poruszony, podnosi ręce w geście modlitwy i ceremonialnie okrąża Kanzana, po czym klęka mu u stóp i wznosi wzrok z pełnym szacunku oczekiwaniem. Spozrzęglszy go, Kanzan przyzwalająco kiwa głową i klęka z godnością przy Jittoku. Razem rozwijają zwój i trzymają go przed sobą, audytorium nie widzi, co tam jest napisane, obserwuje tylko, jak „sennin” w ciszy wspólnie czytają. Naraz obu uderza jakaś szczególnie trafna myśl i obaj w tym samym momencie z przejęciem patrzą po sobie, po czym jakby pod wpływem nagłego olśnienia powoli wstają i nie przestając czytać z aprobatą kiwają głowami. Kończą, wzdychają i wracają do tańca; przez moment ukazuje się środek zwoju. Jest nieskazitelnie biały, pusty, bez najmniejszego znaku. Kanzan zwija go z wielką ostrożnością, a Jittoku, uśmiechając się do siebie, podnosi miotłę.

Teraz Jittoku przynosi wino, ale w drodze trzyma flaszkę dnem do góry - flaszka jest pusta. Beztrzesko napelnia ją w strumieniu i po chwili „sennin” są odurzeni czystą, górską wodą. Kanzana trzeba podtrzymywać w tańcu i przez chwilę wydaje się nawet, że obaj zapadną w pijacki sen. Ale zrywa ich czarowny śpiew ptaka i kończą taniec przybierając pozy przedstawione na obrazie w tle. Kanzan uśmiecha się kątem ust, a Jittoku, po raz pierwszy patrząc na widownię, śmieje się cicho z całego serca. I zanim publiczności dane jest zrozumieć, co to może znaczyć, scenę szybko się zasłania, zostaje tylko cisza i pusta kurtyna.2

Wczesnym popołudniem, kiedy ulewa się kończy i daje się słyszeć szmer strumyka pod dębami, zjawia się właściciel kucyków kręcąc nosem na pogodę postanowił zabrać swoje pięć zwierzaków z powrotem do Yamarkhar. Z zakłopotaniem mówi „do widzenia”, a G. S.

wybuchu spod swojego namiotu:

- Do widzenia, ty sukinsynu, nienawidzę takich ludzi, co przy byle przeszkodzie łamią umowę zostawiając innych na łasce losu!

Jang-bu nie zadaje sobie trudu, żeby przetłumaczyć tę retoryczną kwestię, gdyż uczucia mówcy są całkiem jasne.

Tybetańczycy mówią, że przeszkody w podróży, takie jak grad, wiatr i dokuczliwy deszcz, to robota demonów, które chcą wystawić na próbę szczerotę intencji pielgrzymów i wyeliminować ludzi słabego ducha. G. S. został niewątpliwie poddany ciężkiej próbie: od Jang La dzielą nas wciąż trzy dni drogi, a tymczasem utkwiliśmy tu w ulewnym deszczu bez możliwości uzyskania pomocy w jedynej wiosce między Dhorpatan a Tarakot, które leży po drugiej stronie Jang. Co gorsza, Bimbahadur, który szedł już tą trasą, mówi, że od jutra szlak wznosi się ponad linię drzew, co oznacza, iż oprócz bagaży musimy nieść zapas drewna na trzy dni. Ale może dzięki temu, że G. S. nie jest słabego ducha, spotyka nas niemal natychmiast nieoczekiwane szczęście, tak zdumiewająco na czasie jak myśl o uciuciu kija, który uratował mnie przed mastiffem w Dhorpatan. Odkąd wyszliśmy stamtąd, nie spotkaliśmy żywego ducha, a teraz okazuje się, że tej nocy przybyli tu podróżni i schronili się w pobliskiej jaskini, że oni także idą do Tarakot i że ich przywódca, który jest wodzem tej wioski, zgodził się, aby jego mężczyźni służyli nam za tragarzy.

Ten cud błędnie nieco wobec faktu, że wódz żąda i dostaje trzy razy więcej, niż wynosi normalna stawka tragarzy.

- Widzą, że nie mamy wyjścia, więc przyciskają nas do muru, to zupełnie normalne! - mówi G. S. każąc Jang-bu podzielić kosze z bagażami na dwie części i rozdać dodatkowe obciążenie między mężczyzn z Tarakot. Ale tak czy owak mamy wielkie szczęście.

Powiał świeży wiatr, a między koronami drzew pokazały się niebieskie plamy. Z pewnością monsun już się skończył i jutro czeka nas piękna pogoda. W każdym razie G. S. mocno w to wierzy - ja jestem przesądny w tym królestwie górskich bogów i na wszelki wypadek odpukuję w targany wiatrem dąb w lesie. Pod najokazalsze drzewa podłożono tu ogień, żeby je podciąć i powalić, całą resztę okorowano i odarto z gałęzi na paszę dla kóz i drewno na podpałek; zdeformowane kikuty sterczą żałośnie na tle niespokojnego nieba.

14 PAŹDZIERNIKA

Zeszłej nocy po raz pierwszy w życiu zdawałem sobie sprawę, że mam we śnie halucynacje. Siedziałem w cieniu chaty, a niedaleko przy skale widziałem postać przyjaciela z psem. Nagle wszystko stało się rozedrgane, świetliste, giętkie jak w wizji psychodelicznej, a przyjaciela porwała jakaś straszna siła, która rzuciła nim o ziemię roztrzaskując go na śmierć. Przez cały czas miałem wrażenie, że stoję z boku i obserwuję siebie samego, jak śnię, obserwuję się na zewnątrz swego ciała; mogłem zostawić ciało i odejść, ale zahałem się w obawie, że nie będę w stanie wrócić. I z tym strachem obudziłem się - albo raczej postanowiłem się obudzić, bo jawa i sen niczym się nie różniły. Potem znów usnąłem i żółtoszyja kuna (duża himalajska kuna z rodziny lasicowatych, której odchody widzieliśmy wzdłuż szlaku) wskoczyła na drzewo ze szczeniakiem w pysku. Kiedy go kładła w rozwidleniu konarów, z wyższej gałęzi skoczyła wiewiórka i kuna pochwyliła ją w locie. Przez chwilę zastępyła w powietrzu przy drzewie, patrząc prosto na mnie z pyskiem groteskowo rozciągniętym ciałem wiewiórki, po czym znów siedziała na gałęzi i pożerała wiewiórkę, odrzuciwszy jej skórę i głowę. Oczy wiewiórki patrzyły na mnie z ziemi, żywe i błyszczące. Oba sny przypominały halucynacje i obudziłem się rano z okropnym uczuciem.

Te urojenia mnie nie opuszczają - czyżbym umarł? Czuję się, jakbym wszedł w stan zwany przez Tybetańczyków Bardo - dosłownie: między dwoma egzystencjami - jest to podobna do snu halucynacja, która poprzedza ponowne wcielenie, niekoniecznie w postać ludzką; typową dla tego stanu wizją jest obraz czaszki pełnej krwi, symbolizującej czczość życia cielesnego z jego nieustannym kołowrotem pragnienia, nasycenia i znów pragnienia.

W razie gdybym ich potrzebował, wskazówki, jak przejść przez stan Bardo, są zawarte w tybetańskiej „Księdze Śmierci”, którą mam ze sobą - jest to właściwie przewodnik dla żywych, gdyż nauca, że ostatnie myśli człowieka decydują o jakości jego reinkarnacji. Dlatego też każdą chwilę powinno się przeżywać spokojnie i świadomie, jakby miała być ostatnia i w ten sposób w pełni wykorzystać cenne ludzkie wcielenie, jedyne, w którym można osiągnąć oświecenie. A tylko oświeceni mogą wskrzesić w pamięci swoje poprzednie wcielenia, dla reszty z nas wspomnienia z minionych egzystencji przejawiają się w błysku światła, w ukłuciu tęsknoty, w mignięciu cienia, które są nam niejasno znajome, ale umykają, zanim zdążymy je pochwylić, jak widok tego srebrnego ptaszka w locie na zboczu Dhaulagiri.

Trzeba więc „traktować jako jedność to życie, przyszłe życie i życie pomiędzy, w stanie Bardo”. Takie było ostatnie posłanie do uczniów wielkiego poety i świętego, lamy Milarepy, urodzonego w dziesiątym wieku w roku Smoka, z kobiety zwanej „Białą Girlandą z Nyang”. Milarepa został nazwany Mıla Repa, ponieważ jako wielki jogin i mistrz „mystycznego ciepła” nosił tylko prostą białą szatę czyli „repe” nawet podczas najostrzejszych zim; jego „pieśni” czy też moralizujące wiersze utrwalone przez uczniów są do dziś bardzo cenione w Tybecie. Podobnie jak Śiakjamuni miał osiągnąć nirwanę w ciągu pojedynczego życia, a i jego nauki, kiedy przygotowywał się do śmierci, mogłyby wyjść z ust Buddy:

„Wszystkie ziemskie dążenia czeka jeden nieunikniony i niechybny koniec, jakim jest smutek:

majątki rozchodzą się, budowle niszczeją, spotkania kończą się rozstaniem, a narodziny śmiercią. Wiedząc o tym należy od początku wyrzec się gromadzenia dóbr, budowania bliskich więzi... i poświęcić się poszukiwaniu Prawdy... Życie jest krótkie, a czas śmierci nieznamy, oddajcie się więc medytacjom..."³

Medytacje nie mają nic wspólnego z kontemplowaniem odwiecznych pytań, czy własnych problemów, czy choćby własnego pępka, chociaż w rezultacie mogą przyczynić się do rozjaśnienia wszystkich tych zagadek. Nie mają nic wspólnego z żadnym rozmyśleniem, z niczym właściwie prócz dążenia do intuicyjnego zrozumienia prawdziwej istoty bytu, co jest przyczyną, dla której pojawiają się w takiej lub innej formie we wszystkich niemal kulturach znanych człowiekowi. Pograżony w transie Buszmen wpatrujący się w ogień, Eskimos żłobiący ostrym kamieniem coraz głębsze koło na płaskiej powierzchni glazu osiągają taki sam zanik ego (i taką samą siłę) jak derwisze czy święci tancerze Indian Pueblo. Hinduiści i buddyści dostępują spełnienia poprzez wewnętrzny spokój osiągany zwykle w stanie „samadhi” podczas ćwiczeń jogi.⁴ W praktykach tantrycznych uczeń może wymienić swoje ego na prawdziwy lub wymaginowany obiekt swojej koncentracji, w zenie stara się wyciszyć umysł i wrócić do czystego, niezmażonego spokoju muszelki lub płatka kwiatu. Kiedy ciało i umysł stanowią jedno, wtedy ta jedność - wyzwolona bez reszty z intelektu, uczuć i zmysłów może doświadczyć objawienia, że pojedyncze życie, ego, „rzeczywistość” materii i zjawisk fizycznych to nic więcej tylko ulotne i iluzoryczne układy molekuł. Znużona jaźń - skryta pod płaszczykiem masek i pozorów, systemów obronnych, uprzedzeń i opinii - która podparta ideami i słowami wyobraża sobie, że jest realnie istniejącą jednostką (w świecie podobnych jej jednostek), może nagle rozpaść się, rozplynąć w bezkształtnym potoku, a pojęcia takie jak „śmierć” i „życie”, „czas” i „przestrzeń”, „przeszłość” i „przyszłość” tracą znaczenie. Będzie tylko perlista światłość Pustki, świata Niestworzonego, bez początku a zatem i bez końca.⁵

Jak wypukłodenna figurka Bodhidharmy powracająca zawsze do pozycji wyjściowej, medytacja reprezentuje ośnowę wszechświata, do której wszystko wraca w bezruchu głuchej nocy, w bezruchu między odpływem a przyływem, w bezruchu poprzedzającym moment Stworzenia. W tej „próżni”, w tym dynamicznym stanie spoczynku leży ostateczna rzeczywistość i tutaj bez przeszkód odradza się nasza prawdziwa istota wracając ze stanu, który buddyści nazywają „wielką śmiercią”. Oto Prawda, o której mówi Milarepa.

O świecie lekkie krople deszczu bębnią o płótno namiotu, mimo że przez całą noc świeciły gwiazdy; G. S. klnie na czym świat stoi, co najczęściej mu się zdarza. Jak tylko deszcz ustaje, zwijamy obóz. W drodze prawie natychmiast natykam się na dudka, dziwnie niepłochliwego. Ten brak bojaźliwości to z pewnością dobry znak, tak bardzo nam potrzebny - dudek skacze w kółko tuż przede mną na mokrej trawie pod dębami, jakby czekał, aby nas poprowadzić.

Ścieżka wchodzi w coraz węższy parów, który wznosi się ku szczelinie między głazami; dochodząc do niej w chwili, gdy promienie wschodzącego słońca wypełniają ten portal oslepiającym światłem. Wynurzam się w nowym świecie i rozglądam się wokół. Labirynt dolin pnie się ku śniegom Himalaję są pofałdowane jak mózg. Churen Himal na chwilę wynurza się z podniebnych obłoków i zaraz znika. Samiczka bażanta a za nią trzy inne

splývają z omszałej skały ze słodkim gruchaniem, ale szkarłatny samiec się nie pokazuje. Daleko w dole, nad ciemnymi parowami, do których nie zagląda słońce, krąży w ciszy sęp płowy. Grzbiet, na którym stoję, porasta dębowo-klonowy las i płaszcz żółtych liści zmiękca skaliste zbocza; powiew wiatru niesie ze sobą bogaty w czarnoziem zapach jesieni.

Nadchodzi G. S. i szybko wspinamy się na wysokość trzech tysięcy sześciuset metrów. Ścieżki są tutaj wąskie, nie ma miejsca na błędny krok, a na tej wysokości szybko traci się oddech. Powoli nauczyłem się stąpać lżej, z rozluźnionymi mięśniami, niemal posuwicie, co bardzo pomaga na zawroty głowy. Gdzienigdzie szlak skalny jest szeroki najwyżej na pół metra - własnoręcznie go mierzyłem i biegnie skrajem urwistej przepaści, w innych miejscach jest niewiele lepiej, bo porosłe trawą zbocza są tak strome, tak odarte z drzew czy choćby krzewów, że wystarczy się potknąć, aby przekoziolkować setki metrów, nie mając się czego chwycić, i wpaść w ciemną czeluść, gdzie nie dochodzi słońce.

Moje poczucie zagrożenia zwiększa jeszcze ubiegłonocny sen. „Sen... w którym zjawiska i myśli postrzegamy jako jedność, to wskazówka, czy tego nie rozumiesz?” Nie w pełni dociera do mnie ta idea - że zarówno życie człowieka jak i jego widzenia senne rozgrywają się w stanie snu - ale Milarepa pomógł mi w inny sposób. Wróciwszy po wielu latach do rodzinnej wioski (urodził się jakieś osiemdziesiąt kilometrów na północ od Katmandu, po tybetańskiej stronie dzisiejszej granicy), Mila znajduje w zawalonej chacie ciało swojej matki w stanie rozkładu, właściwie już tylko kupkę pyłu i łachmanów. Wstrząśnięty, przepełniony żalem i grozą, przypomina sobie słowa swego guru, lamy Marpy, iż należy objąć to, czego się najbardziej boimy lub brzydzimy, by tym łatwiej uświadomić sobie, że wszystko we Wszechświecie jest nierozłączne ze sobą powiązane i dlatego święte. Wobec tego robi podglówek ze smutnych szczątków niegdysiejszej Białej Girlandy z Nyang i leży na nim przez siedem dni w głębokim, czystym stanie „samadhi”. To tantryczne ćwiczenie, zwane „chód”, ma na celu przewyciężenie uczucia „grozy” i często polega na siedzeniu na zwłokach lub na cmentarzu ciemną nocą. Ponieważ wiara w życie wymaga pogodzenia się ze śmiercią, sam zaczynam uprawiać własną, łagodną formę „chód” zmuszając się, ilekroć mogę, do zagładania w głąb przepaści. Droga będzie z czasem coraz gorsza i jeśli się teraz zahartuję, szczególnie nieumięle odcinki na krawędziach skał w wyższych partiach wydadzą mi się mniej groźne. Pomocne jest koncentrowanie uwagi na drobnych szczegółach - okrucach różowego kwarcu, cynamonowej paproci z kupkami zarodni, swojskim placku końskiego łajna. Wystarczy się skupić na chwili obecnej, aby znaleźć wiele zadowolenia z postrzegania drobiazgów; myślę o przyjemności, jaką czerpałem wczoraj z cienkiego bulionu i zatęchłych herbatników, które nieśmiały Dawa przyniósł mi do ciekącego namiotu.

Drzewa wymierają w skalnym ogrodzie karłowatych rododendronów, brzoź i ognistych jesionów stojących pośród pierzastych paproci, szarotek i nieznanym mi górskich kwiatów, o metalicznym niebieskim kolorze. Naraz pojawia się jaskrawozielony dzięciół i chociaż wiem, że dzieje się to na jawie, że naprawdę widzę tego ptaka, niebieskie kwiatki i zielony dzięciół wcale nie są bardziej - czy mniej - realne niż żółtoszyja kuna z mojego snu.

Słońce to świeci, to znika za chmurami. Monsunowe deszcze jeszcze nie całkiem nas opuściły, na wschodzie jest wietrznie i pochmurnie, ale na południu niebo nad Indiami jest

czyste. G. S. mówi:

- Czy zdajesz sobie sprawę, że od września nie słyszeliśmy dźwięku motoru, nawet z daleka?

To prawda. Samoloty nie latają nad tymi starymi górami. Zablądziliśmy w inną epokę.

Ta wędrowka w słońcu i deszczu w krainie śniegu i chmur, pośród zmiennej aury sprawia mi radość; okropne samopoczucie z dzisiejszego ranka minęło. Chciałbym dotrzeć do Krysztalowego Klasztoru, chciałbym zobaczyć śnieżną panterę, ale jeśli nie będzie mi to dane, to też się nie zmartwię. W tej chwili cieszą mnie ptaki: wronczyki alpejskie o czerwonych dziobach, śmieszne, niewielkie ptaki z rodziny krukowatych spotykane na dużych wysokościach, i mały myszołów, czarny na tle nieba, i zmierzające na południe zięby, kołyszące się na wietrze - w ślad za nimi biegnie echo treli. Skowronek, jerzyk, orłosęp i znów sępy płowe: przelatają na wysokości oczu z łopotem skrzydeł.

Na przełęczu stoi mały kopczyk zwieńczony patykami i szmatkami, od strony wschodu zostawiono miejsce na nowe ofiary. Paski płótna, czyli powiewające na wietrze modlitwy, mają przynieść szczęście wędrowcom, którzy po raz pierwszy przechodzą przez przełęcz. Może dlatego, że zignorowaliśmy kopczyk, bogowie gór witają nas nagłym gradem, potem słońcem, potem jednym i drugim naraz. Bębnienie kulek lodowych powoli cichnie; chmury odpływają. Czekamy. Po godzinie przychodzi Tukten i tak o pół godziny wyprzedzając całą resztę, a w dodatku za jego trud jeszcze dostaje mu się od G. S. jako przedstawicielowi ślamazarnej braci tragarzy. Wolno zdejmuje ładunek, który wniósł na wysokość siedmiuset metrów, i patrzy na G. S. z tym samym niezmaconym spokojem, z jakim patrzy na wszystko; w podzięce za szczęśliwe dotarcie do przełęczu kładzie kamyk na kopcu.

Nadciągają Tamangowie, a potem mieszkańcy Tarakot i schodzimy stromą ścieżką do krzaczastego wąwozu, gdzie tragarze zrzucają kosze i rozpalają ognisko pod pierwszy ze swoich dwóch posiłków. Po ich ciężkiej wspinaczce jest to zrozumiałe, ale nas, po półtoragodzinnym oczekiwaniu, mocno to irytuje: przy tym opóźnieniu byliśmy pewni, że są już po jedzeniu. Przekinamy ich jak niemal co dzień za to, że nie jedzą swojego głównego posiłku przed wyruszeniem w drogę, kiedy ogniska płoną i woda się gotuje; ten dwugodzinny postój oznacza stratę ciepłych słonecznych godzin na szlaku i rozbijanie obozu w deszczu i zimnie, niemal po ciemku.

Nowa zwłoka doprowadza G. S. do rozpacz; jeśli się nie pospieszymy, bez wątpienia spóźnimy się na ruję błękitnych owiec. Ale tragarze widzą śnieg w północnym krańcu kanionu i choćbyśmy ich nie wiem jak poganiiali, nie pójdą dziś dalej niż do tej linii.

Biegając tam i z powrotem G. S. laje Phu-Tseringa, że marnuje cukier i że gotuje cenny ryż zamiast ziemniaków, które są ciężkie i jeszcze wciąż dostępne w przydrożnych wioskach. Bez troska naszego kucharza bywa irytująca, chociaż G. S. przekonał się we wschodnim Nepalu, że jego wesoły uśmiech z nadwyżką rekompensuje wszystkie wady. A Szerpowie ze swojej strony pogodnie przyjmują reprimendy G. S., który szczerze się o nich troszczy, dba o ich samopoczucie i rzadko daje się ponosić nerwom z powodu ich nieco dziecinnego usposobienia.

Ponieważ między miejscem naszego postoju a drugą stroną Jang La nie ma żadnych zarośli, zbieramy krzaczaste różgi i rododendrony oraz zeschnięte lodygi bambusa, który kwitnie raz na dwanaście, trzynaście lat, a potem całymi połaciami usycha. W płytkiej grocie znajdują na wpół wypaloną wiązkę chrustu zestawioną przez innych podróżnych i wraz z resztą gałęzi przywiązuję ją do plecaka.

Szlak pnie się ku potokowi zwanemu Seng Khola, skrytemu w cieniu skał; w tym półmroku, przy grzmocie brunatnej wody, nie zdziwiłbym się widząc nad ostrą skalną krawędzią oblicze boga gór. Chmury ciągną teraz za nami, w górę kanionu, i przynajmniej raz niebo na przodzie wygląda bardziej obiecująco: snop słońca na śniegu u wylotu Seng Khola przyświeca nam niczym latarnia morska. Naraz spadają pierwsze ciężkie krople deszczu, tego zimnego deszczu podszytego zimnym wiatrem, który prześladowuje nas każdego popołudnia. Rzeka jest posępna; wyszczerbione kaskady i spienione głązy pośród jałowego pustkowią wyschłych traw i zwałów skalnych; zastanawiam się, dlaczego w tym przygnębiającym otoczeniu, krocząc w strugach deszczu jestem tak pełen wewnętrznego zadowolenia i trudnej do określenia wdzięczności - wobec kogo? Cień mojej krótko ostrzyżonej głowy na ścieżce wygląda jak cień głowy mnicha, stuk drewnianego kija rozbrzmiewa echem w cichych górach: niosę w sobie obraz Milarepy, który „wolny jak nieujarzmiony lew kroczył po śnieżnych łańcuchach” - jak go opisał jeden z uczniów.

Na zakręcie kanionu stoi wódz tarakotańczyków, który ma na sobie hinduskie owijacze i sam nic nie dźwiga. Wskazuje na skalne zbocze za strumieniem.

- Na! - krzyczy. - Na! - I idzie dalej.

Jasny kształt przeskakuje żleb, a za nim sześć dalszych; zwierzęta suną w górę po stromym zboczu do zielonego pasa między skałami a śniegiem. Obserwuję je, jak skaczą, dopóki nie zagarną ich chmury, które nadciągnęły do doliny z południa. To piękne, srebrnoniebieskoszare stworzenie to nachur, błękitna owca Himalajów, po tybetańsku „na”, dla której przebyliśmy taki kawał drogi.

Zatrzymujemy się na noc na płaskim występie nad rzeką, tuż pod linią śniegu. Skrzydlaty nurek zagłębia się w zimnym potoku, a para pleszek wypatruje na czarnych głazach spóźnionych owadów. G. S., który właśnie nadszedł, mówi, że jesteśmy na wysokości prawie czterech tysięcy metrów. On też widział błękitne owce i później, kiedy namioty są już rozbite, znów wychodzi i udaje mu się wypatrzeć jeszcze kilka sztuk. Wraca o zmierzchu rozpromieniony.

- Pierwszy materiał od półtora miesiąca! - wykrzykuje.

A ja mu mówię o moim własnym małym znalezisku. Niżej na szlaku dostrzegłem pojedynczy odcisk łapy, jakby pies przekroczył ścieżkę i poszedł swoją drogą, nie zostawiając śladów na kamiennym gruncie po obu stronach. Ale mokra ziemia nie wskazywała, aby ostatnio szli po niej jacyś wędrowcy, a trop był świeży. Najpewniej więc nie był to pies i uznawszy, że wobec tego wilk, który występuje w dzikszych regionach Tybetu, nie sprawdziłem, czy przy odcisku są ślady pazurów.

- To idealne strony dla śnieżnej pantery - mówi G. S. Wódz z Tarakot też twierdzi, że śnieżne pantery zdarzają się tutaj w regionie Jang, ale wszystkowiedzący Tukten potrząsa głową.

- Tylko po stronie Dolpo - mówi. - Nie w Nepalu.

Dolpo leży na płaskowyżu tybetańskim, toteż zdumiewa mnie, że dla niego to jakby obcy kraj.

Mój przyjaciel na swój obcesowy sposób, nie tyle nieuprzejmy, ile żywiłowy, ciska mi przez klapę namiotu gogle dla ochrony oczu przed jutrzejszym słońcem i śniegiem. Podniecony, leżę nie śpiąc przez większość nocy, z głową wysuniętą z namiotu. Noc jest czysta; czysta i bardzo zimna. Przed brzaskiem czerń nad górami przechodzi w głęboki granat, a wysoko na niebie pojawia się płomienna luna.

15 PAŹDZIERNIKA

Wyruszamy przed świtem na północ, wzdłuż Seng Khola, przeszedłszy na drugą stronę po zdradliwie oblodzonych kamieniach. Na śnieżnym pustkowiu wysoko w górze kanionu natykamy się na ślady bosych stóp.

- Yeti - mówi G. S. z sarkazmem, ale nawet dla niego ten widok jest niesamowity, niepokojący: coś wisi nad nami w tym mroźnym, zacienionym zakątku świata. Nagle krajobraz się ożywia. Za strumieniem, pod nawisami skalnymi sunie w półmroku skulona postać, zakapturzona, obdarta, z długą laską - szalony starzec z gór, „sennin”. Wykrzykuje coś do nas, ale ryk wody go zagłusza, wymachuje więc laską.

Ze zdumieniem poznajemy w tej zakapturzonej postaci Bimbahadura, który wskazuje nam, w jakim kierunku biegnie szlak. Później dowiadujemy się, że poprzedniej nocy szedł w deszczu pięć kilometrów w górę rzeki, aby spać w sobie tylko znanej jaskini; teraz właśnie schodził po swój ładunek. Najstarszy i najwolniejszy z naszych tragarzy dodał sobie dziesięć kilometrów kamienistego marszu dla uzyskania samotności.

Odchodzimy od rzeki, wspinając się w kierunku północno-zachodnim.

Wyżej, w miejscu gdzie śnieg już stopniał, z kępy traw wyskakuje lis himalajski, sadzi do grupki skał i odwraca łeb, żeby się rozejrzeć. Jego czarne kończyny i czerwone futro kontrastują z siwym pyskiem i kłatką piersiową, a fantastycznie długi i gruby ogon, ciemnobrązowy i czarny, zwieńcza biały puszysty koniuszek. Ten koniuszek widać jeszcze długo po tym, jak płomienne barwy zwierzęcia wtopiły się między kamienie.

Światło powoli schodzi z wyższych partii w dół zbocza, a na razie wspina się w głębokim cieniu nocy. Kiedy wchodzimy w słońce, odpoczywam na mchu, który koronuje granitową wysepkę wśród bieli. Trzy gołębie śnieżne przelatują mi nad głową z łopotem białych skrzydeł w mroźnym powietrzu. Na wschodzie jeden z wierzchołków Dhaulagiri migocze w aureoli promieni słonecznych i zaraz wynurza się samo słońce, rozżarzone na niebie bez jednej chmurki, idealnie błękitnym - na południu nad Indiami błękitem jasnym i ciepłym, na północy nad Tybetem zimnym, ciemnym i głębokim - przejrzystym, oślepiającym. (A jednak ten „błękit” dostrzeżono dopiero stosunkowo niedawno: mimo kilkuset napomknień o niebie ani w Rigwedzie, ani w eposach greckich, ani nawet w Biblii nie ma wzmianki o tym kolorze).⁶

G. S., który jest doświadczonym alpinistą, uczy mnie nisko trzymać kij podczas wspinaczki, żebym mógł mocniej wbić go w skorupę śniegu w razie poślizgnięcia się, gdyż zbocze jest bardzo strome i oblodzone. Ale zaraz sam sobie przerywa i przykłęka na jedno kolano wskazując w górę, a jednocześnie grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu lornetki. Cztery nachury suną w podskokach po białym stoku i przechodzą na drugą, stronę grani, ich duże rogate łby odcinają się na tle nieba. Jesteśmy zachwyceni tym widokiem, tym bardziej że dobra komitywa samców oznacza, iż jesienna ruja jeszcze się nie zaczęła i być może mimo wszystko dotrzemy do Shey na czas.

Wspinaczka sprawia mi trudność. Ścieżka jest zdradliwa, powietrze rozrzedzone, blask oślepiający, a skorupa śnieżna sięga powyżej kolan. Przez następną godzinę G. S. idzie równo naprzód, aż w końcu jego niebieski skafander staje się czarną plamką na tle śniegu. Niewyraźna sylwetka skręca za piramidą bieli i nie ma już nic.

Z tej pustki dobiega cichy szmer. Z wysokiego występu skalnego osypuje się śnieg; delikatne kryształki tańczą w smudze światła. Na północ, w stronę Tybetu, leci ptak - mały, biały sokół. Kręci mi się w głowie ze zmęczenia i oślepiającego światła, patrzę wprost na tego heraldycznego ptaka i zapiera mi dech: w Himalajach nie ma białych sokołów. (Później tego dnia zobaczyłem sokoła wielkości kobuza, z czarnym grzbietem i białym spodem; z dołu na tle nieba mógł uchodzić za śnieżnobiałego ptaka).

Pola śnieżne pną się w skrzących lukach ku niebu. Kiedy słońce staje wyżej, przedzieram się mozolnie przez topniejącą skorupę i co kilka kroków zatrzymuję się dla złapania oddechu. Późnym rankiem, po czterogodzinnej wspinaczce, dosięgam grani i kucam, żeby uciec przed wiejącym tu lodowatym wiatrem.

- Nareszcie! - wrywa mi się; czuję zawroty głowy.

G. S. rozgląda się wokół z lornetką przy oczach.

- Nie widzę tu żadnej przełęczy - mówi. - Nie mamy dokąd iść.

Za krawędzią otwiera się straszliwa przepaść po samo dno szerokiego kanionu, w którym ledwo widoczny sznur tragarzy pnie się w kierunku północno-zachodnim. Nasza czterogodzinna wspinaczka na wysokość czterech i pół tysiąca metrów poszła na marne - źle odczytaliśmy znak dany nam przez Bimbahadura i musimy wracać na dół z samej góry, a potem znów się wspiąć.

Przepych Churen Himal i Putha Hiunchuli leżących teraz na wschód od nas, a nie na północ, nie przynosi mi dostatecznej pociechy. W milczeniu zjadamy kawałek kiełbasy i garść orzeszków ziemnych, a potem posuwamy się wzdłuż grani w poszukiwaniu krótkiego i bezpiecznego zejścia. (Wyobrażenie G. S. o bezpiecznym zejściu różni się od mojego. Po tylu latach spędzonych w górach w pościgu za zwierzętami ma on pewny krok i niezachwianą równowagę: jedno z moich najwcześniejszych wspomnień o tym człowieku, z Afryki wschodniej w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, to jego obraz, jak stoi niedbale na samym skraju niebotycznej skały granitowej, w porywistym wietrze, i bada uważnie równinę Serengeti przez tę samą lornetkę, którą ma tutaj).

Stado trzynastu nachurów, zaskoczone podczas drzemki na śniegu, zrywa się jednocześnie zaledwie kilka kroków przed nami. Dzikie owce są nieostrożne, kiedy podchodzi się do nich z góry, gdyż instynktownie oczekują niebezpieczeństwa z dołu; te srebrzystobłękitne stworzenia stoją teraz w pełnym świetle obserwując nas spokojnie przed odejściem, a G. S. szybko określa ich wiek i płeć, fotografuje i zapisuje dane w notesie. Później przepływa nad nami ginąc w dole za górami białoszary głuszc Himalajski - dlaczego przyleciał tak wysoko, w te głębokie śniegi?

Po godzinie, kiedy już z trudem i mozołem zsunęliśmy się na dno kanionu, zaczynamy nową wspinaczkę na północny zachód. Słońce teraz mocno pali w ostrym, bezwietrznym powietrzu; od zalewu bieli i błękitu wiruje mi w głowie i ciemnieje w oczach. Nóg nie czuję, a do tego śnieg w dolinie zamienił się w bryłę, w którą co krok zapadam się po kolana. Jedyna pociecha to posepna ulga, że właściciel kucyków wycofał się we właściwym czasie - nie dałyby sobie tutaj rady i utkwilibyśmy w głębokim, mokrym śniegu z siedmioma ładunkami.

Na wysokości czterech tysięcy trzystu metrów podejście łagodnieje i wchodzimy na przyjemny szlak biegnący na przełaj przez pola śnieżne. W południe słońce chowa się za grań, ale w godzinę później wybucha z nową siłą wypełniając gardziel parowu daleko w dół między górami. Już po chwili znów gaśnie. W półmroku przekraczamy Saure Khola i biwakujemy na urwistym cyplu.

Przez większość popołudnia idziemy za tragarzami, z których jeden zostawia krwawy ślad na śniegu. Jak się potem okaże, był to Pirim, który nie włożył przydzielonych mu tramppek i przeciął sobie stopę na zlodowaciałym śniegu. Krwawe ślady nasuwają nam pytanie, czy którykolwiek z tragarzy zabezpieczył się przeciwko śnieżnej ślepotcie - kiedy ich dogonimy, za późno już będzie na ostrzeżenia. Ale tego wieczoru, choć trzech skarży się nieco na ból oczu, wszyscy są radośni, patrzą po kolei przez lunetę i cieszą się widokiem „na” wysoko w górach. Tamangowie stawiają sobie osłony przeciwwiatrowe w ruinach zburzonych szałasów pasterskich, a Szerpowie biorą wodza tarakotańczyków do swojego namiotu, ale sami tarakotańczycy siedzą biernie, skuleni jak narośla pomiędzy płatami śniegu, owinięci w stare koce, nie robiąc nic, żeby zapewnić sobie lepszy nocleg mimo perspektywy długiej, mroźnej nocy. Nie przynieśli drewna na podpałkę, muszą wyłudzać od nas ryż i większość z nich jest bosy.

16 PAŹDZIERNIKA

Zeszłego wieczoru jadłem kolację w namiocie G. S. - dwoje ludzi nie zmieściłoby się w moim - i chociaż przepełniała mnie radość po całym dniu spędzonym w ośnieżonych górach, to kręciło mi się w głowie z powodu wysokości i migreny, a twarz piekła mnie od słońca. Rano czuję się już dobrze, ale nie można tego powiedzieć o naszych, biednych tragarzach. Wszyscy skarżą się na śnieżną ślepotę - bardzo nieprzyjemne zapalenie rogówki, które następuje bez ostrzeżenia i które leczy tylko czas - jest to takie uczucie, jakby się miało piasek pod powiekami. Tarakotańczycy wciąż siedzą zbici w gromadkę przed naszymi namiotami dmuchając sobie nawzajem żałośnie w oczy. Odmówiwszy dalszego niesienia ładunków, odchodzą kuśtykając w stronę rodzinnej wioski.

Nasi tragarze też cierpią, podobnie jak i nasi pomocnicy Szerpowie, którzy powinni mieć więcej oleju w głowie. Tylko Phu-Tsering nie narzeka, a nawet jest rozbawiony. „Solu!” - mówi o Dawie i Gyaltzenie mając na myśli klan nizinny to nie są prawdziwi ludzie gór jak on sam. Phu-Tsering pochodzi z Khumbu, na południowy zachód od Everestu, skąd wywodzi się większość wysokogórskich Szerpów; towarzyszył wyprawom na Makalu (francuska w 1971 r. - 8470 m) i na Manaslu (niemiecka w 1973 8128) i otrzymał wszelkie możliwe referencje. Kucharz ma swoje własne gogle, Jang-bu, choć nie wykazał przeczności, pożyczył dodatkową parę od G. S., a Tukten i dwóch Tamangów mieli dość rozsądku, aby przetrzymać sobie oczy naciętym w szparki kawałkiem materiału, przez który zerkali na drogę ale dlaczego reszcie nie starczyło rozumu? G. S., zniechęcony, mówi, że nie przestaje go dziwić to słabe przystosowanie plemion himalajskich do ich środowiska.

I tak znów utknęliśmy w śniegu na dzień albo dłużej. W przeciwieństwie do tarakotańczyków nasi dzielni inwalidzi godzą się nieść pomniejszone ładunki, choć zataczają się i jęczą, ilekroć na nich spojrzeć. Obwiązują sobie oczy gałgankami bez szpar i jak zawsze spokojny i odprężony Jang-bu wiedzie ich w śnieżną trasę niczym sznur ślepców ma nadzieję powrócić tu jutro z Tarakot z nowymi tragarzami. Phu-Tsering zostaje, żeby nam gotować i pilnować obozu, a wraz z nim zostaje też Bimbahadur, który jest tak wyczerpany, że nie może już iść. Oczy ma mocno podpuchnięte, a nogi odmawiają mu posłuszeństwa; zupełnie jakby rzucono na niego urok. W ciągu jednej nocy zmienił się w niedołężnego starca. Wczoraj, kiedyśmy go dogonili, potknął się na lodzie i upadł, gubiąc kosz, który Phu-Tsering i Jang-bu musieli wydobywać z dna stromej, ośnieżonej jary. Teraz G. S. robi mu okład z esencji herbacianej, co zdaje się nieco łagodzić ból; później smaruję mu kremem spękane wargi, a ten biedny, stary człowiek, który przyszedł tu z nami z Dhorpatan tylko dlatego, że chciał być pomocny, jęczy pod brzemieniem ciężkiego losu na wiązce słomy w zburzonej chacie.

G. S. gryzie się stratą czasu i dodatkowym wydatkiem, ale przynajmniej są tu błękitne owce i zamierza to wykorzystać. Rozbijamy na nowo namioty i wyruszamy pod stromą górę, której niższe zbocza dzięki południowemu położeniu mają odkrytą trawę. Wkrótce pojawia się lis himalajski pochłonięty polowaniem; ignorując nas zaczają się sześć razy w ciągu ośmiu minut, z czego cztery razy skutecznie, choć zdobycz jest drobnej natury. Pierwszą ofiarą pada mysz mysie norki i tunele śnieżne, odkryte przez odwilż, są wszędzie wokół naszych stóp - dwie następne, oglądane przez lornetkę, wyglądają na koniki polne, a

czwarta to długi, cienki błysk życia, który wprawia mnie w zdumienie. Później, kiedy słońce jest wysoko, znajduję kilka błyszczących, prążkowanych, szarych ślig, i zagadka się wyjaśnia. Pomimo nietypowych o tej porze roku późnomonsunowych opadów to jesienne górskie zbocze jest wciąż pełne życia, nasiona i mrowie owadów na płaszcach śniegu przyciągają wędrownie pleszki podobnie jak i duże mieszane stada świergotków, skowronków, różowych zieb i innego ptactwa. Gdzieś tam zdarzają się karłowate rododendrony, szarotki, niebieskie goryczki, a powyżej pięciu tysięcy metrów ozdabiają śnieg wystające kamienie porośnięte różnokolorowym mchem. Biel przecinają cieszące oko ślady głuszcza, błękitnych owiec, lisa i różnych mniejszych stworzeń; na próżno wypatrujemy tropu śnieżnej pantery. I wkrótce rozchodzimy się niczym pasące się zwierzęta G. S. podąża za trzema błękitnymi owcami, które zmierzają ukośnie w górę zbocza, a ja wspinam się do stóp ogromnego zwału skalnego rysującego się na tle nieba.

W niszy porosłej mchem, osłonięty przed zimnym wiatrem, kontempluję pokryte bielą góry na południu. Efekt słońca i światła jest tu taki, że zbocza wystawione na północ są zasypane śniegiem do samej rzeki, a na stronie zwróconej na południe zbocza są nagie. Toteż jedna strona Saure jest pokryta bielą, a za strumieniem, kilka metrów dalej, koniki polne skaczą po ciepłej trawie.

Nad głową na tle błękitu szybują sępy płowe. Jakież potrafią być ciche! Do tego miejsca nie dociera żaden dźwięk tylko szum potoku Saure z głębokich czeluści.

Trawersuję zbocze ku północnej grani, skąd oglądam panoramę doliny biegnącej na północ ku Jang, a potem wracam wolno na dół. Phu-Tsering daje mi ciepłe chapatis i gorącą wodę do umycia się w zimnym słońcu. Na koszuli dyndają mu amulety, ale chowa je szybko, zażenowany, kiedy o nie pytam; dostał je od swojego lamy, mamrocze, czując się o wiele różnie, kiedy pokazuję mu, że ja także noszę „amulet”, talizman dany mi przez mistrza zen, rosiego Soena, „mojego lamę w Japonii”. Podziwia gładkie wnętrza pestki od śliwki, w którym miniaturowym piśmie umieszczono całą dziesięciowierszową sutrę, i jest wstrząśnięty, kiedy mu mówię, że sutra sławi najczcigodniejszego ze wszystkich mistycznych wcieleń Buddy, zwanych bodhisattwami, którego on, Phu-Tsering, zna pod imieniem „Chen-resigs” (dosłownie: sPyan ras zgigs), i który jest Boskim Opiekunem Tybetu i adresem frazy OM MANI PADME HUM. W japońskiej sutrze wypisanej na pestce ten bodhisattwa występuje pod imieniem Kanzeon lub Kannon (w Chinach Kuan Yin; w południowo-wschodniej Azji Quon Am). Hindusi zwą go Padmapani, a w sanskrycie występuje jako Awalokiteśwara, „Pan spoglądający w dół” (ze współczuciem). Jak wszyscy bodhisattwowie Awalokiteśwara reprezentuje „boskie wnętrza” będące celem poszukiwań mistyków wszystkich religii i jest również nazywany „Panem oglądanym od wnętrza”.⁷

Jak większość dobrych buddystów Phu-Tsering śpiewa OM MANI PADME HUM codziennie i w chwilach stresu; objawia również lęk wobec demonów i boi się ciemności. Pewnej nocy we wschodnim Nepału idąc za G. S. śpiewał tę mantrę tak bezustannie, że G. S. miał ochotę zrzucić go ze skały. Ale wierni wierzą, że każde bóstwo wezwane swoją mantrą skłania się ku wyznawcy z życzliwą uwagą, a ponieważ OM MANI PADME HUM adresowane jest do Wielkiego Litościwego Chen-resiga, te słowa można znaleźć wypisane na kamieniach modlitewnych, młynkach, flagach i zwykłych skałach w całych buddyjskich Himalajach.

Wymawiana w Tybecie: „Om ma-ni pej-mej hang” ta mantra może być przetłumaczona jako: Om! Klejnot w sercu lotosu! Hum! Głębokie, donośne Om oznacza wszystkie dźwięki i całą ciszę wszechczasów, huk wieczności i wielki spokój czystego bytu; zaintonowane z odpowiednią wibracją zwraca się do Tego, co niewyobrażalne i niewysłowione. Mani oznacza „nieskazitelny diament” Próżni - odwieczną, czystą i niezniszczalną istotę bytu poza wszelką materią czy nawet antimaterią, wszystkie zjawiska, wszystkie zmiany i wszystkie stany; Padme - w lotosie - to świat zewnętrzny, samsara, odsłaniający wraz z duchowym doskonaleniem ukryty pod liśćmi iluzji mani - klejnot nirwany, który nie leży gdzieś w oderwaniu od codziennego życia, ale w samym jego sercu. Hum nie ma dosłownego znaczenia i jest różnie interpretowane (jak i cała ta wielka mantra, o której napisano wiele tomów). Może jest to po prostu rytmiczny dodatek kończący mantrę i inspirujący śpiewaka, deklaracja istnienia, wszechbytu, której symbolem był gest Buddy, kiedy dotknął ziemi w chwili Oświecenia. To jest! To istnieje! Wszystko, co kiedykolwiek było, jest lub będzie, jest tu w tym miejscu i w tym momencie! Teraz!

Idę brzegiem kanionu i siadam na skale. Na północy ośnieżone stożki wznoszą się ku niebu, a białe połacie pną się ku ciemnemu błękitowi na wysokim horyzoncie. W miejscu, gdzie Saure wpływa do swego wąwozu, sterczy pionowa i groźna ściana, na której plamy śniegu i cienia tworzą niesamowity deseń. W tej pustce i ciszy ośnieżonych gór szybko osiąga się stany świadomości, jakie występują przy wyciszeniu umysłu podczas medytacji i niewątpliwie ma na to wpływ również wysokość, bo moje oczy widzą świat w formie stałej lub płynnej, jak wola. Ziemia drga, a góry migoczą, jakby wszystkie cząsteczki uwolniły się ze swojej struktury; błękitne niebo dzwoni. Może to, co słyszę, to muzyka „sfer niebieskich”, to, co Hindusi nazywają oddechem Stwórcy, a astrofizycy „westchnieniem” słońca.

Kładę przed sobą na kamieniu wydrążoną pestkę śliwki z mikroskopijną inskrypcją do „Pana oglądanego od wnętrza”:

Kanzeon! Chwała Buddzie! Jesteśmy zjednoczeni z Buddą, Poprzez przyczynę i skutek związani ze wszystkimi Buddami. Z Buddą. Dharma, Sangha. Nasza prawdziwa natura bodhisattwów jest Wieczna. Radosna, Bezinteresowna i Czysta. Śpiewajmy więc co rano Kanzeon, z Nen! I co wieczór Kanzeon, z Nen! Nen, Nen wypływa z Umysłu. Nen. Nen jest nierozłączne z Umysłem.

Kanzeon to Kannon albo Awalokita. Przyczyna i skutek to Karma. Dharma to wielkie koło Uniwersalnego Prawa wprawione w ruch przez Buddę Śiakjamuniego, a Sangha to społeczność uczniów Buddy, obecnych i przeszłych. „Wieczna, Radosna, Bezinteresowna, Czysta” to cechy nirwany, w której stan snu, wielość samsary, przechodzi w Przebudzenie, w Jedność.⁸ Nen to skupienie bacznej, wytężonej uwagi na teraźniejszości, jakby chwila obecna miała być ostatnia. „Umysł” to Umysł Uniwersalny, którego częścią są poszczególne dusze, podobnie jak fale są częścią morza; fale nie tworzą się z wody, one są wodą w ulotnej formie, która nie jest taka sama jak całość, a jednocześnie niczym się od niej nie różni.

W listopadzie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku uczestniczyłem w weekendowej medytacji w nowojorskim zendo. Całodzienna medytacja w pozycji lotosu

bywa męcząca, toteż D., która od dwóch miesięcy cierpiała na dziwne bóle, postanowiła ograniczyć się do sesji niedzielnej. W sobotę wieczorem, kiedy wróciłem do domu, otworzyła mi drzwi uśmiechnięta i bardzo ładna w nowej brązowej sukience. Ale może ponieważ od brzasku oddawałem się medytacjom i miałem czysty umysł, od razu zobaczyłem, że ona umiera i pewność tego przeświadczenia tak mną wstrząsnęła, że musiałem udać nagle potrzebę i bezceremonialnie przepchnąć się do łazienki, aby dojść do siebie i móc wydobyc głos.

W niedzielę przed świtem, podczas porannej modlitwy, D. znalazła się dokładnie naprzeciw mnie, kiedy siedzieliśmy w dwóch długich rzędach zwróconych twarzą do siebie - przypadek mało prawdopodobny, którego teraz nie uważam za zwykły zbieg okoliczności. Przygnębiony wczorajszym przecuciem, zdjęty żalem i troską, że ten dzień może zbyt ją zmęczyć, śpiewałem sutrę Kannon z taką furją, że „zatraciłem się”, zapomniałem o sobie - co właśnie jest celem sutry, śpiewanej po japońsku, raz za razem, z rosnącą intensywnością. Na końcu Sangha wydaje potężny okrzyk, który odpowiada OM! - po czym następuje nagle cisza, jakby wszechświat zamarł w bezruchu. I tego ranka, niemalże w ciemności - świeczka na ołtarzu stanowiła całe oświetlenie długiego pomieszczenia - w milczeniu głuchym, jak milczenie tych osnieżonych gór, cisza, którą wciągałem wraz z oddechem, rozrosła się we Wszecchobecność wielkiej łaskawości, której sam byłem częścią: w moim opisie tego dnia, na próżno szukając słów na określenie tego zjawiska, nazwałem je „Uśmiechem”. Ten „Uśmiech” wyrastał ze mnie, wypełniał całą przestrzeń nade mną i poza mną, niczym wielki cień mojej własnej natury Buddy, która była teraz drobiną bez wagi, uniesioną na dłoni samej istoty Buddy, tego odwiecznego przedłużenia mnie samego. Bo to ja się uśmiechnąłem; Uśmiech był mną. Wstrzymałem oddech, mogłem się nie rozglądać: „To” było wszędzie. W moim napięciu nie było strachu, czułem się „dobry” jak „grzeczne dziecko” i całkowicie bezpieczny. Rany, niezagojone blizny, czułe miejsca - wszystko zniknęło, wszystko było uleczone, moje serce leżało w samym sercu Stworzenia. Wypuściłem oddech i z rozkoszą zanurzyłem się w tę Wszecchobecność, w tę spokojną przynależność, tak obezwładniającą, że lży ulgi popłynęły mi z oczu, tak obezwładniającą, że nawet teraz, kiedy piszę, na próżno starając się znaleźć lepsze określenie niż „Uśmiech” czy „Wszecchobecność”, pamięć o tym wciąż mnie poraża. Po raz pierwszy od czasów zapomnianego dzieciństwa nie byłem sam, nie istniało osobne „ja”.

Ten stan Buddy powoli się rozwiewał, starałem się jeszcze przekazać jakoś swoją wdzięczność, poinformować „To” o D., ale po chwili zrezygnowałem, z radością uzmysłowiwszy sobie, że to niepotrzebne, nic nie trzeba wyjaśniać, wszystko jest już od zawsze i na zawsze wiadome i nawet śmierć D. jest rzeczą właściwą. Dwa tygodnie później, kiedy opisywałem to przeżycie rosiemu Eido, sam się zdumiałem (ale nie rosi, który zaledwie skinął głową składając lekki ukłon) swoim spontanicznym wybuchem łez i śmiechu, lecz te lzy padały lekko i pogodnie jak deszcz w promieniach słońca.

Do prawdy w naukach zen dochodzi się intuicyjnie, nawet jeśli się nie wszystko z nich rozumie; intuicja stała się wiedzą, nie poprzez swoją wartość, ale - jak się zdaje - poprzez stan łaski. Ten stan łaski, który wziął swój początek owego wczesnego ranka w zendo, przetrwał całą zimę, kiedy umierała D. Ogarnął mnie wewnętrzny spokój, dzięki któremu wiedziałem dokładnie, co i jak należy robić, nie tracąc energii na niezdecydowanie czy żale;

i najwyraźniej ta moja pewność nikogo nie razila, może dlatego, że nie wchodziło tu w grę moje ego, tym, kto tak postępował, nie byłem „ja”. Kiedy opowiedziałem rosiemu, jaką czułem w sobie gotowość i siłę, a nawet rodzaj szalonej egzaltacji, rzekł: „Przewyciężyłeś się”. Myślę, że chciał przez to powiedzieć: „Przewyciężyłeś swoje ego”, a wraz z nim smutek, strach i wyrzuty sumienia. Jak przebudzony ze złego snu ciężącej mi przeszłości, poczułem się rozgrzeszony i to nie tylko przez D., ale i przez siebie samego, i to przebaczenie uderza mnie do dziś jako największe błogosławieństwo mojego życia.

Podczas tych ostatnich miesięcy czuliśmy, że zawsze była między nami miłość, błyskającą pośród fal jak odbicie księżycy w przypowieści zen; i ta miłość przeobraziła okrutną i straszną twarz raka. Pewnego dnia, wiedząc, że umiera, D. powiedziała: „Czy z nim dziwne? To jeden z najszcześniejszych okresów w całym moim życiu”. A kiedy indziej spytała mnie nieśmiało, co by było, gdyby nagle ozdrowiała - czy nadal byśmy się kochali i zostali razem, czy też znów powróciłyby stare żale i wszystko popsuly? Odpowiedziałem, że nie wiem. Staraliśmy się być wobec siebie uczciwi, a poza tym D. i tak nie dałaby się oszukać. Wzruszyłem bezradnie ramionami, ona mrugnęła i oboje roześmialiśmy się. Przynajmniej w tym momencie naprawdę zrozumieliśmy, że to nie ma znaczenia, nie dlatego że ona umiera, ale dlatego że cała prawda, która ma znaczenie, jest tu i teraz.

Po śmierci D. zastanawiałem się, czy zawładnie mną widmo wyrzutów sumienia. Tak się nie stało. W najczarniejszych chwilach pustych miesięcy, które nastąpiły, miałem w sercu spokój i ciszę, jakby cała zła karma przeszłości rozplynęła się tamtego wczesnego listopadowego poranka.

Wobec Wszechebności, która przygotowała mnie na śmierć D., byłem przepelniony wdzięcznością, zupełnie różną od tej, którą czułem dla rosiego Eido, dla D., dla pomocnej rodziny, przyjaciół i dzieci. Co nie znaczy, że byłem wdzięczny samemu sobie, jednakże nieuchronnie nasuwało się pytanie: gdzie był ten bezbrzeżny Uśmiech, jeśli nie we mnie? Śpiewając wtedy w rozpaczy sutrę Kannon wzywałem Awalokite, ale nie zwracałem uwagi na słowa, tylko na D., która siedziała w szeregu postaci Buddy naprzeciwko. Trudno więc było identyfikować Awalokite z tą Wszechebnością, chyba że był On również D. i również mną - krótko mówiąc, jak ujął to Meister Eckhardt: „Oko, którym widzę Boga, jest okiem, którym Bóg widzi mnie”. Albo Jezus Chrystus: „Ja i mój Ojciec to jedno”.⁹ Z pewnością ci chrześcijańscy mistycy mówili o „Panu oglądanym od wnętrza”.

W owym roku byłem świeżo upieczonym adeptem zenu, który niczego podobnego nie oczekiwał, i minął niemal drugi rok, zanim jakaś uwaga bardziej doświadczonego ucznia nie uświadomiła mi, co zaszło. Poszedłem do rosiego Eido, który to potwierdził. Ale „kusho” czyli „satori” nie jest miarą oświecenia, gdyż wgląd w swoją „prawdziwą naturę” może mieć różny stopień głębi i trwałości: czasem może przeistoczyć całe życie, a kiedy indziej posłać jedynie zwodnicze błyski, które „wkrótce z pewnością rozwieją się jak mgła”.¹⁰ Nie wystarczy przedziurawić palcem ściany trzeba jeszcze, aby runęła z wielkim hukiem! Moje własne doświadczenie było przedwczesne i moc powoli ze mnie uchodziła, miesiąc po miesiącu. To mnie martwiło, ale rozumiałem, że dopiero wstąpiłem na ścieżkę; gdyby nie przełom z D., który przebił czterdziestoletnie zaskorupienie, mógłbym nigdy nie doświadczyć takiego przeżycia; wielkie oświecenie przychodzi jedynie poprzez, głębokie „samadhi”. Właśnie w tym okresie przyszło zaproszenie do podróży w Himalaje.

Wiatr nagania ruchliwe, pierzaste chmurki od wschodu, które rzucają cień na śnieg. Tuż obok mnie siada pleszka, żeby poplądrować w mchu, za nią nadciąga stado czerwonych zień. Siedzę absolutnie bez ruchu, ale nagle zrywają się do lotu w obłoku szarego kurzu, odwracam więc głowę, chcąc zobaczyć, co je przestraszyło. Na skale nie opodał, nie dalej niż dziesięć metrów, rysuje się na tle gór sylwetka jastrzębia; siedzi skulony w blasku zachodzącego słońca, a wiatr rozwiewa mu pióra na szyi, zaraz jednak zrywa się i daje nura w głąb wąwozu za niewidzialną zdobyczą. Teraz zbliża się wielki orłosep brodaty, złotogłowy i czarnoszyi: dwuipółmetrowa strzała nadlatuje od północy i ginie w cieniu między skalami. Przy zakręcie rzeki, w rogu między skalnymi ścianami, późne słońce lśni na zielonej murawie, jakby w tej nieprzeniknionej przepaści daleko w dole leżał inny, zaginiony świat. Wielki ptak szerokim łukiem okrąża ścianę, światło błyszczy mu na piórach. Po chwili już go nie ma, i słońca też nie ma, murawa znika, a wraz z zapadnięciem zmroku robi się zimno.

Siedzę jeszcze przez jakiś czas obserwując, jak światło wznosi się ku szczytom. Przez głaz za moimi plecami przebiega drzenie, tak nieznaczne, że przy innej okazji mogłoby ująć mojej uwagi. Wstrząs powtarza się - ziemia daje mi kuksańca. Ale wcale nie jestem mądrzejszy.

17 PAŹDZIERNIKA

Jang-bu zamierzał wrócić dzisiaj przed południem, może mieć jednak kłopoty ze znalezieniem tragarzy. Zamiast czekać jeszcze jeden dzień, G. S. i ja sami przeniesiemy dwa ładunki przez przełęcz Jang, a Phu-Tsering i Bimbahadur zaopiekują się resztą. Niedobrze by było dać się zaskoczyć przez burzę w tej wysokości wśród śniegów położonej dolinie, bez drewna na opał i z chorymi, źle wyekwipowanymi tragarzami, ale zadymka wydaje się mało prawdopodobna: zeszłej nocy niebo było tak czyste, że Droga Mleczna wznosiła się w srebrnej poświacie prosto ze śniegów, a świt już po raz trzeci z rzędu był bezchmurny. Koniec monsunu, spóźniony o dwa tygodnie, wreszcie nadszedł.

Wyruszę wcześniej rano, wspinając się ku słońcu. Do tej pory nieśliśmy tylko plecaki, zostawiając swoje książki i ciężki sprzęt innym. Dzisiaj oprócz do pełna wyładowanych plecaków bierzemy śpiwory, namioty i żywność, a G. S. jeszcze swoją lunetę i aparat fotograficzny.

Na pierwszej grani odwracam się, łapiąc oddech, żeby po raz ostatni popatrzeć na wąwóz Saure; czuję absurdalną tęsknotę za tą zieloną murawą pod ciemnymi skałami, gdzie już w tym życiu nigdy nie dotrę. Idę szybko naprzód chcąc dojść jak najwyżej, zanim słońce stopi śnieg, przekraczam potok oblodzonych głazów, wspinam się dalej. Łatwo mi podążać szlakiem przetartym w śniegu przez tarakotańczyków i Jang-bu, wysoki ładunek chroni mi głowę przed wznoszącym się słońcem, a buty skrzypią uspokajająco na szreni. Wkrótce ścieżka wchodzi w długą białą dolinę, która wznosi się do Jang La. Jakże to wydaje się dziwne, że granatowe niebo jest o tyle ciemniejsze od gór! Tego ranka księżyc wisi w wycięciu między białymi szczytami na południu. Wyraźny trop lisa podąża za odbitymi w śniegu śladami głuszca ku trzem stawom wyglądającym jak trzy czarne lustra. Te nie zamarnięte stawki to źródła potoku, który płynie pod śniegiem i z wysokiej skały wpada do Saure.

Daleko w dole, pośród migotliwych odbłasków śniegu i ciemnych smug strumienia, który gdzieś wydobrywa się spod lodu, podąża za mną przez rozległe połacie gór surrealistyczna postać, bardzo do mnie podobna. Przechodzi przez lśniące głązy i sunie naprzód wolnym, złowieszczym krokiem. Widok tej postaci wywołuje jakieś złe przeczucie, jakby to była jaźń ze snów, która szuka mnie z nadchodzącym dniem w czarnym labiryncie rzeki, w martwej bieli.

Na tej wysokości biel jest gęsta i cicha, słychać tylko nikły szmer skutych lodem strumyków. Księżyc spoczywa na białym półksiężycu. Wszystko wokół jest nieruchome, idę w prześwieconym słońcem śnie, a wiatr strząsa iskrzący się śnieg ze skalnych ścian.

Z wierzchołka, nad którym latają wronczyki, wyrasta nagle, niczym człowiek, niewielki kopczyk. Jeśli to już Jang La, to pogłoski o przeraźliwych trudach były przesadzone. „Jang” znaczy zielona, zapewne dlatego, że jest rzadko pod śniegiem, a „La” to przełęcz - albo raczej bóstwo czy też strażnik przełęcz, który może, ale nie musi przepuścić przez nią podróżnika. Kopczyk oznaczający to miejsce to nic innego jak kupka kamieni z wetkniętymi patykami i chorągiewkami, na którym dla przejednania górskich bogów jakiś

podróżny położył dwie czaszki „na”. Północna ściana kopca jest pod śniegiem i w dół północnej strony przełęczy śnieg schodzi nieprzerwanie aż do linii drzew. G. S., dogoniwszy mnie na wierzchołku, odczytuje cztery tysiące sześćset metrów na swoim wysokościomierzu, który ma dokładność do trzydziestu metrów. W Katmandu powiedziano nam, że przełęcz leży na wysokości pięciu tysięcy dwustu metrów. Podobnie wódz tarakotańczyków zapewniał nas, że z obozowiska w Saure przez Jang La do granicy lasu idzie się co najmniej siedem godzin; my, z pełnym obciążeniem, bez trudu pokonamy tę odległość w cztery godziny. Co prawda wyruszyliśmy dość wcześnie, żeby łatwiej się szło po twardym śniegu, podczas gdy tubylcy wolą wlec się kilka godzin dłużej w mokrej papce, niż zwinąć obóz, zanim wzejdzie słońce.

G. S. rozprawia radośnie o wolności, jaką daje niesienie własnego bagażu, o byciu niezależnym od „dziecinnych ludzi, którzy całe życie mieszkają w górach, a nie zasłonią oczu na śniegu paskiem materiału z otworami. Czy zdajesz sobie sprawę, że moglibyśmy zupełnie nieźle dać sobie radę przez tydzień z tym, co mamy na plecach?” Zdaje sobie sprawę i też jestem szczęśliwy patrząc na niego, jak kroczy w dół zbocza; poczucie samowystarczalności, podróżowanie bez nadmiernego bagażu, bez tragarzy daje człowiekowi radość i energię. Prostota to cały sekret dobrego samopoczucia. („Nie potrafiłem się uprościć” - wyjaśnienie samobójcy Niezdanowa.11) Jang La jest już za nami, moje płuca przyzwyczyły się do rozrzedzonego powietrza, moje twarde buty zaczynają okazywać pewne oznaki rozchodzenia. Idąc teraz rozluźnionym krokiem w dół, cieszę się widokiem odległego cienia, który wskazuje głęboki wąwóz rzeki Bheri. Za Bheri strome góry wznoszą się ku śnieżnym szczytom Kanjiroba Himal; po drugiej stronie tych dalekich szczytów leży Kryształowa Góra.

Wolność, swoboda nie wiadomo dlaczego myślę o dziewczynie, z którą rozmawiałem kilka lat temu w sklepie żeglarskim, gdzie kupowała linę. Następnego dnia wraz z młodym mężem i przyjacielem Anglikiem uniosła się w balonie z farmy na Long Island, machając na pożegnanie wiwatującemu tłumowi i kierując się na wschód z zamiarem dotarcia do Anglii nad Oceanem Atlantyckim. Nikogo z tej trójki więcej nie ujrano. I w tym momencie czuję się poruszony, nie tyle zaginięciem dziewczyny (co nie było tragedią, tylko śmiałą próbą, która się nie powiodła), ile nazwą, jaką nadali swojej wielkiej przygodzie - balon zwał się „Wolne Życie”. Może podróżnicy balonem rozumieли „wolne życie” podobnie jak pewien alpinista: „Góry były naturalnym polem działania, gdzie igrając na granicy życia i śmierci znaleźliśmy wolność, której szukaliśmy po omacku i która była dla nas niezbędną jak powietrze”. Ale ten sam alpinista, kiedy omal nie stracił życia, zupełnie inaczej pisał o „wolności”: „Zrozumiałem, że lepiej jest być szczerym niż silnym... Zostałem uratowany i odzyskałem moją wolność. Za wolność, której już nigdy nie utracę... daje mi rzadką radość kochania tego, czym przedtem gardziłem. Otwiera się przede mną nowe i wspaniałe życie”.12 To jest bliższe mojej idei wolności - możliwość i perspektywa „wolnego życia”, beztroskiego podróżowania bez uniesień, ale i bez uczucia pogardy, ze spokojną akceptacją wszystkiego, co mnie spotyka. Jestem wolny, bo się przed niczym nie bronię, wolny nie w sposób niedojrzały, nieuznający zakazów, ale wolny w sensie określanym przez buddystów tybetańskich mianem „zwarowanej mądrości”, a przez Camusa „skokiem w absurd”, który się zdarza w ramach życiowych ograniczeń. Absurdalność życia, które się może skończyć, zanim się je zdoła zrozumieć, nie zwalnia człowieka z obowiązku (wobec tej cząstki siebie, która jest nierozłączna z wszechbytem) przeżycia swych dni odważnie i godnie.

Ogarnia mnie ogromna wdzięczność za to, że tu jestem, że w ogóle jestem, bo nie ma potrzeby wiązać się z ośnieżonymi górami, aby poczuć się wolnym. Nie jestem tu po to, żeby szukać „zwariowanej mądrości”, a jeśli tak, to nigdy jej nie znajdę. Jestem tu po to, aby tu być, jak te skały, niebo i śnieg, jak ten grad padający prosto ze słońca.

Trzask! Mój kij robi niebieską dziurę w śniegu.

Wzdłuż lśniącej powierzchni zbrocza wieje wiatr, zimny wiatr od Jang. Zaszuszone śniegi przywarła do lodu, obok gąsienica, która wiedziona jakimś niejasnym instynktem przypełzała tu z dołu. Ale w tym mroźnym zakątku nie ma ptaków, które by je zjadły. Kopczyk kamieni, zdradziecko okryty śniegiem, wykrzywia mi nogi w kostkach. Później szlak okrąży górę i schodzi z królestwa zimy w królestwo jesieni, gdzie brązowe jerzyki trzepoczą skrzydłami nad złotym lasem w pogoni za ciepłymi owadami. Jak nachur skaczą przez płaty śniegu i czerwone pęki kwiatów.

G. S. przy ścieżce wpatruje się w wysokie lodowce na Dhaulagiri, której skrajem wiedzie nasza droga na północ.

- Popelniliśmy błąd ruszając się z miejsca - mówi. - To wcale nie jest środowisko dla błękitnych owiec.

Martwi się też, że nie spotkaliśmy Jang-bu, i jemy posiłek w milczeniu. Ale ledwo wyruszamy w drogę, Jang-bu pokazuje się w dole na szlaku. Szczęśliwie się złożyło, że wzięliśmy nasze bagaże, bo nie ma z nim nowych tragarzy tylko Tukten, Gyaltzen i śpiewający młody Tamang imieniem Karsung - jedyni, którzy czuli się wystarczająco dobrze, żeby dzisiaj wracać. Zmęczeni wczorajszą wędrówką, wyszli z Tarakot dość późno niosąc drewno na opał, grube zielone krążki gryczanego chleba i manierkę araku. Czujemy nasze spotkanie na słonecznym stoku i po chwili ich wesoła gromadka wspina się dalej ku Jang La. Jest już po południu, do Saure dotrą po ciemku, w śniegu i przy świetle gwiazd.

W doskonałych humorach schodzimy przez górskie pastwiska do suchych zboczy porośniętych dębem i sosną. W dole widać dolinę Bheri, biegnącą zygzakami z ciemnych kanionów na północy i wschodzie. Rozbijamy obóz na słonecznym występie, w pobliżu ocienionego strumienia; świerki, jodły i sosny rosną tu w zgodnej harmonii.

Przed zapadnięciem zmroku gotujemy ryż przy ognisku. Potem wspinam się na wzgórze, siadam pod sosną i obserwuję gwiazdy zapalające się nad Tybetem. Jasny, czerwono-złoty Mars wschodzi szybko nad pogrążonym w nocy śniegiem na północnym wschodzie. Jaki jest wyraźny! Jaki bliski!

Z głębi czarnego igliwia pohukuje sowa.

Uhuuuuu!

18 PAŹDZIERNIKA

Wstałem przed świtem i rozpalam ognisko. Woda gotuje się, kiedy słońce rozżarza szczyty i już w jego promieniach jem śniadanie składające się z gorącej herbaty i owsianki. Orzechówka hałasuje w gałęziach sosny, a wkrótce do doliny nadciągają wrony; kracząc chowają się wśród długich, lśniących igieł, a potem odważnie zlatują i spacerują w ciepłym zapachu żywicy, skrobiąc pazurkami po korze powalonych drzew.

Ponieważ Jang-bu nie może dotrzeć do Tarakot przed wieczorem, mamy mnóstwo czasu. Chodzę boso po trawie, uroczyście rozkładając swój ekwipunek: dzisiaj, po raz pierwszy od tygodni, wszystko doschnie wielkie wydarzenie w życiu każdej wyprawy. Później wieszam na kiju plecak i siadam opierając się o stok, z twarzą w chłodnym cieniu, a z ramionami i brzuchem w gorącym słońcu.

Igiełki sosen tańczą w lekkim powiewie na tle trzech białych siostrzanych szczytów na północnym zachodzie. Siedzę w milczeniu, zatopiony w palącym brzęczeniu górskich pszczoł. Szmaragdowy motyl siada mi na kolanie, żeby osuszyć sobie skrzydełka, złote skrzydełka z czarnymi cętkami na wierzchu i białymi kropkami pod spodem. Mroźne powietrze przecinają prażące promienie słońca.

W tym przejrzystym himalajskim powietrzu góry podchodzą coraz bliżej i wobec takiego przepychu ły same napływają mi do oczu i chłodzą spalone słońcem policzki. To nie zwykły sentymentalizm ani też niemądre zachowanie spowodowane dużą wysokością.

Podczas tych tygodni wolnych od wszelkich niepokojów - poczty, telefonu, ludzi i ich potrzeb - mój umysł wyciszył się i reaguje na świat w sposób spontaniczny, bez skrępowania i samoograniczeń. Mimo, wszystko to poczucie jest zdumiewające: nie tak dawno temu mogłem zgodnie z prawdą powiedzieć, że od dwudziestu lat nie uroniłem ły.

Wczesnym popołudniem schodzimy przez podgórskie, pastwiska do Tarakot, skupiska wiosek leżących tarasowo wysoko nad górą Bheri, u zbiegu rzeki Tarap z pomniejszych strumieniami spływającymi z Dhaulagiri. W czasach zanim Gurkowie utworzyli państwo Nepal, ten średniowieczny zakątek był stolicą starego królestwa Tichu-Rong (po tybetańsku: Dolina Pachnących Wód) i jest do dziś znany swoim mieszkańcom jako Dzong (Forteca). Widziane z góry, w rozrzedzonym powietrzu, Tarakot wydaje się nie całkiem realne; słońce jest zbyt łagodne, zbyt złociste, a cień zbyt czarny, jak na iluminowanych inicjałach w jakimś starym rękopisie.

Na wzgórzu nad Tarakot stoją wysokie pale ukoronowane symbolami słońca, księżyca i ognia; brązowe, białe i szare tybetańskie kuce pasą się pomiędzy białymi flagami modlitewnymi, które powiewają napisem OM MANI PADME HUM w jesiennym wietrze. (Czy to flaga się rusza? Czy to wiatr? Ani jedno, ani drugie - odpowiedział Hui-Neng, szósty patriarcha buddyjski Ch'an w Chinach: To wasz umysł. To stwierdzenie szóstego patriarchy jest po dziś dzień bardzo cenione zarówno przez rosich zen jak i przez tybetańskich lamów).

Ścieżka wije się pomiędzy poletkami ziemniaków i tarasami czerwonej gryki. Pod okapem samotnej chaty barwny fresk w kolorach niebieskim, złotym, zielonym i czerwonym przedstawia siedem postaci Buddy w symbolicznych pozach, które wyobrażają wyidealizowane aspekty życia Śiakjamuniego. Te aspekty Buddy, „niebiańscy Buddowie”, bodhisattwowie i inne wcielenia Buddy mają wszyscy nadane osobne imiona i atrybuty; a tu, w tych himalajskich wioskach, chaotyczna z natury ikonografia buddyjska jest dodatkowo skomplikowana poprzez fakt, że wszędzie i niemal od początku buddyści woleli przyjąć i uznać lokalne bóstwa niż tępić stare religie, toteż nawet najbardziej złośliwy demon mógł zostać wyświęcony na „Obrońcę Dharmy”. Później, w pierwszych wiekach po śmierci Śiakjamuniego, pewne nauki jogów zaczerpnięte z Wed stały usystematyzowane w ezoteryczne traktaty, zwane tantrami (czasem twierdzi się, że są one Piątą Wedą) i tantryckie wpływy tych jogistycznych kultów przyczyniły się do utworzenia żeńskich odpowiedników mądrości, czyli prajny, dla każdego z dostatecznie już licznych demonów i bóstw. Awalokita, na przykład, dostał żeński odpowiednik imieniem Tara; jako miłosierna wybawicielka Tara zyskała taką sympatię, że na niektórych terenach Ona była bardziej popularna niż On. Kuan Yin, jak nazywają Awalokitę w Chinach, jest wyraźnie żeńskiego rodzaju, podczas gdy japońskiemu Kannonowi nie przypisuje się żadnej płci, albo obie. Już w szóstym wieku naszej ery tantrycki kult energii żeńskich dominował zarówno w hinduizmie jak i w buddyzmie mahajany, i właśnie tantrycką formę buddyzmu przeniesiono na północ, do Tybetu.

Według tradycji to pewien niezwykle naljorpa zwany Padma Sambhava, czyli Urodzony w Lotosie, zaprowadził w ósmym wieku buddyzm w Tybecie. Joginowie z północno-zachodnich Indii Kaszmiru, Gilgitu i Ladakhu przynieśli niektóre nauki do zachodniego Tybetu już przedtem, ale Padma Sambhava odrzucając starą religię bon osadził buddyzm na mocnych podstawach i wprowadził okultystyczne, jogistyczne tantry (odpowiadające jodze kundalini), z których kilka, jak głosi tradycja, powstało w zaginionym królestwie Shambala, „na północy”. (Sam Padma Sambhava też miał pochodzić z „północnego kraju” zwanego Urgan lub Udyana, który jest czasem utożsamiany z Shambalą, ale częściej z regionem na północ i wschód od rzeki Indus, gdzie jest teraz Afganistan). Przypisuje mu się także zasługi w opracowaniu Bardo Thodol czyli „Księgi Śmierci” jak również w założeniu Nyingmy, „Starej Sekty” tybetańskiego buddyzmu, która później przyjęła formy tantryckich praktyk, w oczach Zachodu wyglądające na dekadentkie i orgiastyczne. Mimo prześladowania czarowników bon, Padma Sambhava, zgodnie z buddyjską tradycją przyswajania lokalnych religii, tolerował, jak się zdaje, włączenie do Nyingmy wielu elementów magii z bon, wraz z ponurymi obrzędami „chód”, znanymi z pre-buddyjskich tybetańskich manuskryptów jako „Krople Serca z Ogromnej Przestrzeni”¹³. Obrzędy „chód” mogą być jeszcze starsze niż sam bon i wywodzą się z archaicznych praktyk składania ofiar i odprawiania egzorcyzmów. Najwyższa zaś postać Buddy w Nyingmie, zwana Samantabhadra, pochodzi od antycznego bóstwa, które jest zapewne bliskim krewnym takich wybitnych niebiańskich bogów jak Zeus, Jowisz i Dyans-Pita Ariów, z których wszyscy, jak się przypuszcza, mieli wspólnego przodka w kulturach Azji Środkowej.

W chińskim i japońskim buddyzmie przedstawia się zwykle tylko kilku bodhisattwów i historycznego Buddę-Śiakjamuniego, a już szczególnie sekta ch'an, czyli zen, odrzuciła większość ikonografii, chcąc utrzymać oszczędny, jasny, prosty styl; w swoich wysiłkach,

aby uniknąć fanatyzmu religijnego, a zachęcić do samodzielnego myślenia i wyrażania wątpliwości, zen czyni śmiały użytek ze sprzeczności, z humoru i braku szacunku, przyklaskując mnichowi, który spalił drewniany ołtarz Buddy, żeby się ogrzać. Buddyzm tybetański, z drugiej strony, wcieliwszy panteon hinduski i panteon bon, musi składać hołd nieskończonej ilości postaci i wcieleń Buddy, wedle rozmaitej - w zależności od sekty - hierarchii ważności. W takich odległych zakątkach Himalajów jak Tichu-Rong ludność nadal skłania się ku Nyingmie, z jej pozostałościami z bon; tutaj niebieskie bóstwo z wierzeń bon, które zostało królem na ziemi, użycza swych kolorów jasnego błękitu i śnieżnej bieli buddyjskim flagom modlitewnym. W tarakockiej stupie Samantabhadra i Padma Sambhava - tradycyjny założyciel Nyingmy - mają pierwszeństwo przed Buddą Siakjamunim.

Stupa to monument, świątynia i relikwiarz, który tradycyjnie wywodzi się z grobowca Buddy, ale stał się symbolem egzystencji. Na kwadratowej czerwonej podstawie (oznaczającej ziemię) spoczywa duża biała kopuła (woda) z rodzajem iglicy (ogień) zwieńczonej sierpem księżyca (powietrze) i tarczą słońca (przestrzeń); takie budowle strzegą wejścia do miast i wsi w całych buddyjskich Himalajach. Większe stupy może otaczać mur ozdobiony mandalami i ikonograficznymi malunkami: na wewnętrznej zachodniej ścianie tarakockiej stupy, na przykład, jest wymalowanych trzech bodhisattwów, a na zachodniej ścianie trzech Buddów. Jeden to Budda z zeszłych wieków (Dający Światło, Dipankara), drugi to Budda historyczny (Siak jamuni), a trzeci to Budda, który nadejdzie (Majtreja, istnieje teraz jako bodhisattwa, ale w przyszłym wieku narodzi się jako Budda).

Mówiący po tybetańsku mieszkańcy Tarakot to nie Bhotyjczycy, ale Mangarowie, którzy dawno temu przywędrowali z rzecznych dolin, a później przyjęli buddyzm; albo może uciekinierzy przed świętymi wojnami muzułmańskimi, które w dwunastym wieku wytepiły buddyzm w Indiach. Budynki w miasteczku są kamienne, o płaskich dachach, i każdy stanowi kilkupiętrową fortecę zwieńczoną flagami modlitewnymi. Kobiety noszą mosiężne kolczyki plemion nizinnych i pasiaste koce plemion górskich, a mężczyźni również nie mają jakiegoś określonego stroju; najbiedniejsi ubierają się jak tybetańscy pasterze, a wódz, którego spotkaliśmy w górach na północ od Yamarkhar, nosił się jak Hindus z miasta.

Dawa i chorzy Tamangowie czekają na nas w domu wodza, który mimo że większy, jest typowy dla Tarakot. Na parterze znajduje się obora dla kóz, bydła i owiec, a jedyny dostęp do wyższych pięter stanowi wąska, stroma, wyciosana w bału drabina z podwórka strzeżonego przez złego psa na łańcuchu. Strop obory jest zarazem klepiskiem pierwszego piętra, które zamieszkuje większość domowników jak również młode kozłeta, jagnięta i kurczęta. Kurczęta biegają wolno, popiskując między mosiężnymi puszkami, zbiornikami na wodę i stertami drewna; w nocy trzyma się je pod odwróconymi koszami wiklinowymi, które za dnia służą do noszenia suchych ładunków na plecach. Drzwi wewnętrzne to dziury w ścianie dobrze powyżej poziomu podłogi (podobnie jak w mieszkaniach Anasazów z Mesa Verde i innych miejscowościach na amerykańskim południowym zachodzie), a same ściany zdobią duże, okrągłe, białe plamy; nieregularne drewniane okna wpuszczają niewiele światła nawet do zewnętrznego pokoju, a wewnętrzne izby są zupełnie ciemne. Krokwie okapu są wyrzeźbione na końcach w głowy zwierząt, z których zwisają owcze skóry, kalabasy, suszące się mięso.

Z tarasu na dachu obory inna drabina wiedzie na drugie piętro, gdzie kury i kurze lajno są niechętnie widziane. Tutaj suszą się na matach lub tkanych ręcznie kocach ciepłe kopczyki jęczmienia, kukurydzy, gryki, grochu, konopi i prosa; jakiś mężczyzna płosząc wróble zrzuca teraz w kął wielkie, żółte dynie. W tych jesiennych dniach przed nadejściem śniegów na wszystkich dachach Tarakot mieszkańcy rozkładają zimowe zapasy na słońcu, ustawiają stogi siana dla swoich zwierząt, gromadzą drewno na opał. Kiedy gryka jest już przewiana, plewy chowa się wraz z sianem na paszę. Po jednej stronie stoi wielka drewniana kadź sfermentowanego jęczmienia, z którego warzy się tutejsze piwo chang; wyloki idą dla bydła, by według odwiecznych zasad gospodarki nic się nie zmarnowało.

Nieśmiały Dawa, z oczami wciąż jeszcze podpuchniętymi, robi nam na powitanie herbatę, a Tamangowie zeskakują z mat, na których spali. Pirim (Pirimbahadur Lama; „Lama” to ich własna nazwa na „Tamang”) nieproszony biegnie do mojego plecaka i rozkłada mi do wysuszenia śpiwór, który właśnie dosechł tego ranka w górach; niemniej dziękuję mu serdecznie. Cieszy się, że nas widzi, i jest zachwycony, kiedy nazywam go lamą z udanym szacunkiem, jakby był moim guru. Reszta Tamangów kręci się wokół, na wpół oślepią, starając się na coś przydać. Późnym popołudniem nadciągają Szerpowie z Bimbahadurem, który salutuje sahibom w starym, pułkowym stylu, i natychmiast idzie spać.

Tarakot jest już pogrążone w cieniu, gdy tymczasem zbocze góry za Bheri, zwrócone na południe, leży w pełnym słońcu. W mroku kobiety zbierają ziarno do tkanych ręcznie worków, które składują w domu. Śnieżne szczyty zabarwiają się ognieście, a pogwizdujący chłopcy pędzą krowy, owce i kozy z górskich pastwisk. Kogut i szczekający pies, uderzenia kijów o twarde boki bydła, niemilknący wrzask miejscowej jędzy - to odgłosy jesiennego zmierzchu w każdej wiosce od stuleci. Ale Tarakot jest stolicą Tichu-Rong, toteż z posterunku policji dolatuje jeszcze mdła skrzecząca muzyka z małego radia o wyladowanych bateriach - pierwszy podobny dźwięk od połowy września.

- Nuta dwudziestego wieku w wieku siedemnastym - wzdycha G. S. z niechęcią równą mojej.

Koło siódmej radio milknie i gwar wioski zamiera. Leżymy na powietrzu, na dachu. Podczas naszej długiej wędrówki, chcąc ograniczyć ciężar bagażu, musimy oszczędzać cenną naftę i baterie do latarek, toteż noce nam się dłużej: jak miejscowa ludność chodzimy spać o zmierzchu i wstawamy o świcie.

Przez jakiś czas obserwuję nadejście nocy. Nietoperz popiskuje, gwiazdy wschodzą, a gdzieś po drugiej stronie ziemi pali się słońce. Wkrótce Mars ukazuje się nad ciemną szczeliną w północnych górach, gdzie rzeka Tarap wypływa z krainy Dolpo; w zacisznym ciepłe śpiwora wyciągam się pod okrągłą czaszą nieba. Nade mną wisi błyszcząca galaktyka dzieciństwa, przed zachodnim światem zakryta teraz zanieczyszczonym powietrzem i odbłaskiem sztucznego światła; dla dzieci moich dzieci siła, spokój i uzdrawiająca moc nocy będą czymś nieznanym.

Co jakiś czas budzę się i obserwuję spiralę nieba. Wschodzi Orion i Plejady. Spadające gwiazdy opadają łukiem w migocącej czarnej próżni wszechświata, a koło czwartej nad

ranem niebo przecina satelita, na szczęście niesłyszalny, jak sonda z innego świata, z odległego wieku.

Koń rzy.

Księżyc wisi nad Tybetem, a w południowych górach, nad Jang, znika planeta Mars. Ileż godności stracił księżyc, odkąd człowiek zostawił tam swoje nędzne śmieci, swoje wspaniałe pileczki golfowe! Ale zachował tajemniczość dla psów z Tichu-Rong, które wyją z nabożnym lękiem, ilekroć wschodzi, a potem dalej wyją na zmianę przez całą noc; gdy reszta wypoczywa, pies z sąsiedztwa peroruje do kosmosu przez całą godzinę. Mastiffy śpią przez większość dnia, a w nocy spuszcza się je z łańcuchów przeciwko wilkom i rabusiom; z braku takowych mogą rozprawić się z obcymi przybyszami. Nie śmiać zejść na ulicę, kiedy te bestie są na wolności, stosując się do lokalnego zwyczaju i oddając mocz w kurz uliczny, stojąc bladym świtem na brzegu dachu.

19 PAŹDZIERNIKA

O wschodzie słońca, jeszcze w śpiworach, dostajemy owsiankę od złotozębnego Phu-Tseringa; potem od jednego z przyjaciół Tuktena, których ten ma wszędzie, gdzie się pokaże, kupuję ręcznie tkany koc w pasy, wielobarwny, mocny. Tymczasem Jang-bu udało się zwerbować siedmiu tragarzy, toteż, jeszcze tego ranka opuszczamy legendarne Dzong.

Bimbahadur dalej z nami nie idzie. Stojąc na baczność, ze łzami w oczach, stary Gurkha salutuje nam z okrzykiem: „Sahib!” Nowe białe trampki i wełniane podkolanówki, ofiarowane mu przez G. S., podciągnięte wysoko na krótkich, powykręcanych nogach, nadają mu śmiesznie uroczysty wygląd, ale powyżej kolan jest ubrany w swój zwykły zlepek brązowych szmat i brudnych kocy. Odwraca się i rusza w górę zbocza, wspierając się ciężko na kij, z powrotem na południe poprzez błękitne wysokości Jang La i poprzez śnieg do swojej jaskini nad rzeką Seng, a potem do Yamarkhar i Dhorpatan, i na wschód do Kali Gandak.

Policjant w Tarakot, udzieliwszy nam nudnej i pompacyjnej audiencji, skierował nas do swojego zwierzchnika w Dunahi, najwyraźniej nie mając uprawnień, żeby samemu utrudnić nam życie. Nie czekając, aż się rozmyśli, wyruszamy w drogę, obierając ścieżkę, która schodzi prosto w dół poprzez tarasowe pola do Bheri. Na polach rosną cztery rodzaje prosopodobnego zboża, niezbyt nam znane, takie jakie mogli przed wiekami uprawiać mieszkańcy środkowego wschodu, których się uważa za pierwszych hodowców dzikich kasz. Dynie i fasola rosną tu w wielkiej obfitości, uzupełniam więc naszą monotonną białą dietę i przez całą drogę zrywam i jem surowe, czerwone ziarenka fasoli.

W pobliżu rzeki stado langurów wtargnęło na pole czerwonego prosa. Małp jest czterdzieści jeden, łącznie z sześcioma niesionymi małpiątkami; traktują dla zabawy rośliny, których nawet nie jedzą. Tukten wesoło krzyczy: „Ho, Diddi!” („Hej, siostrzo!”) i z ogrodu przybiega kobieta, płosząc małpy kamieniami. Długoogoniaste langury niespiesznie przenoszą się na skały, gdzie spokojne sadowią się, żeby nas obejrzeć. Są to duże, ładne, srebrno-brązowe stworzenia, jedno z najpiękniejszych naczelnych, z oszronionymi pyskami o wyrazie takiej obojętności, że wygląda to aż na pogardę - bardzo stosowny wyraz, przynajmniej dla przywódcy, który po objęciu kontroli nad stadem zwyczajowo zabiera się za systematyczne zabijanie wszystkich młodych, przywodząc w ten sposób samice do szybkiej rui i przygotowując je na uwiecznienie jego genów.

Langur jest zwierzęciem świętym dla wszystkich Hinduśców jako wizerunek małpiego boga Hanumana, langura też się najczęściej czyni odpowiedzialnym za ślady „odrażającego człowieka śniegu”, chociaż niedźwiedzie, śnieżne pantery, wielkolape ptaki i topniejący śnieg też mają swoich zwolenników. Od pół wieku, odkąd grupa brytyjskich alpinistów zobaczyła w wysokich śniegach na północnej ścianie Mount Everestu duże, dwunożne stworzenia zostawiające setki śladów, ye-teh, czyli yeti, spotyka się z burzliwym i nieprzychylnym przyjęciem ze strony zaniepokojonych naukowców ze wszystkich stron świata. Ale podobnie jak w przypadku sasquatcha z wielkich dżdzystych lasów na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku, dowody na nieistnienie yeti - czysto spekulatywne i z konieczności przypisujące głupotę lub fałsz wielu obserwatorom o jak

najlepszej reputacji - są jeszcze mniej „naukowe” niż dowody na jego istnienie. Fotografie i odlewy odcisków yeti są ze sobą zgodne - bardzo dziwna, szeroka stopa ssaka z rzędu naczelnych - podobnie jak opisy naocznych świadków, z których większość pochodzi z ludnego kraju Szerpów we wschodnim Nepalu.

Yeti jest najczęściej opisywany jako owłosione, czerwono-brązowe stworzenie z grzebieniem kostnym, który nadaje głowie spiczasty wygląd; jeżeli chodzi o wielkość, to mimo ponadnormalnego rozmiaru stopy (zupełnie niepodobnej do długiej łapy niedźwiedzia, której palce są mniej więcej symetryczne), porównywano go wzrostem do dorastającego chłopca, chociaż były też doniesienia o wyższych okazach. Po południowej stronie Himalajów nie ma brunatnych niedźwiedzi (*Ursos arctos*), a zarówno czarne niedźwiedzie jak langury są dobrze znane i łatwe do rozpoznania. Niedźwiedzie śpią w zimie, kiedy to najczęściej widuje się yeti (które w chudych czasach myszkują, jak się zdaje, w pobliżu klasztorów i wiosek), a większość śladów yeti jest o wiele za duża, żeby mogły je pozostawić małpy, nawet w topniejącym śniegu. Langury rzadko się widuje na śniegu i - jeśli już o to chodzi - yeti również: mogą pokonywać połacie śnieżne udając się na poszukiwanie żywności w wyższe rejony albo do sąsiedniej doliny, ale ich podstawowym miejscem zamieszkania muszą być zacienione lasy porastające niezliczone mrowie głębokich himalajskich kanionów, które są wyjątkowo nieogospodowane dla ludzi. Prawdę mówiąc, z punktu widzenia biologa, większość terenu Himalajów to wciąż *terra incognita*. Jak mówi G. S., prawie nic nie wiadomo o historii naturalnej śnieżnej pantery, a musieliśmy przecież odbyć dostatecznie długą drogę, żeby zdobyć podstawowe informacje o stosunkowo łatwo dostępnym naturze himalajskim.

W zeszłym miesiącu w Katmandu młody biolog, szef wyprawy badawczej w rejon doliny Arun we wschodnim Nepalu, pewnego wieczoru położył przed nami na stole duży gipsowy odcisk stopy ssaka z rzędu naczelnych: odlew zrobiono w śniegu przed jego namiotem pół roku temu.¹⁴ Ślady prowadziły w dół urwistego ośnieżonego zbocza do lasu w dolinie - zbyt strome, żeby biolog i jego koledzy mogli za nimi podążyć. Było rzeczą oczywistą, że jest mowa o „odrażającym człowieku śniegu” i czekałem, że G. S. wyrazi sceptycyzm. Ale on tylko skinął głową, ostrożnie wziął odlew, odwrócił go na drugą stronę i odłożył ze zmarszczonymi brwiami i skupioną miną. Najbardziej interesujące wydaje mu się, powiedział w końcu, podobieństwo tego śladu yeti do odcisku stopy górskiego goryla. A później wyjaśnił mi, że wcale nie była to z jego strony jedynie uprzejmość, że nie ulega dla niego wątpliwości, iż ten ślad zostawiło stworzenie nieopisane jeszcze przez naukę. Pomimo szyderstw swoich kolegów po fachu G. S. wierzył w istnienie tego stworzenia, odkąd alpinista Erie Shipton zrobił pierwsze wyraźne zdjęcia śladów yeti na Evereście w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku.

- Co najmniej dziewięćdziesiąt pięć procent materiału o yetim to bzdury - powiedział G. S. - ale na podstawie zdjęć Shiptona i niektórych innych dowodów jestem przekonany, że żyje tu zwierzę nieznanie nauce. (Mimo to wciąż ma wątpliwości na temat sasquatcha, którego istnienie uznał nie mniejszy autorytet w dziedzinie naczelnych niż profesor John Napier z Uniwersytetu Londyńskiego; natomiast Napier, z drugiej strony, nie wierzy w yeti, chociaż niepokoją go zdjęcia Shiptona.)¹⁵

Teorii, że yeti jest reliktem wczesnego człowieka, szukającym ucieczki w gęstych lasach

przed napływem *Homo sapiens*, który przypuszczalnie wytepił bardziej prymitywne hominidy, nie wspiera dziwna, zwierzęca stopa, plasująca je raczej bliżej sub-hominidów takich jak *Gigantopithecus* albo nawet bliżej małp człekokształtnych. Jednak setki fotografii i odlewów śladów sasquatcha ukazują bardzo duże, prymitywne odciski stóp z dużym palcem obok reszty palców, a nie oddzielnym jak u wszystkich innych znanych naczłonnych - odcisk stopy, jaki mógłby zostawić Australopitek, jeden z większych okazów praczlowieka. (To nasuwa interesującą możliwość, że sasquatch nie jest „nieznany nauce”, ale jak latimeria został przedwcześnie sklasyfikowany jako „wymarły”).

Silnym argumentem przeciwko istnieniu sasquatcha i yeti (oraz całego ogólnoswiatowego zjawiska „wielkostopych”) jest zarzut, że wszystkie dotychczasowe ekspedycje w poszukiwaniu tych nieuchwytnych stworzeń zawiodły. Niemniej może to jedynie powodzić, iż środowisko naturalne „wielkostopych” jest praktycznie niedostępne i że po wielu wiekach ukrywania się te rzadkie stworzenia są wyjątkowo ostrożne. Może najlepszy sposób na znalezienie „wielkostopych” to rozbić obóz na ich przypuszczalnym terenie zamieszkania i żyć tam sobie spokojnie, aż te stworzenia, wiedzione swoją małą ciekawością, same zrobią pierwsze zwiadowcze kroki.

Rząd Nepalu podchodzi do sprawy yeti poważnie i wydał surowy zakaz zabijania ich. Ale pewien naukowiec z doliny Arun otrzymał pozwolenie na zdobycie jednego okazu i spytałem go, co robi, jeśli pewnego pięknego poranka yeti pokaże się w przyzwoitej odległości; miałem wrażenie, że z decyzją lepiej nie zwlekać aż do tego momentu. Biolog był zakłopotany pytaniem - albo nie podjął jeszcze tej niełatwej decyzji, albo jeśli ją podjął, to bez przekonania.

Po chwili, przypatrując mi się, zadał mnie z kolei trudne pytanie. Rozumie, że G. S. przy jego profesji idzie setki kilometrów przez wysokie góry, aby zebrać materiał z życia dzikich zwierząt na Płaskowyżu Tybetańskim. Ale dlaczego ja idę? Czego się po tej podróży spodziewam?

Wzruszyłem bezradnie ramionami. Stwierdzenie, że interesuję się błękitnymi owcami czy śnieżną panterą, czy też nawet odległymi klasztorami lamów to żadna odpowiedź, chociaż to wszystko prawda; wyznanie, że idę na pielgrzymkę, wydało mi się głupie i wymijające, chociaż to też w pewnym sensie prawda. Toteż przyznałem, że nie wiem. Jak mogłem powiedzieć, że chcę zgłębić sekret gór w pogoni za czymś wciąż nieznanym, co, jak yeti, może umykać właśnie przed tą pogonią?

Przechodzimy przez rzekę po starym drewnianym moście i zsuwamy się w głąb kanionu Bheri. Czuję się dzisiaj nie najlepiej, fizycznie i psychicznie. G. S. sądzi, że to przez nagłe obniżenie wysokości - jesteśmy już ponad dwa tysiące metrów poniżej Jang La - a ja żałuję, że zjadłem tyle surowej, czerwonej fasoli. Bez względu na przyczynę, jest mi równie ciężko na żołądku jak na duchu, który był tak radosny pośród ośnieżonych gór.

Chociaż dzięki tym zapiskom znam dni miesiąca, dawno straciłem rozeznanie w dniach tygodnia, a wielkie wydarzenia, które muszą mieć miejsce w świecie, są równie nierealne jak wydarzenia z przyszłych wieków. Ale nie tyle cofamy się w czasie, ile czas zdaje się zamykać w pętli, i takie pojęcia jak przeszłość czy przyszłość straciły znaczenie. Rozumiem

teraz o wiele lepiej uwagę Einsteina, że jedyny prawdziwy czas to taki, który każdy sam postrzega, niosąc w sobie swój własny czas i przestrzeń. W tych górach znaleźliśmy się poza historią.

Marzę, żeby się oswobodzić, pozbyć nadmiaru rzeczy, mniej posiadać, mniej być uzależnionym, szybciej się ruszać. Toteż mam mieszane uczucia po kupieniu tego koca - jeszcze jedna rzecz, jeszcze jeden ciężar dla ducha. Tkacz żądał zupełnie rozsądnej kwoty za ciężki koc w pięciu kolorach. Ale za namową Tuktena wytargowałem niższą cenę i chociaż postąpiłem zgodnie ze zwyczajem, poczułem się przygnębiony, tym bardziej, że dla Tuktena i Pirima, którzy jako ochoczy tłumacze byli obecni przy transakcji, ta cena - osiemnaście dolarów - przekraczała dwunastokrotnie ich dniówkę tragarzy wynoszącą piętnaście rupii. Sierpowie dostają niewiele więcej, nawet ci, którzy ryzykują życiem podczas wysokogórskich wypraw; do niedawna przynajmniej dzienna stawka na najbardziej nawet niebezpiecznych szczytach wynosiła około czterech dolarów, a Sierpowie na trasach takich jak nasza dostają tylko dwa.

Po drugiej stronie wąwozu, na pionowym zboczu, próbowano wykarczować i wypalić pole pod uprawę, gdyż wzdłuż całej Bheri, podobnie jak w większości Nepalu, brakuje dobrej ziemi. Wielkie sosny wciśnięte w niedostępne zakamarki tego kanionu stanowią pomniki zniszczonej dzikiej przyrody: już wkrótce ostatnie drzewa, które spinają te zbocza, znikną. Rzeka niesie obłuzowane kamienie spod lodowców, a głęboki parów, jaki wyźłobiła przez wieki w niebywałych zwałach pofałdowanych skał, jest zadziwiająco gorący i suchy, niemal kserotyczny, w porównaniu z rzecznyymi kanionami na tej wysokości po drugiej stronie Jang. Zauważamy też brak chmur, które zbierały się co wieczór na południe od Jang - jesteśmy coraz bliżej górskich pustyni Płaskowyzu Tybetańskiego, odciętego od deszczów monsunowych wysokimi Himalajami. Ale pomimo gorąca w kanionie wieje chłodny wietrzyk i ścieżka nad rzeką jest przyjemna. Na usypisku skalnym wypatruję goralą, małej brązowej kozo-antylopy spokrewnionej z kozicą i z północnoamerykańską kozą górską; poza tym dudki i białe motyle stanowią jedyne przejawy życia.

Migotliwy dopływ Bheri, Jairi Khola, opada w kaskadach ze śnieżnego szczytu zwanego Dwari Lekh. Rozbijamy obóz nad brzegiem rzeki, a Phu-Tsering zdobywa na kolację kaczany kukurydzy i małe pomidorki. Tutejsza wioska leży dokładnie na wschód od Dunahi, które jest granicznym posterunkiem administracyjnym z Dolpo.

Bheri biegnie na zachód aż do Tibrikot, na głównym szlaku handlowym między Tarakot i Jumla, w dalekim zachodnim Nepalu; nasza trasa skręca na północ przez most kilka kilometrów dalej i wspina się wzdłuż rzeki Suli. Z administracyjnego punktu widzenia wchodzimy na teren Dolpo po przekroczeniu Bheri, ale dla mnie „Kraina Dolpo” leży dopiero po drugiej stronie Kanjiroya.

W Dhorpatan ostrzegano nas, że posterunek policji w Tarakot, a zapewne i w Dunahi może zignorować nasze przepustki i zabronić nam wstępu do Dolpo; martwimy się tym i omawiamy strategię już od dobrych kilku dni. Chroniczny problem przez całą drogę stanowi bariera językowa, która odbiera lokalnym urzędnikom (już i tak nastawionym podejrzliwie do naszego rzekomego zainteresowania przyrodą) pewność siebie i często skłania ich do dzikiego uporu w imię zachowania twarzy. Sierpowie, jako buddyści, nie

mogą świadczyć na naszą korzyść, toteż istnieje poważne ryzyko, że po trzytygodniowej wędrówce możemy zostać bez żadnego powodu zawróceni od celu, leżącego już tylko - jak obliczamy - o tydzień drogi.

20 PAŹDZIERNIKA

Urzędnik policji z Dunahi udał się w jakąś podróż i w jego zastępstwie przyjmuje nas miejscowy członek nepalskiego Panchayatu, czyli Parlamentu, a szeregowi policjanci nie zamierzają sprzeciwić się temu wykształconemu mężczyźnie, który mówi dobrze po angielsku, rozumie cel naszej wyprawy i częstuje nas herbatą. Z ogromną ulgą wyruszamy jak najszybciej w drogę, zanim coś nie popsuje nam szyków. Przełęcz Kang na Kanjirobie to teraz już ostatnia poważna przeszkoda w naszej podróży na Krysztalową Górę.

W Dunahi most przecina Bheri i ścieżka wiedzie stromo w górę suchego zbocza porośłego szafwią, perzem i dzikimi oliwkami o srebrzystych listkach. Daleko w dole rzeka wije się szerokimi zakolami pośród połyskliwych łach zwirowych ku zbiegowi z Suli Gad, która spływa z Jeziora Phoksumdo i śniegów Kanjiroby, ukazując przez chwilę swój turkusowy błękit wzdłuż północnego brzegu Bheri, zanim zniknie w odmętach szarego, lodowcowego potoku. Wąwóz Suli jest tak urwisty, że ścieżka musi wspiąć się wysoko nad Bheri, żeby okrążyć strome zbocze nad zlewiskiem rzeki i wejść w ten kanion, ale nawet tutaj, kilkaset metrów nad wodą, spadzista dróżka ma miejscami zaledwie pół metra szerokości, czasem mniej; tam, gdzie szlak się osunął, lub zmyły go lawiny, drapiemy się po prostu po luźnych kamieniach.

G. S. idzie jakby nigdy nie po półkach skalnych, chociaż luneta przywiązana do plecaka może w każdej chwili zahaczyć o wystający głaz i zepchnąć go w przepaść - nie mogę na to patrzeć. Jednakże i ja już się zaprawiłem: stąпам swobodniej, mniej się potykam, czuję lekkość w nogach i w płucach, środek ciężkości mam głęboko w brzuchu i pozwalam temu środkowi „widzieć”. Nie mam wtedy zawrotów głowy, nawet w miejscach niebezpiecznych, moje stopy same z siebie wynajdują pewne oparcie, a ja płynę. Ale czasami na dzień lub dwa tracę to poczucie równowagi, mam płytki oddech i czepiam się występów skalnych jak samego życia. A przecież właśnie to czepianie się, to napięcie pełne strachu zabija ludzi: „przywrzeć” po staroegipsku a „przywrzeć do góry” po asyryjsku to eufemizmy na „umrzeć”.¹⁶

Przed wyruszeniem w tę podróż pożegnałem się z rosim Eido i rozmawiałem z nim o dziwnych przeczuciach śmierci, jakie mnie natchnęły od kilku miesięcy. Pokiwał głową; może te przeczucia zapowiadają „wielką śmierć” duchową, a potem odrodzenie. „Śnieg - mrucał może oznaczać zaniknięcie i odnowienie”. Po chwili ostrzegł mnie: „Niczego nie oczekuj”. Rosi był zadowolony, że idziemy tylko we dwójkę - uznał to za warunek prawdziwej pielgrzymki. Nakazał mi recytować sutrę Kannon podczas wędrówki w górach i dał mi koan (w nauce zen paradoks, nie do rozwiązania przez intelekt, który może spowodować nagły rozpad logicznego myślenia i ułatwić bezpośredni wgląd w samo sedno egzystencji):

„Wszystkie szczyty są pokryte śniegiem - dlaczego ten jeden jest nagi?”

Rosi podniósł się z czarnej poduszki i biorąc mnie za ramiona trzykrotnie dotknął mojego czoła swoim czołem, a później walnął mnie w plecy i wysłał w drogę wydając głośny okrzyk.

„Niczego nie oczekuj”. Maszerując, przypominam sobie tę radę, muszę iść z lekkim sercem swoją drogą, nie myśląc o dopięciu celu. Zamiast sutry Kannon intonuję teraz OM MANI PADME HUM, które jest adresowane do tego samego wielkiego bodhisattwy, a recytowane krok po kroku, sylaba po sylabie, ma rytm i donośny dźwięk, o wiele lepiej pasujący do wolnego marszu w górach.

Aum... Ma-ni... Pej-mej... Hung!

Na środku ścieżki siedzi wielki, miedziany konik polny, połyskując w słońcu jak bursztyn; jest tak duży i tak magicznie lśni, że zastanawiam się, czy to nie jakiś stary naljorpa, zaawansowany w sztuce przybierania innych kształtów. Ale zanim ten „mistrz” ma szansę się ujawnić, konik polny skacze beztrosko w przepaść, żeby zacząć nowe życie kilkaset metrów niżej. Odbieram to jako oznakę, że powinienem z ufnością poddać się losowi, i dziękując konikowi polnemu, idę dalej pewnie swoją drogą.

Pusta wioska przy szlaku nad Suli Gad służy w zimie pasterzom jaków ze środkowego Dolpo, których zwierzęta szukają pożywienia na tych niższych zboczach. Ale jesienią, w porannym cieniu i jasnym świetle, drzwi i okna są czarne jak oczodoły w czaszce, a pustkę pogłębia jeszcze wystrzępiona chorągiewka modlitewna powiewająca na wietrze i okrzyk dziecka dobiegający gdzieś z górnej części doliny, pod wioską płynie strumyk i kiedy G. S. idzie kawałek w głąb żlebu, żeby sfotografować stado langurów, ja myję się w ciepłym słońcu tam, gdzie woda skrzy się zimna i czysta na płaskich kamieniach. W końcu G. S. wraca, Szerpowie nadchodzą i wszyscy razem jemy posiłek w cieniu wierzby i osik nad brzegiem strumienia, przygotowując chapatis ziarenkami dzikiego Cannabis, o które rywalizujemy z himalajskimi szczegłami.

Z tego miejsca mamy teraz bardzo strome, co najmniej godzinne podejście. Tragarze z Tarakot gderają i nawet Tamangowie z trudem łapią oddech, prócz Karsunga, który śpiewa. Szlakiem schodzi rodzina Bhotyjczyków bez zwierząt, pozdrawia nas nieśmiałym skinięciem i już jej nie ma. Na wysokości dwóch tysięcy ośmiuset metrów ścieżka pokonuje ostatnie wzniesienie i dalej biegnie już poziomo, zakręcając wokół góry. Bheri jest z tyłu, daleko w dole, a przed nami na północy wznosi się śnieżny wierzchołek Kanjiroya, cichy jak chmura na tle błękitu. Krakanie wrońcyków, bujających się w prądach powietrza, wprawia mnie w zachwyt i, z braku lepszego sposobu, daje upust radości opowiadając G. S. entuzjastycznie o swoich butach, które nareszcie się rozchodziły i są dla mnie źródłem nieustannej satysfakcji. Z lekka zaniepokojony moją euforią, G. S. szybko się oddala. Zostawiony samemu sobie, z przyjemnością słucham skrzypienia skórzanych pasków plecaka i moich ukochanych butów; wierny kij rytmicznie stuka o skalne podłoże, a ja czuję się niezwyczęzony jak Padma Sambhava, który przyniósł Dharmażę z Indii do Tybetu.

Na ścieżce, w blasku miki i dziwnych, lśniących kamieni, leży żółto-szaro-niebieskie piórko nieznanego ptaka. I nagle przesywa mnie intuicyjna pewność, zupełnie niezrozumiała, że w tym piórku na srebrnej ścieżce, w tym rytmie drewna i skóry, w oddechu słońca i wiatru, w biegu rzeki, w krajobrazie bez przeszłości czy przyszłości - w tej chwili, w każdej chwili, przemijanie i wieczność, życie i śmierć to jedno.

Wysoko w zboczu wykopano przewizoryczną pieczarę. Przerażeni wiatrem, przepaścią,

hukiem groźnej rzeki w dole podróżni uznali za słuszne postawić tu kilka kopców. Na wschodniej ścianie każdego zostawiono wnękę na ofiarę, a jeden kopic jest udekorowany świeżymi nagietkami, na pewno przez rodzinę spotkaną poprzednio na szlaku. Zdaniem Tuktena, który podnosi złożone dłonie żartobliwie błagalnym gestem, z dziką, nieco nerwową wesołością, te kopce są poświęcone przastaremu bogowi gór, zwanemu Mastą.

Na północy, wysoko na ścianie, widać wioskę Rohagaon. Szlak biegnie pod drzewami dzikiego orzecha. Ostatnie liście na gołych gałęziach są pożółkłe i suche, orzechy opadły; chrzęst pod stopami i szmer zwiedłych liści nasuwają mi niejasne, melancholijne wspomnienie jakiejś innej jesieni, dawno zapomnianej. Łupiny od orzechów zaśmiecają duże płaskie kamienie wzdłuż całego szlaku, a między nimi leżą świeże piórka dudka, zabitego pewno przez jastrzębia, który teraz wlatuje z krzaków i sływa w pustkę wąwozu Suli. W zagajniku pod Rohagaon klony, akacje i dzikie winogrona przywołują obraz ojczystych lasów, ale drzewa różnią się właśnie na tyle od tamtych znajomych drzew, ile trzeba, aby las wydał się baśniowy: dziki las z dziecinnych snów, odnaleziony tu w delikatnej, jesiennej mgielce. Ten dziki las napędza mnie łagodną tęsknotą, nie za domem czy jakimś innym miejscem, ale za utraconą niewinnością raj utracony, który, jak powiedział Proust, jest jedynym rajem. Dzieciństwo jest pełne tajemnic i obietnic; może strach przed życiem przychodzi wtedy, kiedy wszystkie tajemnice stoją już otworem, kiedy marzenia są spełnione. Właśnie w tym momencie pozornego zaspokojenia przeczuwamy niechybną zdradę, która jak wielka fala wzbiera cicho za naszymi plecami, i wtedy wiemy najdobitniej, co miał na myśli Milarepa: „Wszystkie ziemskie dążenia czeka jeden nieunikniony i niechybny koniec, jakim jest smutek majątki rozchodzą się, budowle niszczej, spotkania kończą się rozstaniem, a narodziny śmiercią...” Postawieni przed niemylim widmem starości, choroby i śmierci, wracamy do chwili obecnej, do tego tu momentu, teraz, bo to wszystko, co naprawdę jest. I zapewne na tym właśnie polega raj dzieci, że żyją szczęśliwie chwilą obecną, jak żaby albo króliki.

Dochodzi skądś szmer niewidocznego strumyka, a chłodne powietrze jesiennego popołudnia niesie mineralny zapach czarnoziemu. G. S. i ja zdejmujemy plecaki i zbieramy dzikie orzechy w lesie; wkrótce nadchodzi Szerpowie i tragarze; biegamy wszyscy z młodzieńczą niefrasobliwością po lesie, rozbijając karłowate orzeszki w szarzejącej mgielce za drzewami przed ostatnim stromym podejściem do Rohagaon.

Jeśli Tarakot miało w sobie coś z atmosfery późnego średniowiecza, to w Rohagaon cofamy się w jego mroki. Dostępu do wioski strzegą dhauliyowie, „obrońcy”, niezdarnie wyruci na dużych, płaskich kamieniach, a na prymitywnej stupie przy wejściu (podobnej do dużego kopca) zostawiono jakiegoś bogu porcję marihuany. Ani buddyzm, ani hinduizm nie wyparł tu starych religii i plemię Thakurów wciąż układa stopy ofiarne z łbów kozłów w świątyni ku czci Masty. Groźne drewniane wizerunki ludzkie strzegą niskich kamiennych chat, a na wpół dzikie kundły z furją obszczekują nas z płaskich dachów. W ogródkach z grządkami rzepy z wysokich pali zwisają martwe wrony, ich pióra unoszące się na wieczornym październikowym wietrze od zarania służyły człowiekowi za strachy na wróble.

Kiedy wchodzimy do wioski, mężczyźni wpatrują się w nas tępo, jak przymurowani, ale niewzruszone kobiety wkrótce podejmują swoje zwykłe zajęcia; jedna tłucze proso

dziwacznym drewnianym tłuczkiem, inna ugina się pod prymitywną, drewnianą beczką, którą nawet w Tarakot zastąpiono mosiężnym pojemnikiem na wodę. Kobiety noszą czarne suknie, mężczyźni malowane sadzą stroje z innych kultur, dzieci szmaty; wszystkie twarze pokrywa czerń, czerń nawet według kryteriów tego regionu, gdzie bezustanne obcowanie z kurzem, dymem, gnojem i sadzą czyni brud nieodłącznym towarzyszem życia. Ale przy całym swoim zasmoleniu dzieci nie przejęły jeszcze ponurej gburowatości rodziców: biegają wokół, kiedy rozbijamy namioty, i bawią się głośno na naszą cześć, ciesząc się tym, co przynosi chwila.

Z Rohagaon leżącego na zboczu góry widać wspaniałą panoramę doliny Suli Gad aż po niskie ośnieżone szczyty na zachód od Dhaulagiri. Niebawem południowe niebo rozjaśniają gwiazdy, a na widok wschodzącego księżyca kundle wpadają w szal. Październikowy księżyc przypomina mi, że w moim kraju wkrótce będzie dzień Wszystkich Świętych i zastanawiam się, czy mój syn wytnie sobie maskę z dyni. Ma kostium kościotrupa, biały szkielet wymalowany na czarnym materiale, ale w tym roku jego chude nogi w wysokich wibramach będą z pewnością wystawać spod spodu - w co się ubierze? Jaka maska skryje twarz mojego syna w wigilię Wszystkich Świętych, kiedy będzie obchodził święto ognia i śmierci? Leżę bezsenne, przeklinając z bezsilną złością rozszalałego psa z sąsiedniego domu, który podniecony widokiem białych namiotów w świetle księżyca, czeka bez ustanku od północy do świtu, bez najmniejszej zmiany tonu ani napięcia.

21 PAŹDZIERNIKA

Opuszczamy Rohagaon, kiedy pierwsze światło zabarwia śnieżne wierzchołki na południu.

Poza wioską dwie małe dziewczynki w filcowych kapcach i naszyjnikach z paciorków, niosące wodę, zwlekają na zakręcie, żeby na nas popatrzeć; po kilku minutach odwracam się, a one wciąż tam stoją, małe obszarpane figurki na tle rozjaśniającego się nieba.

Wszędzie wokół słońce zapala szczyty, a te strome doliny są tak odcięte od światła, że idziemy szlakiem nad Suli Gad przez dwie godziny w bladym, przyćmionym półmroku. Tu i ówdzie jaśnieje kępka bladożółtych dzikich róż, czasem stadko gołębi śnieżnych zakręci się w głębi kanionu, ale na próżno wypatrujemy tara lub innych stworzeń na zboczach po drugiej stronie doliny. Przez całą drogę w ogóle niewiele spotkaliśmy dzikich zwierząt, a już tych bardziej egzotycznych, jak księżycowy niedźwiedź albo czerwona panda ani na lekarstwo.

Szlak łączy się z Suli Gad wysoko w dolinie, pośród grot z brunatnych, omszałych głazów, nad brzegiem rzeki ocienionej sosnami, dzikim orzechem i ciepłymi kępami paproci. W miejscach, gdzie ranne słońce oświetla czerwone liście i ciemne drzewa iglaste, rzeka skrzy się w cieniu lasu; turkusowa i biała toczy się wartko długim kamienistym korytem przez spienione sadzawki i opromienione wodnym pyłem glazy. W zimnym powiewie strumienia suche powietrze łagodzi mgłą; te wody ubiegłej nocy przedzierały się pod gwiazdami przez śniegi. Dalej, przy wodospadzie, roziskrzona krople skaczą w powietrzu, ku słońcu, i słońce migocze w falach, które tańczą na tle śniegu odległych gór.

W górze strumienia, w bocznym parowie, głęboką ciszę przerywa huk kamieni. Coś słucha i ja też słucham. Kto zakłóca tu spokój? Czyj to oddech? Zrywam paproć, żeby się przyjrzeć z bliska jej zarodnikom, odrzucam ją i w tym momencie nadchodzi mnie złe przecucie: największe grzechy, jak mówią Szerpowie, to zrywać polne kwiaty i straszyć dzieci. Mamrocze przeprosiny - dziwny dźwięk, który jeszcze podkreśla, że wtargnął tu intruz. Patrzę wokół - kto to przemówił? I kto słucha? Co to jest to wszechobecne „Ja”, które nie jest mną?

Głos samotnego ptaka zadaje to samo pytanie.

Tu, w zakamarkach gór, przy grzmocie rzeki, szczypię się, żeby sprawdzić, czy istnieje naprawdę. Wołam się na głos po imieniu i nie otrzymuję odpowiedzi.

Pod ciemną skalną ścianą, nad strumyczkiem, przelatuje z błyskiem czarno-złota ważka; orzech spada na dywan z żółtych liści. Zastanawiam się, czy gdziekolwiek na świecie jest rzeka piękniejsza niż górna Suli Gad wczesną jesienią. Pośród rozpylonych kropeł stoi w niej duch wodny z pomnikowego, jasnoszarego kamienia, otulony opończą białej wody, a wyżej, wstęga wodospadu spada ze skały od wschodu na wiatr wiejący w górę rzeki i zamienia się w mgiełkę, zanim dotknie ziemi; ta mgiełka unosi się aż do progu tworząc aureolę na okolicznych sosnach.

Odrywając się od strumienia szlak biegnie stromo w górę wśród drzew, a potem znów w dół pod skałami opadającej grotty, wielkiej jaskini wiatrów. Za nią wznosi się trawiaste wzgórze pełne obsypanych jagodami irg, oraz żółtych, niebieskich i białych kwiatów górskich, a nad wzgórzem, niczym pałac lodowy ustawiony na najbliższym wierzchołku, wzbija się w niebo Kanjiroba. W półmroku ścieżka znów schodzi do górnej Suli, gdzie rozbijamy obóz nad huczącą wodą. Krzyczymy do siebie i nie słyszymy się, poruszamy się jak cienie w mrocznym kanionie.

22 PAŹDZIERNIKA

O świcie na tej wschodniej ścianie wąwozu ziemia jest zamrznięta i skrzypi pod kijem, a w strumykach, które wpadają do potoku, połyskują kawałki lodu. Idąc w górę rzeki niemalże w ciemności, znajdujemy w wiązowcu legowisko niedźwiedzia - nasz pierwszy kontakt z azjatyckim czarnym niedźwiedziem, zwanym niedźwiedziem księżycowym. On sam siedzi wśród konarów i przygina je ku sobie zającąc podobne do czereśni owoce; połamane gałęzie tworzą sterę, która może posłużyć mu za materac. W rogu jego legowiska niebieski gołąb skalny - dziki przodek gołębia domowego - ma późnopaździernikowe małe, jeszcze nieopierzone. Jemy takie samo jak niedźwiedź śniadanie złożone z dzikich przymrożonych jagód.

Las martwych sosen, wilgotne jaskinie rzeczne i palenisko zostawione przez podróżnych; dwie jaskinie są wyposażone w drewniane półki, jakby były zamieszkałe przez pustelników. Na półkach widnieje znak swastyki, ten archaiczny symbol stworzenia, który spotyka się wszędzie na świecie oprócz południowej Sahary i Australii. Do Ameryki Północnej przynieśli go przodkowie amerykańskich autochtonów; w kulturach teutońskich był to emblemat Thora; był znany w Troi i w starożytnych Indiach, gdzie go przyjęli hindusi, a potem buddyści. Odwrócona swastyka jest znana również tutaj, jako godło religii bon, wciąż powszechnej w starych zakamarkach tych gór; ponieważ znak ten odwraca czas, jest uważany za destrukcyjny dla wszechświata i często wiąże się go z czarną magią.

Ponad szumem wody rozlega się wśród drzew nikle, śpiewne wołanie. W półmroku nie mogę dojrzeć, kto woła, i idę dalej. Wołanie powtarza się i teraz widzę mężczyznę w małym zagajniku za rzeką; to tubylec ścinający leśną trawę na siano. Cieszę się, że go widzę, a jednak mi smutno, że jest tutaj; nawet ten dziki zakątek nad Suli Gad wkrótce zniknie. Nie możemy rozmawiać poprzez rzekę, uśmiechamy się więc tylko do siebie, a on odkłada sierp i podnosi złożone ręce w prostym geście pozdrowienia. Robię to samo; składamy sobie ukłon i odwracamy się.

Przy rozwidleniu, w miejscu gdzie strumyk dopływowy spływa z wioski wyznawców bon w Pung-mo, gęsty las za potokiem przecięła na pół lawina, i na tym przerzedzonym zboczach jakiś ciemny kształt chowa się przede mną za skałę. Zbocze jest oświetlone jasnym, porannym słońcem, ale widzę to stworzenie tylko przez sekundę. Jest o wiele za duże na czerwoną pandę, za płochliwe na pizmowca, za ciemne na wilka czy panterę i za szybkie na niedźwiedzia. Długą chwilę patrzę przez lornetkę na milczący głaz, czując za nim obecność nieznanego życia, ale wszystko jest nieruchome, wokół tylko słońce, stok w porannym świetle i płynąca woda.

Cały dzień głowią się nad tym zwinnym, ciemnym kształtem, który skoczył za skałę, tak przezornie reagując na nieznaczny ruch po drugiej stronie rwącego potoku; byłem sam, nie mogłem mnie usłyszeć ani dojrzeć w cieniu lasu. Z listy himalajskich ssaków czarny niedźwiedź i pantera wydają się najprawdopodobniejsze, ale nigdy nie widziałem, żeby czarny niedźwiedź poruszał się jak to zwierze, a pantery nie są ciemnobrunatne ani brązowe. Czy mogła to być pantera melanistyczna - „czarna pantera”? Ale widywałem pantery wielokrotnie w Afryce, gdzie gatunek jest ten sam; na krzaczastostokalistym terenie

pantera raczej przycupnie przy ziemi, rozplaszczy się i wycofa, niż będzie skakać do kryjówki.

Toteż - chociaż przyjmuję, że był to piźmowiec - trudno mi pozbyć się myśli o yetim. Ten zalesiony wąwóz górnej Suli Gad leży na podobnej wysokości co mroczne lasy wschodniego Nepalu mające być kryjówką „śnieżnego człowieka”, o ile wiem, nie zanotowano dotąd pojawienia się yeti na zachód od Kali Gandak, ale jeśli chodzi o stworzenie tak rzadkie i tak ostrożne, za jakie uchodzi yeti, może to jedynie oznaczać, że te północno-zachodnie góry są o wiele słabiej zaludnione, o wiele mniej zbadane.

Na wysokości trzech tysięcy trzystu metrów kanion otwiera się na wysokie doliny. Stado czarnych kudłatych wołów, zwanych jakami, schodzi ze wzgórza pokrytego ścierniskiem, poprzedzane wysokim, dźwięcznym odgłosem dzwoneczków; w tych górach nikły odgłos dzwonka jest często pierwszą oznaką obecności człowieka. Objuczone zwierzęta wystrojone są w czerwone chomąta i kolorowe kitki, a z nimi idą mężczyzna i kobieta w tybetańskich strojach, on w kocu, kapocie z paskiem i luźnych spodniach wetkniętych do czerwonych filcowych kapców związanych wokół łydki, a ona w pasiastym fartuchu i czarnej sukni.

Na długim zboczach, pośród pól gryki, leży osada zwana Murwą, zawdzięczająca swoją nazwę odmianie górskiego prosa. Mieszkańcy Murwy są czysti i schludni w porównaniu z ludźmi z Rohagaon, a ich kamienne domy, podwórka i pola są dobrze zorganizowane i dobrze utrzymane; mają rude psy i należycie odżywione bydło, sprzedają też Phu-Tseringowi trochę jaj i ziemniaków. Śnieżne szczyty chronią ze wszystkich stron to słoneczne wzgórze, a wzdłuż wysokiej ściany na zachodzie huczy wielki wodospad wypływający z Jeziora Phoksumdo i łączący się ze strumieniem Murwa w rzekę Suli. Żał mi, że nie możemy zatrzymać się w tym spokojnym zakątku, skoro chcemy zdążyć nad Jezioro Phoksumdo przed wieczorem.

W zimnym powiewie strumienia zdejmujemy buty i spodnie, aby przejść w bród po gładkich kamieniach przez silny i bystry nurt. Spieszę się w tej lodowatej wodzie, moje zdrętwiałe stopy nie mogą wymacać oparcia i nagle zapadam się, o włos unikając lodowatej kąpieli albo i czegoś gorszego. Idąc na ukos w górę strumienia pokonuję go wreszcie bezpiecznie po kilku przykrych chwilach i wycieram się na słonecznej, osłoniętej od wiatru skale.

Z Murwy wiedzie ostre podejście przez zarośla jałowca i cedry himalajskie do grani na wysokości trzech tysięcy osmiuset metrów tworzącej naturalną zaporę dla Jeziora Phoksumdo leżącego pośród śnieżnych szczytów. Idę przodem, wyprzedzając nieco G. S.; jakiś mężczyzna na koniu, zjeżdżający z grani, pyta mnie o cel wędrowki. „Shey Gompa - odpowiadam. - Kryształowy Klasztor”. „Shey!” - powtarza z powątpiewaniem, oglądając się na szczyty na północnym zachodzie. Wskazuje na południe, a potem na mnie. „Tarakot - mówię - Dhorpatan”. Kiwając głową, powtarza: „Dhorpatan”. Zapewne tam się właśnie wybiera i cieszy się z wiadomości, że pokonaliśmy Jang La; zapominam go ostrzec, iż jego koń tamtędy nie przejdzie.

Między cedrami ukazują się chłopiec z dziewczyną. Dziewczyna ma w koszyku gomółkę

koziego sera i drugi kawałek owinięty w brzoszową korę; częstuje mnie nim, a ja dokupuję jeszcze trochę i siedząc na ciepłych igłach w zaciszu sosnowego lasu zjadam wszystko co do okruszynki pogryzając połową surowej rzodkwi z Rohagaon.

Z lasu dobiega dźwięk dzwoneczków i taneczny stukot kopyt na granitowej skale: mężczyzna w czystej pelerynie i nowych filcowych kapcach cwałuje na kucyku ze srebrnym rzędem. Jeździec także chce znać cel mojej podróży i on także krzywi się na wiadomość, że to Shey. Wskazuje gestem, że śnieg sięga powyżej ramion, i odjeżdża z brzękiem dzwoneczków.

Nad górami na południu zbierają się chmury, zimny wiatr dokuca. Wkrótce nadchodzi G. S., który usłyszał te same wieści, co ja, i boi się, że możemy mieć kłopoty z dostaniem się do Shey. Potakuję mu, choć w tej chwili bardziej martwi mnie, że możemy mieć kłopoty z wydostaniem się stamtąd. Śnieg na Kang La nie stopnieje już o tej porze roku, może się tylko powiększyć. Ugrzęźnięcie po drugiej stronie Kang przy wysokich opadach stanowiłoby nie lada problem, gdyż żywność, która nam została, wystarczy nie dłużej niż na dwa miesiące.

Idąc granią na północ wychodzimy na pastwisko wśród sosen na wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów, na którym, niczym kupa czarnych głazów, leży w zimnym słońcu stado jaków. Jak został oswojony z dzikich stad, które ciągle można spotkać w odległych partiach Tybetu. Samica jaka nazywa się bri, a jej małe, o krzaczastych ogonach i krótkich pyskach, wyglądają jak wielkie zabawki. Między jakami trafiają się mieszańce z bydłem domowym, zwane *đzo*. Na kosmatych grzbietach błyszczą długa sierść, którą rozwiewa wiatr; jedno zwierzę wolno żuje. Zapach nawozu i świergot zięby, błękitne niebo i śnieg; leżąc pod wiatr wiejący od południa, wielkie zwierzęta patrzą w dół na skały, gdzie Bauli Gad, płynąca z Phoksumdo, rozwidła się z wąskiego koryta na dwie, a potem trzy szerokie kaskady, które łączą się znów przy strumieniu Murwa.

Za jakami, pośród granitowych skał i drzew iglastych, pod śnieżnymi szczytami Kanjiroby, lśni turkusowe jezioro. Schodzę wolno przez ciche sosny.

Geolog powiedziałby, że Phoksumdo Tal, długie na dwa kilometry, szerokie na kilometr i podobno prawie na kilometr głębokie, powstało, kiedy na skutek trzęsienia ziemi zawałiła się góra po tej stronie doliny, blokując rzekę, która spływa z Kanjiroby w miejscu, gdzie jest teraz północny kraniec jeziora. Ale lokalna tradycja daje inne wytłumaczenie:

Kiedy bon był religią panującą Krainy B'od, której ten region był niegdyś częścią, w miejscu jeziora stała wioska. W ósmym wieku wielki święty buddyjski, Padma Sambhava, „urodzony w Lotosie”, przybył do Phoksumdo z zamiarem pokonania górskich demonów. Aż dotąd gonił pewną czarownicę, która uciekając przed jego gniewem, dała mieszkańcom bezcenny turkus w zamian za obietnicę, że jej nie wydadzą. Ale Padma Sambhava zamienił turkus w łajno i wieśniacy, uznawszy, że czarownica ich oszukała, zdradzili jej kryjówkę. Z zemsty sprowadziła na nich zgubny potop, który zatopił wioskę pod turkusowymi wodami.¹⁷

Jak było, tak było, bon przetrwał w tej okolicy i dotąd stoi tu świątynia bonu w pobliżu Ringmo, wioski na wschodnim krańcu jeziora, zapewne niewiele różniącej się od tamtej wioski

z ósmego wieku, która znikła pod wodami potopu. Z daleka Ring-mo wygląda jak forteca z bajki, bo ściany domów przypominają blanki przez zgromadzone na zimę zapasy drewna ułożone na płaskich dachach. Błękitne jak niebo i białe jak chmury flagi modlitewne powiewają niczym sztandary na wietrze, a zachodzące słońce, przesywane szczytami, rzuca heraldyczne promienie.

Z sosnowego lasu nadchodzi drwal w kopcach i samodziale, wydając głośnie, dzikie okrzyki, które wiszą bez odpowiedzi w jesiennym powietrzu. Idę za tą obłąkaną postacią do dwóch białych stup przy wejściu. Stupy, ogrodzone i udekorowane ciepłą czerwienią, są przysadziste i koślawe, jak wielkie piernikowe chaty i zupełnie na miejscu jest tu widok jaskini pod ogromnym głazem, zamurowanej kamieniami, w których osadzono krzywe, drewniane drzwiczki. Naokoło rosną czerwono-złote krzewy - berberys, agrest, i róże - i pobłyskują ostatnie srebrzyste pęki letniego kwiecica. Za stupami, chroniąc ogrodzone miasto niczym fosa, płynie potok Bauli, który bierze początek z Phoksumdo. W jego zwężeniu, przy wlocie do koryta biegnącego wokół zachodniej grani ku wielkim wodospadom, stoi most, a tuż za nim wznosi się w huczącym potoku głaz z napisem OM MANI PADME HUM, jakby wierny, który go wyrzył, chciał wysłać tę mantrę z Himalajów do nieoświeconych milionów na Nizinie Gangesu.

Za mostem zbudowano trzecią stupę w kształcie łuku nad ścieżką prowadzącą do wioski. Pod północnymi ścianami zgromadziły się zasypy śnieżne, a obok stoją nieruchomo trzy ogromne, czarne jaki. Dalej widać poletka jęczmienia, gryki i ziemniaków, które przywędrowały w te góry w dziewiętnastym wieku. Chłopiec prowadzi przez ziemniaczane pole parę *dzo* ciągnących prymitywne radło z drewnianym lemieszem, a inne dzieci trzymają uchwyt, żeby ostrze nie wyskoczyło z kamienistej gleby. Za nimi wlecze się starzec wyrzeczując zbląkaną ziemniaki motyką, choć sam ledwo stoi na nogach. Na widok obcego odsłania w przepaszającym uśmiechu żółte, połamane zęby, jakby usprawiedliwiał się ze swojego podeszłego wieku.

Na uliczce stoi wysoka postać w czerwonej pelerynie narzuconej na skórzaną koszulę, czarną z brudu; lawendowy turban z chwastami i kolorowe niegdyś filcowe kapce dopełniają stroju tego bandyty, który zaczepia mnie poządliwie i po prostaku. Wybiegają ku mnie ładne, uśmiechnięte dzieci, wybiega też milczący mastiff, lecz wstrzymuje go brutalne szarpnięcie łańcucha; jego chudą szczękę wykrzywia psi uśmiech bólu. Wszyscy w Ring-mo się uśmiechają, toteż bacznie rozglądając się wokół, uśmiecham się i ja.

Surowe brązowe budynki mają drewniane drzwi i łuki, a brudne mongolskie twarze, zamaskane i dzikie, śmieją się z przybyszy spoza krzywych okien. Z ogromnego kamiennego moździerzka dochodzą głuche ciężkie uderzenia: dwie dziewczynki tłuką na zmianę ziarno przeszło metrowym drewnianym tłuczkiem, postępując do taktu cicho i rytmicznie; nie opodal dwóch cieśli rąbie nieociosane pnie sosny prymitywnymi toporami. Prostaccy mieszkańcy Ring-mo noszą brud jak skórę, a buzie dzieci oblepione są strupami i błotem. Obie płcie zaplatają długie włosy w warkoczki i noszą naszyjniki z paciorków, ciemne bryłki turkusu srebra i kości, a także małe amulety. Strój jest w zasadzie tybetański: peleryny, fartuszki i czerwono naszywane filcowe kapce o podeszwach ze skóry jaka.

Z pomocą Jang-bu dzpytujemy wszystkich o Kang La i Shey Gompe, a zgromadzony tłum

wydziela ten dodający otuchy zapach prymitywnych plemion na całym świecie, znajomy, lecz nie kwaśny odór potu, dymu z ogniska i naoliwionej ludzkiej skóry. Wszędzie kręcą się kozy i owce. Zarówno mężczyźni jak i kobiety przędą na wrzecionach owczą wełnę, mówiąc, że śnieżycę odcięły Kang La na całą zimę. Na dachach gryka zebrana na zimę lśni brązowym połyskiem w zachodzącym słońcu. Na jego tle osłonięta od wiatru staruszka o czystych włosach obraca stare koło modlitewne i nuci pod nosem.

23 PAŹDZIERNIKA

Tamangowie opuszczają nas w Ring-mo, bo nie są wyposażeni na drogę przez przełęcz Kang. Udało nam się zdobyć kozę i kilka drewnianych beczulek changu, żeby uczcić wspólnie spędzone tygodnie; kozę zostaje w mig z radością zarżniętą. Szerpowie nie uczestniczą w odbieraniu mu życia, ale chętnie pomagają je zjeść.

Wczesnym popołudniem, niosąc leb zwierzęcia, przednią ćwiartkę i pięć brzuchów pełnych changu, Pirim i jego towarzysze przekraczają strumień, mijają piernikowe stupy i głośno rozmawiając wchodzą na zbocze, by po chwili zniknąć między słonecznymi sosnami; uwolnieni od bagaży po prostu tańczą. I chociaż uśmiecham się na ten widok, czuję, że tracę ducha.

Jedynym tragarzem, jaki nam pozostał, jest Tukten, który od dziś będzie opłacany jak Szerpa, gdyż jest za cenny, aby go stracić. Decyzja, żeby zatrzymać Tuktena, była moja, bo mimo jego dwuznacznej reputacji uważam go za najinteligentniejszego i najbardziej pomocnego z naszych ludzi; a także czuję, że w jakiś sposób przynosi mi szczęście. Wróci ze mną, w razie gdybym pierwszy miał odejść z Shey, gdyż Dawa i Gyaltzen nie mówią słowa po angielsku, a G. Ś. będzie potrzebował zarówno Jang-bu jak i Phu-Tsering.

Wije zimny północny wiatr, ale za wysokim kamiennym murem zagrody dla bydła, gdzie stoją nasze namioty, grzeje ciepłe słońce. Pomimo informacji o wysokich zaspach, postanowiliśmy nie brać jaków, które co prawda mogą brnąć po świeżym śniegu aż po brzuch, ale szybko unieruchamia je lód i szron. Toteż Jang-bu organizuje nową grupę tragarzy, którzy żądają dwudziestu pięciu rupii dziennie. Te hałaśliwe typy już dają nam przedsmak szantażu na przełęcz Kang: „Ile nam dacie, żebyśmy poszli dalej?” Mówią, że potrzebują dwóch dni na przygotowanie żywności i naprawienie odzieży, a jeden spędza cały dzień w naszej zagrodzie zszywając twardą, szarą, wełnianą nicią prosto z wrzeczona (podobnych używa plemię Hopi) swoje wysokie do pół łydki filcowe kapce i oglądając nasz sprzęt.

Wszyscy prócz tragarzy szybko przestali się nami interesować, kiedy stało się jasne, jak i do kogo trafiają nasze pieniądze. Stojem, zachowaniem i stopniem umorusania mieszkańcy Ring-mo niewiele się chyba różnią od wieśniaków z ósmego wieku, którzy zdradzili czarownicę, kiedy jej turkus zamienił się w lajno. O tej porze roku żywią się głównie ziemniakami, ignorując jesienną obfitość leśnych owoców, których jest pod dostatkiem wokół wioski. W dole przy strumieniu namawiam dwie dziewczynki, żeby spróbowały rosnącego tu agrestu. Dziewczynki są podejrzliwe, niepewne, zdumione. Z uciechą patrzą po sobie i zaczynają się śmiać.

Kiedy G. S. chodzi po górach szukając nachurów, ja zwiedzam stupy i miasto. Nawet moje niewykształcone oko widzi, że antyczne freski na ścianach stupy, a zwłaszcza mandale na suficie są kunsztowne i dobrze zaprojektowane, gdyż kultura tego regionu była dawniej bardziej żywotna niż jest obecnie. Dominują czerwone ugry, błękity i biele, ale do niektórych postaci i wcieleń Buddy użyto też żółci i zieleni. Zamieszanie spowodowane mnogością postaci Buddy dodatkowo komplikuje fakt, że wciąż żywe są tu tradycje religii

bon mimo zatopienia ośmiowiecznej wioski jej wyznawców pod wodami Phoksumdo. W Ring-mo Śiakjamuni zwie się Shen-rap, wierni obracają młynki modlitwne w lewo i okrążają ściany modlitwne i stupy z lewym ramieniem zwróconym do pomnika, nie prawym. Swastyki w głównej stupie są narysowane odwrotnie, na kamieniach modlitwnych widnieją takie inskrypcje bon jak: OM MATRI MUYE SA LE DU („Jednoczcie się w jasności”),¹⁸ które podobno pochodzą z języka, jakim posługiwano się w Sh'ang Sh'ung, tajemniczym królestwie w zachodnim Tybecie, gdzie jak twierdzą bon-po, ujrzały światło dzienne wielkie nauki bon przywłaszczone przez buddystów.

„W Tybecie nie istnieje słowo «buddyzm». Tybetańczycy to albo *chos-pa* (wyznawcy chos - Dharmy czyli Uniwersalnego Prawa objawionego przez Buddę), albo *bon-po* (wyznawcy bon)”.¹⁹ Jednakże w praktyce bon tak się wymieszał z buddyzmem i odwrotnie, że w swojej powierzchownej formie obie religie są bardzo do siebie podobne.

W Ring-mo na skale pośrodku rzeki wyryto OM MAN I PADME HUM, a niebieskie wcielenie Buddy na freskach przedstawia wielkiego tępicieła bonu, Padmę Sambhavę; przygodne ozdoby na zewnątrz i wewnątrz stup to pospolite symbole tybetańskiego buddyzmu, takie jak spiralny róg zwycięstwa, splecione węże, yin-yang, cztero i ośmioliste lotosy. Bon zszedł do roli schyłkowej sekty buddyzmu i za taką jest uważany, przynajmniej tutaj, przez swoich własnych wyznawców. Jeden z tutejszych mieszkańców powiedział mi z pewnym zakłopotaniem: „Jestem buddystą, ale obchodzę kamienie modlitwne w złym kierunku”.

Dróżka do klasztoru bon przechodzi przez strumień, po czym przecina kartofliska kierując się w stronę iglastego lasu nad Jeziorem Phoksumdo. Rign-mo leży jakieś pół kilometra na południe od jeziora, a jednak tutejsi mieszkańcy używają jego tybetańskiej nazwy: Tshowa, czyli „Brzeg Jeziora” - czyżby to była nazwa zatopionej wioski? Oprócz klasztoru nad wodą nie ma innych zabudowań i żadna łódka nie płynęła nigdy po tej powierzchni; przejrzysty, błękitno-zielony kolor odbija biały piasek z głębokiego dna. Nie widzę żadnych zwierząt wodnych i nawet wodorosty nie znalazły sobie miejsca w tej błyszczącej wodzie obramowanej kamieniami. Jest to najprawdziwsze jezioro bez skaży, jak symboliczne buddyjskie zwierciadło, którego pył się nie ima, a które: „choć daje niekończący się szereg obrazów, jest jednolite i bezbarwne, niezmiennie, ale i nie oddzielne od obrazów, które przedstawia”.²⁰

Święte oczy na małych stupach nad brzegiem jeziora śledzą moje kroki na brzoźowej ścieżce. Po drugiej stronie lasu stoją budynki klasztorne wsparte o skały wschodniej ściany jeziora. Siedemnaście lat temu w Ring-mo było dwóch lamów bon i dwunastu mnichów, ale teraz klasztor jest zamknięty i opuszczony. Wiekowy stróż, chory na tarczę, robi drewniane beczki na wodę i kamienie modlitwne kiepskiej jakości; jego żona starszka kuca na poletku ziemniaków tak małym, że może ze środka sięgnąć motyką w najdalszy kraniec. Tam, w Pung-mo, jest jeden lama bon - wskazują na zachodni wierzchołek - ale nie wiadomo, kiedy przyjdzie. Odchodzę rozczarowany. Dwa dni na północ od Shey leży klasztor Samling, który jest podobno siedliskiem bonu w tych odległych górach. Ale jeśli wierzyć tutejszym ludziom, nasze szanse na dotarcie do Shey są niewielkie.

24 PAŹDZIERNIKA

Wieje zimny wiatr z północy. Myję głowę. Trzeba uzupełnić zapasy żywności i Tukten oraz Gyaltzen wyruszają dzisiaj do Jumli, skąd przyniosą ryż, cukier i może pocztę. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, dojdą do nas do Shey około dziesiątego listopada.

Wczoraj napisałem listy, żeby dać je do wysłania Tuktenowi, i to pisanie mnie przygnębiło, budząc tęsknotę i niepokój o dzieci i ściągając na ziemię z górskich wyżyn. Wysilek, żeby oddać w zwykłych słowach to, co widziałem w tym niezwykłym czasie, odarł mnie z sił, a stracie energii towarzyszy strata pewności siebie i równowagi wewnętrznej; nogi mam sztywne i ociężałe; i boję się wąskiej półki zachodniej ściany Phoksumdo, po której jutro musimy przejść co najmniej trzy kilometry. Tę półkę dobrze widać z Ring-mo i nawet na G. S. zrobiła ona pewne wrażenie.

- Nie jest to spacer, który chciałoby się odbywać codziennie - powiedział.

Boję się także śniegu na wysokich przełęczach, który może uwięzić nas po tamtej stronie, na bezdrzewnej pustyni. Te obawy tylko pogarszają sprawę, ale nie ma sensu udawać, że ich nie czuję. Co innego wspinać się po dalekich górach, jeśli się to robiło przez całe życie, a co innego zaczynać w średnim wieku. Nie znaczy to, że przy czterdziestu sześciu latach jest już za późno, ale wątpię, abym kiedykolwiek pokochał oblodzone ściany i wąskie występy skalne, zdradliwe kładki z pali nad potokiem, groźne wiatry i śnieżyce - w wysokich górach nie ma miejsca na błędy.

Dlaczego tak dużo myślę o śmierci, skoro się jej nie boję? Umierania - tak, zwłaszcza na mrozie (stąd depresja spowodowana północnym wiatrem od lodowców i zimnym przybojem nad jeziorem), ale nie samego faktu, że umrę. A jednak trzymam się - czego? Jak mam sobie wytłumaczyć te fale bojaźni, tę nadzieję na ciągłość, kiedy w innych chwilach czuję się wolny jak nachur na tych wysokościach, równie gotów zmierzyć się ze śniegiem jak z wilkiem czy panterą? Muszę być ostrożny, to prawda, bo mam nieletnie dzieci pozbawione matki i dużo pracy do skończenia, ale to nie są rzeczywiste powody, nie trafiają w sedno. Pomiędzy kurczowym trzymaniem się życia a pogodną rezygnacją toczy się zacięta walka. Oto teraz nadarza się doskonała okazja do rezygnacji, do „zdobycia życia przez jego utratę” co oznacza nie brawurę, ale akceptację, nie bierność, lecz brak przywiązania.

Gdybym miał szansę zawrócić, nie skorzystałbym z niej. Idę dalej na własną odpowiedzialność i całym sercem popieram tę decyzję. A może tylko tak piszę, z nieśmiałą nadzieją, że te słowa dodadzą mi odwagi.

Schodzę wokół grzbietu do miejsca, gdzie potok wpada do Suli. Pod drzewami iglastymi i srebrną brzezina, tworzą się na wodzie kręgi wokół jasnoszarych skał, a strzyżyk i brązowy nurek kręcą się u zbiegu wód. Nurek jest krewnym północnoamerykańskiego pluszcza, a maleńki strzyżyk jest taki sam jak nasze zimowe strzyżyki w domu - jedyny gatunek z tej rodziny z Nowego Świata, któremu udało się przedrzeć do Eurazji.

Zatopione skały migoczą pod strumieniem, za moimi plecami dudni głaz. Sparaliżowany bystrym spojrzeniem jaszczurki stają jak wryty. Kamień, na którym ona leży, był w głębinach morskich, kiedy jaszczurki powstawały do życia, a teraz wkrótce zagarnie go strumień i znów zwróci morzu.

25 PAŹDZIERNIKA

Musimy opuścić Ring-mo, zanim dosięgnie nas z Dunahi ewentualny zakaz dalszej wędrówki. Ale nasi bon-po klócą się i wybrzydzą na ładunki, aż Jang-bu wywleka rzemień z ich kapcy, miesza je i kładzie po jednym na każdym koszu, wyznaczając każdemu mężczyźnie bagaż, na którym leży jego rzemień. Bon-po przyjmują ten sposób wymierzania sprawiedliwości z głośnym utyskiwaniem.

Ponury i niespokojny wysuwam się naprzód i jestem już na półce skalnej nad jeziorem, kiedy reszta mnie dogania. Fragmenty półki osunęły się i wyrwy zostały zalatane wiotkimi kładkami z młodych drzewek. Niektóre partie są tak wąskie i niebezpieczne, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa, a serce bije jak oszalałe. Pewien potworny odcinek, bez śladu uchwytu dla rąk na gładkiej ścianie, biegnący wokół targanej wiatrem skały na wysokości jakichś czterdziestu metrów nad głazami przy brzegu jeziora, pokonuję na czworakach, docierając po całych wiekach - ale przynajmniej żywy! - do jednego z nielicznych miejsc na tym pierwszym kilometrze, gdzie można się przycisnąć do ściany, żeby przepuścić drugą osobę. Łapiąc oddech, pozwalam się wyprzedzić całej ekspedycji.

Już od pewnego czasu dobiegały mnie z tyłu śmiechy i głosy bon-po. W tym niebezpiecznym punkcie dzieje się coś dziwnego. Zasłonięta przed moim okiem dziewiątka nagle milknie, podobnie jak ptaki zamierają widząc cień jastrzębia lub żaby zawieszają kumkanie zostawiając dźwięczącą w uszach ciszę. Potem, jedna po drugiej, dziewięć postaci okrąża skałę, dziewięć nierealnych sylwetek pod wielkimi, pękatymi koszami, które w każdej chwili mogą zaczepić o występ i strącić właściciela w przepaść. Tragarze idą, patrząc prosto przed siebie, równo i pewnie jak mrówki, ale z gładką, niezmierną lekkością, jakby dzięki jakiejś wewnętrznej koncentracji unosili się tuż nad powierzchnią ziemi. Pochyleni do przodu pod linkami ładunków biegnącymi przez czoła, rozczapierzonymi palcami muskają ścianę po lewej stronie, a po prawej głaszczą północny wiatr. Opuszki palców dotykają mojego uda: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć rąk, ale w swoim napięciu tragarze zdają się nie dostrzegać różnicy między zimną skałą a ciepłymi dżinsami. Jedna po drugiej mijają mnie postacie o szklistych, niewidzących oczach, w filcowych kapcach i przepasanych tunikach, zostawiając po sobie w czystym powietrzu zapach tłuszczu i ogniska. Kiedy niebezpieczny odcinek się kończy, znów wybucha gwar rozmów podjętych zapewne w tym miejscu, w którym się urwały, jakby się wszyscy obudzili z transu.

Później nadchodzą Szerpowie i Phu-Tsering dodaje mi odwagi uśmiechając się z błyskiem złotego zęba spod czerwonej czapeczki. Pokazuje się G. S. idąc równie niewzruszenie jak cała reszta; jestem zadowolony, że róg skały zasłonił moje sromotne przejście na czworakach. Przeciskając się koło mnie, G. S. rzuca:

- To pierwszy naprawdę interesujący odcinek drogi.

Jakże łatwo byłoby zepchnąć go ze skały!

Drugi kilometr ścieżki jest przyjemny i mogę podziwiać mityczne widoki. Pod nami leży

turkusowe jezioro, które nigdy nie zaznało wiosła ani żagla, nad nami na tle nieba wznoszą się naokoło ośnieżone góry. Parów, opadający z niewielkiego lodowca, przecina skalną ścianę i wychodzi na małą plażę gładkich kamyków. Stąd szlak wznosi się znów ku łańcuchowi w północno-zachodnim krańcu Phoksumdo.

Wysoko nad jeziorem G. S. odwraca się i czeka; wskazuje na coś na szlaku. Podchodzę i przez dłuższy czas wpatruję się wraz z nim w odchody na ścieżce i milczące ślady. Otaczają nas skalne percie, cienkie podszycie z karłowatego jałowca i róże.

- Może być tu gdzieś całkiem blisko i obserwować nas - mruczy G. S. - ale i tak nigdy jej nie wypatrzymy. - Bierze ląno pantery i idziemy dalej. Na zakręcie szlaku, w gwałtownych porwach wiatru, wysokościomierz G. S. wskazuje cztery tysiące pięćdziesiąt metrów.

Ścieżka schodzi przez śnieg i lód do srebrnego brzoźowego lasku. Na swym północnym krańcu Phoksumdo ma dwa rozgałęzienia, niewidoczne z Ring-mo, każde wiodące do ukrytej rzecznej doliny. Wschodnia odnoga, po drugiej stronie jeziora, jest bardzo piękna i tajemnicza: wznosi się stromo w cień gór. Nasza północno-zachodnia odnoga stanowi dolinę rzeki Phoksumdo, której delta, pełna bagnistych strumyków tundry, łańcuch żwirowych i wierzb, tak przypomina Alaskę, że obaj nie możemy powstrzymać okrzyku zdumienia. Zimny wiatr gna fale na martwą szarą plażę, słońce już wczesnym popołudniem chowa się za masyw Kanjiroby u wylotu doliny. Shey leży sześćset metrów wyżej, a więc jest tam jeszcze zimniej; z niewielkim zapasem cennego paliwa do lamp i bez możliwości ogrzania namiotów możemy jedynie mieć nadzieję, że zachodnie góry są tam niższe i w związku z tym zachód słońca późniejszy.

O zmroku niebo na północy jest lawendowe. Zimne fale jeziora droczą się z szarymi kamykami, nigdzie ani śladu ptaka.

Znad brzegu jeziora, gdzie rozbili obóz tragarze, dobiega śpiew. Cały dzień myślę o dziwnym stanie transu, w jakim byli ci ludzie, kiedy mnie mijali na krawędzi skalnej, i zastanawiam się, czy nie była to prymitywna forma tantrycznej umiejętności zwanej lung-gom²¹, która pozwala adeptowi poruszać się z niesłychaną szybkością i pewnością, nawet w nocy. „Idącemu nie wolno rozmawiać ani oglądać się na boki. Musi wbić wzrok w jakiś odległy punkt i na nic innego nie zwracać uwagi. Kiedy już wpadnie się w trans, to choć normalna świadomość jest w dużej mierze stłumiona, pozostaje jednak dość żywa, aby człowiek zdawał sobie sprawę z przeszkód na drodze oraz celu i kierunku wędrówki”.²² Lung-gom oznacza dosłownie „koncentracja na wietrze”, przy czym „wiatr” czy „powietrze” stanowią odpowiednik sanskryckiego słowa prana, czyli życiodajnej energii lub oddechu, które ożywiają całą materię: jeśli materia jest formą energii, to lung-gom można upraszczając uznać za wyraz wyższości ducha nad materią, przemiany materii w energię (z odpowiednim zmniejszeniem wagi i siły ciężkości), tak że ciało płynie. Takim samym jogistycznym panowaniem nad ciałem można wytłumaczyć „niewidzialność” osiąganą przez zaawansowanych joginów, którzy podobno potrafią wyciszyć swoje funkcje życiowe i ich wibracje do tego stopnia, że ich cielesna powłoka nie zostawia śladu w umyśle i pamięci innych; a także rekrytalizując energię w inne formy, jak w przypadku Milarepy, który, aby zwieść nieprzyjaciół, uciekł się do czarnych tantrycznych praktyk Nyingmy i na Lachi-Kang (Mount Everest) zamienił się w śnieżną panterę. Święci i czarownicy Azji potrafią dokonywać takich sztuk, co poświadczają zdumieni podróżnicy od czasów Marco Polo; a bardzo podobne praktyki ze

stanem transu obserwowano również u Indian amerykańskich i innych prastarych plemion.

Zwykłą lewitację opisano zarówno w religii chrześcijańskiej jak muzułmańskiej: święty Józef z Cupertino podczas ekstazy wzlatywał na niskie drzewa, a raz, zgodnie z siedemnastowiecznym przekazem, uniósł się „z nawy kościelnej i popłynął jak ptak do wysokiego ołtarza, gdzie objął tabernakulum.”²³ Takie niezwykle właściwości, doskonalone czy też nie, mogą poprzez odwracanie uwagi kandydata stanowić przeszkodę na ścieżce ku prawdziwemu mistycznemu poznaniu Boga i nigdy nie były wysoko cenione przez wielkich nauczycieli.²⁴ Jednym z czterech grzechów głównych w zakonie mnichów założonym przez Buddę po nieczystości, kradzieży i zabójstwie - było przypisywanie sobie sił nadprzyrodzonych. Mówi się, że Śiakjamuni zbył jako nieważną umiejętność lewitacji u jednego z uczniów, a kiedyś nad rzeką krzyknął ze współczuciem widząc jogina, który stracił dwadzieścia lat swojego ziemskiego żywota na naukę chodzenia po wodzie, podczas gdy przewoźnik za niewielką opłatą przewiózłby go na drugi brzeg.

Przy ognisku rozmawiamy o śnieżnej panterze. Nie tylko jest rzadka, jak mówi G. S. - ale też ostrożna i w magiczny sposób nieuchwytna, a tak się potrafi maskować w miejscach, które wybiera na spoczynek, że można patrzeć prosto na nią z odległości kilku metrów i jej nie widzieć. Nawet tym, co dobrze znają góry, rzadko udaje się ją zaskoczyć: najczęściej widywali ją myśliwi, którzy akurat leżeli bez ruchu w pobliżu stada zwierzyny, kiedy napadła na nie pantera. Pewien podróżnik po Azji Centralnej i Tybecie napotkał wilki, dzikie osły, argali czyli „owce Marco Polo”, antylopy orongo, dzikie wielbłądy, niedźwiedzie, a nawet turkiestańskiego tygrysa, ale nie robi najmniejszej wzmianki o śnieżnej panterze.²⁵

W ciągu lat wypraw badawczych G. S. widział tylko dwa dorosłe okazy i jedno młode. Po raz pierwszy ujrzał Panterę uncia w Chitral Gol w Pakistanie, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku; a tegorocznej wiosny, w tej samej okolicy. Po całym miesiącu czyhania z żywymi kozami w charakterze przynęty, zrobił pierwszy film ukazujący to zwierzę na wolności.

Śnieżną panterę spotyka się zwykle na wysokości powyżej tysiąca pięciuset metrów i aż do wysokości sześciu tysięcy metrów. Chociaż nigdzie nie występuje masowo, zamieszkuje szeroki obszar w górach Azji Centralnej, od Hindukuszu w Afganistanie na wschód przez Himalaje i Tybet do południowych Chin, a także na północ w górach ZSRR i zachodnich Chin do łańcucha Sajan na syberyjskiej granicy Mongolii: kilka pojmanyh okazów pochodzi przeważnie z gór Tien Szan w ZSRR, gdzie takie praktyki są ograniczone i zwierzę jest poza tym pod ochroną.

Typowa śnieżna pantera ma jasne mroźne oczy i wspaniałe białawoszare futro z czarnymi cętkami ukrytymi w gęstej, długiej sierści. Dorosły okaz rzadko waży więcej niż pięćdziesiąt kilo i na ogół nie przekracza metra dziewięćdziesięciu długości - łącznie z nadzwyczaj długim ogonem, grubym od nasady do samego czubka, który przypuszczalnie pomaga zachować równowagę i daje ciepło - ale też bez większej trudności potrafi zabić stworzenie trzy razy od siebie większe. Pantera ma ogromne łapy i heraldyczną głowę o krótkim pysku, jak zwierzę z baśni; jest odważna i zwinna podczas polowania, zdolna do niezwykłych skoków, i choć na ogół jej łupem padają błękitne owce, do czasu do czasu porywa też bydło, nie gardząc młodymi kilkudziesięciokilogramowymi jakami. To znaczy, że i człowiek byłby

niezłą zdobyczą, choć nigdy nie odnotowano podobnego ataku.

Śnieżna pantera to najbardziej tajemniczy z wielkich kotów; o jej życiu społecznym nic nie wiadomo. Prawie zawsze widuje się je pojedynczo - może spotykają się nad łupem jak tygrysy, a może są nietowarzyskie i samotne, jak każda prawdziwa pantera.

26 PAŹDZIERNIKA

Zeszłej nocy rozpaliliśmy ognisko z chrustu u wylotu rzeki Phoksumdo i przez długi czas siedziałem przy nim obserwując gwiazdy wschodzące nad górami. Przyszli do nas roześmiani i rozśpiewani tragarze ze swojej jaskini nad jeziorem i przedrzeźniali wszystko, co powiedział sahib albo Szerpa. „Cień topry!” „Barso dopsze!” „Hej, Dawa?” Są weseli i barwni, ale też z natury agresywni i nie można im ufać. Wczoraj rano, zwlekawszy przez dwie godziny z wyjściem, żeby zapewnić sobie trzy krótkie dni pracy zamiast dwóch długich, stawali co chwila na szlaku i odpoczywali; dziś jeden ciągle narzekał i podburzał innych. Ponieważ Jang-bu trudno się zdobyć na stanowczość z tymi ludźmi, G. S. krzyczy na marudera, żeby się zamknął lub wracał do domu. Dzisiaj to odnosi skutek, bo jesteśmy tylko o kilka godzin marszu od Ring-mo, ale wysoko w śniegu sprawa może wyglądać zupełnie inaczej. Te czerwonolice diabły mają nas w swej mocy i dobrze o tym wiedzą. Może powinniśmy zastosować imperialistyczne metody postępowania z niezdyscyplinowanymi Tybetańczykami, opisane na przełomie wieku: „Rzuciłem się na niego, chwyciłem go za warkoczek i z całych sił uderzyłem go kilkakrotnie w twarz. Kiedy go puściłem, padł z płaczem na kolana i błagał o litość. Zeby raz na zawsze ustalić z Tybetańczykami pewne sprawy, kazałem mu do czysta wylizać sobie buty... Próbował pierzchnąć, ale znów złapałem go za warkocz i zrzuciłem go z frontowych schodów, po których ośmielił się wejść nieproszony”.26

(Ten impulsywny Brytyjczyk był w zachodnim Tybecie stale nękany przez bandytów - i zapewne między innymi dlatego dał swojej książce tytuł: „Na ziemi zakazanej”. Ale Tybet nie zawsze był „ziemią zakazaną”, chętnie witał swych rzadkich gości dawniej, przed najazdem Gurkhów w drugiej połowie siedemnastego wieku i późniejszymi najazdami chińskimi, łącznie z tymi, które nastąpiły w tysiąc dziewięćset dziesiątym i tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Jednakże zawsze był odległy i niedostępny, bardziej niż inne zakątki ziemi; przed ostatnią chińską inwazją podróż z Pekinu do Lhasy trwała osiem miesięcy).27

Dzisiaj mija miesiąc, odkąd wyszliśmy z Katmandu: teoretycznie powinniśmy dotrzeć do Shey jutro, prawie dwa tygodnie później, niż się spodziewaliśmy. G. S. martwi się opóźnieniem, ale wśród błękitnych owiew w górach nad Ring-mo dalej nie widać oznak rui. Głównym skutkiem ciągłych przeszkód są zwiększone koszty: wciąż placimy tragarzom za to, że siedzą lub śpią. G. S. bardzo skromnie wyliczył kosztorys wyprawy - jest rygorystyczny w swoim poczuciu odpowiedzialności wobec towarzystw, które finansują jego badania - i już w Pokharze mieliśmy tak mało pieniędzy, mimo tego co dołożyłem od siebie, że nie mogliśmy sobie pozwolić na dodatkowego tragarza, który niósłby większy zapas nafty do lamp, trochę puszek dla urozmaicenia pożywienia lub choćby jedną butelkę czegoś mocniejszego. Po parówkach, herbatnikach i kawie nie zostało ani śladu, a cukier, czekolada, ser w puszcze, masło orzechowe i sardynki są już na ukończeniu; niedługo czeka nas monotonne menu złożone z gorzkiego ryżu, gruboziarnistej mąki, soczewicy, cebuli i paru ziemniaków bez masła. Biorąc pod uwagę krótkie dni, brak ogrzewania, kurczący się zapas paliwa do lamp i mączną dietę, życie w Shey Gompa zapowiada się surowo; większość czasu trzeba będzie spędzać w śpiworach, żeby nie zamarznąć, a ja nawet nie mogę w moim przeklętym namiocie usiąść prosto przy pisaniu tych notatek, tylko muszę

kulić się zgętyy w pól, z bolącym karkiem.

Na spokojnej powierzchni jeziora unoszą się czerwone liście, któryś bon-po kaszle. Wysoko nad naszym obozem w srebrnej brzezynie pasą się na podniebnej murawie błękitne owce. W wysokich górach wschód słońca zależy od umiejscowienia szczytów, i dzisiaj słońce ukazuje się osiemdziesiąt minut wcześniej niż wczoraj, u końca dzikiej doliny za jeziorem. Już wkrótce jesteśmy w drodze, zmierzając na zachód w górę Phoksumdo Khola do miejsca, gdzie od północy spływa strumień Kang.

Niewielkie lawiny, którymi rozbrzmiewa Kanjiroba, musiało spowodować topnienie śniegu na południowych stokach, bo nie widzimy tumanów śnieżnego pyłu, tylko ten błyszczący biały punkcik na błękitnym niebie. Spadanie lawiny przywodzi na myśl huk wielkiego wodospadu pod Phoksumdo albo huraganu, albo fal podczas sztormu przepastny, głuchy grzmot niczym echo łoskotu tworzenia.

Ta dolina skarłających brzózek i mizernych wierzb jest ponura nawet w jasnym słońcu, a jedyne ptaki to liczne martwe pleszki na łachach zwirowych - całe wędrujące stado które musiały paść ofiarą wczesnopaździernikowej śnieżycy. Sądząc z posępnych twarzy naszych ludzi, te martwe ptaszki i złowieszcze odgłosy z wierzchołków mogą być sygnałem ostrzegawczym od górskich demonów, które prześladowują pielgrzymów w tybetańskich mitach. Może jutro dotrzemy do celu, ale jak mówi G. S., będzie to na pewno najcięższy dzień ze wszystkich, nawet jeśli nasi tragarze okażą się niezawodni. Ma zamiar sam nieść swój śpiwór i mnie radzi to samo.

- Przy dobrej pogodzie - mówi - ponad pięć tysięcy metrów to nie tak dużo, ale na tej wysokości pogoda szybko się zmienia i nie ma z nią żartów. Może nagle zerwać się wiatr, który obniży temperaturę o piętnaście lub dwadzieścia stopni. Lepiej mieć przy sobie śpiwór w razie nagłej potrzeby lub kontuzji.

G. S. też wygląda na przybitego. Chociaż nie mówimy o tym, obaj zdajemy sobie sprawę, że wypadek czy choroba to w naszych warunkach sprawa poważna i to z każdym dniem bardziej. Wyprawa do Pokhary i z powrotem to dwa miesiące, a najbliższy telegraf jest w Dunahi, i nawet jeśli będzie czynny, można mieć trudności ze znalezieniem lekarza, który z kolei może nie chcieć lub nie móc zostawić chorych, aby udać się na długą wspinaczkę w wysokie góry do kogoś obcego. Jednym słowem, nie ma się co spodziewać, że pomoc kiedykolwiek by tu do nas dotarła.

- Można żyć ze skomplikowanym złamaniem - mówi G. S. - zawsze da się je potem znów złamać i nastawić na nowo. Ale ślepa kiszka... - Nie kończy.

W tej szarej dolinie nie ma żadnego szlaku tylko nikle ścieżki, które gubią się pośród bagna, skarłających wierzb i zwirowych strumyków. Mija kilka godzin, zanim dochodzimy do skalistej rozpadliny w północnej ścianie, z której spływa potok spod lodowych stoków Kang La. Nawet w środku dnia parów jest ciemny, a przy tym tak stromy i wąski, że wspinając się pod zwisającymi glazami musimy raz po raz brodzić na drugą stronę potoku. Za każdym razem, kiedy zdejmujemy buty i spodnie, tragarze śmieją się radośnie z prostoduszną nadzieją, że obcy rozbiją sobie głowy na śliskich kamieniach albo wpadną do lodowatej

wody. Posuwamy się naprzód na zdrętwiałych nogach, ale bez niefortunnych wypadków. Wyżej, tam gdzie parów się poszerza, od wschodu biegnie pas śniegu, a tuż nad nim, w zagajniku karłowatych brzoź, pod linią lasu, tragarze zdejmują bagaże i siadają; dalej, mówią, będzie za zimno na obóz. Nie widzę nigdzie G. S. (powiedział mi później, że schował się przy szlaku, czekając, aż go miniemy - chciał być sam), a ponieważ Jang-bu zachowuje się tak dziwnie wobec tych ludzi, ja wkraczam gniewnie do akcji, krzycząc, że już od dwóch dni udaje im się pracować przez pół dnia i że nigdy nie pokonamy przełęczy do Shey, jeśli nie podejdziemy dzisiaj wyżej i nie wyruszymy jutro wcześniej. Ku memu zdumieniu podnoszą ładunki i idą jeszcze przez godzinę.

Na zakręcie wysokiego kanionu, gdzie kończą się już zarośla, a śnieg się pogłębia, trzy młode brzożki, umocnione kamieniami, posłużyły poprzednim wędrowcom za kładkę, bo potok jest tu głęboki i rwący, zbyt rwący, aby przebyć go w bród. Pył wodny okrył wiotkie drzewka grubą warstwą lodu, toteż bez wstydu przechodzę na drugą stronę na czworakach. Za mną nadchodzą nasi panowie i przemierzają lodowy pomost wyprostowani jak struny, z rękami wyciągniętymi na boki dla utrzymania równowagi. Ale Dawa w swoich niezgrabnych butach pogardza wszelkimi ułatwieniami i kiwając się na zdradliwych patykach odrąbuje lód motyką, która ma nam służyć na przełęczy za czekan. Jestem zmarznięty i mokry, a ten głupiec niesie moje suche ubranie i śpiwór - nareszcie jest po drugiej stronie.

Nad kładką, na wysokości czterech tysięcy trzystu metrów, rozbijamy prymitywny obóz w jaskini pod nawisem skalnym. Szukając samotności, odchodzę kawalek w górę strumienia i niemalże w ciemnościach obserwuję szare zięby grzebiące w szarym śniegu. Dziś wieczorem czuję się o wiele lepiej - dlaczego? Nie podoba mi się ponury potok Phoksumdo i nie cierpię tego ciemnego parowu; na północy zbierają się gęste chmury, grożąc śniegiem, a tragarze już wskazują na przełęcz i potrząsają głowami. A jednak czuję się spokojny, gotów na wszystko, co mnie czeka, i dlatego jestem szczęśliwy. Ta zmiana nastroju nastąpiła dziś rano, kiedy dzielny Dawa, starając się złapać plecak Jang-bu rzucony nad strumieniem, upuścił go niezdarnie do wody. I stało się coś wspaniałego: Jang-bu roześmiał się głośno wraz z Dawą i Phu-Tseringiem, chociaż oznaczało to dla niego mokre ubranie i mokry śpiwór. Ta beztroška, to pogodzenie się z losem, niebędące fatalizmem, lecz głęboką wiarą w życie, zawstydziło mnie.

27 PAŹDZIERNIKA

W tym stromym kanionie muszę rozbić namiot na dużym spadku i wymościć sobie posłanie pośród ostrych kamieni. Ale śpię dobrze, budzę się szczęśliwy i z apetytem zjadam śniadanie, składające się z gorącej herbaty i tsampy. Z pierwszym brzaskiem wyruszamy z obozu w jaskini w drogę nie czekając, aż bon-po nadejdą gderając z brzozowego lasu, w którym spędzili noc; dopóki nie otrzymali zapłaty, powinni za nami pójść. G. S. i ja jesteśmy w świetnych humorach, przeświadczeni, że dziś wreszcie dotrzemy do Shey.

G. S. mówi, że on również był wczoraj poirytowany i przybity.

- Ci przekłęci tragarze z Ring-mo są jeszcze gorsi niż brudni Kamisi. A Szerpowie też mnie denerwowali, niszcząc wszystko, co im wpadło w ręce. Pożyczasz im coś i po jednym dniu wygląda to jak używane od miesięcy. Wczoraj nie mogłem po prostu patrzeć na ludzi, i tyle. Rozgląda się w czystym, jasnym poranku po kanionie skrytym grubą warstwą śniegu. O to właśnie chodzi mówi, wkładając plecak żeby wejść do doliny i nie natknąć się od razu na ludzkie łajno.

Wkrótce znika za zakrętem. W dzwoniącej ciszy przystaję posłuchać szmeru bystrego strumienia pod lodem, potem obracam się wolno wokół, wchłaniając ogromną potęgę skał, śniegu i nieba. Monumentalny lodowiec lśni na południowym błękie jak zamrożony wodospad, ale słońce spływające po tej ścianie lodu nie dotknęło jeszcze brzegu kanionu nad moją głową. Wspinam się przez szary świt w stronę światła.

Kamienie na w pół przykryte śniegiem, przeplatane oblodzoną nawierzchnią i piargami, nie ułatwiają mi zadania. Idąc szybko, żeby się rozgrzać, wychodzę na słońce tam, gdzie kanion się rozszerza, sześćset metrów nad jaskinią. Mapa G. S. wskazuje ostre podejście mniej więcej z tego miejsca prosto na północ w górę zbocza doliny, ale mapy tego regionu są bardziej imaginacyjne niż precyzyjne. Szukając Shey Gomp'y w maju tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku badacz buddyźmu tybetańskiego (którego doskonała książka²⁸ pozwala mi mówić o ikonografii tego regionu ze znanstwem niebędącym moją zasługą) rozbił obóz wyżej, u wylotu tego długiego kanionu i nie wspomina, aby wracał gdzieś w dół strumienia przed wyruszeniem w drogę na Kang La. Ponieważ uczeni rzadziej myślą się w sprawach mniejszej wagi niż większej, mam wrażenie, że podejście ku przełęczy zacznie się u wylotu doliny, jakieś półtora kilometra dalej.

Ale G. S., pewien swojej racji, skręca na północ. Czekam w słońcu, aby zobaczyć, którą drogę obiorą tragarze z Ring-mo, gdyż dwóch z nich było już w Shey o cieplejszej porze roku. Wkrótce nadchodzą - tylko niskiej temperaturze w tym mrocznym kanionie należy zawdzięczać ich szybki krok - i zatrzymują się w pierwszych promieniach słońca; kiedy ruszają, idą dalej do wylotu kanionu. G. S. znikł za granicą i nie odpowiada na moje wołanie: albo pójdzie dalej grzbietem i wyjdzie na szlak wyżej, albo zjeździe tu do doliny i pójdzie po naszych świeżych śladach w śniegu. Widzę trop owcy, może natknął się na stado *na*.

U wylotu kanionu ukazuje się wąska ścieżka - biegnie wzdłuż linii zamrożonych wodospadów do punktu, gdzie wraz ze strumieniem ginie pod zaspami. Tragarze, którzy

odpoczywają co chwila, odkąd wyszli z mroźnego kanionu, teraz znów przycupnęli na wąskiej krawędzi oczyszczonej ze śniegu przez wiatr. Przecierając im szlak wspinam się dalej, ale raz po raz zapadam się powyżej kolan w lodowej skorupie; w końcu idę na przełaj do zamrożniętych wodospadów i posuwam się w górę po wystających kamieniach, dopóki nie skrywa ich śnieg.

Te połacie śniegu wysoko pod szczytami, w bezmiarze ciszy, budzą grozę. Nikt ze mną nie idzie, na okolicznych graniach nie ma też ani śladu G. S. W nadziei, że Szerpowie pogonią tragarzy, próbuję znaleźć zlodowaciały pas, który by mnie utrzymał, ale po kilku krokach do przodu i do tyłu, w gęstym śniegu i rzadkim powietrzu, jestem wyczerpany. Jedyna szansa to iść prosto ku zachodniej grani, gdzie wiatr mógł zmieść ze stoków nieco śniegu.

Nareszcie nadchodzi dwóch bon-po, ale bez ładunków, tylko żeby się rozejrzeć; z jakichś przyczyn Szerpowie zostają z tyłu. Nie mając tłumacza urządzam małą pantomimę, rozśmieszam ich i sklaniam do przyniesienia bagaży na ten płaskowyż. Tymczasem powinni się odnaleźć G. S. oraz Jang-bu i będzie można podjąć jakąś decyzję.

Ale jest już wczesne popołudnie, kiedy nad zwałami lodu ukazują się głowy tragarzy, i od razu staje się jasne, że czekają nas kłopoty; ładunki posępnie lądują na ziemi i nawet trzej Szerpowie są markotni. Wskazują na wysoką grań na zachodzie, która jest jakby mniej zakuta w śniegu: Kang La leży nie dalej niż o dwie godziny wspinaczki, musimy się tylko zmieniać przy przecieraniu szlaku... Tragarze potrzęsają głowami. Te zbocza śnieżne są nie do przebycia, i w ogóle jest już za późno, zarówno jeśli chodzi o dzisiejszy dzień jak i o porę roku, żeby iść do Shey; a ponadto za wysoko i za zimno, żeby rozbić tutaj obóz. Szerpowie też nie kwapią mi się z pomocą. Kiedy nalegam, zastanawiając się, gdzie, u diaska, podział się G. S., Jang-bu i Phu-Tsering biorą mnie na bok i odradzają dalszą wspinaczkę. Tragarze ich przekonali, że nawet jeśli dojdziemy do Kang La, to północna strona przełęczy jest niebezpiecznie stroma i oblodzona - przecież w zeszłym roku zginął tam człowiek! Jang-bu martwi się także o swojego przyjaciela Gyaltsena jak on i Tukten zdołają nas znaleźć, skoro wiatr na pewno zasypie wszystkie ślady? Najlepiej wracajmy do Ring-mo.

Spróbowawszy iść po śniegu z moim minimalnym obciążeniem, trudno mi winić tragarzy, że chcą dać za wygraną. I widzieliśmy przecież błękitne owce oraz ślady śnieżnej pantery nad Jeziorem Phoksumdo, które jest nie tylko tajemnicze i piękne, ale dostępne dla świata w przypadku jakichś kłopotów; najbardziej się obawiam, że po przejściu Kang La zimowe śniegi zamkną za nami przełęcz. Z drugiej strony podeszliśmy zbyt blisko, żeby się wycofać - nie więcej niż o półtora kilometra od przełęczy Kang i może o dzień od Shey - a G. S. z pewnością nie dopuści myśli o odwrocie, nawet gdybym ja zawrócił, czego nie zamierzam. Na wschodzie i południu nad górami zbierają się ciemne chmury i zaczyna padać drobny śnieg. Martwię się o G. S., a Szerpowie, mimo moich słów otuchy, martwią się jeszcze bardziej. Choćby tragarze chcieli, nie możemy iść dalej w obawie, że spotkał go wypadek. Może czeka na pomoc na dnie jakiejś rozpadliny mając w perspektywie nadchodząca mroźna noc: z ulgą przypominam sobie, że ma ze sobą spiwór.

Tragarze szemrzą: chcą zejść z tego zimnego, białego pustkowsia i schronić się w kanionie, dopóki jest jeszcze jasno. Po raz ostatni rozglądam się przez lornetkę po okolicy i każę zabezpieczyć ładunki przed śniegiem pod gołą, czarną ścianą osypiska omieczonego przez

wiatr; całość przykrywamy brezentem. Z tego miejsca wyruszymy jutro wczesnym rankiem, oznajmiam, ale nie doczekuję się odpowiedzi. Dawa i Phu-Tsering schodzą z niezbędnym sprzętem i żywnością do poprzedniego obozowiska przy jaskini, gdzie jest drewno na opał, a Jang-bu i ja będziemy tropić ślady G. S. z nadzieją, że odnajdziemy naszego towarzysza przed zmierzchem.

Chcąc pocieszyć Jang-bu, mówię, że najprawdopodobniej spotkamy G. S. jeszcze w drodze na dół i rzeczywiście ledwo wyruszamy, jego sylwetka ukazuje się pośród lodów. Już z daleka widać, że bynajmniej nie jest zachwycony naszym widokiem po tej stronie przełęczy, a kiedy się spotykamy, z uporem twierdzi, że to jego mapa musi mieć rację, a nie byłby, choć nie znalazł Kang La.

- Wygląda na to, że cały dzień został zmarnowany - mówi oskarżycielsko, rozzłoszczony uwagą, że już samo jego zniknięcie powstrzymało nas od pójścia dalej... choć zapewne nie aż tak rozzłoszczony, jak byłby, gdyby leżał ze złamaną nogą na lodzie pośród zapadającej ciemności, a jego wyprawa zdążyłaby do Shey. Nie wytykam mu, że zarówno wczoraj jak i dzisiaj nie było go, kiedy tragarze odmawiali dalszej wspinaczki, i że gdyby nie ja, w obu wypadkach nie doszlibyśmy nawet tu, dokąd doszliśmy. Zamiast tego mówię krótko, że tragarze nie chcą dalej iść i że nawet Szerpowie radzą zadowolić się błękitnymi owcami i śnieżną panterą nad Ring-mo...

- Nie - odpowiada. - Zwierzęta w Ring-mo są dzikie i płochliwe, wystraszone przez takich ludzi jak ci tu plugawi tragarze... Idziemy do Shey.

Mrugam na Jang-bu, który odpowiada mi smutnym uśmiechem. Wiedząc, że jestem wycieńczony przecieraniem szlaku, dał swój plecak jednemu z nieobciążonych już teraz tragarzy i uprzejmie ofiarowuje się nieść mój. Chcąc udobruchać trochę G. S., mówię:

- Nie, lepiej weź plecak George'a, a G. S. przyjmuje tę propozycję nie dziękując ani Jang-bu, ani mnie i bez słowa oddala się w dół zbocza. Jang-bu mówi jeszcze do mnie:

- Jeśli ten śnieg się utrzyma, nigdy nie dojdziemy do Shey Gomp. (Właściwie mówi coś w rodzaju: „Dalej śnieg, nigdy Shey”, gdyż jego angielski jest bardziej płynny niż gramatyczny). Odpowiadam, że jako główny Szerpa musi czuć się upoważniony do przedstawienia swojej opinii G. S. Czy to zrobił, nie wiem.

Schodzę wolno, daleko za całą resztą, nie spiesząc się do ciemnego obozu. Pomimo ciężkiego dnia, zakończonego klęską, pomimo straty tysiąca metrów wysokości, które trzeba będzie z takim trudem odzyskać, pomimo ponurego kanionu, niepewnej pogody i złego humoru mojego przyjaciela, a także dość wątpliwych widoków na jutro, czuję wewnętrzny spokój, jakby ziemia się dla mnie otworzyła pośród tych majaczących skał, kłębiących się chmur i wirujących płatków śniegu.

28 PAŹDZIERNIKA

Drobny śnieg padał przez cały wieczór, ale dziś poranek jest czysty. Tragarze zażądali podwyżki przed następną próbą i nie otrzymawszy jej, odeszli. Zgadzam się z G. S., że to zdzierstwo, ale ponieważ cały dodatkowy koszt, w przeliczeniu, sprowadza się do około dwudziestu pięciu dolarów, ta decyzja wydaje mi się niezbyt opłacalna. Jednakże G. S. uważa - i zapewne ma rację - że tragarze zrezygnowaliby tak czy siak w pobliżu przełęczy, zostawiając nas uboższych a niewiele mądrzejszych.

G. S. wyszedł z obozu bardzo wcześnie w nadziei, że zlodowaciały śnieg nie będzie się zapadał, zanim nie zmięknie na słońcu; wziął ze sobą dwóch tragarzy, którzy zgodzili się pokazać drogę, ale bez ładunków, a także Jang-bu, naszego najlepszego tłumacza, i Phu-Tseringa, najbardziej doświadczonego wspinacza. Idąc bez obciążenia spróbują dojść do Shey, gdzie być może uda się zwerbować nowych tragarzy. A tymczasem Dawa zanieśie zapas drewna na śnieżne zbocze, do składu bagaży, na wypadek gdyby ekipa G. S. nie pokonała przełęczy i została zaskoczona przez śnieg lub mrok w drodze powrotnej. Ja pilnuję obozu przed nieuczciwymi tragarzami, z których jeden już udał się w drogę z moim wiernym kijem.

Teraz jest południe i Dawa właśnie zniknął w ciemnym kanionie. Chętnie spędzę tu dzień w samotności, choć to najmniej przytulny obóz ze wszystkich, jakie robiliśmy od Pokhary. Głęboki zakręt wąwozu jest kamienisty, wąski i bardzo zimny; oprócz półgodzinnego okresu wczesnym rankiem, kiedy słońce jak omen przesuwa się między szczytami, obóz cały czas pozostaje w głębokim cieniu. Na tej wysokości, podczas himalajskiej jesieni, różnica między słońcem a cieniem jest uderzająca: strumień przy moim namiocie skuwa lód, a na skalnym zboczu nad obozem, na które wspinam się, żeby się ogrzać i napisać te notatki, wygrzewają się w słońcu jaszczurki.

Wczesnym popołudniem słońce dotyka namiotu i już po chwili znika; zimny wiatr od Kanjiroby hula w kanionie. Jest za zimno, żeby siedzieć w jednym miejscu; schodzę kawałek wąwozem popatrzeć na wysokie lodowce i wielkie zwały lodu. Wiatr zwiewa śnieg z nieskalanych wierzchołków, które błyszczą w świetle, rzucając magiczne barwy na chmury płynące pośród szczytów w swoją podniebną podróż.

Raz jeszcze uderza mnie yin-yang tutejszych rzek: jedno zbocze jest białe do samej wody, a drugie czarne; na tym białym odcina się ciemna skała, a na czarnym biała plama śniegu, tak że każda strona zawiera ziarno swojego przeciwieństwa. Równowaga składników wszechświata, pozytywnych (yang) i negatywnych (yin) przedstawiona w starożytnej „Księdze Przemian” (I Ching), zdaje się przepowiadać elektronową teorię energii jako materii i jest również cudownym emblematem stanu płynnego, interpretacją całej egzystencji, dla której powszechnym tantryckim symbolem jest yab-yum zjednoczenia seksualnego. W tantrach pesymistyczny strach przed pożądaniem i przyjemnością, charakterystyczny dla wczesnego buddyzmu, uważany był za jeszcze jedną formę zniewolenia, a nacisk kładło się na przeżywanie życia bez tłumienia popędów życiowych, ale i bez uzależniania się od nich. Tantry zajmowały się całością egzystencji, odbiorem wszechświata przez istotę ludzką. Wszystkie myśli i czyny, wraz z energią seksualną,

ukierunkowano na wzbogacenie duchowe, a celem było przewyciężenie przeciwności; we wspólnocie seksu, wina i uctowania można zatracić iluzję odrębnej tożsamości, jeżeli zachowa się obiektywną perspektywę. Wszystkie rzeczy i czyny są równe, splecione ze sobą, od „najniższych” funkcji fizjologicznych do „najwyższych” wlotów duchowych; polecano nawet spożycie ciała i nieczystości zmarłego jako najwyższy wyraz pojednania z naturą. Toteż tantry można uznać²⁹ za przejaw najstarszej religijnej intuicji człowieka mówiącej mu, że ciało, umysł i natura to jedno. Ale dekadencja osłabiła sekty tantryckie, zwłaszcza starą Sektę, czyli Nyingmę, a w szesnastym wieku nowa sekta Gelug-pa, kierowana przez dalajlamów, zapoczątkowała reformację. W tym samym okresie w Indiach (gdzie buddyzm został dawno temu wytopiony przez muzułmanów) Mogoł Akbar kazał tantrystów hinduskich przywiązywać do słoni i rozdzierać żywcem.

Po powrocie zastaję Dawę, Phu-Tseringa i dwóch tragarzy przykucniętych nad ogniskiem. Phu-Tsering mówi, że mamy zwinąć jutro obóz. Brązowe twarze patrzą na mnie przez dym, kiedy cieszę się i klaszczę w ręce jak dziecko. Ale liścik od G. S., który wraz z Jang-bu poszedł prosto do Shey ostudza mój zapał.

godz. 12.00, na przełęczy

Peter,

Wczorajsza droga była oczywista szkoda, że mnie zabrakło. Prosto w górę granią, o której mówiłeś, i po dwóch godzinach jest się na przełęczy.

Przynieś cały sprzęt do Obozu 2. Załóż Obóz 3 na przełęczy. Dwa razy dziennie można obrócić bez trudu.

Utnij cienkie ponad półmetrowe witki wierzbowe i oznacz trasę co kilkadziesiąt metrów, żeby nie zasypał jej śnieg.

Zapłać tragarzom po 80 rupii.

GBS

Idę między nadrzeczne skały z inkrustowanym brązem i srebrem kukri Dawy i tnę wściekle karłowate gałązki wierzb. Dlaczego G. S. chce założyć Obóz 3 na wietrznej, śnieżnej przełęczy na wysokości niemal sześciu tysięcy metrów, skoro i tak musimy wracać do Obozu 2 (sądzę, że ma na myśli skład bagaży) na jako tako osłoniętym zboczu trzysta metrów niżej? Za cenę dwudziestu pięciu dolarów dla tragarzy, złoszczę się, mogliśmy już być po drugiej stronie przełęczy i zostawić za sobą jej wiatr, zimno i głęboki śnieg. Mojego humoru nie poprawia też apodyktyczny ton listu ani zawarta w nim sugestia, że gdyby G. S. był na miejscu, tragarze wczoraj po południu poszliby do Shey.

Później reflektuję się: z pewnością G. S. nie zamierzał napisać listu w taki sposób, w jaki ja go odbieram. To, co wydaje się w jego zachowaniu obraźliwe, jest często tylko obcesowe, jak w przypadku, gdy wrzuca mi coś przez kłapę namiotu, żebym sobie obejrzał; raz odrzuciłem mu to z powrotem na znak, że niezbyt mi się podobają takie maniery. Ale im lepiej poznaję tego człowieka, tym lepiej rozumiem, że jego zachowanie nie wynika ze złych manier, tylko z głębokiego szacunku, jaki - sam będąc samotnikiem - żywi dla samotności innych; może pisałem dziennik albo byłem pogrążony w medytacji i nie

chciałem, aby mi przeszkadzano? Podczas długiej i żmudnej wędrówki, bez możliwości ucieczki od siebie, taki stosunek do innych (rozciągnięty także na Szerpów) jest znacznie cenniejszy niż zwykle „dobre maniere”, pod którymi czasem kryje się nędzny duch i po których niewiele zostaje w prawdziwie ciężkich chwilach.

Na nizinie G. S. był zamkniętym w sobie mężczyzną, który nie bardzo umiał okazywać uczucie; na wolności pośród śnieżnych gór otwiera się odsłaniając ciepłe, barwne wnętrza. Przy dwóch okazjach zdołał wyrazić, że się cieszy z mojego towarzystwa podczas tej wyprawy, a któregoś dnia w Ring-mo zdumiał mnie wyznaniem, że chciał impulsywnie przytulić napotkane dziecko (ale jako że było zasmarkane i brudne, impuls został stłumiony). Tak więc przez jego kolce prześwieca delikatność. Szerpowie też to widzą; lubią go i bardzo szanują. Phu-Tseringa często można zobaczyć, jak kucając na piętach u kolan „Szorsza”, nuci z ukontentowaniem.

Pastuję buty, piorę skarpetki i słucham podśpiewywania Phu-Tseringa, który wałkuje chapatis na małym okrągłym kawałku drewna. Jem kolację w jaskini wraz z Szerpami; siedzimy ściśnięci wokół małego ogniska, którego płomienie pełzają nisko w nocnym wietrze wąwozu. Phu-Tsering mówi, że zeszłego września, kiedy wraz z kilkoma wieśniakami kopał ziemniaki w Khumbu, we wschodnim Nepalu, pokazał im się mały yeti, wielkości „dużej owcy”, który sunął po zboczu wzgórza przewaźnie na czworakach, jakby w poszukiwaniu pożywienia; kiedy uciekał, mówi Phu-Tsering, podniósł się na tylne nogi i poruszał się znacznie szybciej. Miał wyraźnie szpiczastą głowę, a koloru był „między czerwonym a czarnym”. Myślę o nieznanym stworzeniu ujrzanym przelotnie w górnej Suli Gad, które miało barwę ciemniejszą niż rudawa czerwień, zwykle przypisywana yeti: „między czerwonym a czarnym” to trafne określenie i dobrze opisuje wiele naczelnych, które często mają ciemną sierść we wczesnym etapie życia, a później z wiekiem rudzieją. Może Phu-Tsering oszukiwał, może sam uległ złudzeniu, a może wymyślił po prostu tę historyjkę na cześć sahiba. Możliwe też, że to, co mówił, jest prawdą.

Przejęta grozą twarz Phu-Tseringa, podobna w tej chwili do twarzy dziecka, przypomina mi opowiadanie G. S. o ich wspólnych chwilach we wschodnim Nepalu, kiedy nasz kucharz dostał list z wiadomością, że żona opuściła go dla innego mężczyzny. Płacząc, Phu-Tsering podniósł się na nogi i odczytał list na głos wszystkim Szerpom z wioski, w której się zatrzymali, a ludzie stali i płakali wraz z nim. G. S. tak to skomentował: „Mieszkaniec Zachodu wymknąłby się gdzieś chyłkiem i siedł przed siebie kopiąc kamienie; trudno nie czuć podziwu dla Szerpów, że są tacy otwarci” tacy otwarci, tacy bezbronni i przez to tacy wolni, prawdziwi bodhisattwowie przyjmujący wielkie i małe wydarzenia codziennego życia, jak się przyjmuje zmienną pogodę.

29 PAŹDZIERNIKA

Wychodzę o świcie z pełnym plecakiem i w dobrym tempie doganiam słońce na wysokości koło pięciu tysięcy metrów. Wspinaczka sprawia mi przyjemność, bo teraz, znając drogę, mogę nacieszyć się szczegółami. Na odsłoniętych miejscach w zlodowaciałym śniegu rosną między kamieniami mięsiste czerwone listki, a w wielu skałach zachowały się skamieliny z ery, kiedy te szczyty leżały jeszcze pod wodą.

W ośnieżonych górach - czy to kwestia wysokości? czuję się znów swobodny i czysty jak dziecko. Zalewają mnie fale wzruszenia i nagle jestem bliski łez, tym razem na wspomnienie porannego telefonu ze szpitala, w ostatnim tygodniu życia D. Już od paru dni D. znajdowała się według lekarzy w stanie śpiączki przedśmiertnej, a teraz pielęgniarka twierdziła, że żona chce ze mną mówić: musiała mnie upewnić, że się nie myli. I naraz usłyszałem ten cieniutki głos, rodem z dzieciństwa D., wzywający mnie, jakbym był daleko po drugiej stronie łąki: „Peter? Peter? Chodź szybko! Jestem bardzo, bardzo chora!” Musiała wyczuć, że jest bliska śmierci i bezradność w jej głosie ścisnęła mnie za serce. Biegłem przez zimowe ulice, mijając ściągnięte zimnem twarze patrzące na mnie podejrzliwie, a spod jezdni wydobywały się wstęgi pary ulatującej w powietrze.

Teraz, po drugiej stronie świata, kiedy lzy zamarzają mi w kącikach oczu, słyszę dziwne dźwięki, jakby skowyt samotnego lisa, a w chwilę później wybuch śmiechu, i myślę, że sama D. najbardziej by się śmiała z tak zachwycającego pomysłu, jak oplakiwanie straconej miłości w ośnieżonych górach. Łzy i śmiech mijają, a ja czuję się spokojny, odprężony i w magiczny sposób przechodzi mi częsty na tych wysokościach ból głowy, od którego zaczął się dzień.

Wokół śnieżnej przechowalni bagażu nic tylko cisza i biel, wiatr i niebo. Odpoczywam na słońcu, otulony miękkim całunem białej pustki; czuję, że moja obecność w tej pustce musi być zauważona, choć nikogo tu nie ma.

Kiedy nadchodzi Phu-Tsering, rozpinamy dwa namioty w kamienistym żlebie między zaspami; bagaże leżą w kopcu nawianego wiatrem śniegu. Znajduję mój kij, wetknięty w zaspę przez jednego z bon-po, który wziął mi go sprzed namiotu idąc na wczorajszą wspinaczkę. Nadchodzi Dawa, jest właśnie południe, i kiedy skończymy jeść chapatis, zaniesiemy trzy ładunki na przelęcz i zejdziemy tu z powrotem na nocleg. Mimo bolesnego doświadczenia na stokach Dhaulagiri, Dawa zasłania oczy kawałkiem materiału tylko dlatego, że zabroniłem mu bez tego wychodzić. W poprzednich miesiącach tego roku pracował w bazie amerykańskiej ekspedycji na Annapurnę IV; nie ma doświadczenia w wysokogórskich wspinaczkach podobnie jak i chyba w dorosłym życiu.

Jest bezwietrznie i gorąco; wysoki do kolan śnieg zmiękł na słońcu i zapadamy się w śladach zostawionych przez ekipę G. S. wczoraj rano, kiedy jeszcze skorupa śniegu była twarda. Dźwigam worek soczewicy w połamanym koszu i mogę zapewnić, że tragarze daliby za wygraną po pierwszych kilkunastu metrach w przypadku, gdyby - choć to mało prawdopodobne - G. S. skłonił ich jednak przedwczoraj do dalszej drogi. Cienkie rzemienie wbijają mi się w ramiona, połamana wiklina kłuje w plecy wyszarpując dziury w

skafandrze, a sam kosz na prymitywnych pasach kolebie się ciężko na boki, utrudniając mi utrzymanie równowagi: dyszę tak ciężko w rozrzedzonym powietrzu, że robi mi się słabo. Trzymam wzrok wbity w zatarte ślady stóp idące zygzakiem po stromym zboczu, nie patrzę w górę, aby nie zniechęcać się odległością, jaką mam jeszcze do pokonania; słońce lśni na pomarszczonej powierzchni śniegu.

Bez żadnych punktów orientacyjnych, tylko w mamiącej bieli zamglonej słonym potem zalewającym mi oczy, droga ku przełęczy pnie się w dzikich spiralach ku białemu półkolu na błękitie. Skądś dobiega dudnienie lawiny. Oto jestem tu, na wysokości ponad pięciu tysięcy metrów, i rozpaczliwie ląknę powietrza, a tymczasem muszę brnąć przez mokry śnieg uginając się pod trzydziestoma kilogramami soczewicy. Co kilka kroków staję bez tchu, płuca mi pękają. Pod wpływem napięcia czuję gwałtowny przyptyw wczorajszej wściekłości: przeklinam oszczędność, która nas tak pięknie urządziła. Dzisiaj mamy zanieść bagaże z obozu przy jaskini na przełęcz Kang, tysiąc dwieście metrów w górę przez lód i głęboki śnieg; a jutro każdy z nas musi wnieść tam jeszcze po dwa ładunki ze składu na zboczu. Dlaczego G. S. i Jang-bu nie wracają, żeby nam pomóc? Dlaczego wbijamy wierzbowe wici dla Tuktena i Gyaltsena, skoro jest jasne, że nigdy nie dotrą aż tutaj bez przewodnika? Gdyby G. S. niósł wór soczewicy choćby kilkaset metrów w górę stromego zbocza, po kolana w tej oślepiającej bryi, nie pisałby bzdur, że można bez trudu pokonać tę drogę dwa razy dziennie.

Po chwili przychodzi opamiętanie, jakby na dźwięk odległego dzwonu; zdaję sobie sprawę, że moja wściekłość jest absurdalna. Znam tego człowieka, jeśli został w Shey (druga przyczyna jego nieobecności - wypadek - jest nie do pomyślenia), to musi mieć ważny powód. Złuszczając się, tylko tracę tak potrzebną mi energię, co zrozumiałwszy łatwo już wracam do równowagi.

Zbocze jest coraz bardziej urwiste i w końcu muszę iść niemal na czworakach, szorując kłykcami po śniegu, a w tej małej pozycji bagaż przesuwa się do przodu, oszczędzając moje zmaltretowane plecy. Trzy myśli trzymają mnie przy życiu: nadzieja na widok rozciągający się na północ nad Dolpo do Tybetu, perspektywa zejścia bez bagażu przez te olśniewające połacie śniegu na gorącą herbatę i biskwity, świadomość - bardzo wzruszająca na tej wysokości że te dwie ręce, które widzę przed sobą w słońcu ściskające paski kosza, prostokątne, brązowe ręce, oznaczone bliznami życia, niczym się nie różnią od starczych rąk mojego ojca. Jestem jednocześnie sobą, dzieckiem, którym byłem, i starcem, którym będę.

Trzy godziny nieudłudzkiego wysiłku kosztuje nas wejście na przełęcz, gdzie bardzo zimny wiatr z północy każe nam położyć się płasko na brzuchach. Kang okazuje się jedynym punktem na wąskim grzbiecie między dwiema turniami, z którego można próbować zejść do wielkiego śnieżnego kotła. Nawet tutaj pierwsze kilkadziesiąt metrów stanowi zbyt stromy uskok dla stworzeń bez rąk wystarczy się poślizgnąć, aby pokoziołkować dobry kilometr w dół.

Położona na wysokości pięciu tysięcy czterystu metrów Kang La jest wyższa od każdego szczytu w Stanach Zjednoczonych poza Alaską, lecz i tak w trzech kierunkach wznoszą się tu góry jeszcze wyższe, bo po Tybecie Nepal jest najwyższym krajem świata. Na horyzoncie

na północ za górami, w głębokim purpurowym cieniu leży Kraina Bod. Wąwozy po północnej stronie Kang spowija półmrok - jeden z nich musi wieść do Shey Gompy.

W obliczu tej pustki nietrudno wyobrazić sobie, że gdzieś pomiędzy szczytami ukrył się - jak tamta zielona oaza pod przełęczą Jang w wąwozie Saure pępek świata, Shambala. Legenda mówi, że czcigodny Lao-cy oddał księgę Tao Strażnikowi Przełęczcy i zniknął ze swoim wołem właśnie w takiej pustce, podobnie jak Bodhidharma, Pierwszy Patriarcha, który przyniósł Dharmę z Indii do Chin. Ale ja widzę tylko bezmiar białych iglic bez śladu życia - nigdzie dymu, tropu, chaty, przelatującego ptaka.

Na południe pod Kanjirobą leży w pełnym słońcu brązowy punkcik obozu. Schodzę z powrotem po ośnieżonym zboczach i zaczynam bieć, kiedy przygnębiający widok na północy znika mi z oczu. Lodowce lśnią w blasku zachodzącego słońca: pokazuje się oblodzona Kanjirobą. Ostatnie metry szybkiego, uskrzydłonego zejścia pokonuję susami i skokami.

O zachodzie słońca między szczytami przelatuje czarny orzeł, później od jasnych, mroźnych gwiazd schodzi przejmujące zimno. Mając resztki paliwa, kładziemy się szybko, aby przeczekać noc.

30 PAŹDZIERNIKA

O świcie, kiedy wychyłam nos na zamaryły świat, lód ścina mi nozdrza; kulę się z powrotem w śpiworze, przykrywam głowę. Jeżeli G. S. i Jang-bu dzisiaj nie przyjdą, trzeba będzie podjąć trudne decyzje. Ponieważ nasza droga powrotna wiedzie w dół po oblodzonych skałach, niezbyt miło byłoby dać się zaskoczyć przez śnieżycę, a poza tym i tak nie możemy tu zostać, bo paliwo już się prawie skończyło. Głęboka cisza ostrzega, że nie jest to miejsce dla ludzi.

Z brzaskiem dnia odwiedzają nas kruki. A później nad krajem białego świata wschodzi zimne słońce, niosąc z sobą lekkie wiatry.

Tego ranka zaniesiemy trzy dalsze ładunki na Kang La, a potem jeszcze trzy. To już będzie dziewięć - razem jest czternaście. Czekamy, aż słońce dotknie zbocza, żeby nie iść w przejmującym zimnie, a potem wspinamy się co sił w płucach, chcąc wykorzystać twardy śnieg, i dochodzimy do przełęczy w półtorej godziny. W skutych śniegiem dolinach na północy, wciąż pogrążonych w nocnym mroku, nie ma śladu naszych towarzyszy, nie ma śladu życia.

Szerpowie natychmiast schodzą z powrotem; ich też zdaje się przygnębiać taki ogrom pustki. Zostaję sam i wciąga mnie ta północna próżnia: ani śladu wiatru, ani śladu chmurki, ptaka, zwierzęcia czy człowieka, tylko kryształowe łuki między szczytami, które niczym potężne skalne pomniki, uwolnione ze szponów śniegu i lodu, wzbijają się nieubłaganie w błękit. W porannym świetle cień skał ostro odcina się na bieli; napięcie między światłem i cieniem tworzy siłę wszechświata. Ten bezruch, do którego wszystko wraca, to rzeczywistość, a dusza i zmysły mają tu nie większe znaczenie niż podmuch śniegu; taka ulotność i znikomość są ekscytujące i przerażające zarazem, jak nagle odkrycie podczas medytacji, że nasze ciało jest przezroczyste. Ośnieżone góry, bardziej niż morze czy niebo, mogą służyć prawdziwej naturze człowieka za lustro - absolutnie nieruchome, absolutnie czyste; próżnia, Pustka bez życia, bez dźwięku, która sama niesie w sobie całe życie, wszystkie dźwięki. Ale dopóki jestem świadom własnego „ja”, świadom próżni i tego, że stoję poza nią, dopóty lustro będzie zasnutę śnieżną mgiełką.

Białe obszary w dole przemierza ciemna postać, w ręce dynda jej jakiś zwój. To Szerpa Dawła wina linkę do uwiązania koszy wokół czola, ale światło pulsuje czymś znacznie więcej niż sylwetka Dawy. Słońce szaleje, wypełniając sobą każdy kryształek śniegu. Zalewa mnie fala uczuć, jestem dziwnie poruszony i znów ciepłe łyż zamarzają mi na twarzy. Te skały, góry, cała materia, sam śnieg, powietrze - ziemia dzwoni. Wszystko się rusza, pełne siły, pełne światła.

Idę szybko, żeby zrobić drugie przejście, zanim rozmięknie śnieg. Tym razem niosę w koszu wór cebuli jak bardzo cebulasty jest jej zapach w chłodnym, śnieżnym powietrzu, a i sama cebula wydaje się o wiele cięższa niż ma prawo być. Później okazuje się, że przebiegły Phu-Tsering ukrył pod nią dziesięć litrów oleju i teraz chichocze radośnie za moimi plecami.

Śnieg zdążył już nieco stopnieć i tu i ówdzie zapadam się po kolana: to wejście zabiera nam

pół godziny dłużej niż pierwsze, ale o godzinę mniej niż wczorajsze. Jesteśmy na przełęczy tuż po południu i Phu-Tsering, który pierwszy zagląda w kotłinę, odwraca się do mnie z radosnym uśmiechem, już po chwili jednak ten uśmiech zamienia się w grymas niezadowolenia. „Jest Szorsz. - Po czym wzdycha. Ale nie ma tragarzy”. Znużeni, siadamy z Dawą pod gołym usypiskiem i rzucamy kosze. Daleko w dole brnie w górę Szorsz w swoim jasnyniebieskim skafandrze: jeszcze niżej Jang-bu odpoczywa na białej skale. W pełnym słońcu góry na północy wyglądają mniej odpychająco, ale ze sposobu, w jaki G. S. się porusza, widać wyraźnie, że droga do Shey leży pod głębokim śniegiem. Patrzymy w dół bez słowa, a gorący pot stygnie nam na plecach.

Dzisiaj rozrzedzone powietrze i ciężki bagaż mniej mi się dają we znaki niż blask śniegu, który po dwóch dniach wypalił mi głowę, oczy, mózg w otępieniu zataczam się na krawędzi świata. Phu-Tsering i Dawa też są spaleni i otumanieni. Dawa, mimo ciągłych napomnień, wciąż zapomina zasłonić oczy a ponieważ wszyscy jesteśmy głodni po naszych dwóch wspinaczkach, schodzimy raz jeszcze do obozu na zboczu nie czekając na G. S. i Jang-bu. Chociaż żaden z nas nic nie mówi, czujemy się zniechęceni: całą pracę przeniesienia czterestu ładunków z obozu na zboczu przez Kang La do Shey musimy wykonać tylko w piątkę.

Wczesnym popołudniem dobijają nasi przyjaciele niosąc złe wieści: w Shey nie ma tragarzy ani żywności. Październikowe deszcze, które trzymały nas w Dhorpatan, tu w górach jak się obawialiśmy oznaczały śnieżycę i w związku z wczesną zimą zamknięto Krysztalowy Klasztor, a ludzie wynieśli się z Shey poprzez wschodnie góry do Saldang, na straży dóbr zostały tylko dwie kobiety.

G. S. przedstawia swoją wersję „związłego listu”, jak go nazywa, sprzed dwóch dni, tłumacząc, iż na przełęczy Kang było tak wietrznie i zimno, że pisał tylko rzeczy najistotniejsze; kazał mi zapłacić obu tragarzom, bo nie mógł zmarzniętymi palcami policzyć pieniędzy i bał się, że pofruną z wiatrem do Tybetu. Przyznaję, że niezbyt mi się podobał ten list i jestem gotów powiedzieć, dlaczego, ale G. S. uprzedza ewentualne zastrzeżenia mówiąc, że wcale nie chciał wyrazić krytyki pod moim adresem, tylko przeciwnie, uznanie, iż moje przewidywania co do trasy okazały się słuszne, podczas gdy on wstrzymał nas „czekając za długo na niewłaściwej górze”. To, że napisał to w taki a nie inny sposób, a ja odebrałem to tak opacznie, przypisuje napięciu poprzednich dni i wysokogórskiej drażliwości, która zrujnowała już niejedną wyprawę. Wszystko, co mówi, brzmi całkiem logicznie i czuję się głupio: przypominam sobie swój pierwszy pobyt na dużej wysokości, w Andach, kiedy byłem tak podminowany, że każdy niespodziewany dźwięk wzbudzał we mnie wściekłość. Szybko i szczęśliwie przechodzimy do porządku nad całą tą sprawą. Cieszymy się na swój widok co się dobrze składa, bo w tym obozie musimy się zadowolić jednym małym wspólnym namiotem i na pobyt w Shey, gdyż jest też i dobra nowina: błękitne owce są tam liczne i niepłochliwe, a ruja, którą przyszliliśmy oglądać z tak daleka, ledwo się zaczęła.

Wczesnym rankiem, jeśli pogoda się utrzyma, przetransportujemy ostatnie pięć ładunków na Kang La, skąd zsuniemy wszystkie czternaście północną ścianą do dziwnego, czarnego zakrętu na dnie śnieżnego kotła. Stamtąd sukcesywnie przeniesiemy je trzygodzinną drogą w dół rzeki do Shey. Tutaj, w miejscu obozu na zboczu, zostawimy kopiec z żywnością dla

Tuktena i Gyaltsena oraz z poleceniem, żeby nie bacząc na rady mieszkańców Ring-mo dogonili nas w Shey; z lekkim obciążeniem powinni dojść stąd w pół dnia. Jeżeli przełęcz zasypie śnieg, niech starają się dotrzeć do nas okrężną drogą z Murwy przez Saldang; na tamtej trasie są trzy przełęcze, jak powiedziały kobiety z Shey, ale żadna nie jest tak trudna jak Kang La. Gdyby to wszystko zawiodło, niech czekają na nas w Dunahi.

Mam sen, że wspinam się radośnie na jakąś górę. Coś pęka i spada, robi się jasno. Nic się nie zmieniło, ale wszystko jest przedziwne, świetliste, swobodne. Nareszcie wyzwolony, wznoszę się ku niebu... Ten sen nachodzi mnie często. Czasem biegnę, a potem wzbijam się jak latawiec, wysoko nad ziemię, i zawsze przez pewien czas szybuję nieprześcigniony, zanim się obudzę, zanim nie postanowię się obudzić ze strachu, żeby nie spaść. Te sny znaczą, że jestem częścią wszechrzeczy, trzeba się tylko wyzwolić i iść swoją drogą. „Nie bądź ciężki mówił rosi Soen. - Bądź lekki, lekki, lekki... pełen lekkości i światła!”

Ostatnio dwa razy widziałem we śnie światło tak olśniewające, tak intensywne, że „obudziło mnie”, ale po przebudzeniu zniknęło. Co było bardziej rzeczywiste, przebudzenie czy sen? Ostatnim japońskim słowem, jakie napisał i wypowiedział sędziwy nauczyciel rosiego Soena, było słowo „sen”.

31 PAŹDZIERNIKA

Dzisiaj jest ostatni dzień października.

Jestem zmęczony i poranna wspinaczka zabiera mi pół godziny dłużej niż wczoraj o tej samej porze. Odoczywamy krótko na przełęczy przed zejściem w niebieskie cienie kotliny. Wbijam kij w śnieg i wykopuję butem oparcie dla nogi, potem wbijam kij niżej i znów wykopuję stopień - „Rób nie więcej niż jeden ruch na raz!” - krzyczy G. S. - aż dosięgnąwszy występu tuż nad skarpą ostrych, sterczących skałek, udeptuję miejsce dla obu nóg i przygotowuję się na przyjęcie ładunków. W cieniu powietrze jest bardzo zimne. G. S. spuszcza mój plecak, potem worek soczewicy i nasze zapasy mąki w dużym nylonowym worze. Przeciagam soczewicę i mąkę na prawo, z dala od sterczących skałek, i spuszczam je w dół. Soczewica w swoim chropawym jutowym worku wkrótce zatrzymuje się u stóp ściany, trzydzieści metrów niżej, ale śliski worek nylonowy sunie tak daleko w głąb kotliny i z taką szybkością, że Szerpowie, których głowy ukazały się teraz nad skrajem przełęczy, wyrażają głośny aplauz.

Z plecakiem na plecach, podpierając się kijem, schodzę ostrożnie do soczewicy i ruszam dalej ciągnąc szorstki worek za sobą. Nawet tutaj ściana kotła jest tak urwista, że schodząc na czworakach twarzą do zbrocza, wiszę niemal pionowo i muszę nadal wykopywać stopnie w twardej skorupie, żeby nie zeslizgnąć się i nie pokiereszować na długim stoku.

Sylwetki na przełęczy, borykające się z kolejnymi bagażami, są bardzo małe. Widzę, jak Phu-Tsering schodzi na występ. Wtem z nieba, skąd mordercze słońce śle zimne promienie na lodową grań Kang, zlega się ostrzegawczy okrzyk.

Z góry leci ładunek.

Ciemne postaci na niebie, groźne słońce, oślepiająca lodowa powłoka i ten ciemny, skaczący przedmiot, z początku całkiem mały, lecz powiększający się z każdym odbiciem: z góry leci ładunek. Skrępowany plecakiem przyciskam się do ściany w obawie, że każdy mój ruch może okazać się fałszywy, gdyż tor lotu ciemnej bryły jest trudny do przewidzenia; rozpaczliwie kopię lód, żeby mieć punkt oparcia, gdybym musiał w ostatniej chwili odskoczyć się w bok. Ktoś krzyczy, kiedy szarżujący kształt uderza zbrocze nade mną i znów się wzbija, wypełniając niebo: jeszcze w ostatniej, halucynacyjnej sekundzie nie mogę uwierzyć, że zmierza prosto na mnie. Rzucam się w lewo i wielka paka G. S. - książki, buty, sprzęt fotograficzny - rozcina zlodowaciała skorupę w miejscu, gdzie stałem, i leci w dół. Straciłem podporę na stoku i zaczynam się zsuwać, ale mój kij, wbity w pokrywę śnieżną, przychodzi mi na ratunek; leżę rozkrzyżowany, twarzą do śniegu, ciężko dysząc. Wysoko nad głową słyszę podniesiony głos G. S., besztający Phu-Tseringa za jego nieostrożność. Później droczę się z Phu-Tseringiem: „Myślałem, że jesteś moim przyjacielem!”, a on wybucha głośnym, nerwowym śmiechem, mówiąc: „Barso przepraszam!”

Mieliśmy nadzieję, że uda nam się przetransportować ładunki nad śnieżne jezioro do południa, ale teraz ciepło i brak wiatru działają przeciwko nam. Na stromych odcinkach bagaże łatwo zsuwają się po zlodowaciałej skorupie, wystarczy jeden mężczyzna na trzy

pakunki, ale później, kiedy już słońce jest wysoko, zapadają się i trzeba je ciągnąć przez topniejący śnieg. My sami często zapadamy się po pas i jest już dobrze po południu, kiedy pierwsze worki docierają nad jezioro; reszta leży porozrzucana na zboczu. G. S., w rakach, jest w lepszym położeniu, ale my wszyscy ledwo dyszymy i splywamy potem.

Po zachodzie słońca za stromymi ścianami w kotle natychmiast robi się zimno. Szerpowie, bez bagaży, ruszają z kopyta do Shey, choć nie mogą tam dotrzeć przed zmrokiem. Sam chętnie bym tam poszedł jeszcze dziś, ale to głupota wybierać się w męczącą trzygodzinną drogę przez zasy, zamrożone potoki i krę, kiedy się jest mokrym i zmordowanym; mówię, że zostaną na noc tutaj. G. S. się zgadza. Chociaż nic nie jedliśmy w południe, jesteśmy zbyt zmęczeni, żeby czuć głód. Rozkładamy się nad tym dziwnym stawem - powstałym z osunięcia czarnej gliny, w miejscu, gdzie o tej porze roku topnieje w południe lód i śnieg - jemy wspólnie ostatnią puszkę sardynek i kiedy późnym popołudniem nadchodzi zmrok, zwijamy się w swoich śpiworach.

Wieczorny wiatr uciął bez śladu i dobrze się stało, bo przy śnieżnych zaspach wokół, głębokich i suchych, lada podmuch wzniciłby zadymkę. G. S. zawsze śpi jak suseł, ale dla mnie będzie to długa noc. Myślę o wielkim czarnym orle, który o zmierzchu przeciął niebo: mógł to być tylko orzeł przedni czyli zys, którego po raz ostatni widziałem w zachodnich górzystych terenach Ameryki Północnej. Może to ten sam, który wczoraj o podobnej porze przeleciał nad naszym obozem na zboczu. Na co on poluje, ten bohaterski ptak w przejmującej białej puszcze, na skraju ciemności?

KRYSTAŁOWA GÓRA

Jak ręka trzymana przed oczami zasłania największą górę, tak małe ziemskie życie przesłania nam ogromne światła i tajemnice, których pełen jest świat, i ten, kto potrafi odsunąć je sprzed oczu, jak odsuwa się rękę, ujrzy wielki blask wewnętrznych światów.

Rabin Nachmann z Braclawia

Dni i miesiące to podróżnicy w wieczności. Podobnie jak lata, które płyną... Mnie samego przez długi czas kusił gnający chmury wiatr i wypełniał przemożnym pragnieniem wędrówki... Wędrowałem przez mgły i obłoki, oddychając rozrzedzonym powietrzem dużych wysokości i ślizgając się po lodzie i śniegu, aż w końcu miałem wrażenie, że wszedłem przez bramę z chmur na sam trakt słońca i księżyca; dotarłem do szczytu zupełnie bez tchu i przemarznięty do szpiku kości. Niebawem słońce zaszło i na niebie pokazał się potyskujący księżyc.

Basho

1 LISTOPADA

Nasz obóz nad Czarnym Stawem, choć dużo poniżej przełęczy Kang, leży na wysokości ponad pięciu tysięcy metrów i w godzinę po zejściu słońca za wysokimi szczytami moje mokre buty zamieniły się w bryły lodu. Termometr G. S. wskazywał minus dwadzieścia stopni i chociaż włożyłem na siebie wszystko, co mam, trząsałem się z zimna przez całą noc. Nareszcie nadszedł świt, ale uzyskanie gorącej wody z garnka lodu jest trudne na tej wysokości, toteż zanim buty odtajały i mogliśmy ruszyć w drogę, zrobiło się już po dziewiątej.

Śnieżny kocioł daje początek oblodzonej rzece, która spływa głębokim kanionem do Shey. W kanionie spotykamy Jang-bu i Phu-Tseringa w drodze po żywność i garnki; mówią, że Dawa znów leży z ostrym nawrotem śnieżnej ślepoty.

Ślady Szerpów biegną w mroźnym cieniu po szklitych kamieniach brzegiem potoku; w pewnej chwili ślizgam się i gubię piórko dudka, które przyozdabiało mi czapkę. Rzeka opada stromo, bo Shey leży tysiąc metrów poniżej Kang La; zejście w głębokim śniegu jest tak zdradliwe, że Szerpowie nie zostawili ścieżki, każdy brnął przez zaspy na własną rękę, radząc sobie jak umiał. W końcu za wysokim zakrętem kanionu ukazują się niewyraźne czerwono-brązowe zręby ludzkiej siedziby. Klasztor, niczym mała forteca, stoi na urwisku, na które inna rzeka napływa ze wschodu półtora kilometra niżej obie rzeki giną w głębokim i ciemnym wąwozie. Z wyjątkiem dolnych partii zbocza za klasztorem, które jest otwarte na południe, większość tego bezdrzewnego pustkowia leży pod śniegiem, poprzecinanym tu i ówdzie kaligraficznym wzorem gołych skał; nad wszystkim wisi atmosfera zupełnej dzikości i odosobnienia, przytłaczająca małą grupkę domostw.

Wysoko na zachodzie płynie po niebie biała piramida - Kryształowa Góra. W lecie ten skalny obelisk jest świątynią dla pielgrzymów z całego Dolpo i dalszych okolic, którzy przychodzą tu zrobić przepisowe okążenie wokół Kryształowej Góry i wziąć udział w świętych uroczystościach w Shey.¹ Znamienny dla tego szczytu, zwłaszcza zimą, jest jego niezwykle kształt, który nawet dzisiaj, bez pomocy płynących wokół chmur, zdaje się żeglować po błękitnie. „Siła podobnej góry jest tak wielka, a zarazem tak nieuchwytna, że ludzie dobrowolnie ciągną ku niej z bliska i z daleka, jakby za sprawą niewidzialnego magnesu; wystawiają się na nieopisane trudy i wyrzeczenia gnani przemożnym pragnieniem, aby dotrzeć do środka tej świętej siły i oddać jej cześć... To przepojenie czcią i wiarą nie wynika z żadnych faktów ubocznych, na przykład z dużej wysokości, co od razu nasuwa się na myśl współczesnemu człowiekowi. Nie wypływa też z chęci »zdobycia« góry...”²

Przez lód i kamienie płytkiego koryta dochodzimy do zwirowej wyspy u podnóża Shey. Na dolnym jej krańcu stoją ściany modlitwne i kamienne zagrody dla zwierząt; dalej wąskie kanaliki kierują strumień wody rzecznej do kilku młynów modlitwnych w formie kół wodnych, z których każde umieszczone jest oddzielnie we własnej kamiennej świątyni. Kanały są zamrożone i koła stoją nieruchomo. Na wierzchu małych stup leżą ofiary z białych kwarcowych kryształów, przypuszczalnie przyniesionych z Kryształowej Góry w lecie, kiedy pięć kół obraca pięć wiekowych młynków modlitwnych, wysyłając OM MANI

PADME HUM w głąb zimnego kanionu.

Po drugiej stronie drewnianego mostu pnie się brzegiem ścieżka ku dwóm dużym, czerwono-białym stupom przy wejściu na urwisko; nie spiesząc się idę w górę. Flagi modlitewne trzepoczą w powietrzu, a poruszany wiatrem dzwon ma drewniane serce w kształcie półksiężyca; trzask lodu na kamieniach i tęskne bicie dzwonu na lekkim wietrze to pierwsze dźwięki, jakie słyszę tu, w Shey Gompie.

Zlepek kilku kamiennych domostw pomalowano na czerwono na znak, że Shey jest klasztorem, a nie wioską. Druga grupka pięciu domków spoczywa wyżej na zboczu góry; nad nimi gołym okiem widać stado błękitnych owiec. Za rzeką, na północ, przylepiona do skalnej ściany przy ujściu kanionu, wisi czerwona pustelnia. Poza tym, oprócz flag modlitewnych i kamiennych zagród, wokół widać tylko potężne formacje skalne, suche, nagie zbocza, z których spłynął śnieg, ośnieżone szczyty i niebo.

Idę wolno, otępiały na duszy i obolały na ciele. Patrząc wstecz na Czarną Rzekę w kierunku wału lodowych gzymsów, uświadamiam sobie, że przeszliśmy na drugą stronę Kanjiroby do górskich pustyni Płaskowyżu Tybetańskiego: przemierzaliśmy Himalaje z południa na północ. Ale dopiero teraz, wspinając się tą krótką, stromą ścieżką od oblodzonej rzeki do urwiska, zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczony po trzydziestu pięciu dniach żmudnej wędrówki. I oto stoję tu, w pierwszym dniu listopada, i patrzę na Kryształowy Klasztor, na jego dziwne kamienie, flagi i dzwony pokryte śniegiem.

Wieża klasztoru wraz z przyległymi domami tworzy rodzaj dziedzińca otwartego na południe. Dwie kobiety siedzące z dziećmi w słońcu nie czynią żadnego powitalnego gestu. Kilka dni temu, kiedy pokazali się tu Jang-bu i G. S., kobiety zamknęły się w domach obawiając się zbójców Khampów, i najwyraźniej nadal są nastawione podejrzliwie do naszej na pozór niezrozumiałej misji. Młodsza z kobiet tka gruby materiał na archaicznym warsztacie. Kiedy mówię: „*Namas-te!*”, powtarza to za mną, jakby uczyła się nowego słowa. Oprócz trzech chudych *dzo* i starej czarnej kozy, są to jedyne żywe istoty pozostałe w Shey, zwanym przez swoich mieszkańców Somdo czyli „*Zbiegiem rzek*”, jako że pod urwiskiem zlewają się dwie rzeki: Kangju, „*Śnieżne wody*” (ja nazywam ją „*Czarną Rzeką*” z powodu czarnego stawu u jej źródła, czarnego orla i czarnego wzoru, jaki tworzą kamienie i lód w ciemnym kanionie), i Yeju „*Niskie wody*” (którą nazwę „*Białą Rzeką*”, ponieważ spływa z leżących na wschodzie śniegów”).

Na kuchnię i magazyn Jang-bu przeznaczył jedyną otwartą chatę. Jak cała reszta ma ona płaski dach z gliny i gałęzi zwieńczony stertą chrustu, małe drewniane drzwi wiodące do jedyne go pokoju i maleńkie okienko na zachodniej ścianie, żeby dawało popołudniowe światło. Samotny promień słońca, jak na średniowiecznym obrazie, oświetla osmalone pale podtrzymujące dach, który jest tak niski, że G. S. i ja stoimy zgięci w pół. Nic tu nie ma prócz gołego klepiska i glinianego pieca z trzema otworami na garnki i dziurą tuż nad podłogą, przez którą można próbować tchnąć życie w kopający ogień z łajna lub drewna. Namiot Jang-bu i Phu-Tseringa jest tuż za drzwiami, a Dawa będzie spać w środku, z naszymi zapasami. G. S. rozbija swój niebieski namiot na zboczu, ja zaś swój kawałek dalej, zwracając go ku wschodowi słońca i Białej Rzece.

Nasza chata kuchenna należała kiedyś do brata młodszej z kobiet, Tasi Chanjun, którą Szerpowie nazywają Namu, czyli gospodyni. (Wśród Tybetańczyków, podobnie jak i wśród Indian amerykańskich, często niegrzecznie jest zwracać się do kogoś po imieniu). Jej synek, mający około czterech lat, nazywa się Karma Chambel, a córeczka, może dwuletnia, Nyima Poti. Nyima znaczy „słońce” albo „słoneczna” - Słoneczna Poti! Stara kobieta nazywa się Sonam: jej mąż, Chang Rapke, i jej córka, Karima Poti, poszli na zimę do Saldang, i Sonam mieszka sama w opustoszałej wiosce na zboczu. Namu mówi, że zanim spadł śnieg, mieszkało tu czterdzieści osób, wśród nich dwudziestu kilku Mnichów i dwóch lamów; wszyscy poszli przez góry do Saldang, skąd - czy to ostrzeżenie dla obcych mężczyzn którzy przybyli tu bez kobiet? - za kilka dni wróci jej mąż. Mąż Namu, tak przynajmniej ona twierdzi, ma klucz do Kryształowego Klasztoru i na pewno weźmie go ze sobą kiedy przyjdzie tu z wizytą za cztery, pięć albo i za dwadzieścia dni. Namu ma jakieś trzydzieści lat, jest ładna na swój surowy sposób i niezależna. Ze znajomością mówi o B'od, ale nie o Nepalu, nawet Ring-mo to dla niej obcy teren, położony daleko za Kang La.

Nieobecność lamy stanowi wielki zawód. Ale i tak czujemy się szczęśliwi, że tu jesteśmy, tym bardziej iż tak często zdawało się, że nigdy tu nie dotrzemy. Teraz będziemy się budzić rano bez konieczności wkładania mokrych butów, zwijania obozu, popędzania ludzi; a wieczorem mamy dom, do którego można wrócić. Nie ma zatruwających nam życie tragarzy i jesteśmy jako tako zabezpieczeni przed złą pogodą. Wysoka przełęcz pomiędzy Shey a resztą świata leży daleko w ośnieżonych szczytach, upiornych w zimnym świetle gwiazd.

- Boże, jak się cieszę, że dziś w nocy jestem tu a nie tam! - wykrzykuje G. S., kiedy wychodzimy z okopanej chaty z brzuchami rozgrzanymi zupą z soczewicy. Zdajemy sobie sprawę, jak szczęśliwie się złożyło, że przeszliśmy przez przełęcz Kang przy tej pięknej, bezwietrznej pogodzie, i zastanawiamy się, jak długo utrzyma się czyste niebo i czy Tukten i Gyaltsen się tu pokażą. Mamy już listopad i wszystko zależy od pogody.

2 LISTOPADA

Shey leży na wysokości blisko pięć tysięcy metrów, równie wysoko jak przełęcz Jang. Jest usytuowana na terenie zwanym Środkowe Dolpo, odgradzonym od wschodniego Dolpo półkolem wysokich szczytów, i musi być jednym z najwyższych zamieszkałych miejsc na ziemi. Tutejsi mieszkańcy są czystej rasy tybetańskiej, ich poziom życia zapewne niewiele się różni od życia Tatarów Ch'ang z Centralnej Azji, domniemyanych pierwotnych Tybetańczyków, a w ich mowie dźwięczy język nomadów, którzy mogli tu przywędrować i dwa tysiące lat temu. Dolpo było poprzednio częścią zachodniego Tybetu i jest rzeczą pewną, że musiała tu wcześniej dotrzeć któraś z form buddyzmu. Za rzeką Karnali, na północ i na zachód, Płaskowyż Tybetański wznosi się do Kailasy, świętej „Góry Sumeru” albo „Meru” Hindusów i buddystów, ojczyzny Śiwy i Centrum świata; z góry Kailasy cztery wielkie rzeki: Karnali, Indus, Sutlej i Brahmaputra spływają w formie olbrzymiej mandali do indyjskich mórz.

Shey Gomba (po tybetańsku Shel dżon-pa) jest klasztorem sekty Kagyu, która powstała w jedenastym wieku jako odłam tantryzmu Kalachakra Starej Sekty czyli Nyingmy. Kalachakra (Kóło czasu) przybyła do Tybetu w tym samym wieku; tradycyjnie wywodzi się z tantry, czyli rozprawy znanej jako *Podróż do Shambali*, która uczy adeptów, jak przekraczać granice czasu (śmierci), i uchodzi powszechnie za Księgę Mądrości bodhisattwy zwanego Manjusri.4 W Kalachakrze dostatecznie już liczne aspekty Buddy dzielą się ponadto na łagodne i gniewne wcielenia tego samego bóstwa; i tak Awalokita, Wielki Współczujący, to także Mahakala, czyli Wielki Czas, Pan Śmierci tantrycka personifikacja sił rozpadu w Kosmosie, często przedstawiana jako postać ubrana w czaszki i ludzką skórę, miotająca strzałki i stąpająca po kopulującej ludzkości. Mahakala ma wyzwolić tych, którzy umrą dla własnej przeszłości, aby na nowo się odrodzić, a przerazić tych, którzy kurczowo trzymają się ziemskiej egzystencji, samsary, kołowrotu nigdy niezaspokojonych pragnień, który symbolizuje kapłańska czaszka pełna krwi. Kalachakrański panteon łagodnych i gniewnych bóstw zachowały na dobre i złe „zreformowane” sekty Kagyu-pa, Siakja-pa i późniejsza Gelug-pa prowadzona przez dalajlamów, którzy od szesnastego wieku zdominowali buddyzm tybetański.

Sektę Kagyu założył wielki lama Marpa, „Tłumacz”, który trzykrotnie odbył podróż do Indii, aby uczyć się pod kierunkiem sławnego nauczyciela zwanego Naropa. Kiedy Marpa wrócił do Tybetu, przekazał Dharmę Milarepie. Później uczniowie Milarepy odłączyli się od Kagyu jako Karma-pa i ta nowa szkoła, powstała w trzynastym wieku była pierwszą sektą tybetańską, która wywarła wpływ na cesarza Chin, Kubilaja. (Według zapisków Marco Polo nawrócenie Kubilaja umocnił jeszcze pewien lama, który odniósł triumf nad konkurującymi kapłanami religii chrześcijańskiej, muzułmańskiej i taoizmu, kiedy sprawił, że filizanka sama podniosła się do cesarskich ust.)5

Reformy Gelug-pa od szesnastego wieku nie zmieniły natury Karma-Kagyu, przynajmniej w takich odległych miejscach jak Kryształowa Góra. Przy swojej ascezie i oszczędnych naukach, które ponad metafizyczne spekulacje stawiają długą i samotną medytację, Karma-pa jest w praktyce niemal identyczna z zen, który również podkreśla wagę intuicyjnego doświadczenia stawiając je ponad obrzędy i doktryny religijne. Obie sekty

noszą nazwę „Krótka Ścieżka” (do wyzwolenia) i chociaż ta bezpośrednia ścieżka jest trudna i stroma, zawiera się w niej kwintesencja buddyzmu bez całej zbędnej pompy religijnej. Co za cudowna karma, że Kryształowa Góra należy do tej właśnie sekty zenu i że lama z Shey jest sławnym tulku czyli kolejnym już wcieleniem lamy, czczonym w całej Krainie Dolpo jako obecna inkarnacja lamy Marpy. Idąc tutaj widziałem się, jak w habitie mnicha zgłębiał z lamą prastare tajemnice i rozpalam ofiarne lampki z masła - chyba w głębi ducha liczyłem, że zostanę jego uczniem. Zamknięcie gompy i nieobecność lamy można odczytać jako karmiczną reprimendę za wygórowane ambicje, cichą nauczkę dla ego, które wciąż obstaje przy swoim, jak koza żałośnie becząca na północnym wietrze.

Zeszej nocy temperatura spadła do minus trzynastu stopni, a silny wschodni wiatr łomotał moim namiotem; rano przenoszę namiot do zagrody dla bydła przy pustym domu. Na murkach leżą niezwykle kamienne rzeźby, jedna z ich przedstawia Tarę (po tybetańsku Dölme) zrodzoną ze współczującej łyzy Awalokity (Chen-resigsa), ucieleśnienie ducha bodhisattwów. Jako żeński odpowiednik Chen-resigsa, Dölma jest wielką „Protektorką” Tybetu i przyjemnie mi znaleźć ją na moim murku.

Świątynia różni się od graniczących z nią po obu stronach budynków uroczyscie wzniesionym wejściem pod zadaszoną kruchtą i licznymi ozdobami na dachu łącznie z flagami modlitewnymi, trytonami, wielkimi rogami argali i gigantycznym porożem jelenia sikkimskiego, stworzenia zamieszkującego północny Bhutan i południowo-wschodni Tybet. (Ponieważ żadne z tych zwierząt tu nie występuje, G. S. jest zafascynowany pochodzeniem rogów i poroża, tym bardziej, że jelen sikkimski to gatunek uznany za wymarły).⁶

Chociaż gompa jest zamknięta na cztery spusty, dwie duże stupy na urwisku nad mostem dają pojęcie o jej ikonografii. Wysokie na jakieś dziesięć metrów, mają typową kwadratową czerwoną podstawę i przystrojoną czerwonymi girlandami białą kopułę ze spiczastym stożkiem zwieńczonym półksiężycem i tarczą słoneczną. Wszystkie cztery boki podstawy zdobią prymitywne malowidła symbolicznych zwierząt: od wschodu słońce, od południa koni, od zachodu paw, a od północy garudy czyli mitycznego jastrzębia, tutaj przedstawionego w postaci mężczyzny ze skrzydłami dźwigającego słońce i księżyc. Garuda, podobnie jak swastyki wewnątrz stupy, należy do symboli prebuddyjskich, tak jak i symbol yin-yang na drzwiach, który podobno jeszcze poprzedza wczesny taoizm sprzed trzech tysięcy lat w Chinach.

W małym pomieszczeniu wewnątrz jednej ze stup stoją dwa rzędy prastarych kół modlitewnych, po pięć w rzędzie, ustawionych w ten sposób, że wierny może wykonać jednocześnie dziesięć obrotów OM MANI PADME HUM; każde z kół wyobraża Koło Dharmy, po raz pierwszy wprowadzone w ruch przez Buddę, a także obrót Wszechświata. Ściany i sufit zdobią jaskrawo pomalowane mandale i Buddowie, a wśród nich Samantabhadra i Padma Sambhava, ten, który ścigał czarownicę nad jezioro Phoksumdo, przedstawiony tutaj w swoim dzikim wcieleniu kalachakrańskiego „Tygrysa-Boga” jako obrońca Dharmy. Dobrotliwa postać o czterech rękach ze sznurem pereł, lotosem i niebieską kulą czyli mani, oznaczającą współczucie, to Awalokita, czyli Chen-resigs. Przewodniczy wszystkim Dorje-Chang. Posiadacz Dorje, czyli „gromu”, nieskazitelny diamentu, symbolu czystej energii kosmicznej. Dorje-Chang (Vajradhara) jest pierwotnym

Buddą Tybetu, który przekazał Dharwę wielkiemu indyjskiemu mędrcomu Tilopie i w ten sposób dał początek słynnej sukcesji reinkarnacji od Tilopy przez Naropę. Marpę zwanego „Tłumaczem” po Milarepę, i tak dalej po dziś dzień. Pojawia się także na zewnątrz, na fresku kopuły, z Plejadami i czarnym sierpem księżycą nad ramieniem; błękitny kolor nieba oznacza jego wieczną naturę, a w rękę trzyma dzwonek, który symbolizuje doskonały dźwięk bezgłośnej mądrości. Za kopułą wznosi się dzwon poruszany wiatrem i jego cichotka, czysta pieśń w podmuchach powietrza pogłębia jeszcze bezmierną ciszę tego miejsca.

Druga stupa ma podobną wielkość i charakter, a od nich aż po zabudowania klasztorne ciągnie się wysokie na półtora metra usypisko: całe morze wyrzeźbionych płyt, największe zbiorowisko kamieni modlitewnych, jakie kiedykolwiek widziałem, przedtem czy polem. Najczęściej mają wyryty napis OM MANI PADME HUM, ale są też koła życia. Buddowie i cytaty z tekstów liturgicznych, stos na stosie. Kamienie mają od pięciu kilo do kilkuset: niektóre są świeże, na innych czas zdążył zatrzeć napisy, a pod nimi leżą zwały innych. Ponadto wielki mur z kamieni modlitewnych okrąża klasztor i przylegające domy oraz grupę mniejszych stup po stronie północnej; również na wyspie i wzdłuż ścieżki widzę spore podobne murki. Kamienie leżące na samym spodzie muszą być sprzed wielu wieków. Chociaż nikt nie umie mi powiedzieć, kto żył tutaj, gdy kładziono pierwsze z nich to ogromne zbiorowisko starych kamieni w okolicy Shey podtrzymuje tezę, że Kryształowa Góra jest wiekową świątynią buddyzmu tybetańskiego, a przedtem zapewne bonu Klasztor Samling, niedaleko stąd na północ, jest pradawną twierdzą bonu i archiwum większości starych tekstów; z przyjemnością wyobrażam sobie, że to archaiczne królestwo mogło być właśnie Królestwem Sh'ang-Sh'ung, które bon-po uważają za ojczyznę swojej religii. To, że Sh'anB-Sh'ung uznano za „mityczne”, nie stanowi przeszkody Krainy Dolpo nie znajdzie się na mapie i pozostaje mityczna nawet dla takich ludzi jak ja, którym wydaje się. Ze tu byli.

Dziś rano wygrzewam się w moim słonecznym namiocie i porządkuję rzeczy. Dawa wciąż cierpi na śnieżną ślepotę, ale Jang-bu i Phu-Tsering poszli na drugą stronę Czarnej Rzeki w poszukiwaniu uschniętych jałowców na podpałkę, a G. S. w górach nad Somdo obserwuje swoje owce; wraca przed południem, zmarznięty na kość. Zjadłszy w pośpiechu chapatis wyruszamy przyjrzyć się innym stadom owiec w tym regionie i kierujemy się na wschód szlakiem do Saldang, który wiedzie północnym brzegiem Białej Rzeki. Podobnie jak Saure i inne rzeki płynące ze wschodu na zachód, ta również o tej porze roku jest po stronie zwróconej ku północy pod śniegiem i widzimy na nim za wodą ślady świstaka biegnące w zygzakach od jamy; pewno zwierzęta, wpędzone przedwcześnie pod ziemię przez zadymki śnieżne opóźniającego się monsunu, wyszły później w poszukiwaniu żywności. Ale teraz spadły już w sen zimowy, nie widać świeżych śladów, okolica jest opustoszała.

Znad gór nadciągają chmury, błyszcząca rzeka powleka się czernią skał. Samotny ciemny dzo skubie kamienistą ziemię. G. S. podnosi zmarznięte odchody jakiegoś dużego zwierzęcia mięsożernego i obraca je w palcach zastanawiając się głośno, dlaczego ślady lisów, tak liczne nad Czarnym Stawem, tu na niższej wysokości spotyka się rzadko.

- To jest chyba za duże jak na łajno lisa...

Ja tymczasem wypatruję na stokach nachurów: na tych falistych wzgórzach na wschód od Somdo nie pokazał się nam jeszcze ani jeden. Nagle G. S. mówi:

- Stój spokojnie! Nie ruszaj się! Dwie śnieżne pantery!

Widzę płowy kształt niknący za wzniesieniem w plamach śniegu, a G. S., poruszony, mruczy:

- Za krótki ogon! To musiały być lisy...!

- Nie! - sprzeciwiam się. - O wiele za duże na lisy!

- Wilki! - krzyczy G. S. - Wilki!

I rzeczywiście są to wilki.

Oddalają się bez pośpiechu otwartym stokiem za wzniesieniem, wnosząc ze sobą życie do tych nagich wzgórz. Dwa wilki na północnym stoku bawią się i baraszkują, a po chwili stają, żeby się nam przyjrzeć - ich brak bojaźni jest zdumiewający. Później przecinają wzgórze, aby się połączyć z trzema innymi, które biegną w górę kamiennego żlebu. Cała wataha zatrzymuje się co jakiś czas i patrzy na nas, a my cieszymy się przez lunetę każdym ich lśniącym włoskiem; dwa wilki są srebrne, dwa bladeżółte, a jeden koloru bezbarwnego szronu - właśnie ten wilk, duży samiec, wygląda na przywódcę. Wszystkie mają czarne koniuszki ogonów i delikatny czarny deseń na grzbiecie.

- To dlatego nie ma tu śladów lisa ani pantery - mówi G. S. - I dlatego błękitne owce trzymają się blisko skał nadrzecznych, z dala od otwartej przestrzeni!

Pytam, czy wilki mogą zaatakować lisa lub panterę, a G. S. odpowiada, że tak. Ich obecność tutaj dziwnie nas zaskakuje - to raczej Tybet jest siedzibą tych mitycznych stworzeń. Należą one do azjatyckiej rasy *Canis lupus*; te szarozółte wilki widywaliśmy obaj na Alasce, są to zawsze fascynujące zwierzęta: puste wzgórze, po których przebiegło stado, ożyły. Na płamie śniegu zostało pięć par wilczych tropów; zeschnięte wilcze łajno przy ścieżce zawiera kruche szare grudki i miękką żółtą sierść - pozostałość po błękitnej owcy i świstaku.

Po ścieżce schodzi staruszka, która wędruje samotnie z Saldang, przez przełęcz Shey na wschód - jesteśmy równie zdumieni jej widokiem jak ona naszym. Staruszka też widziała tych pięć *jangu*, i jeszcze dwa, ale zdaje się mniej obawiać wilków niż obcych mężczyzn.

Myślimy o pojedynczym *dzo*, którego widzieliśmy niecały kilometr od miejsca, gdzie wilki zawróciły na wschód, później Namu mówi, że wilki co roku zabijają dwa lub trzy *dzo* kilka owiec w zagrodach. Idzie w górę rzeki po swojego *dzo* i wraca z samotnym zwierzęciem tuż przed zachodem słońca.

3 LISTOPADA

Tyle rzeczy mnie zachwyca w tym surowym, cichym krajobrazie, że poruszam się ostrożnie, aby nie rozwiać czaru. Ponieważ lama z Shey zabronił odbierać jakimkolwiek stworzeniu życie, zarówno nachury jak i wilki ciągną w pobliże klasztoru. Na wzgórzach i w kamiennych korytach rzek są skamieliny z pradawnych dni, kiedy te niebotyczne szczyty leżały pod wodą. A wszędzie wokół kamienie modlitwne, flagi modlitwne, koła modlitwne i młyny modlitwne nad strumieniem wzywają wszystkie żywyoty wszechświata do wspólnego sławienia Jedności. Ze swojego namiotu słyszę delikatny dźwięk dzwonu i szum rzeki niesione wschodnim wiatrem, który może oznaczać zmianę pogody. O świcie nadlatują dwa wielkie kruki, ich długie pazury skrobą mury modlitwne.

Słońce załamuje się w szklistej bieli gór, chłodzi powietrze. Stara Sonam, która mieszka samotnie w wiosce na wzgórzu, była wysoko na zboczu jeszcze przed świtem, zbierając pozostałe z lata łajno, aby je wysuszyć i przechować na opał; to, co wzięłam za jakąś bezkształtną bryłę, wyprostowuje się nagle na tle nieba, a wschodzące słońce rozświetla znajomą mi chudą sylwetkę żywym ogniem.

Na zboczu Samdo nad klasztorem widać jedenaście nachurów; sześć baranów i osobno grupkę owiec i jagniąt, chociaż oba stadka zaczynają ku sobie dążyć i wachać ślady moczu, nie ma na razie prawdziwych oznak ruiny. Z naszego punktu obserwacyjnego nad domem Sonam dostrzegamy jeszcze trzy inne stadła - sześć, czternaście i dwadzieścia sześć nachurów - na zachodnich zboczach, za Czarną Rzeką.

Nie mogąc nadażyć lunetą za ruchliwymi zwierzętami. G. S. woła, żebym przeniósł swoją lornetkę ze stadła czternastu owiec na stadko sześciu, wprost za rzeką.

- Dlaczego te owce uciekają? - pyta niecierpliwie, a w chwilę później krzyczy: - Wilki!

Wszystkie sześć owiec mknie ku skałom, a z góry sunie prosto na nie para wilków, chcąc odciąć ostatnie zwierzę, które ucieka przez pas śniegu ku grani. W ostrym świetle niebieskoszare stworzenie wydaje się zbyt zwinne, żeby dać się złapać, ale pędzące wilki zwiększają szybkość na twardym śniegu. Później sadzą przez splecione jałowce i strome kamienne zbocze i już się zdaje, że nachur zostanie odcięty i zagnany do podnóża góry, ale w ostatniej chwili umyka im na wąską półkę, gdzie żaden wilk nie może się dostać.

W mroźnym powietrzu cała góra jest napięta; cisza dzwoni w uszach. Baran robi bokami, wilki ciężko dyszą; prócz tego panuje bezruch, jakby układ białych cieni scalał świat. Potem oddycham i góra oddycha, znów wprawiając wszystko w ruch.

Wilki przez moment rozglądają się wokół, po czym udają się znów w górę zbocza owym niespiesznym krokiem, którym potrafią przebyć osiemdziesiąt kilometrów w ciągu jednego dnia. Przyłączają się do nich dwa inne samce ze stadła i na wysokim pastwisku jaków cała czwórka zaczyna baraszkować i tarzać się w łajnie. Dwóch z tych wilków nie było pośród wczorajszej piątki; przypomina nam się, że stara kobieta widziała ich siedem. Po chwili wataha rusza naprzód i znika za ośnieżonym grzbietem. Stadło czternastu nachurów

wysoko na tym grzbiecie ucieka w popłochu nieco dalej i stojąc szeregiem na górze obserwuje wilki, dopóki te nie znikną. Wtedy owce wracają do skubania trawy, podobnie jak i ta szóstka przepędzona do przepaści.

Patrzmy na siebie, chcąc to skomentować, ale tylko potrząsamy głowami i uśmiechamy się.

- Warto było iść pięć tygodni choćby tylko po to, żeby to zobaczyć - wdycha w końcu G. S.
- Najwspanialsze polowanie, jakie widziałem! - W chwilę potem, wciąż radośnie ożywiony, zastanawia się na głos, czy pamiętam „to deszczowe popołudnie w Serengeti, kiedy obserwowaliśmy, jak dzikie psy zabijają zebra przy niesamowitym świetle błyskawic na równinie, i te tysiące uciekających zwierząt”?

Potakuję. Jestem wciąż pod wrażeniem wilków, widzianych wczoraj z tak bliska, a dziś zobaczyłem, jak we wspaniałym stylu polują na błękitne owce, przelatując po skałach na odległość wzroku od naszych namiotów w Shey Gompie - co za radość!

Po latach badań nad zwierzętami mięsożernymi G. S. zainteresował się zwierzętami z podrodziny Caprinae - owcami i kozami - zwłaszcza tymi, które mają tę zaletę, że zamieszkują ukochane przez niego odległe i wysokie góry. A wśród Caprinae najosobliwszym gatunkiem jest właśnie „błękitna owca”, dla której szliśmy tak daleko. Uważa się, że owce i kozy pochodzą od wspólnego przodka spośród Rupicaprinae, tak zwanych kozo-antylop, które miały się wykształcić gdzieś na południu Himalajów; ten wspólny przodek mógł przypominać małą kozo-antylopa zwaną goralem, którą widzieliśmy w zeszłym miesiącu w suchym kanionie Bheri. Oprócz sześciu gatunków prawdziwych kóz (Capra) i sześciu prawdziwych owiec (Ovis), Caprinae obejmuje trzy gatunki tara (Hemitragus), arui czyli owcę grzywiastą (Ammotragus) i nachura czyli himalajską błękitną owcę (Pseudois), z których wszystkie wykazują cechy zarówno owiec jak i kóz. Tary, które w swojej morfologii i zachowaniu zdają się być gdzieś pomiędzy kozo-antylopami i prawdziwymi kozami, są sklasyfikowane jako kozy, a podobny do owcy arui jest też właściwie kozą. Pseudois także wygląda jak owca; przypomina owcę z Gór Skalistych nie tylko wyglądem, ale i typem środowiska naturalnego⁷ - zamieszkuje wysoko wśród skał. Niektóre okazy, mówi G. S., mają na wszystkich czterech nogach gruczoły międzypalcowe, które uważano za cechę gatunkową Ovis, a cały gatunek odznacza się brakiem silnego zapachu, brody i stwardnienia kolan, charakterystycznych dla Capra. Niemniej G. S. uważa je bardziej za kozy niż za owce i ma nadzieję udowodnić to ponad wszelką wątpliwość dzięki obserwacji ich zachowania podczas rui.

Większość z tego, co wiemy o dzikich kozach i owcach Azji pochodzi od myśliwych, i może dlatego klasyfikacja Pseudois jest wciąż sporna. Ponieważ błękitne owce w ogrodach zoologicznych należą teraz do rzadkości, rozwiązanie tej kwestii może przynieść jedynie bezpośrednia obserwacja tych zwierząt w ich własnym, niegościnnym środowisku - nad granicą lasów, na wysokości sześciu tysięcy metrów, w sąsiedztwie stromych skał - w najbardziej niedostępnych miejscach na ziemi: od gór Ladakh i Kaszmir na wschód, poprzez Tybet w głąb północno-zachodnich Chin, i od głównej grani Himalajów na południu do gór Kunlun i Ałtyn-Tag na północ. W Nepalu można spotkać kilka nachurów na zachodnich i południowych zboczach Dhaulagiri (tę właśnie populację widzieliśmy niedaleko przełęczy Jang) oraz w górnej części doliny Arun, na wschodzie, ale najwięcej

jest ich tutaj, w pobliżu granicy tybetańskiej.

Dziś rano po raz pierwszy uważnie przyglądam się przez lunetę błękitnym owcom. Podobnie jak owce z Gór Skalistych są to krótkonogie, silne, mocno zbudowane zwierzęta, szybkie i zwinne, ze złotymi, demonicznymi oczami. Gruborogi samiec jest szlachetnego, szaroniebieskiego koloru, a biel jego zadu i podbrzusza kontrastuje z czarnymi cętkami na pysku, piersiach i wszystkich czterech nogach oraz z czarnymi pręgami po bokach, które, podobnie jak rogi, z wiekiem jeszcze ciemnieją. Samica jest o wiele mniejsza, o matowej sierści i mniej kontrastowej czerni, a jej rogi są wrzecionowate jak u owcy. Rogi samca natomiast są ciężkie, zawinięte w górę, na zewnątrz i z powrotem do środka. Również kość potyliczna u podstawy czaszki jest kozopodobna, jak i duże ostrogi i wyraźne plamki na przedniej stronie nóg. W tej niejasnej sytuacji zachowanie podczas rui będzie miało decydujące znaczenie, chociaż, sądząc ze skąpych relacji, nawet to nie jest jednoznaczne. Na przykład, owca w rui rzadko podnosi ogon powyżej linii poziomej, podczas gdy koza potrafi go wygiąć łukiem ponad zad; może z powodu braku wydzieliny zapachowej z gruczołu ogonowego, która występuje u prawdziwych kóz i którą przy wygiętym ogonie łatwiej jest rozsiewać, zarówno tar jak i nachur kompromisowo podnoszą ogon pionowo w powietrze.

Chociaż samce wciąż trzymają się razem - ten instykt stadny baranów to cecha Caprinae - już pokrywają się nawzajem, zarówno dla zaznaczenia swojej przewagi, jak i w celach seksualnych; pośród owiec i kóz młode samce i samice są do siebie całkiem podobne i naśladują swoje zachowanie, toteż barany mogą je mylić, traktując wszystkie podlegle sobie zwierzęta podobnie.⁸ U kilku obserwujemy dziwaczne zachowanie (dotychczas nie opisanego), które G. S. nazywa „pocieraniem zadu”, gdyż jeden samiec pociera pysk o zad drugiego. W bliskości samicy samiec „kopie” - macha nogą w jej kierunku, co wygląda jak krok wstępny przed pokryciem, a może również służyć do ukazania w pełnej krasie jego pięknych cętek. Zanurza też pysk w jej strumieniu moczu, jakby chcąc się dowiedzieć, czy samica jest w rui, i podniecony liże swój penis. Ale błękitne owce nie posuwają się do praktyk przyjętych przez markhury z Pakistanu i dzikie kozy (przodkowie kóz domowych, występują od Pakistanu po Grecję), których samce biorą swój penis do pyska, obficie oddają moczu i wypływają go na siebie; broda kozła dobrze mu służy do tego celu, tworząc coś w rodzaju nasiąkniętej moczem gąbki, rozsiewającej charakterystyczny ostry zapach, z którego znane są koźły.

Ruja właśnie się zaczyna i nawet młode zwierzęta biorą się żartobliwie na rogi, jakby za nic nie chciały stracić jedyne go zabawnego okresu w monotonnym roku błękitnych owiec. G. S. jest zdumiony niewielką liczbą jagniąt i sądzi, że w ciągu pierwszego roku życia śmiertelność ich musi dochodzić do pięćdziesięciu procent, zarówno z powodu wycieńczenia i chorób wywołanych surowymi warunkami życia, jak i krwiozerczych drapieżników. Może jedno jagnię na trzy dożywa dojrzałego wieku, co zresztą wystarcza do podtrzymania stad, które muszą dostosować się liczebnie do ograniczonej przestrzeni, przez cały rok wolnej od śniegu. Ten region Płaskowyżu Tybetańskiego to niemal kamienna pustynia: same skały i gołe zbocza, na których występują głównie dwa krzewy ciemnie: Caragana i krzew kapryfolium. Lonicera; błękitne owce jedzą niewielkie ilości wszystkich, co rośnie, łącznie z suchymi nieśmiertelnikami i olejnym jałowcem; przystosowanie Caprinae do twardej, ostrej paszy pozwala im także na ograniczone spożywanie tych

ciernistych zarośli. Ale oprócz kilku kępek pośród cierni, całą tutejszą trawę, która stanowi ich ulubione pożywienie, wyjadły stada jaków, owiec i kóz spędzane tu w lecie z odległych wiosek, i ten nadmierny wypas już stał się przyczyną erozji.

4 LISTOPADA

Zmuszony przez zimno do spędzania co noc dwunastu godzin w śpiworze, oddaję się na powrót praktyce zenu. Co rano przed świtem wciągam mój puchowy skafander do śpiwora, żeby go ogrzać, a potem siadam w pozycji medytacyjnej i przez jakieś czterdzieści pięć minut odprowadzam śpiewanie sutr, łącznie z sutrą adresowaną do Kannona czyli Awalokity i sutrą Serce („serce” potężnej sutry Prajna Paramita, która leży u podstaw buddyzmu mahajany). Dziś rano nabożeństwu dodaje powagi gliniany ts'a ts'a Budda, wzięty ze stosu tych małych bożków, które leżały w nieładzie wokół stup w Ring-mo - fakt, że on mógł należeć do obrządku bon, nie ma znaczenia. Stawiam figurkę na zewnątrz namiotu na ołtarzu z płaskiego kamienia, gdzie padną na nią pierwsze promienie słońca wschodzącego u wylotu Białej Rzeki, i siedzę zwinięty w kłębek tuż za klapą, gdyż o tej godzinie temperatura nigdy nie przekracza minus dwunastu stopni Celsjusza. Czasem towarzyszy mi w tym rannym nabożeństwie odważny mały ptaszek, który mieszka w stocie chrustu na dachu różowego kamiennego domu za moim namiotem. Śmigając ogonkiem skacze koło Buddy i grzebie w resztkach łajna; ma wąski dziób na końcu jasnoszarej główki, rudą pierś i biały brzuch. To płochacz (Prunella).

Dzisiaj Dawa ma się lepiej i Szerpowie wybierają się nad Czarny Staw po trzy następne ładunki. Uzależnieni od ich dobrej woli staramy się ich oszczędzać, kiedy to tylko możliwe, wspólnie dzielimy obowiązki i zanim o coś poprosimy, czekamy, aż sami zaofiarują się z pomocą co zawsze robią; ich praca jest ciężka i źle płatna i gdyby nie byli nam tak oddani, mogliby nas po prostu zostawić, jak tyle razy robili to na ich oczach tragarze.

W najbliższych dniach przyniosą tu pozostałe bagaże, robiąc po jednej wyprawie dziennie, i przez cały ten czas, licząc od obozu w jaskini, dostaną dodatkowe wynagrodzenie jako tragarze. Nie szkodzi, że są rozrzutni i nieostrożni, że nie biorą ze sobą gogli w ośnieżone góry czy choćby ciepłych zimowych ubrań ich pogoda ducha jest niezrównana. Ci trzej mają przynajmniej porządne obuwie, ale Gyaltzen, który dostał pieniądze na kupno butów w Katmandu, wydał je na coś mniej istotnego, a Tukten, zwyczajem Szerpów, sprzedał swoje po poprzedniej wyprawie i tę rozpoczynał boso; teraz będą przekraczać przełęcz Kang w tanich indyjskich trampkach, które daliśmy tragarzom, żeby przebrnęli przez zlodowaciały śnieg Jang La.

Przechodzimy przez most na wyspę na rzece, a potem skaczemy po kamieniach na drugą stronę.

Zza wysokich chmur pierzastych słońce rzuca metaliczne światło na Czarną Rzekę, w tym oświetleniu Shey ze swoimi dwoma stupami i flagami wygląda jak emblemat na nagim urwisku - samotna sylwetka na tle śniegu. Patrzymy na Szerpów schodzących stromą ścieżką z urwiska; biegną po moście wesołym krokiem, jak dzieci. My będziemy tropić stada błękitnych owiec na zachodnich zboczach i wypatrywać śladów śnieżnej pantery pośród skał; odwiedzimy także czerwoną pustelnię, zwaną Tsakang, i nazbieramy drewna na podpałek.

Spod ośnieżonych stoków Kryształowej Góry zbiegają w dół grzędy, zakończone filarami

schodzącymi do Czarnej Rzeki; między tymi grzebieniami, z których każdy następny przekraczamy wyżej idąc na północ, leżą głębokie jary. Ścieżka wije się pośród tych jarów, okrążając wysunięte skałki, które, jak wszystkie wyniosłości tego terenu, zdobią flagi i murki modlitewne. Po godzinie jesteśmy naprzeciwko czerwonej pustelni, przylepionej wysoko do skał po drugiej stronie wąwozu: trzy ogromne himalajskie sępy płowe odwracają się i stają tyłem do zimnych podmuchów z Kanionu Czarnej Rzeki. Ścieżka biegnie wokół skały i do wąwozu, który jest wciąż pogrążony w cieniu, a na ścianie wystawionej ku północy skutu śniegiem i lodem; kąt nachylenia jest tu tak ostry, że każdy błędny krok może skończyć się katastrofą. U wylotu wąwozu szlak przechodzi przez oblodzony potok i wspina się do pustelni, przycupniętej na półce na tle jasnych, niebieskich i czerwonych skał. Mniejsza pustelnia, jeszcze bardziej na ustroniu, wisi tuż nad przepaścią, dalej na północ. Takie usytuowanie miejsc do medytacji jest tradycyjne w tym regionie Tybetu: „dumnie odosobnione na wierzchołkach smaganych wiatrem, pośród dzikich krajobrazów, jakby rzucały wyzwanie niewidzialnym wrogom na czterech rogach horyzontu”.⁹

Samo Tsakang składa się z czterech kamiennych pomieszczeń przylepionych do skalnej ściany jak gniazda jerzyków. Jedno jest celą z pojedynczym wąskim otworem okiennym, który wychodzi na świat złożony ze śniegu i nieba, czysta biel, czysty błękit; drugie ma spalone drzwi i okna z rzeźbionego drewna. Na krawędzi skalnej wykrojono maleńkie poletko ziemniaczane i obok na kamieniu suszą się plasterki kartofli. Przy skale piętrzą się sterty łajna i jałowca opał w zimie, a z jaskini spływa woda kapiąc dźwięcznie na łupkowe korytka, które prowadzą ją do miedzianego kociołka; obok stoi mała stupa, wybudowana na cześć wody.

Ta pustelnia to dopiero prawdziwa gompa, która nie oznacza właściwie klasztoru, ale „mieszkanie na odludziu”.¹⁰ usytuowane najlepiej przy skale z widokiem na jezioro lub potok, i często zamieszkanе przez samotnego mnicha. Tsakang jest przystrojone flagami modlitewnymi, białymi i niebieskimi, i ma niezwykle ozdobne okno balkonowe, pomalowane na czerwono, jaskrawopomarańczowo, niebiesko i turkusowo; jego słoneczne ściany zdobią rzeźbione w kamieniu figurki Buddy.

Pustelnia jest tak położona, że nic z niej nie widać prócz śnieżnych szczytów wznoszących się ku błyszczącemu niebu; nawet Shey jest schowane za zboczem. Efekt jest tak silny, że G. S., poruszony, czuje się w obowiązku zaprotestować przeciwko życiu pustelnika i samotnej medytacji:

- Przecież człowiek musi mieć jakieś wrażenia!

Ale cała istota medytacji polega na tym, żeby uwolnić się od wszystkich wrażeń: „Kiedy twój umysł będzie pusty jak dolina albo kanion, wtedy poznasz moc Drogi.”¹¹

Na półce skalnej siedzą w milczeniu dwaj ciemnoskórzy mnisi, jakby na coś czekali. Jeden łąta swoje filcowe kapce, drugi konserwuje kozią skórę w żółtej miksturze z koziego mózdzku i zjełczalego masła jaków. Uśmiechnięci, pełni spokoju, zostawiają nasze pozdrowienia bez odpowiedzi - może żyją tutaj związani ślubem milczenia. Ten, który naprawia kapce, ma jasną, młodą twarz i zapewne niewiele ponad dwadzieścia lat, drugi, w nieokreślonym wieku, jest przystojnym kaleką ubranym w dziwne skórzane lachmany.

Kiedy mówimy im „Do widzenia”, dwie postaci skłaniają się lekko, znów się uśmiechają i nadal zachowują milczenie. Stroma ścieżka pnie się po zboczu nad skałami, gdzie niepodzielnie panuje niesamowity żółtozielony kolor porostów; reszta to krzewy ciemnie i skalista górska pustynia. Na kamieniach dużej stupy jemy placki tłustego ciasta, które Phu-Tsering nazywa „naleśnikami”: na co dzień prócz tego żywimy się chapatis, czyli „chlebem” robionym z zielonej gryczanej mąki, prząsnym, niewyrośniętym wszystko jedno. W chacie kuchennej jednostajne i mdłe pożywienie jest przygnębiające, ale tutaj, na górskim słońcu i wietrze w rzeckim powietrzu, wszystko smakuje wybornie.

Zostawiam G. S. na obserwacji tutejszych owiec i schodzę szlakiem nazbierać drewna. Po drodze spotykam mężczyznę z bujnymi, rozwichrzonymi włosami, który zmierza zapewne do pustelni, jako że szlak jedynie tam prowadzi. Śpiewając, podchodzi do miejsca na grani, gdzie stanąłem, żeby go przepuścić, zrzuca swój kosz, idzie za skałę, kuca, wraca i pyta agresywnie: „Timi kaha gani?” (Ty gdzie iść?) „Shey Gompa” - odpowiadam, a on to powtarza: obaj pokazujemy na Somdo, żeby się upewnić. Ten podróżny ma na sobie poczerwione owcze skóry i zwykły asortyment paciorków i amuletów, srebrną sakiewkę, srebrne pudełeczko na krzesiwo, srebrny sztylet. Domaga się tytoniu, a kiedy mu mówię, że nie mam, śmieje się głośno z niedowierzaniem i przykłada mi sztylet do gardła, demonstrując, jaki byłby mój los, gdyby parał się rozbojem. Rozchodzimy się każdy w swoją stronę bez pożegnania.

Niżej, tam gdzie wilki gonily owce, ścielą się pod nogami krzaki jałowca, przebieram wśród kłujących igieł szukając uschniętych gałęzi. Jałowiec to jedyne dostępne drewno na opał, chociaż głęboko w parowach, poza zasięgiem człowieka, rosną też skarłale brzoźki. Liną, którą noszę w plecaku, zwiążuję sporą wiązkę chrustu i zarzuciwszy ją sobie na plecy, idę w dół, przechodzę przez rzekę i wspinam się po urwisku do Shey. Klasztor kipi życiem, bo jak się okazuje, mężczyzna, którego spotkałem na szlaku, jest jednym z mieszkańców Saldang przybyłych tu w poszukiwaniu zbiegłych jedenastu jaków: pasły się tu latem, polubiły to miejsce i wracają teraz samorzutnie i z własnej woli. Kilka zwierząt widać na zboczu, inne zeszły w dół, do wysepek na rzece, gdzie jest więcej trawy.

Goście tłoczą się w naszej chacie kuchennej obserwując Szerpów, którzy rozładowują połamane kosze z żywnością, przyniesione z Kang La. Ci pasterze mówią, że dziewięć lub dziesięć wilków regularnie przebiega przez Shey leżące na ich terytorium łowieckim i że wśród skał nadrzecznych żyją dwie lub trzy śnieżne pantery. Mówią również, że w Saldang jest posterunek policji, co oznacza, że rozsądniej dla nas byłoby tam nie chodzić. Ktoś już skorzystał z naszej nieobecności, żeby wdrzeć mi się do namiotu i zwędzić parę suszących się skarpetek, przewracając przy tym mojego Buddę; dopóki tu zostaną, ktoś musi stać na straży przez cały dzień. Jang-bu twierdzi, że pasterze zameldują o naszej obecności policjantom z Saldang, a ponieważ obcokrajowcy nie są mile widziani w tym odległym zakątku Dolpo, w ciągu najbliższych dni możemy oczekiwać wizyty.

5 LISTOPADA

Zeszłego wieczoru śnieg przestał padać równo o zmierzchu i wkrótce pokazał się księżyc, a potem gwiazdy. Dziś rano niebo jest czyste: o brzasku czarne, kudłate jak stoją bez ruchu nad skutą lodem rzeką.

Po raz pierwszy od września G. S. jest zupełnie szczęśliwy. Podobnie jak ja zachwyca się Shey, które z nawiązką odplaciło nam długą i ciężką wspinaczkę. G. S. robi notatki nawet podczas jedzenia, a ja wciąż myślę: „Jakie to niezwykle!”, choć wiem, że ten przymiotnik jest nietrafny i nieścisły to wszystko, co tu znaleźliśmy, nie tyle jest niezwykle, ile ma bezpośrednie odniesienie do tych zakątków duszy, gdzie „góry, wilki... śnieg i ogień odnalazły swoją prawdziwą naturę, albo miały swoje źródło”.¹² A jednak robię się niespokojny za każdym razem, kiedy na północy i południu zbierają się ciemne chmury. Przełęcz Kang wygląda, jakby padał tam śnieg. Wstyd mi, że tracę czas na zamartwianie się ewentualnością odcięcia nas przez zasy, tym bardziej, że G. S. nie wykazuje śladu niepokoju. Niemniej dziś rano powiedział, że w nocy widok tych oblodzonych szczytów przez które tu przyszliśmy, zapędził go z powrotem do śpiwora, no i oczywiście wie on równie dobrze jak ja, że klasztor nie ma zapasów żywności, którymi mógłby się z nami podzielić, w każdym razie nie tyle, abyśmy zdołali wszyscy przetrwać zimę.

Po południu niespodziewanie spada grad. Wkrótce grad zamienia się w śnieg i jeszcze po zmierzchu nadal pada. Po powrocie z Czarnego Stawu Jang-bu mówi, że nasze ślady od przełęcz Kang zniknęły, a mieszkańcy Saldang twierdzą, że szlak do Samling, gdzie chcieliśmy się udać za kilka dni, jest zasypany przez zasy. Dopóki przełęcz Shey na wschodzie jest dostępna, można w ciągu jednego dnia przejść przez nią do Saldang, a ci ludzie opowiadają też o prowadzącym dołem szlaku z Saldang do Tarap i rzeki Bheri, który jest zwykle przetrarty przez całą zimę. Jednakże nie mamy przepustki do regionu Tarap ani ochoty na spędzenie zimy w tamtejszym areszcie. G. S. mówi, że „miniemy posterunek w nocy”, ale trudno będzie zmylić psy. Zwykle robi tylko mgliste aluzje do tego tematu, a kiedy go podejmuję, ucina beceremonialnie:

- Nie ma co się nad tym rozwodzić. Róbmy, co do nas należy, a potem zobaczymy, co będzie.

Koło południa zaczyna wiać południowo-wschodni wiatr i niebo ciemnieje. Jest bardzo zimno. Wczoraj przybysze z Saldang zabili jaka i chcieli sprzedać nam mięso, ale nasze mocno uszczuplone fundusze nie mogą sprostać ich bandyckim cenom; inny mężczyzna ofiarowuje nam zjelczone maso jaka zawinięte w skórę, ale na to także nie możemy sobie pozwolić. Teraz już większość z nich odeszła, zabierając ze sobą mięso i ziemniaki na grzbietach swoich niesfornych zwierząt, jak również i jeden z dwóch termometrów G. S. ponieważ ten termometr stanowi część jego zawodowego wyposażenia, G. S. jest naturalnie wściekły i grozi tym, którzy jeszcze zostali, policją z Saldang; obrazili emisariuszy rządu Jego Królewskiej Mości w Katmandu, mówi, którzy przybyli tu, żeby zbadać możliwości założenia parku narodowego! Chociaż to prawda, te słowa nic nie znaczą w uszach dzikich, prymitywnych, długowłosych mężczyzn, z cofniętego o dobrych parę stuleci zakątka w Himalajach.

Mężczyzna z dużymi kolczykami i wąsami, który oferował nam masło, nazywa się Tundu, a towarzyszy mu młodzieniec zwany Tasi Fintso. Z pomocą jego i Namu ładuje teraz mięso i ziemniaki na pozostałe cztery jaki i dzo, które stoją spętane przed gompą. Krótkie nosy i małe puszyste ogonki nadają jakom dobroduszny i sympatyczny wygląd, ale w rzeczywistości są to kudłate bydlęta ważące pół tony albo i więcej, obdarzone na dokładkę złośliwym usposobieniem. Tasi Fintso zachowuje wobec nich ostrożność, ale Tundu jest stanowczy, choć łagodny; przemawia do narowistych zwierzaków zdecydowanym tonem, kiedy przypina im siodła z drewna i skóry, wieszka ręcznie tkane saki podróżne w białobrązowe pasy i wiąże cały bagaż plecionym sznurem. W jego ruchach jest spokój świadczący o silnej osobowości i najwyraźniej to właśnie on jest tu wodzem: za pięć dni, kiedy będzie wracał z Saldang, przyniesie klucz do gompy. Bez słowa odchodzi wiedząc jaki na wschód i zostawiając tu swoją małą córeczkę, Chiring Dornę, która siedzi w słońcu na kocu z Nyimą Poti i je kartofle. Dziedzinek gompy jest wietrzny i zimny, mimo to Nyima Poti jest naga, a jej brat, Karma Chambel, ma na sobie podartą koszulę. Umorusana, rumiana Chi ring Dorna w konopnej sukience wygląda jak uśmiechnięty ziemniak, przywołany do życia. Kiedy Tundu znika nam z oczu, Namu podejmuje przerwana pracę i rozkłada, łąjno jaków do wysuszenia na podpałkę wzdłuż murów modlitewnych i opustoszałych domów.

6 LISTOPADA

Noce w Shey są surowe, pod surowymi gwiazdami: plaśnięcie wilczego łajna na zamrzniętą ścieżkę rozlega się echem w całym kanionie. Ale nad ranem przychodzi silny wiatr i łomocze płótnem namiotów, świt znów jest dziś czysty i jeszcze zimniejszy. O brzasku Biała Rzeka pod nami jest ścięta lodem, spod którego nie dochodzi prawie szum wody.

Do trytonów na dachu gompy przylatują dwa kruki. „Gorawk, gorawk” - kraczą i tym też mianem ochrzcili je Szerpowie. Pomiędzy flagami modlitewnymi i wielkimi rogami tybetańskiego argali „gorawki” witają pierwsze promienie dziwną podwójną nutą muzyczną - a-ho - która jakimś cudem wydobywa się z ich zdartych gardel. Codziennie przed wschodem słońca te wielkie czarne ptaszyska znikają, jak ostatnie strzępki odchodzącej nocy.

Słońce wznoszące się nad Białą Rzeką zalewa blaskiem płótno namiotu, przez zamrzniętą dziedziniec przelatuje płochacz. O siódmej jemy w chacie kuchennej śniadanie - herbatę i owsiankę - a po śniadaniu przeważnie obserwuję z G. S. owce, potem - kiedy owce się kładą na przedpołudniową drzemkę - zostawiam go własnemu towarzystwu i idę gdzieś w swoją stronę. Często przepatruję jaskinie i granie na drugim brzegu Czarnej Rzeki w nadziei na znalezienie śladów śnieżnej pantery; zwracam też baczną uwagę na skamieliny, wilki i ptaki. Czasem obserwuję niebo i góry, czasem oddaję się medytacji, starając się wyciszyć umysł osiągnąć ten stan, w którym wszystko jest „spokojne, wolne i nieśmiertelne... Każda rzecz jest na stałe na swoim właściwym miejscu, a za nią jawi się nieskończoność...”¹³ (Nie powiedział tego żaden buddysta, tylko siedemnastowieczny Brytyjczyk). I wkrótce wszystkie dźwięki, wszystkie wrażenia i odczucia przenikają się, uzupełniają, jakby Wszechświat skupiał na mnie całą uwagę, Wszechświat, którego jestem jądrem, Wszechświat, który nie jest identyczny ze mną, ale i nie różny, nawet z naukowego punktu widzenia: człowiek, podobnie jak góry, składa się z wielu cząstek tlenu i wodoru, wapnia, fosforu, potasu i innych pierwiastków. „Nie umie w pełni cieszyć się życiem ten, w którego żyłach nie płynęło morze, kto nie ubrał się w niebo, nie ukoronował gwiazdami i nie uznał się za jedyne spadkobiercę całego świata, tym bardziej że zamieszkują go ludzie, z których każdy jest tak samo jedynym spadkobiercą”.¹⁴

Mam swoje miejsce medytacji na górze Samdo - rozłupany występ skalny, jak ołtarz wbudowany w zbocze, wychodzący na południe, osłonięty z pozostałych trzech stron granitowymi głazami i gęstym ciemnym podszyciem. W pełnym słońcu jest tu ciepło, a splekane skaliste podłoże daje schronienie małym skarłatym roślinom, które przywarły do tego pustynnego stoku - uschnięte czerwono-brązowe łodygi dzikiej gryki (Polygonum), jakieś krzaczaste srebrniki, blade szarotki i nieśmiertelniki, a nawet kilka mizernych pęków Cannabis. Urządzałam sobie z tego twardego kamiennego siedziska okno na świat, wyjmując lornetkę na wypadek, gdyby pokazały się jakieś dzikie zwierzęta, a potem krzyżuję nogi i reguluję oddech, aż niemal zupełnie przestają oddychać.

Teraz góry wokół mnie ożywają; Krysztalowa Góra porusza się. Wkrótce dochodzi mnie szmer potoku daleko z dołu, spod warstwy lodu: wydaje się nieprawdopodobne, że słyszę

ten dźwięk. Nawet przy braku wiatru szum rzek przyplywa i odpływa, opada i wznosi się, jak sam wiatr. Wyzwała się instynkt, który każe wchłaniać wszystkie przejawy życia, jak kwiat wchłania słońce. Wyrwać się z tej starej skorupy i rozsadzić energią świat, pofrunąć...

Chociaż nie jestem świadom swoich emocji, wyciszenie umysłu sprawia, że wilgotnieją mi oczy. Potem to mija, zimny wiatr rozjaśnia mi głowę, przenika mnie poczucie unii ducha z ciałem i ulatuje w przejrzystym powietrzu. Wypełniony słońcem Budda. Któregoś dnia będą medytował w padającym śniegu.

Opuszczam wzrok z ośnieżonych szczytów na lśniące krzewy, plamy śniegu, porosty. Chociaż pozostaję na nią ślepy, Prawda jest blisko, w otaczającej mnie rzeczywistości w skałę, na której siedzę. Ta twarda skała poucza moje kości o tym, czego umysł nie był w stanie pojąć w sutrze Serca, że „forma jest pustką, a pustka jest formą” - Próżnia, pustka niebiesko-czarnej przestrzeni, zawarta we wszystkim. Czasami, kiedy medytuję, wielkie glazy tańczą.

Sekret gór polega na tym, że one po prostu istnieją, tak jak i ja: ale góry istnieją po prostu i koniec, a ja nie. Góry nie mają żadnego ukrytego „znaczenia”, one same są znaczeniem; one są. Słońce jest okrągłe. Rozbrzmiewam życiem i góry też rozbrzmiewają, a gdy je słyszę, rozbrzmiewamy razem. Rozumiem to, nie umysłem, lecz sercem, wiedząc, jak daremne są próby uchwycenia czegoś, czego nie sposób wyrazić, wiedząc, że kiedy będę to w przyszłości czytać, pozostaną tylko słowa.

Koło czwartej słońce rozpała ogniki na Kryształowej Górze. Podnoszę kołnierz, wkładam rękawice i schodzę do Somdo, gdzie mój namiot przechwytuje ostatnie promienie dnia. Za klapą namiotu, osłonięty od wiatru, piję gorącą herbatę i patrzę, jak mrok wyrasta z ziemi. Zachód słońca śle w ciemniejący błękit święte promienie i przemienia ciemną sylwetkę kruka w srebrnego ptaka nocy, który niknie w cieniu góry. Zalega wielka cisza, robi się zimno. Temperatura już spadła dobrze poniżej zera, a do świtu spadnie jeszcze o dwadzieścia stopni.

O zmroku idę obok pustych domostw do chaty kuchennej, gdzie Phu-Tsering piecze zielony bochenek; Szerpowie postawili tu dwa kamienne stoły i wieczorami w chacie jest niemal przytulnie przy ciepłym glinianym piecu, rozpalanym łąnem i dymiącym jałowcem.

Jak zwykle G. S. jest tu przede mną i robi notatki. Z zażawionymi oczami czytamy i piszemy przy lampie naftowej. Dobrze nam ze sobą, ale rzadko zamieniamy więcej niż parę słów przy skromnym posiłku, na który zwykle składa się gorzkawy ryż marnego gatunku, z pomidorowym lub sojowym sosem i czasem cienka zupa z soczewicy. Po kolacji wpatruję się w ogień, ale już po chwili dym z iskrzących się gałązek jałowca wgrza mi się w oczy. Mówię dobranoc, wychodzę przez niskie drzwi i idę pod gwiazdami, pośród mroźnych chat wypatrując drogi do mojego zimnego namiotu, w którym zostaną przez dwanaście albo i więcej godzin do pierwszego brzasku. Czytam, póki nie czuję się na wpół zaczadzony kagankiem z knota wetkniętego w naczynko z naftą, a potem długo leżę w bezruchu w samym sercu ziemskiej ciszy, rozradowany i podniecony jak dziecko. Wciąż mam nietkniętą dużą paczkę Cannabis, które zebrałem w Yamarkhar i wysuszyłem po drodze, z myślą o uprzyjemnieniu sobie długich i ciemnych wieczorów - ale na razie i bez tego czuję się

wspaniale.

„Traktuj jako jedno to życie, przyszłe życie i życie między nimi”, napisał Milarepa. I czasem zadaję sobie pytanie, do którego życia zawędrowałem, tak nieruchome są tutejsze długie noce i tak zimne.

7 LISTOPADA

Wysoko w górach natykam się na stado dwudziestu siedmiu błękitnych owiec, które składa się z samców i samic różnego wieku - do wczoraj barany z Somdo tworzyły własne stada.

Na widok człowieka nachury znikają za ośnieżonym grzbietem ku północy. Podążam za tą obiecującą mieszaną grupą z nadzieją na poczynienie obserwacji dla G. S., który pracuje w pobliżu Tsakang. W końcu owce kładą się na stromym trawiastym zboczach, które schodzi w głąb gardzieli kanionu Czarnej Rzeki, a ja wycofuję się tam, gdzie nie mogą mnie zobaczyć, i daję im czas na oswojenie się, zanim spróbuję podejść bliżej.

Przez długą chwilę siedzę zupełnie bez ruchu. Do pobliskie skały zbliża się czarna pleszka, podskakuje żwawo i stroszy ryżę ogonek. Nadlatują z wiatrem wronczyki, kracząc i tańcząc w stadzie złożonym co najmniej z pięćdziesięciu sztuk małe czarne ptaki nurkują grupkami w przestrzeń, wypełniając ciszę świstem powietrza.

Znajduję w skafandrze kilka dzikich orzechów z Rohagaon i rozbijam je kamieniem. Z tego miejsca na górze mam widok na wszystkie cztery strony. Na wschód Biała Rzeki wypływa ze śniegów w tym kierunku leży Saldang. Na południe kanion Czarnej Rzeki pnie się ku Kanjirobie. Na zachód wielki piramidalny masyw Krysztalowej Góry stawia opór wiatrowi, który gna po niebie niespokojne chmury. Na północ, za górą Somdo, na ukrytym płaskowyzu ponad kanionami, leży stara twierdza bonu w Samling. Stado na Somdo podeszło w górę zbocza, powyżej pięciu tysięcy metrów. Ponieważ wieje wiatr z południa, niosąc mój zapach, idę trawersem kilkaset metrów na wschód i dopiero potem zaczynam się wspinać; kiedy już jestem w pobliżu, wiatr zmienia się na północny i mogę przyczołgać się na odległość niecałych stu metrów do najbliższego zwierzęcia.

Znaleźć się tak niemal pośród błękitnych owiec to wielka emocja. Leżę na brzuchu, osłonięty od wiatru, i cała rozgrzana góra, oddychając tym samym rytmem co ja, zdaje się mnie wchłaniać. Wszystkie owce prócz dwóch leżą, a cztery duże barany, nieco wyżej na wzgórzach niż reszta, patrzą w moją stronę bez niepokoju. Słońce lśni w gęstej sierści ich błękitnego futra, obrośnięte pyski przeżuwiają pokarm odchylone do tyłu pod ciężarem wielkich karbowanych rogów. Te samce to duże i ciężkie, mocno zbudowane, silne i piękne zwierzęta - chociaż leżą pod wiatr od stada, nie czuje żadnego zapachu.

Naraz jeden z nich wyczuwa moją obecność, szyja zastyga mu w eleganckim łuku, a oczy i uszy napinają się w owej spokojnej gotowości, która w niezrozumiały sposób przypomina mi Tuktęna - co też porabia teraz nasz przewrotny mnich? Inne owce drzemają. Większość młodych zwierząt leży zadem w dół zbocza, przodem w moim kierunku (odwrotnie niż dojrzałe sztuki, które spodziewają się niebezpieczeństwa z dołu), a dwa wyciągnęły się jak dorastające młodziki z głową wzdłuż tułowia. Jest to poranna drzemka, którą obserwowaliśmy u nich codziennie; teraz nie będą się paść przez co najmniej godzinę. Wycofuję się za wzniesienie, żeby poczekać. Po godzinie, kiedy znów się podkradam, właśnie wstają. Jedna z samic przykuca oddając mocz, samiec wtyka mordę w ciec, a potem w jej srom, przy czym wyciąga szyję w geście rozkoszy i z zamkniętymi oczami wygina górną wargę, żeby w pełni delektować się zdobyczą. Inny baran podąża za drugą

samicą i on też poszturkuje ją nosem w zad; jeszcze inny opuszcza łeb, jakby chciał pochwycić swoje prace, na sposób kozłów, ale potem traci zainteresowanie.

Teraz zwierzęta zaczynają się paść, wyciągając szyje w poszukiwaniu kępek trawy pod krzakami kapryfolium, niektóre zjadają też małe, żółtozielone liście samego krzewu. Z samicą na czele - w mieszanym stadzie zwykle prowadzi samica - posuwają się, pasąc, w dół zbocza, aż znikają za wzniesieniem. Kiedy znów się ukazują, idą prosto na wzgórek, za którym leżą. Nagle zwierzęta są tak blisko, że muszę zniżyć lornetkę centymetr po centymetrze, żeby ich nie spłoszyć; wciskam podbródek głęboko w gęsty porost zbocza, z nadzieją, że moje brązowe włosy zostaną wzięte za świstaka. Nadciągają, skubiąc źdźbło tu i ówdzie, samce węższą bezwstydnie za samicami, a dwa roczniaki zamykają pochód.

Przewodniczka stada wylania się z zagłębienia jakieś trzy metry nade mną, kierując się lekko na wschód. Nagle czuje mój zapach i odwraca się patrząc na mój zastygły kształt rozciągnięty na ziemi. Nie rusza się, tylko patrzy okrągłymi oczami. Jest napięta, czarne plamki na jej nogach wyraźnie drżą - wygląda wspaniale. Podchodzi do niej samiec i on też wyczuwa mój zapach. Jednym skokiem zwraca się w moim kierunku, jego ogon wystrzeliwuje prosto w powietrze, a on stąpa krok naprzód, wydając dziwne, chrapliwe, wysokie rzenie - czirr-r-rit - bardziej jak wiewiórka niż zwierzę kopytne. (Później opisuje to dokładnie G. S. - o ile wiemy są to pierwsze znane dane na temat głosu błękitnej owcy) Samiec odważnie rusza wybaść sytuację, a reszta za nim, aż cały stok roi się od rogów i owczych pysków, owczych wibracji - wstrzymuję z całych sił oddech. Kilka owiec nerwowo udaje, że skubie trawę, a jeden z samców ze zdenerwowania chwytając zębami zad roczniaka i zostaje mu w pysku srebrna kitka, która błyszczy w słońcu. Niespiesznie stado odchodzi okrążając zbocze ku wschodowi. Po chwili ukazują się ponownie głowy dwóch samic, jakby dla sprawdzenia, czy nikt ich nie goni. Potem i one znikają.

W drodze powrotnej zatrzymuję się w górnej wiosce przed chatą starej Sonam. Sonam, w brudnych łachmanach, kopcach z szorstkiego filcu i w koralowych paciorkach utraconej młodości, siedzi pośród suszącego się łajna, tkając koc na zwariowanym ręcznym krośnie, rozpiętym na kamieniach i patykach trzyma jej między wyprostowanymi nogami przyciskając sznurowymi podeszwami do skały. Wełna ma ładny i subtelną deseń, bo ta niezwyczajna staruszka ma zmysł plastyczny w oku. Podziwiam jej szeroki uśmiech, mocne plecy i oblepioną brudem skórę, nieczułą na zimno.

Kiedyś Sonam była dzieckiem o rumianych policzkach, jak Słoneczna Poti. Teraz pracuje ciężko przy gasnącym świetle, w chłodzie rozchodzącym się pod bladym półksiężycem. Wkrótce zapadnie noc. Sonam wślizgnie się przez wąskie drzwi do swojej chaty i zje trochę jęczmienia - o czym śni do rana, zanim wyjdzie na swe niekończące się poszukiwania łajna? Może z właściwą sobie mądrością w ogóle przepędza wszystkie myśli, tylko troszczy się o to, żeby przetrwać, jak wilk; przetrwanie jest jej sposobem medytacji.

Kiedy pytam Jang-bu, dlaczego Sonam przez całą zimę mieszka sama w górnej wiosce, skoro mogłaby wprowadzić się do pustego domu obok Namu, ten jest zdziwiony.

- Przyszyczała się do tamtego miejsca - mówi.

8 LISTOPADA

Namu założyła pułapki dla G. S. i ma on już kilka puszystych myszek o krótkich ogonkach, kolekcję nornic i małą ryjówkę 15 złapaną na zboczu. Oprócz owiec i wilków, są tu ślady łasicy, zająca tybetańskiego i lisa, ale same zwierzęta pozostają niewidoczne jak zimujące świstaki; oprócz przelotnego widoku zająca musimy się - na razie - zadowolić ich odchodami. To samo dotyczy niezidentyfikowanego kuraka - możliwe, że to przepiórka tybetańska. Jest też mała grupka górskich ptaków - orły, sępy, orłosępy brodate, wronczyki, górskie gołębie, zięby, pleszki, płochacze i skowronki - a także wytrzymałe śligi ze słonecznych zboczy i asortyment mrówek, pszczoł, koników polnych i pająków.

Zastanawiam się nad populacją małych stworzeń, które żyją tuż za Białą Rzeką. Od ponad miesiąca są uwięzione pod głębokim śniegiem i zazwyczaj muszą spędzać około czterech miesięcy więcej we śnie zimowym niż osobniki tego samego gatunku, które żyją tutaj, po słonecznej stronie tejże doliny. Wydaje mi się, że wynikająca stąd adaptacja (lub jej brak) wykształcona przez tysiąclecia w skądinąd identycznej populacji tego samego gatunku mogłaby być fascynującym tematem badań, i G. S. się za mną zgadza.

Wczoraj przybyło kilka nowych jaków i kucyk z dzwoneczkiem na szyi prowadzony przez Ongdiego, brata Namu i właściciela naszej chaty kuchennej, który zjawił się tu wraz z synową i synami. Bez wątpienia doszło do niego w Saldang, że jeden z jego domów zajęli cudzoziemcy, którzy przyszli tu zbierać zdechłe myszy i odchody wilków, wobec czego postanowił obrócić tę niezdrową sytuację na swoją korzyść. Być może pod wrażeniem kamiennych stołów ustawionych przez Szerpów, ten bystrooki, chytry i wiecznie uśmiechnięty człowieczek żąda pięciu rupii dziennie za swoją nędzną chatę, ale w końcu godzi się na jedną rupię, jeśli dorzucimy funt taniej herbaty. Ongdi pożąda wszystkiego, co mamy jest oprowadzany żądza posiadania za kilka dni, jak się dowiemy od jego siostry, ten nienasycony kupiec pojedzie na wyprawę handlową przez wschodnie Dolpo do Jamoson i nad Kali Gandak, a nawet może do Katmandu. Był już raz w Katmandu i jest z tego powodu wielce ceniony w tych stronach. W zamian za puszki po herbatnikach, plastikowe pojemniki i inne skarby, które tak czy owak byśmy wyrzucili, Phu-Tsering wytargowuje od niego niezły zapas ziemniaków i trochę masła jaka. Wczoraj wieczorem mieliśmy na kolację pieczone ziemniaki z masłem - pierwsze masło od Pokhary i danie najbliższe *haute cuisine* od wielu tygodni.

Wschód słońca, rozświetlając mój cienki namiot, zmienia go ze starego worka na śmieci z brązowego plastiku w dziwny, macicopodobny balon. Prawda, że to dalej ten sam nieszczęsny namiot, poplamiony, dziurawy i obwisły, ale zdążyłem go polubić, bo to mój dom. Codziennie wymiatam tony kurzu, który wciska się, przenika, wlatuje z podmuchem wiatru z podwórka zawalonego niekończącym się zapasem suchego łąjna. Można lepiej zrozumieć lokalny brak zamilowania do czystości, kiedy się jest pokrytym kurzem w minutę po umyciu: sam lepię się z brudu.

Przy murze modlitewnym, we wczesnych promieniach słońca, Namu zbiera wysuszone placki gnoju jaków wrzucając je przez ramię w otwartą paszczę wiklinowego kosza; te placki są bezcenne i jej brat, Ongdi, odchodząc weźmie ich trochę ze sobą przez wschodnie

góry do Saldang, gdzie opału jest jeszcze mniej niż tutaj. Łajno jaka pali się równym, czystym płomieniem niemalże bez dymu i na tej górskiej pustyni ponad linią drzew jest warte swojej wagi niemal w każdym innym produkcie.

Dziś rano młodszy syn Ongdiego, Tema Tende, wali miarowo w skórzaną bęben swoim własnym niezgłębnym rytmem i głuchy dźwięk rozbrzmiewa w górskim powietrzu.

BUM-bum-bum, BUM-BUM-BUM-bum.

Ze starszym synem. Karma Dorje, i jego ładną młodocianą żoną, Tende Samnug, Ongdi ładuje ziemniaki, mięso i jęczmień na swoje jaki, aby wraz z małą, prostą komodą wziąć je na handel do Saldang. Będzie im towarzyszyć Jang-bu, który ma się wywiedzieć o żywność, policję i szlak do Tarap, w razie gdyby przełęcz Kang została odcięta przez śniegi.

Kiedy Ongdi nie patrzy, Tende Samnug wtyka mi cztery kartofle w prezencie: ten gest jest spontaniczny i prostoduszny, dziewczyna stoi uśmiechając się radośnie, jej okrągłe oczy i rumiane policzki błyszczą w słońcu. Tymczasem Ongdi namawia mnie do rozstania się z jedyłą lampą naftową, jaką mamy - jeżeli wróci tu za jakiś tydzień lub dwa, kiedy skończy się nam nafta, lampa będzie jego. Karma Dorje, uśmiechnięty jak i ojciec, też prosi mnie o coś i tak sobie rozprawiamy z wielkim ożywieniem, chociaż „Saldang” jest jedynym słowem w całej konwersacji zrozumiałym przez obie strony.

Obserwując dziś rano owce uzgodniliśmy z G. S. wspólny plan. Opuszczam Shey osiemnastego listopada - zakładamy, że Tukten i Gyaltzen do tej pory już tu będą; w przeciwnym wypadku musimy przyjąć, że powstrzymał ich jeden z wielu możliwych, nieszczęśliwych zbiegów okoliczności. Ale nawet gdyby Tukten się nie zjawił, odejdę, jak zaplanowałem, i w pierwszym odcinku drogi będzie mi towarzyszył Jang-bu. Pójdziemy przez Saldang, przez wschodnie góry, z nadzieją na spotkanie po drodze naszych obu Sierpów. Jeżeli ich nie spotkamy, Jang-bu znajdzie mi w Saldang tragarza, bo G. S. chce go mieć jak najszybciej z powrotem. Ustaliwszy to, czuję się raźniej, i teraz możemy odłożyć ten temat na bok.

9 LISTOPADA

Ze ścieżki, która wiedzie do Tsakang i dalej, nad przepaściami kanionu Czarnej Rzeki, otwiera się wspaniały widok na ogromne ściany i łańcuchy górskie piętrzące się na północ do miejsca, gdzie Yeju-Kanju wpływa do wielkiej rzeki Karnali. Ścieżka często biegnie wąską krawędzią, a na zwróconych ku północy zboczach wąwozu leży pod śniegiem i lodem. Nawet na południowych ścianach jest wąska, koncentruję się więc uważnie na każdym kroku i natykam się na ślad, który wygląda, jakby go zostawił wielki kot. Ponieważ trop jest niewyraźny, a G. S. jest zbyt daleko, żeby go zawołać, i jak dotąd nic nie wskazywało na obecność pantery, trzymam język za zębami - obejrzymy go w drodze powrotnej. Ale w tym samym momencie unosząc głowę widzę, że G. S. zatrzymał się na ścieżce przede mną; kiedy podchodzę, pokazuje mi wyraźne ślady pazurów kota i odbicie łapy. Odbicie jest zamazane, ale przynajmniej wiemy, że śnieżna pantera rzeczywiście tu jest.

Przeważnie spędzamy dni osobno, spotykając się przy glinianym piecu na śniadanie i kolację, ale ilekroć zachowujemy się jak zwierzęta towarzyskie, ten odruch przynosi nam szczęście. Trochę dalej jest następny ślad, a potem jeszcze jeden i G. S., patrząc przed siebie na ścieżkę skręcającą za skałą w kolejny wąwóz, mówi:

- Tam za zakrętem powinno być jej łajno, takie właśnie miejsca lubią pantery.

I rzeczywiście jest, leży lśnić na ścieżce, tuż pod kamieniami modlitewnymi stupy - Klejnot w Sercu Lotosu, myślę nie wiadomo czemu i kiwam głową z aprobatą mojemu przyjacielowi.

- Czy to nie jest coś? - mówi G. S. - Zachwycać się kupką ekskrementów? - Zbiera odchody w jedną z torebek plastikowych, które nosi przy sobie w tym celu, i wkłada je do plecaka z naszym drugim śniadaniem. Chociaż pochodzą zapewne sprzed tygodnia, już rozglądamy się po słonecznych graniach i otwartych jaskiniach po obu stronach rzeki, które na próżno badaliśmy przez tyle dni.

Idąc później półką skalną znajdujemy jeszcze dwa łajna i kilka śladów pazurów, jak również na wpół roztopione odbicie łap na północnej ścianie wąwozu. Może to zwierzę tu nie mieszka, tylko tędy wiedzie jego szlak łowiecki, jak i wilków: zresztą wilków nie widzieliśmy już prawie od tygodnia, z drugiej strony, ten labirynt jaskiń i krawędzi skalnych stanowi doskonały teren polowań dla pantery, na uboczu terytoriów nieprzyjaciela - wilka, a w pobliżu stada nachurów, które mieszka wyżej na grani i często schodzi aż w pobliże tych skał. Może podczas dni, jakie nam jeszcze zostały, nigdy nie zobaczymy śnieżnej pantery, ale jest prawie pewne, że ona zobaczy nas.

Po przeciwnej stronie następnego wąwozu jest druga pustelnia, z czerwonej gliny pomalowanej na szaroniebiesko i biało. Nie widać stosu chrustu ani innych oznak życia, a białe flagi modlitewne zwisają w strzępach poszarpane przez wiatr. W pobliskich skałach są osmalone ogniem jaskinie i ruiny cel, które musiały gościć pustelników z dawnych czasów; może przynoszono im żywność z Tsakang. Ta mała gompa, na wpół skrywająca

zamurowaną jaskinię, jest przyklejona do zewnętrznego rogu skały, która wisi nad Czarnym Kanionem i jak Tsakang patrzy na południe, w górę Czarnej Rzeki. Ponieważ widać stąd czubki stup w Shey, jej krajobraz jest mniej widmowy niż nieskazitelny biało-niebieski widok z Tsakang, ale kilkusetmetrowy uskok w przepaść, ryk potoku, wiatr i wysokie ściany ze wszystkich stron, zaciemniające niebo, czynią to miejsce bardziej pośepnym. Pustelnia leży na ostatnim odcinku trasy pielgrzymów, która wiedzie od Czarnej Rzeki, okrąża Kryształową Górę, znów zahacza o Czerwony Kanion od północy i wraca do Shey poprzez Tsakang - ale teraz większość trasy leży pod śniegiem.

Chroniąc się przed wiatrem siadam na słonecznym progu, opieram się plecami o ciepłe drewniane drzwi i jem zielony placek Phu-Tseringowego gryczanego chleba, który wygląda i smakuje jak omszała kamienna mandala ze ścian modlitewnych. Błękitne owce zapaskudziły to małe podwórko łajnem, a ludzka ręka namalowała nad drzwiami słońce i księżyc, jednakże to opuszczone miejsce, tutaj na końcu świata, skamieniały chleb, łajno i namalowany księżyc, samotne poszarpane wiatrem flagi, wszystko jest w moich oczach równie iluzoryczne jak zdrowe zmysły. Głuchy pomruk głązów w Czarnej Rzece - dlaczego jestem niespokojny? Połknąć potok, słońce i wiatr, wypełnić oddech pełnią istnienia... a jednak... cofam się przed tym dźwiękiem który zdaje się rozbrzmiewać echem straszego huku wszechświata.

G. S. potyka się dzisiaj na półkach skalnych. Snuje rozważania na temat jonów atmosferycznych, które sprowadzają depresję, jak mistral na południu Francji (powstała niedawno teoria¹⁶, że jony ujemne, które zdają się oddziaływać pozytywnie na zwierzęta i rośliny, mogą być w jakimś sensie powiązane z „praną” czyli „energią życiową”). Obaj zgadzamy się, że człowiek jest niezdarny, kiedy ma depresję, ale G. S. uważa, że jego niezręczność to oznaka początku choroby, grypy lub czegoś podobnego. Może ma rację, a ja fantazuję, ale poprzednio, na tej samej półce, moje buty, jak zauroczone, wyszukiwały luźne kamienie i skryty pod śniegiem lód, a ja czułem się otepiały, niemrawy i przestraszony - w powietrzu wisiała jakaś siła, jakaś niewyraźna groźba. W drodze powrotnej przygnębienie minęło. Idę lekko i zwinnie. Zawsze czuję się lepiej, kiedy lewą nogę mam po zewnętrznej stronie, tak jak teraz, ale to nie może tłumaczyć naglej zręczności i przyjemności, jaką daje mi spacer nad otchłanią, który dwie godziny temu napełniał mnie grozą. Nie przestałem też uważać wprost przeciwnie, to właśnie precyzyjnie odmierzone kroki, ich nacisk i odgłos napełniają mnie radością życia. Promienie słońca padają z ośnieżonych szczytów, eskadry czarnych wrońców tańczą nad przepaścią, a światło i cień przenikają się na ścieżce w potężnej, wszechogarniającej obecności Bytu.

10 LISTOPADA

Wysoki kamienny mur zagrody przy chacie oddziela mój namiot od reszty towarzystwa. Jestem przez to tym bardziej narażony na kradzieże, które nie są tu czymś nieznanym, toteż pilnie baczę na dwóch handlarzy wełną, brudnych jak noc, przybyłych tu wczoraj z Saldang bez wełny lub innych oznak uczciwego rzemiosła. Jednego z nich widziałem w drodze powrotnej znad zachodniej strony rzeki, jak jadł ziarna jęczmienia na podwórzu Namu; drugi złożył mi niezapowiedzianą wizytę w namiocie, wetknąwszy głowę przez kłapę, żeby nasycić oczy zawartością co uznałem za niechybny złodziejski zwiad. Namiot jest tak mały, że w efekcie człowiek nosi go na barkach, i nagle wtargnięcie drugiej głowy - do tego obcej, dzikiej i brudnej postawiło nas twarzą w twarz o wiele bliżej, niżbym sobie życzył. To, że głowa się nie cofnęła natknąwszy się na właściciela, było, jak sądzę, dowodem niewinności, niemniej nakazałem jej gestem, niezbyt serdecznym, aby natychmiast opuściła namiot. Wtedy głowa przemówiła. Po angielsku, bardzo łagodnie, spytała: „Ja iść?” Zamurowało mnie. I przybysz zniknął, oferowawszy mi w pierw uśmiech, który przeobraził jego na pozór chytrą, złowrogą twarz; nie jakiś czarujący uśmiech, ale autentycznie święty w swojej żarliwej akceptacji świata wraz ze wszystkim, co on niesie.

Podniosłem kłapę namiotu, żeby go zawołać, ale nie wiedziałem, co powiedzieć mężczyzna pokiwał na do widzenia mnie i moim złym manierom, i zniknął z podwórka.

Wkrótce okazuje się, że i drugi handlarz, ten, którego widziałem w obejściu Namu, też ma miły uśmiech, chociaż brak mu anielskiej łagodności towarzysza. Przy kolacji postanawiam jednak nie rozprawiać o tych uśmiechach w obliczu niezłomnego przekonania G. S., podzielonego przez Phu-Tseringa, że ci dwaj to łupieżcy świętyń, którzy bez zmużenia oka wynieśliby nam ostatnią porcję soczewicy. Zapada decyzja o zamknięciu drewnianych drzwi chaty kuchennej, aby nie zakradli się przypadkiem podczas snu biednego Dawy; jutro Szerpowie mają stać na straży dopóki ta mało pociągająca para się nie wyniesie.

Dzisiaj jest już ranek i wszystkie środki ostrożności okazały się zbyteczne, gdyż handlarze odeszli o świcie w górę Czarnej Rzeki w stronę przełęczy Kang. Przykro mi z tego powodu, bo chciałem naprawić mój brak zaufania życząc im ciepło szczęśliwej drogi. Prawdę mówiąc, wyrządzają nam przysługę, bo jeśli przejdą przez Kang La, przetrą ślad w głębokim śniegu dla Tuktena i Gyaltsena, którzy mogą tego samego dnia co oni dotrzeć do Ring-mo. Więsz, że dwóch mężczyzn dopiero co przebyło przełęcz Kang, powinna zachęcić naszych Szerpów do pójścia ich śladem.

Namu je z nami dzisiaj śniadanie; przyniosła prażone ziarno jęczmienia, które przyjemnie urozmaica szarą owsiankę. Namu ręczy za handlarzy, mówiąc, że przechodzili też tędy w zeszłym roku ze swojej wioski nad rzeką Bheri. Poprzednio prowadzili handel w Bhot, czyli B'od, co Namu wymawia „Po”. Kraina Po. Centralne prowincje U i Thang Tybetańscy nazywają tradycyjnie B'od, co się tłumaczy jako „ziemia oczysta” albo „dom”; wschodni Tybet zwany jest Khams, a Tybet zachodni składał się poprzednio z niewielkich królestw takich jak Lo (Mustang) i Dol. Myślę o Tsurton-Wang-Gayu - jak i Milarepa uczniu Marpy - który pochodził z Krainy Dol; jeśli, co jest możliwe, starożytne Dol i Dol Po to ten sam obszar, to najstarsze kamienie modlitewne na samym spodzie kamiennego wału na zachód

od gomy mogły być wyrzeźbione w jedenastym wieku, w dniach, kiedy Tsurton-Wang-Gay wędrował po tych górach, a Milarepa, żywiąc się pokrzywami przyjaskiniowymi, sprawił, że jego skóra przybrała zielony odcień. Może to właśnie takich złodziejasków, jak nasi goście z Saldang miał Milarepa na myśli, mówiąc: „ci oszukańczy ludzie, Yepo i Yemo z Dol”.¹⁷

Dziś rano idę na górę Somdo obserwować dwanaście baranów, które jak dotąd nie wykazują zainteresowania samicami; widzę je na horyzoncie, pod linią śniegu. Po dwóch godzinach intensywnej wspinaczki jestem wysoko nad Czarnym Stawem i mam pod sobą cały kanion Czarnej Rzeki biegnący ku przełęczy Kang. Za Kang wznosi się zlepiająca masę bieli, który dominuje na niebie na południowym zachodzie: to wielka lodowa ściana Kanjiroby, wał krystalicznych wzniesień i białoskrzydłych gzymśów, mający dobrze ponad sześć tysięcy metrów wysokości. Tu, gdzie stoję, wieje tylko lekki zefirek od wschodu, ale wysoko na Kanjirobie wiatr zwiewa z iglic i szczytów obłoki śniegu, które rozplywają się na tle błękitu.

Dwa czarne okruchy życia poruszają się w bieli. Handlarze wełną zbliżają się do Czarnego Stawu i wczesnym popołudniem dojadą pewno do przełęczy; może dzisiejszą noc spędzą w naszym dawnym obozie w jaskini, a jutro dotrą szczęśliwie do Ring-mo. Z jakichś przyczyn widok dwóch postaci na pustkowiu nasuwa mi na myśl handlarza Ongdiego, a potem Katmandu podczas mojego pierwszego pobytu w zimie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, kiedy stare bazyry roily się od ludzi z gór przybyłych na handel. Tego roku w dolinie Nepalu wielu uchodźców tybetańskich sprzedawało swoje cenne precjoza religijne, aby przeżyć, większość była nie do odróżnienia od Bhotyjczyków, jak Ongdi: zesłi z gór w swoich wisiorach i warkoczach handlując wełną i solą w zamian za noże i herbatę. Właśnie na Asan Bazaar znalazłem zaśniedziałego Buddę Akshobhya z brązu, który stanął na ołtarzyku w ostatnim pokoju D.; Akshobhya to „Niezlomny”, ten aspekt natury Śiakjamuniego, który oparł się kuszeniu demonów pod drzewem bodhi w Gayi. Budda siedział na tronie z kory sosnowej, na klanach miał gałązkę czerwonych jagód, a nad głową drzewo bodhi z kiści perłowych nieśmiertelników, bardzo podobnych do nieśmiertelników ze zboczycy Shey.

Ostatnie dni są prześwietlone słońcem, jak tamte odległe październikowe dni w Tichu-Rong. Nigdzie ani śladu chmurki niebo jest czyste, czyste, czyste. Chociaż w cieniu jest bardzo zimno i wieje wiatr, słońce grzeje mocno wyobraźcie sobie prądkowaną i lśniąca jaszczurkę powyżej pięciu tysięcy metrów w połowie listopada! Po raz pierwszy w życiu doceniam żar naszej gwiazdy przesywający mroźne otchłanie tyłu milionów kilometrów przestrzeni kosmicznej.

Skały i ośnieżone szczyty wokół, niebo, wielkie ptaki i czarne rzeki - jakimi słowami można oddać ten dzwoniący przepych? Ale w tym dzwonieniu słyszeć nieprzyjemną nutę podskórne zagrożenie, jak w diamentowym lodzie gruchoczącym kamienie. W głowie mi szumi, słońce błyszczy jak broń. Czarny Kanion wieje się i wiruje, Kryształowa Góra majaczy w dali jak zamek grozy, a cały wszechświat rozbrzmiewa trwogą. Moja głowa jest czaszką pełną krwi w rękach czarownika, a gdybym się odwrócił, moje oczy ujrzalyby samo sedno chaosu, cierpienie, zakrzepłą krew i ból, który przepiera z dna jasnych oczu jaszczurki.

Koszmar mija, zostaje echo. Jaszczurka ciągle tu jest, zjednoczona ze swoją skałą, jej boki pulsują w żarze gwiazdy, która daje ciepło naszym skórom; wieczność nie jest gdzieś daleko, jest tu między nami.

Mój plan polega na tym, aby zająć barany od góry i od wschodu, mając słońce za plecami; lekki wschodni wiatr wkrótce zamarze, jak co rano przy dobrej pogodzie, ustępując miejsca po porze drzemki stada wiatrowi północnemu, który nie poniesie w ich stronę mojego zapachu. Wspinam się do linii śniegu na wschodnim krańcu grani i czekam, aż wiatr ustanie.

Przez grań lecą trzepocząc skrzydłami na tle błękitu tybetańskiego śnieżne zięby, które dotąd widywałem tylko z daleka. Zięby lądują pośród skał w towarzystwie skowronków i zaraz wznoszą się z cichym świergotem, równie niespodziewanie jak przybyły; w porannym świetle okrążają wierzchołek zasłaniając go chmurą białych skrzydeł i odlatują na północ.

Przy zmianie wiatru jest tak cicho, że słychać kapanie topniejących kropli pod śniegiem: cały świat odpczywa. Idę granią na zachód, patrząc w dół na mozaikę piargów i śniegu, aż dostrzegam dziwną wysepkę sierpowatych rogów. Nachury są czujne, obserwują stok pod sobą; najbliższe rogi są jakieś dwieście metrów niżej na zachód. Skulony skradam się do występu skalnego oddalonego o rzut kamieniem od mojego łupu. Tutaj pozwalam sobie na cichy rechot samozadowolenia, za co spotyka mnie natychmiastowa kara w postaci głuchego dudnienia kopyt po zboczu.

Barany kierują się na zachód i północ wokół wierzchołka, a ja za nimi. Tym razem docieram szczęśliwie do nowego punktu obserwacyjnego i patrzę bez przeszkód, jak zgodne samce trącają się, popychają, liżą, obwąchują i pokrywają nawzajem. Ale wkrótce dobiega mnie znajome czirr-it, czirr-it, tak podobne do pisku gryzonia, że wypatruję w kępkach trawy świstaka. Kilka nachurów jednocześnie prycha alarmująco i w mgnieniu oka stado zrywa się galopem do ucieczki, rozpraszając się po zboczu i wprawiając mnie w osłupienie, gdyż jestem dobrze schowany i nie zrobiłem najmniejszego ruchu.

Może nie doceniam własnego zapachu.

Orzeł przedni popiskując przenikliwie szybuje na tle śniegu niemal na wysokości oczu; głęboki głos, który bardziej by pasował do tego szlachetnego ptaka, nie niósłby się zbyt daleko w takiej pustce. Wkrótce potem z machaniem niebieskoszarych skrzydeł nadlatują dzikie gołębie - górski gołąb turkiestański, który tu na Płaskowyżu Tybetańskim zastępuje śnieżnego gołębia. Gołębie i orzeł wyglądają wspaniale w mroźnym powietrzu, ale nie są w stanie mnie pocieszyć po stracie moich baranów, które ścigam grzbietem na północną ścianę. Tutaj świeże ślady w śniegu prowadzą na stok tak stromy i oblodzony, że żaden człowiek ani wilk nie powazyliby się na niego wejść. Ale barany zawiodły mnie do jedyne go punktu w całej okolicy, z którego widać dwa jasne budynki daleko na północno-wschodnim płaskowyżu. Jest to moje pierwsze i ostatnie spojrzenie w tym wcieleniu na stary klasztor bonu, zwany Samling, bo przepastne dno Czarnego Kanionu jest nie do przebycia, a górską drogę zasypały śniegi.

Dziś po południu wraca Jang-bu ze wspaniałą nowiną. To prawda, że szlak z Saldang przez Tarap

jest przetarty prawie całą zimę; trzeba tylko przejść przez przełęcz Shey do Saldang. A trasa jaków z Saldang do Murwy, tej ładnej wioski poniżej Ring-mo, pod wielkimi wodospadami, jest czynna dłużej niż przełęcz Kang. O tej porze roku wielu ludzi z Saldang idzie do Murwy i do Bheri w poszukiwaniu pracy na zimę; jedni zatrudniają się jako robotnicy i tragarze, inni wynajmują swoje jaki na głównym trakcie między Tarakot i Jumłą, a jeszcze inni noszą wełnę i sól na handel. Teraz tańczą i piją swój chang przygotowując się do zimowego exodusu, ale z pewnością kogoś jeszcze zastaniemy, gdybyśmy potrzebowali pomocy w drodze. Jang-bu rozmawiał w Saldang z tymi dwoma handlarzami wełną, którzy później przechodzili przez Shey, i okazuje się, że ci mężczyźni, potraktowani przez nas tak niegościnnie, nieśli jego wiadomość do Tuktena i Gyaltsena. W Saldang nie ma policji, mówi Jang-bu, lecz jest „wiele świątyń” i jest tam także lama z Shey, tak jak nam powiedziano. Ale prawdziwy lama z Shey teraz rozumiemy, że Namu go chroniła - *tulku*, czyli lama w kolejnym wcieleniu, którego tak chciałem poznać, to nie kto inny, a kaleki mnich, który konserwował kozłą skórę w maśle i mózgu jaka w Tsakang.

11 LISTOPADA

Na wschodzie o zmierzchu pojawia się jasny Mars i wkrótce księżyc w pełni podąża ścieżką słońca, ze wschodu na zachód poprzez granatowoczarne niebo. Zawsze jestem niespokojny w okresie pełni, jak typowy lunatyk, i teraz też kręcę się przy oszronionym klasztorze, obserwując niebo. Wznoszący się nad Białą Rzeką księżyc oświetla widmową flagę modlitewną powiewającą leciutko na dachu nieruchomej chaty i zdaje się rozpaść złożony tam stos chrustu; mój mały gliniany Budda porusza się na swym kamiennym ołtarzu. Śnieg za rzeką łśni, a skały i szczyty, wijący się czarny strumień, śniegi, niebo, gwiazdy, firmament - dzwonią jak dzwonek Dorje-Changa. Dzyń! Tu leży sekret! Dzyń!

O świcie, kiedy granatowa czern srebrzy się na wschodzie, księżyc zatapia się w ciemność na zachodzie. W mroźnych promieniach słońca nadlatuje czternaście gołębi podziobać lajno na podwórku; jasne niebieskoszare ptaki z szerokim białym pasem wzdłuż ogona, który się wypełnia światłem, kiedy z trzepotem skrzydeł osiadają na murze. Jak wszystko co dzikie na Kryształowej Górze, górskie gołębie nie są płochliwe i nie odlatują, kiedy podchodzę bliżej, tylko zadzierają delikatne główki, żeby mi się lepiej przyjrzeć.

Wchodzę na górę wraz ze słońcem i znajduję mieszane stado wysoko na zboczu; zbliżam się z ukosa i znów się oddalam, po czym znów się zbliżam idąc zygzakiem. Z jakichś powodów to je uspokaja, bo przez chwilę obserwują mnie, zapewne dochodzą do wniosku, że nie należy się mną Przejmować, i wracają do swoich zajęć, które dziś rano są wyjątkowo nudne. Wspinam się dalej. W dole potok, uwolniony z nocnego lodu, niesie ze sobą szary piarg daleko poza góry.

W nadziei na wypatrzenie śnieżnej pantery zrobiłem sobie tutaj, na granicy śniegu, osłonięty od wiatru punkt obserwacyjny z którego mam widok na północ nad Czarnym Kanionem aż do jasnych tarasów pod Samling. Z tego miejsca widać też zbocza Tsakang za Czarną Rzeką, jaskinie skalne i stoki wąwozów, toteż musiałbym zauważyć, gdyby wilk lub pantera złapały gdzieś w tym regionie błękitną owcę. (G. S. szacuje ich populację na zboczach w sąsiedztwie Shey na jakieś 175 do 200 sztuk). W przeciwieństwie do wilka, pantera nie może zjeść wszystkiego na raz i często pozostaje w pobliżu swojej zdobyczy przez kilka dni. Toteż z nadzieją wypatrujemy widoku zbierających się sępów i kruków.

Himalajski sęp płowy, o upierzeniu brązowopłowym, jest niemal tak duży jak wielki orłosep brodaty; jego pełne gracji zwroty pośród szczytów zjednują mu szacunek Tybetańczyków, którzy, podobnie jak wymarli Ariowie z Wed, czczą wiatr i niebo. Niebieski i biały to w bonie kolory boga nieba który jest uważany za wcielenie światła i przestrzeni, a stworzenia z przestworzy stały się w religii bon symbolami - sęp, mityczny ptak garuda i smok. Dla buddystów tybetańskich flagi modlitewne i dzwony dzwoniące na wietrze to wyraz tęsknoty do wiatru, a czerwone latawce, które tańczą w czasie świąt nad całym brązowym Katmandu, są również pochodzenia tybetańskiego. Istnieje także zwyczaj zwany „pogrzebem powietrznym”, w którym ciało zmarłego wystawia się na samotne turnie, takie jak ta, na pożarcie dla dzikich zwierząt; kiedy zostają tylko kości, łamie się je i tłucze na proszek, który miesza się z ciastem, robi grudki i wysypuje dla ptaków. W ten sposób wszystko wraca do żywiołów wszechświata, śmierć wraca do życia.

Cienie sępów sunące po ścianach kanionu zawracają. Może te drapieżniki z Somdo myślą, że dziwna bryła w krajobrazie - nieruchoma postać człowieka pogrążonego w medytacji - to zmarły wystawiony na pogrzeb powietrzny, bo młody sęp, o upierzeniu połyskującym heraldycznym brązem, podlatuje bliżej z wysokim piskiem, a orłosep brodaty, zbliżywszy się od tyłu, spada z nagłym szumem piór, robiąc łuk tak nisko nad moją głową, że czuje powiew powietrza. Przestraszony zrywam się na równe nogi, płosząc ciemne ptaszysko, które cztery razy mocno macha skrzydłami - jedyny ruch skrzydeł, jaki udało mi się zaobserwować u tego szybownika penetrującego himalajskie kaniony, przy wtórze szumu powietrza w złotej głowie.

Ciemno, jasno, ciemno; drapieżnik o wygiętych skrzydłach wprost pod słońce - wiem, wiem. W takim świetle niemal spodziewam się ujrzeć cień tego ptaka na niebie.

Ziemia wiruje pod naporem swojej własnej energii, nie w sposób alarmujący, ale wolnym, spiralnym ruchem; na tej wysokości, na tej wielkiej; cichej przestrzeni jej energia przenika mnie, łączy moje ciało ze słońcem, aż w końcu małe srebrne obłoczki mojego oddechu nie są już moje, lecz giną w mineralnym oddechu góry. Biały puszek, wypełniony słońcem, tańczy przede mną na wietrze; nie osiada, balansuje przez chwilę na lśniącem ciemniu i odpyływa koziołkując w powietrzu. Między tym białym piórkiem, owczym łajnem, światłem i krótkotrwałym zbiorem atomów, które zwie się „ja”, nie ma ani cząsteczki różnicy. Naprzeciw mnie jest góra, ale owo „ja” nie jest naprzeciw niczego, nie jest przeciwstawne niczemu.

Wrastam w te góry jak mech. Jestem zaczarowany. Oslepiające śnieżne szczyty i ostre powietrze, dźwięk ziemi i nieba w ciszy, requiem ptaków, mityczne zwierzęta, flagi, wielkie rogi i stare rzeźbione kamienie, grubo ciosani Tatarzy w swoich wisiorach i filcowych kopcach, srebrny łód na czarnej rzece, przełęcz Kang, Kryształowa Góra. Radość sprawiają mi także zwykłe codzienne cuda: ciche głosy przyjaciół wieczorem, jałowcowy dym z ognia w glinianym piecu, zwykle, nieurozmaicone pożywienie, trud i prostotę, zadowolenie z robienia tylko jednej rzeczy na raz: kiedy biorę do ręki mój niebieski garnuszek, to nie myślę o niczym innym. Od końca września nie mieliśmy żadnych wiadomości z cywilizowanego świata i nie będziemy ich mieć do grudnia; stopniowo mój umysł się wyciszył, wiatr i słońce przechodzą przeze mnie jak przez dzwon. Chociaż mało rozmawiamy, nigdy nie czuję się samotny. Odnalazłem siebie.

Teraz, kiedy wreszcie tu dotarłem, nie mam ochoty opuszczać Kryształowej Góry. Cierpię nad tym prawdziwie i to tak boleśnie, że muszę się uśmiechać, aby nie płakać. Myślę o D. i o tym, że ona też by się uśmiechała. W innym życiu - nie tyle wiem, ile czuję - te góry były moim domem: gdzieś z dna pamięci cisną się na powierzchnię zapomniane przeżycia, jak źródło z głębi ziemi. Wejrzenie w swoją prawdziwą naturę to rodzaj drogi powrotnej do domu do miejsca na Wschód od Słońca, na Zachód od Księżyca drogi powrotnej, która nawet nie wymaga domu, jak w przypadku wodospadu na górnej Suli Gad, który zamienia się w mgiełkę, zanim dotknie ziemi, i znów ulatuje do nieba.

12 LISTOPADA

Wczoraj wieczorem przybyli Tukten i Gyaltsen, na dzień przed najbardziej optymistycznymi przewidywaniami. Przez całą drogę mieli dobrą pogodę, a na niższych przełęczach między Tibrikot i Jumlą nie było śniegu. W Ring-mo spotkali handlarzy wełną i ktoś zaprowadził ich na przełęcz Kang. Ale zgodnie z tym, co mówi Gyaltsen, który przybył pierwszy i wyrzucił z siebie swoją wersję zdarzeń, w podróży wyloniły się jednak pewne kłopoty. W Jumli Tukten, mocno pijany, uknuł plan, żeby uciec do Indii z pieniędzmi, które z pewnością znajdują się w naszej poczcie; wynikię stąd kłótnie zakończyły się wczoraj w Ring-mo gwałtowną bójką.

Gyaltsen jest młody, zapalczywy i wzburzony, ale nie jest kłamcą; Szerpowie ostrzegali nas przed Tuktenem przez cały czas. Niemniej historia jest niejasna, a poczta w końcu dotarła szczęśliwie. Tukten, kiedy nadchodzi, ma równie otwarte i spokojne spojrzenie jak zawsze i nic nie mówi przeciwko Gyaltsenowi, lecz przyjmuje wobec byłego towarzysza podróży taką samą życzliwą postawę jak wobec reszty. Podziwiam Tuktena za to, że nie stara się bronić, i nawet Jang-bu, który jest przyjacielem Gyaltsena i od początku był najbardziej podejrzliwie nastawiony do Tuktena, śmieje się wkrótce z jego historyjek, zupełnie rozbrojony. Złodziej czy nie złodziej, z radością i ulgą witam Tuktena, bo liczę na niego w podróży powrotnej.

Listy chowam nie otwarte do plecaka; przeczytam je dopiero w Jumli albo w Katmandu. Dzisiaj jest dwunasty, wyruszam w drogę osiemnastego - nawet gdyby listy przynosiły złe nowiny, nie mógłbym wyjść wcześniej niż piętnastego, gdyż Tukten i Gyaltsen mają za sobą ciężką podróż i muszą odpocząć. A dobre nowiny też będą przeszkodą, burząc tę szansę na życie z godziny na godzinę w czasie terazniejszym - narzucą mi przeszłość i przyszłość, iluzję ciągłości i stałości, właśnie kiedy staram się z tego wyzwolić, odrzucając jak biały puszek na zboczu góry.

Wczoraj krążący wilk zostawił cały pas śladów wokół muru modlitewnego za rzeką, u stóp szlaku, który wspina się do Tsakang, a dziś rano na samym szlaku były tropy pantery. Jakby szukając ochrony błękitne owce pasą się blisko pustelni, do której idę z Jang-bu złożyć wizytę lamie z Shey.

Kiedy przychodzimy, lama jest w środku i śpiewa sutry, ale jego towarzysz siedzi na zewnątrz krojąc i sortując niewielki zapas kartofli; to kandydat na mnicha, czyli *trapa*, którego jasny wzrok sprawia, że wygląda na młodszego niż jest. Nazywa się Takla, ma dwadzieścia dwa lata i pochodzi z wielkiej północnej równiny Tybetu.

Na słonecznej krawędzi, pod jaskrawoniebieskim oknem gompy słuchamy cichego głosu lamy i kontemplujemy widok śniegu. Wkrótce góry poruszają się, a potem przesuwają i pulsują - jak pełne życia są te skały na tle błękitnego nieba! Gdyby tylko zechciały się rozpaść, strawić nas w ogniu białego światła! Ale nie jestem jeszcze gotów i stawiam opór z obawy, że wypuszczę z rąk śmiertelną więź ze światem, ze wszystkim, co daje złudzenie bezpieczeństwa. Ten sam strach - przed utratą kontroli, przed „szaleństwem”, o wiele gorszy niż lęk przed śmiercią, mogą wywołać narkotyki halucynogenne: znajome

przedmioty tracą przypisany im kształt i zaczynają wirować, a centrum świata rozlatuje się, bo szukamy go na zewnątrz a nie wewnątrz.

Kiedy lama wychodzi, sprawia wrażenie zadowolonego z naszej wizyty, chociaż nie przynieśliśmy prezentu w postaci *kata*, czyli obrzędowej białej chusty, jak wymaga tego zwyczaj przy takich okazjach. Jest to imponujący mężczyzna z długim, orlim nosem i wystającymi kośćmi policzkowymi Indian amerykańskich. Ma białe zęby, skórę barwy miedzi i długie czarne włosy splecione z tyłu w warkoczyk; ubrany jest w starą skórzaną kurtkę z mosiężnymi guzikami połataną ręcznie tkaną jutą w dziwnych kolorach. Mówiąc siedzi boso ze skrzyżowanymi nogami, ale do chodzenia wkłada wiekowe buty bez sznurowadeł: w drzwiach za nim wisi skóra wilka, którą nosi w domu wokół pasa, żeby się ogrzać. Relacjonuje swoją historię Jang-bu, która w jego kulawym tłumaczeniu brzmi mniej więcej tak:

Karma Tupjuk urodził się pięćdziesiąt dwa lata temu z tybetańskich rodziców w regionie Mangan, w tybetańskim miasteczku na północnych stokach Annapurny. Lama z Shey. Tuptok Sang Hisay, nie żył już wtedy od kilku lat, a ponieważ był on *tulku* to znaczy wcieleniem swojego poprzednika ludność Dolpo poszukiwała nowego *tulku*, który zwykle objawiał się w kilka lat po śmierci lamy, nie w postaci tego samego ciała i krwi, ale niczym żywy płomień przechodzący na nową świecę. Poszukujący dotarli w końcu do Takang, w Mangan, niedaleko świątyni pielgrzymów w Muktinath, gdzie woda, powietrze i ziemia płoną dziwnym ogniem. Słyszając o chłopcu, który twierdził, że jest *tulku*, poddali go różnym próbom, każąc mu na przykład wybrać bez wahania rzeczy osobiste zmarłego kubki, ubranie, akcesoria religijne i tym podobne spośród wielu niemal identycznych przedmiotów. Kiedy Tupjuk przekonał ich, że jest tym, którego szukają, ogłosili go *tulku* i zabrali do Shey, ale ponieważ miał dopiero osiem lat, co roku wracał do Manang po nauki religijne, jakich mu udzielał jego brat, lama Pamawongal.

Wiara w *tulku* należy do stosunkowo świeżej tradycji, której dopisano działanie wsteczne: i tak, dalajlamowie, którzy nie istnieli przed szesnastym wiekiem, uważani są za tulków Chen-resigsa. Karma Tupjuk ma być prawdziwym wcieleniem pewnych wielkich lamów z rodu Kagyu, od hinduskiego mędrca Tilopy do lamy Marpy, i od Marpy poprzez dziewięć wieków po Tuptoka Sang Hisaya. Jak Milarepa i wielu innych wyznawców Kagyu-Karma, wybrał życie pustelnika poświęcone samotnej medytacji, które jako „Krótka Ścieżka” do prawdziwej wiedzy, jest najwyższą formą egzystencji. Ale takie wyrzeczenie się świata wymaga wielkiej dyscypliny, jak i wyjątkowej siły woli i wewnętrznych predyspozycji, i mój podziw miesza się z żalem, że w porównaniu z nim, moje własne zaangażowanie jest połowiczne i spóźnione.

Dawno temu Karma Tupjuk wycofał się w ustronie Tsakang, gdzie zamierza spędzić resztę życia. Jeszcze dziesięć lat temu lubił spacerować po górach, ale unieruchomił go artretyzm i od tej pory porusza się z trudem o dwóch kulach. Mimo to jest wesoły, otwarty, naturalny i silny, a kiedy mówi, uśmiecha się do Kryształowej Góry, która płynie na zachodnim niebie nad naszymi głowami.

Klasztor musi być bardzo stary, uważa lama, o wiele starszy niż obecne budynki, sądząc z

wieku i ilości kamieni modlitewnych; większość flag modlitewnych w regionie Dolpo drukuje się przy pomocy antycznych drewnianych klocków przechowywanych w Shey. Tysiąc lat temu - jak mówią stare rękopisy - wielki jogin Drulob Senge Yeshe 18 przybył tu na latającą śnieżną panterę nawrócić na buddyzm dziki lud rządzący przez straszego boga gór. Wspomagany przez węże, bóg gór oparł mu się, ale śnieżna Pantera rozmnożyła się sto osiem razy i pokonała go. Drutob Senge Yeshe uczynił boga gór Obrońcą Dharmy i przekształcił niepozorny wierzchołek w tę kryształową górę, która jest czczona w całym Dolpo i dalej.

Lama pokazuje długie rogi tybetańskiej antylopy, które wziął ze sobą przed laty z północnej równiny Tybetu zwanej Khang. Jeleń sikkimski, którego rogi zdobiją Shey Gompe również pochodzi z Khang, mówi lama, jak i pewne „koniopodobne” zwierzę zapewne dziki osioł. Jeśli chodzi o argali (*Ovis ammon*: najbardziej znana rasa to owca Marco Polo), te zwierzęta były tu wskazuje na zbocze Somdo nad wioską - jeszcze kilka lat temu. Mam ochotę wykrzyknąć wszystkie te wiadomości przez dolinę do G. S. Śnieżną panterę, zwącą się *Sao*, lama widywał często na szlakach pod Tsakang, które zawdzięcza swoją nazwę czerwonej barwie gliny. Mniejsza pustelnia, na skalach wysuniętych dalej na północ, nazywa się Dölma-jang czyli Zielona Tara bogini dziewcząt, informuje mnie Jang-bu. (Zielona Tara to honorowe imię nepalskiej księżniczki, która wraz z inną żoną, Białą Tarą, nawróciła na buddyzm Srona Tsan Gampo, wielkiego siedmiowiecznego króla Tybetu). W Dölma-jang mieszka samotny *trupa*, ale teraz poszedł zebrać o żywność. Dölma-jang, w której kryje się jaskinia medytacji Drutoba Senge Yeshe, jest uważana za najstarszy budynek w tym regionie. Zeszłego roku wędrowni Khampowie ukradli z pustelni piękną figurkę Zielonej Tary, co tłumaczy, dlaczego mieszkańcy Shey byli tak nieufni na nasz widok. Podniósłszy się z trudem, lama kuśtyka na kamienną platformę, wiszącą nad skałą, i kuca, żeby oddać moc do wężozu przez schludną trójkątną dziurę; jakby ciesząc się tą małą zmianą krajobrazu, rozgląda się wesoło wokół, a strużka moczu *tulku* błyszcząc w słońcu spada na kamienie.

Później prowadzi nas do gromady przez ciemne pokoiki pełne jęczmienia, oliwy, czerwonej papryki i innych dóbr, które Karma Tupjuk dostał od swojego ludu. Klasztor lamów ma pola w Saldang, uprawiane przez dzierżawców, którzy oddają mu połowę zbiorów, ale większość herbaty, masła jaków i tsampy pochodzi z darów. Karma Tupjuk wspina się po drabinie z bala na piętro, gdzie znajdują się piecyk, kilka dużych miedzianych garnków i urny. Zdejmuje pokrywkę z kanistra z wodą, kładzie ją na stosie łaźnia i myje ręce. Potem wchodzi do małej kapliczki, której jasne błękitne okienko wychodzi na połacie śniegu. Na ścianach wiszą dwie piękne *thanki*, czyli malowidła na płótnie, a na ołtarzu stoją figurki Karmy-pa, założyciela tej podsekt, oraz Dorje-Changa, Śiakjamuniego, i Chen-resigsa, odlane zarówno z brązu jak i z mosiądzu. Co dziwne, duży posąg Padmy Sambhavy zajmuje sam środek ołtarza, na którym piętrzą się ofiary: wielobarwne ciasteczka, kwiaty z woskowanego papieru i mosiężne miski pełne jęczmienia. Po obu stronach leżą na półkach prastare zwoje pergaminu, czyli „Księgi” i malowidła *thanka* (już te wiszące są w złym stanie, a te zwinięte muszą być w jeszcze gorszym). Na ścianach wokół widnieją freski i obrazy religijne, a we wszystkich czterech rogach walają się stare skarby osłonięte zmuszając ciemnością. Zapaliliśmy kadzidło, lama otwiera kuferek i wyjmuje obrzędowe ciasteczka, które daje nam w ciszy i z uśmiechem.

13 LISTOPADA

Ostatnie dwa tygodnie były dzień po dniu pogodny i ciepły, ale dziś rano nadciągają kłęby chmur, które mogą zwiastować zmianę pogody. Rankami, dokładnie w godzinę po wschodzie słońca, słońce i księżyc stoją w doskonałej symetrii nad śniegiem na wschodzie i na zachodzie. Wysokie chmury pierzaste na północy, widziane wczoraj, przepowiadają spadek temperatury: dziś rano jest minus jedenaście stopni Celsjusza. Wiatr na gorze Somdo ostro zacina, a jaszczurki pochowały się pod ziemię.

Od wschodu do zachodu słońca chodzę za owcami z Shey, do których przyłączyły się ostatnio barany. Dzisiaj stado powędrowało w kierunku wschodnim, wysoko do granicy śniegu; szczyt Somdo musi mieć ponad pięć tysięcy metrów. Wspinając się, trawersując zбочec moją zygzakowatą techniką, zatrzymując się, schylając się i na inne sposoby sygnalizując pasącym się owcom, że jestem tylko nieszkodliwym zbieraczem łąna, jak każdy inny znany im Homo sapiens. Kiedy docieram do linii śniegu, zaczynają się już kłaść: chowam się za pagórkem oddalonym o jakieś sto kilkadziesiąt metrów. Zwierzęta zaczną się znów paść późnym rankiem, potem odpoczną w czasie południowej drzemki i znów będą z przerwami poszukiwać pożywienia do zachodu słońca.

Trochę po dziesiątej owce zaczynają skubać trawę, ale jednocześnie wykazują też wzajemne zainteresowanie sobą. Chociaż bywa, że gonią się dwie samice, największą aktywność wykazują samce - pokrywają się, gwałtownie pocierają sobie zady i z lekka się popychają. Można też zaobserwować dobieranie się „parami”, co widać, kiedy spędza się cały dzień z jedną grupą: samce, które wypróbują się dwójkami, popychają, pokrywają, bodą i pocierają, trzymają się ze sobą również podczas wypasu i snu, a co więcej, mają podobną wielkość rogów, rozkład czarnych plamek i pozycję w stadzie; te próbne konfrontacje i podejścia, prawie nie zdarzają się między niepodobnymi sztukami.

Jedne zwierzęta skubią jeszcze plamy śniegu, inne skrobią już kopytem ziemię i z wdzięcznym przykleknieniem kładą się w słonecznej, bezwietrznej niecce, pozwalając mi podejść tak blisko, że mogę podziwiać ich pomarańczowe oczy i delikatny wzór na czubkach rogów, jak i rozmaite czynności ześrodkowane wokół tylnych części ciała obu płci: w tym wczesnym stadium rui obiekty zalotów polegających na trącaniu w zad i wchąnianiu moczu nie zwracają na swoich wielbicieli większej uwagi. Roczniaki zaś umykają zgrabnie z drogi podnieconym dorosłym Samcom. Nie zaobserwowałem żadnej prawdziwej walki czy zaawansowanych popisów seksualnych, jakie zaczynają mieć miejsce w stadach na zachodnich zбочecach, choć czasem samiec podchodzi wolno do samicy, nisko trzymając wyciągniętą szyję, co G. S. nazywa „naprężeniem”, uwerturą do kopulacji. Szkoda, że muszę odejść, zanim ruja będzie w pełni, teraz gdy owce z Somdo tak się do mnie przyzwyczyły, że mogę je z łatwością obserwować bez lornetki.

Koło południa zrywa się zimny wiatr od południowego wschodu, bardzo nieprzyjemny na tym gołym kamienistym zбочcu; w przenikliwym chłódzie kieruję stado w dół i na zachód; po prostu nieco je podgąniam w poszukiwaniu skały albo schronienia w trawie. Stado zatrzymuje się na jakąś godzinę na płaskim grzbiecie, a ja leżę wygodnie wsparty na plecaku tuż nad nim, w gęstej kępie kapryfolium: pode mną widać Krysztalowy Klasztor

otoczony znajomymi górami i niebo; zwierzęta pasą się, a ja żuję suchy chleb w tym cudownym zespoleniu się ze światem owiec.

Po południu, za pomocą kilku ekscytujących przepłoszeń, spędzam owce jeszcze niżej do miejsca, gdzie G. S. w drodze powrotnej ze zboczy Tsakang mógłby je obserwować bez konieczności długiej wspinaczki. I wtedy stara Sonam, wędrująca w poszukiwaniu łaźni, płoszy je znów na wschód. Zwierzęta są teraz niespokojne i muszą podchodzić je z większą ostrożnością; okrążam górę i podkradam się pod wiatr do kępy traw jakieś pięćdziesiąt metrów od małego wzniesienia, na którym stoją na baczność patrząc w przeciwnym kierunku, Czasem jakaś głowa zwraca się ku mnie - leżą bez ruchu i owce nie uciekają. Są tak napięte, że nawet ciężkie rogi pulsują życiem. Nie drga żaden mięsień. Minuta po minucie obserwuję, jak górski wiatr stroczy im runo.

Chcąc zagnać je z powrotem na zachód, powoli siadam i wszystkie owce zwracają się w moją stronę. Ale przekorne zwierzęta, które tyle razy uciekały bez żadnego powodu, raz jeszcze sprawiają mi niespodziankę. Mając mnie niemal na karku, naraz uspokajają się i zaczynają się paść, jakby dotychczas gwałcił je niepokój, co się ze mną stało. Niektóre się nawet kładą. Zmarznięty i rozgoryczony ich niekonsekwentnym zachowaniem, porzuciwszy wszelką nadzieję na zaobserwowanie jakichś kozich ekscesów nieznanymi nauce, poganiam je szorstko w kierunku wioski. Tym razem biegną kilkaset metrów prosto na skalny występ na wschód od pierwszych domów.

Schodzę na ścieżkę do Saldang i kieruję się na zachód do Shey. Ścieżka leży już w szarym półcieniu, ale skały, na których stoją błękitne owce, ledwie dwadzieścia pięć metrów wyżej, są w pełnym słońcu. I wreszcie teraz, o zachodzie słońca, te stworzenia dają dziki popis wczesnej rui, na który czekałem przez cały dzień. Stare samce zeskakują ze skał, żeby wyzwać inne samce i przegonić je, młode samce zachowują się podobnie wobec samic i roczniaków, i nawet samice bodą się nawzajem. W przeciwieństwie do prawdziwych owiec, które prą prosto naprzód, nachury w walce stają dęba i idą na tylnych nogach, zanim runą do zwarcia, jak prawdziwe kozły - właśnie taki rodzaj dowodów zdołał dotąd G. S. zebrać. Całe stado złożone z trzydziestu jeden sztuk przyłącza się do bijatyki i w ich szybkich skokach ze skały na skałę jasno uwidacznia się kozia natura. Wtem któryś strąca z grani duży kamień, rozpraszając zwierzęta walczące niżej i w jednej chwili całe stado zamiera.

Złotookie, zwieńczone rogami lby obserwują z himalajskiego błękitu, jak ostatni kamyk toczy się wśród ciszy po zboczu i zatrzymuje tuż pod nogami.

Nachury patrzą na mnie z tysiącletnim spokojem w oczach.

Obejrzałeś nas? Wejrzałeś w nas?

Słońce chowa się za górę, a owce ciągle stoją nieruchomo na skalnym postumencie.

Idę szybko do klasztoru powiedzieć G. S., że może studiować swoje Pseudois wychylając po prostu głowę z namiotu. Ale znajduję notkę, że w nadziei sfotografowania śnieżnej pantery będzie dzisiaj spał za rzeką w pobliżu szlaku do Tsakang; przy stworzeniu tak

czujnym jak ta pantera nie ma miejsca dla dwóch osób.

Jeśli wszystko inne zawiedzie, G. S. wyśle Jang-bu do Saldang, żeby kupił starą kozę na przynętę. Bardzo chcę zobaczyć śnieżną panterę, ale widzieć ją w błysku flesza, w nocy, skradającą się do przynęty, to jakby jej wcale nie widzieć. Jeśli śnieżna pantera pokaże mi się, to chętnie ją zobaczę. Jeśli nie, to znaczy (do dziś nie rozumiem tamtego nastroju), że nie dojrzałem do jej widoku, podobnie jak nie dojrzałem do rozwiązania mojego koanu, ale choćbym miał jej wcale nie zobaczyć, też czuję się szczęśliwy. Myślę, że powinienem być rozczarowany przebywszy tak długą drogę, a jednak czuję się inaczej. Jestem rozczarowany i nie jestem. To, że śnieżna pantera istnieje, że jest tutaj, że jej srebrzystoszare oczy patrzą na nas z góry - to mi wystarcza.

Przy kolacji Szerpowie w doskonałych humorach starają się wciągnąć mnie do rozmowy, ale po chwili pogrążam się w tych notatkach i mogą swobodnie rozmawiać między sobą. Zwykle oznacza to słuchanie Tuktena, który godzinami przyciąga ich uwagę swoim głębokim cichym głosem i rękami guru wyciągniętymi hipnotyzującym gestem nad płomieniami. Lubię obserwować naszego przewrotnego mnicha o żółtych mongolskich oczach i zwierzęcych uszach, a ilekroć na niego spojrzę, widzę, że i on mnie obserwuje. Któregoś dnia zapytam tego żółtookiego Tuktena, czy, w jakimś innym wcieleniu, nie był przypadkiem śnieżną panterą albo starą błękitną owcą na zboczach Shey - z pewnością nie zawaha się z odpowiedzią. Przy kolacji patrzy na mnie z tym swoim uśmiechem bodhisattwy, który jaśniałby równie bezstronnie nad gwałtem jak i nad zmartwychwstaniem - to spojrzenie ma takie jak dzikie zwierzęta.

14 LISTOPADA

Przechodzę przez Czarną Rzekę i wspinam się ścieżką po zachodnim zboczu z głuchej nocy kanionu ku słońcu. Na splątany jałowcu siedzi ruchliwy ptaszek, niebiesko-szara sikorka tybetańska z ryżą główką i nagłą nutą w głosie: t-sip, t-sip; cóż może być tak nagłego tuż przed nadejściem zimy?

Tego jasnego poranka, nad którym świeci jeszcze wczorajszy księżyc, ślady pantery na ścieżce są świeże jak płatki kwiatu. Ale niecałe dwieście metrów przed linką samowyzwalacza aparatu fotograficznego G. S. ślady urywają się jakby kto zboczył w jałowce; jeszcze wczoraj były na szlaku dwa tropy bliższe kryjówki. Za następnym kopcem, tam gdzie dróżka okrąża grań wysoko nad rzeką i wchodzi w stromy, ośnieżony wąwóz pod Tsakang, znów widać na śniegu świeże tropy, jakby pantera przecięła grań, aby uniknąć linki samowyzwalacza, i wkroczyła z powrotem na ścieżkę wyżej, przy następnym wąwozie. Tuż przy jednym ze śladów jest inny ślad, tym razem z minionych wieków; paprociowata skamielina skorupiaka w rozłupanym kamieniu.

Z Tsakang dochodzi niesamowity odgłos *damaru*, czyli bębna modlitewnego, konstruowanego czasem z dwóch ludzkich czaszek; ten instrument i trąbka *kangling*, z ludzkiej kości udowej, służą w tantryzmie do pogłębiania medytacji, nie poprzez zachęcanie do ponurych rozmyślań, ale jako przypomnienie, że nasz czas na ziemi jest krótki. A może jest to głuche echo wody w jaskini, spadającej kropla po kropli do miedzianego zbiornika - nie jestem pewien. Ale ten niezwykły dźwięk skupia na sobie uwagę dzikiego krajobrazu: gdzieś na tej górze słucha go też pantera.

Wysoko na grani nad Tsakang widzę niebieską plamkę to tropiący G. S.; dochodzę do niego w ciągu godziny.

- Wystrychnęła mnie na dudka! - woła do mnie na powitanie. - Skręciła w górę tuż przed linką, przeszła grań niecałe sto metrów od miejsca, gdzie leżałem, i znów zeszła na ścieżkę, typowe. - Kieruje lornetkę na stado z Tsakang, do którego przyłączyły się teraz mniejsze grupki z zachodniego stoku. - Straciłem trop, ale ta pantera jest tutaj, dokładnie w tym momencie, i obserwuje nas.

Jego słowa potwierdzają owce, które wraz z poranną zmianą wiatru rzucają się płochliwie do ucieczki; skaczą przez kamienie i kosówkę na nagiej perci, a potem sadzą z głuchym trzaskiem przez głęboki, zaskorupiały śnieg czmychając wysoko na Kryształową Górę. Błękitne owce nie uciekają w ten sposób przed człowiekiem, nawet gdyby je gonili.

Obecność śnieżnej pantery robi na nas wielkie wrażenie; jej zwężone w szparki źrenice i cichy, płytki oddech muszą być nie dalej niż na rzut kamieniem. G. S. mruczy; - Jeżeli się nie poruszy, nigdy jej nie dostrzeżemy, nawet na śniegu... Te stworzenia to naprawdę coś. Studiujemy przez lornetki gołe zbocze, metr po metrze. Potem mówię; - Wiesz co? Widzieliśmy już tak dużo, może to lepiej, że czegoś nie zobaczymy. - Zdaje się być zdumiony własną uwagą, a ja zastanawiam się, czy rozumie to tak jak ja że zostało nam oszczędzone uczucie pustki po sukcesie, zwątpienie: czy naprawdę tylko po to przyszliśmy

aż z tak daleka?

Kiedy mówię:

- To słowa jak z haiku - G. S. rozumie dokładnie, co mam na myśli i obaj śmiejemy się. Uderza mnie, że jest on teraz znacznie mniej dogmatyczny, bardziej otwarty na rzeczy niewytłumaczalne niż dwa miesiące temu. W Katmandu odniósłby się podejrzliwie do tego haiku, które potem podczas naszej podróży sam napisał:

Mężczyźni w chmurach pod brzemieniem Ciemna linia szlaku w śniegu Nagle nic

Ponieważ jego owce przestraszone przez panterę uciekły wysoko w śnieg, G. S. towarzyszy mi w mojej ostatniej wizycie do Tsakang. Spotykamy się tam z Jang-bu, który przyszedł jako tłumacz, i z Tuktenem, który, jedyny pośród Szerpów, ma dość ciekawości świata, aby przejść przez rzekę i wspiąć się do Tsakang dla czystej przyjemności. Nawet ten „wesoły i sympatyczny facet”, powiedział raz G. S. o Phu-Tseringu, „nie wykazuje najmniejszego zainteresowania dla tego, co robię. Potrafi stać za mną przez dwie godziny, kiedy coś obserwuję i robię notatki, i nie zadać żadnego pytania”.

I znów czekamy na kamiennym tarasie na lamę z Shey, ale tym razem - ponieważ zostaliśmy tu zaproszeni - nowicjusz Takla przygotował wysuszony na słońcu grubo utarty zielony ser jaka, z tsampą i herbatą z masłem, zwaną so-cha, podaną w niebieskich filiżankach z chińskiej porcelany w promieniach górskiego słońca. Ostry zielony ser i gorzka herbata przyprawiona solą i zjełczałym masłem jaka dodają smaku tsampie i w rześkim, górskim powietrzu ten posiłek pustelnika jest bardzo, bardzo smaczny.

Takla rozkłada nam do siedzenia czerwony pasiasty dywanik i w końcu przychodzi też lama, owinięty w wilczą skórę. Jang-bu zachowuje się w obecności lamy ostrożnie i powściągliwie, ale Tukten jest spokojny i bezpośredni, a jednocześnie pełen szacunku; po raz pierwszy, odkąd pamiętam - czy to w domu, czy na dworze - zdjął swoją łobuzerską czapkę ukazując mniśnią tonsurę z uciętych przy skórze włosów. To głównie Tukten tłumaczy, kiedy pokazujemy lamie fotografie z naszych książek i rozmawiamy z ożywieniem przez kilka godzin. Lama Tupjuk pyta o lamów tybetańskich w Ameryce i opowiadam mu o Chögyamie Trungpie, Rinpocze (*rinpocze*, czyli „drogocenny”, oznacza lamę wysokiego stopnia), z jego własnej sekty Karma-pa, który wyjechał z Tybetu w wieku trzynastu lat i teraz naucza w Vermont i Colorado. Lama powtarza G. S. wszystko, co mówił mi poprzednio o śnieżnej panterze i argali, wskazując na zbocza Somdo za Czarną Rzeką.

Z rogami wysoko uniesionymi, z naprężonymi bokami, błękitne owce zaczynają schodzić z Kryształowej Góry, piękną krętą linią wyrzeźbioną w śniegu. Pantery już nie ma - może zobaczyły, że odeszła. Przez lornetkę raz i drugi widzimy, jak któryś baran staje dęba, jakby tańczył na śniegu, a potem idzie na tylnych nogach i spada na rywala ścierając się z nim rogami.

Przy słońcu w zenicie plamy śniegu topnieją i zmieniają położenie, a umysł kąpie się w diamentowym świetle. Rinpocze Tupjuk mówi teraz o śnieżnej panterze, którą musi często

widywać ze swojej półki skalnej i uważnie obserwować, sądząc ze ścisłości jego danych: wie, że najczęściej wydaje głos w okresie rui, na wiosnę, wie, które jaskinie i wykroty zamieszkuje, jak się drapie i jak się wypróżnia.

Przed odejściem pokazuję lama pestkę śliwki z wypisaną sutrą do Chen-resigsa, którą dał mi rosi Soen, i obiecuję przysłać mu mój wiklinowy taboret campingowy z herbaciarni nad rzeką Yamdi. Lama ofiarowuje mi białą flagę modlitewną - nazywa ją *lung-p'ar*, „obrazy na wietrze” zadrukowaną zarówno pismem jak i obrazkami ze starych drewnianych klocków z Shey; pośród buddyjskich symboli jest też wizerunek Nurpu Khonday Pung-juna, wielkiego boga gór i rzek, który był tu, mówi lama, na długo przed bon-po i buddystami: to przypuszczalnie właśnie ten bóg został pokonany przez Drutoba Senge Yeshe i jego sto osiem śnieżnych panter. Nurpu jest teraz obrońcą Dharmy i jego podobiznę na flagach takich jak ta często umieszcza się przy mostach i przy kopcach na przełęczach jako pomoc dla podróżnych. Lama składa flagę z największą starannością i daje mi ją z błogosławieństwem swojego uśmiechu.

Lama z Kryształowego Klasztoru sprawia wrażenie bardzo szczęśliwego człowieka, a jednak zastanawiam się, jak znosi swoją samotność w bezmiernej ciszy Tsakang, którego nie opuszcza już od ośmiu lat i - z powodu nóg może już nigdy nie opuścić. Ale ponieważ Jang-bu czuje się nieswojo czy to z lamą, czy sam z siebie, czy może z nami, mówię mu, aby go o to nie pytał, jeśli uważa to za impertynencję, jednakże po chwili Jang-bu zadaje mu to pytanie. I ten święty człowiek o wielkiej otwartości i prostocie śmieje się głośno i zaraźliwie, w odpowiedzi połyskując dużymi, białymi zębami. Wskazuje na swoje zdeformowane nogi bez cienia litowania się nad sobą czy goryczy, jakby należały do nas wszystkich, rozpościera szeroko ramiona ku niebu, ośnieżonym góróm, słońcu i tańczącym owcom, wołając:

- Oczywiście, że jestem szczęśliwy! Tu jest cudownie! Zwłaszcza, że nie mam wyboru!

Taka nieklamana akceptacja tego, co jest, mogłaby wyjść z ust rosiego Soena: czuję się, jakby uderzył mnie obuchem w pierś. Dziękuję mu, kłaniam się i schodzę wolno ścieżką, pod moim skafandrem promieniuje złożona flaga modlitewną. Herbata z masłem, obrazy na wietrze. Kryształowa Góra i błękitne owce tańczące na śniegu - to więcej niż można zamarzyć!

Czy widziałeś śnieżną panterę?

Nie! Czy to nie wspaniałe?

15 LISTOPADA

Przez cały ranek księżyc wisi zamrożony na niebie, a dzwon dzwoni sobie a muzom na silnym wschodnim wietrze. Płochacz zniknął albo odleciał na południe za góry, bo nie widzę go już na podwórku. Do chaty kuchennej przychodzi po kubek herbaty Namu z kocem narzuconym na głowę w obronie przed zimnem: zwykle jej rozwichrzone czarne włosy powiewają luźno na wietrze. Dni są teraz krótsze. Słońce zachodzi wczesnym popołudniem, w porze, kiedy ta pierwotna kobieta przesywa górski zmierzch dzikimi wrzaskami, przyzywając swojego czarnego *dzo* i odstrasżając wilki.

Wczesnym rankiem wspinam się na północno-zachodnią grań Somdo, skąd widać wszystkie szlaki i wszystkie doliny zachodniego zbocza, aż za Czarną Rzekę: jeżeli jest tu gdzieś śnieżna pantera, to może ją zobaczę, a gdyby upolowała zdobycz, zobaczę ptaki. G. S. już wcześniej poszedł za rzekę wypatrywać świeżych śladów: co prawda stara się, żeby śnieżna pantera nie przeskadzała mu w obserwacji błękitnych owiec, ale wielkie koty zawsze bardzo go pociągały, a śnieżna pantera jest spośród nich najmniej znana. Zadziwiające, jak obecność tego zwierzęcia wyostrza cały krajobraz, od błysku światła na rogach barana do brzęku kamyka na zamrożonej ziemi.

Ponieważ jest za zimno, żeby siedzieć w jednej pozycji, chodzę tam i z powrotem po grani, przemierzam wzrokiem raz po raz zachodnie ściany i obserwuję błękitne owce na Somdo, które, jeśli chodzi o postęp rui, zdają się być daleko w tyle za stadem z Tsakang. Na tym zboczach jest wiele skamielin, najczęściej spiralne amonity, a w rzece leżą stare kamienie niezwykłej piękności. Kocham stare kamienie, patrzę na nie z pożądaniem, ale są za duże, żeby je nieść przez przełęcz. Może wezmę kilka odłamków kamieni modlitewnych; glazy rzeczne zostaną tam, gdzie ich miejsce.

Wraz z wiatrem i zimnem przychodzi zniecierpliwienie i łapię się na tym, że chowam ostatnią czekoladę na drogę powrotną przez góry - ciągle żyję przyszłością, zamiast przeżywać po prostu dzień po dniu. To zniecierpliwienie jest spotęgowane obecnością dwóch dodatkowych Szerpów, którzy niewiele mają do roboty prócz uszczuplania cennych zapasów żywności; śpią i kręcą się w kółko, czekając na wymarsz.

Jak heroldowie z odległego świata Tukten i Gyaltsen przybyli przy pełni księżyca. Teraz księżyc ubywa i przejrzysta poświata nad Shey mija. Po ich przyjściu też były dni pełne emocji, ale jakaś magia powoli się kończy, czar pryska.

Toteż i ja sposobie się do drogi, chociaż usilnie staram się zostawić tu cząstkę siebie. Jednakże ta strona mojej natury, którą niepokoją nie otwarte listy w plecaku, która chce zobaczyć dzieci, pić wino, kochać się, znów dysponować łazienką i wygodnym mieszkaniem - ta strona już patrzy na południe, za góry. Napawa mnie to smutkiem i dlatego chłonę wszystko oczami, usiłując utrwalić w tym pamiętniku tę tak cenną atmosferę Shey, świadom, że mój wysiłek jest bezowocny; piękno tego miejsca trzeba z pogodą ducha zostawić za sobą, jak stare kamienie w przejrzystych wodach tutejszych potoków. Sfrustrowany niemocą słów zmuszam się do pisania, ale więcej z Shey jest w każdym włosku owcy, w każdym suchym pędzie nieśmiertelnika, niż we wszystkich tych

zapiskach; walka o utrwalenie własnych odczuć mija się z celem.

W pobliżu mojego punktu obserwacyjnego znajduję dobre miejsce do medytacji, w bezwietrznej nyzie skalnej, w które stopniał śnieg. Umysł rozjaśnia mi się w zimnym górskim powietrzu i od razu czuję się lepiej. Wiatr, kołyszące się rośliny, słońce; zwieńczona trawa, podniebne głosy ptaków lecących na południe nie są bardziej ulotne niż same skały: ani bardziej, ani mniej - wszystko jest takie samo. Góra nieruchomieje, moje ciało rozplywa się w świetle słońca czuję lzy, które nie mają nic wspólnego z moim „ja”. Co je sprowadza, nie wiem.

Dawniej inaczej patrzyłem na góry, widziałem w nich element trwałości. Nawet kiedy podchodziłem do nich z pełnym szacunku dystansem (rzucić wyzwanie szczytom jako alpinista to zupełnie co innego), przerażały mnie swoją „stałością”, tą straszną i niepodważalną litą skałą, która zdawała się intensyfikować moje poczucie własnego przemijania. Może to właśnie strach przed przemijaniem tłumaczy zachłanność, z jaką rzucamy się na każde prawdziwe przeżycie, wyjaśnia, czemu przemoc wywołuje dreszcz podniecenia, czemu zżera nas pożądanie, czemu żołnierze nie chcą zapomnieć o dniach grozy: lgniemy do tych momentów najwyższego napięcia, w których niemalże umieramy, aby się na nowo odrodzić. W zapamiętaniu seksualnym, jak i w niebezpieczeństwie, zagląda nam w oczy - choćby na chwilę - ostateczność, w obliczu której nie stoimy obok życia, ale sami jesteśmy życiem, nasze jestestwo nas przepelnia, a ekstaza przeżywana z drugą istotą strąca samotność w otchłań wieczności. W innych czasach taką wspólnotę tworzył zwykły strach.

Noga ześlizguje mi się z wąskiej krawędzi i w tym ułamku sekundy, kiedy igielki strachu przesywają mi skroń i serce, wieczność krzyżuje się z czasem terazniejszym. Myśli i czyny niczym się nie różnią, a kamień, powietrze, lód, słońce, groza i jaźń stanowią jedno. Prawdziwa radość to wydłużyć ten moment najwyższej świadomości na zwykłe chwile, na każdą minutę doznań, przeżywać je jak sęp lub wilk, które stanowią centrum swego świata, nie odczuwają potrzeby zgłębiania sensu życia. W oddechu, który bierzemy, leży sekret tego, co usiłują nam przekazać wszyscy wielcy nauczyciele, a co jeden z lamów określił jako „precyzję, otwartość i bystrość terazniejszości”.¹⁹ Celem medytacji nie jest oświecenie, ale nauka, jak zwracać uwagę na najzwyklejsze rzeczy, jak być obecnym i nic więcej tylko być obecnym, jak wnosić dbałość o „teraz” w każde wydarzenie codziennego życia. Być gdzie indziej to „malować oczy na chaosie”.²⁰ Kiedy obserwuję błękitne owce, to mam obserwować błękitne owce, a nie myśleć o seksie, niebezpieczeństwie czy terazniejszości, bo ta terazniejszość - nawet kiedy o niej myślę - już minęła.

16 LISTOPADA

Śnieżna pantera musiała tu w nocy polować, bo część stada z Tsakang uciekła na północ, chroniąc się na dziedzińcu Dölna-jang, a reszta pobiegła za zachodnie pasma; z Somdo widać kaligraficzny trop na Kryształowej Górze, który wspina się ku białej krawędzi i ginie w błękitne nieba. Rozpędziwszy stado z Tsakang, pantera przeszła na drugą stronę Czarnej Rzeki - a może zjawiała się druga pantera - bo tu w Somdo duże stado też rozbiło się na osobne grupki samic i samców. Wchodząc na szerokie stoki nad wioską widzimy samotne stadko dziewięciu samców.

Jakieś trzysta metrów nad naszymi namiotami w Shey, na ścieżce, którą wczoraj szedłem, pantera zostawiła ślad Prosto na odbiciu mojego buta, jakby na znak, że mam nie odchodzić. Może jeszcze jest na tym zboczu, bo barany są płochliwe. Mimo wszystko ruja jest blisko, zwierzęta wykazują ciągłą aktywność i G. S. nie przestaje pisać w swoim notesie. „Och, jeden liże swój penis - krzyczy. - Cudownie! Onanizm przeplata się tu i ówdzie z walką, zwłaszcza wśród starszych baranów - coraz to któryś unosi się na tylnych nogach, na co inny też zaraz staje dęba i nacierają na siebie jak wyszkoleni zawodnicy, spadając na ziemię z trzaskiem zwieranych rogów. Dla większości stworzeń taka utarczka byłaby śmiertelna, ale nachury są wyposażone w solidną, kilkucentymetrową kość ciemieniową między rogami oraz w poduszki powietrza w zatokach, gęste wełniane runo na głowie i silny kark gotów na przyjęcie ciosu, a z drugiej strony same rogi są bardzo grube i ciężkie. Dlaczego natura poświęciła tyle setek lat - a może tysięcy - na naturalną selekcję tych cech, które przekładają zderzanie się głowami nad rozum, to osobne pytanie, chociaż co do mnie i moich duchowych rozterek, może nie tyle rozum, ile mocne stuknięcie w głowę przyniosłoby mi odpowiedź.

Obserwacja błękitnych owiec w słońcu i przy bezwietrznej pogodzie jest przyjemna i przypomina nam, że każda przyjemność ma swój koniec. Omawiamy krótko organizację transportu, a także wyniki naszej podróży i spore szczęście, jakie mieliśmy. Wczoraj wieczorem przy kolacji G. S. stwierdził, że to jedna z jego najbardziej udanych wypraw - „na tyle trudna, żeby dać nam satysfakcję z osiągnięcia celu, ale nie aż tak trudna, żeby nas całkiem wykończyć”. Ja myślę podobnie.

Dziś rano, wyraziwszy zadowolenie z uzyskania tytułu interesujących informacji o nachurach, G. S. znów wspomina o swoim strachu przed porażką i o satysfakcji, jaką mieliby jego koledzy, gdyby po raz pierwszy popełnił błąd; po dwóch miesiącach spędzonych razem czuję, że znam go dość dobrze, aby wytknąć mu, jak często ten temat powraca u niego w rozmowie i jak bezpodstawne wydają mi się jego obawy: choćby mu się nawet i nie udało jakaś wyprawa, jego zdolności i dobra reputacja są bezsporne. G. S. przyznaje się do swojej lekkiej paranoi i omawia ją całkiem otwarcie obserwując świat błękitnych owiec przez swoją wierną lunetę; z każdym dniem jest bardziej bezpośredni i rozluźniony. Kiedy mu to mówię, patrzy z powątpiewaniem, cytuję mu więc jego słowa na temat śnieżnej pantery: „Może to lepiej - że czegoś nie zobaczymy”. Kiwa głową niechętnie, jakby z dezaprobatą, a w chwilę później wykrętnie tłumaczy swoją dwukrotnie w Tsakang powtórzoną uwagę, że góry się ruszają.

- Na cóż - mruczy - z pewnego punktu widzenia, geologicznie rzecz biorąc, Himalaje się ciągle wznoszą, poza tym erozja powoduje zmiany i ubytki...

Przerywam mu:

- Nie to miałeś na myśli wtedy w Tsakang.

Wciąż zezując przez lunetę mój towarzysz się uśmiecha.

G. S. uważa, że nasza podróż ma w sobie coś z przygody, ponieważ jesteśmy zdani tylko na siebie; że to staroświecka wyprawa w tym sensie, iż jesteśmy zupełnie odcięci od świata i od dwudziestego wieku - nie mamy żadnych pojazdów, lekarza ani radia, nie możemy liczyć na dostawy z powietrza, grupy pomocnicze ani inne tego rodzaju ułatwienia współczesnych „ekspedycji”.

- To właśnie lubię - mówi G. S. - Nie ciąży na nas poparcie całego cholernego społeczeństwa, sami odpowiadamy za siebie i za swoje błędy, nie możemy zwać winy na organizację. A błędy są nieuniknione, oby tylko nie były zbyt poważne.

Mnie też się to podoba, z tych samych powodów, a także dlatego, że mając na uwadze karę za błąd, trzymam oczy i uszy otwarte, kiedy chodzę po górach wsłuchując się w echo swoich kroków na zamarzniętej ziemi.

Przed południem, gdy błękitne owce ułożyły się już do porannej drzemki, idziemy długim trawersem na wschód a potem znów na zachód, z nadzieją na wypłoszenie z wąwozu pantery. Na kamiennym gruncie widać kilka niewyraźnych śladów, ale nie dość świeżych, aby mogły wskazać legowisko zwierzęcia. Jeśli to kot z Tsakang, to musi być głodny i jest szansa, że dziś w nocy wyruszy na łowy. A ponieważ będzie trzymać się blisko zdobyczy, żeby chronić ją przed sępami, mam ostatnią okazję zobaczenia pantery.

Wygląda na to, że teraz, kiedy stado zostało rozproszone do pełnej rui nie dojdzie wcześniej niż za dwa tygodnie a jeżeli na dokładkę pantera przeniosła się gdzie indziej, to nie wróci tu w ciągu najbliższych dni. Toteż porzucam wątpliwości, czy mimo wszystko wyruszać pojutrze, i każę Tuktenowi wziąć od Phu-Tseringa zapas żywności i parę naczyń na drogę powrotną. Niewiele możemy zabrać, bo jedzenie się kończy, ale może w Saldang uda nam się dostać trochę tsampy i ziemniaków.

G. S. uważa, że przesadzam z głębią duchową Tuktena i podobnie jak Jang-bu ostrzega mnie przed nim. W obu wypadkach ma zapewne rację. A jednak cieszę się, że Tukten będzie ze mną, bo w przeciwieństwie do innych Szerpów, prócz głównego, potrafi on sam przewidzieć problem i nieproszony go rozwiązać. Gyaltzen nie chce już nigdy w życiu mieć nic wspólnego z Tuktenem i woli zostać w Shey z Jang-bu; zamiast niego pójdzie z nami Dawa. Dwa ataki śnieżnej ślepoty odebrały Dawie ducha, a poza tym z reguły czuje się najszcześliwszy we własnym towarzystwie: słyszę go, jak podśpiewuje za każdym razem, kiedy mijają mój murek, idąc w dół po wodę do Białej Rzeki. Rzadko siada wraz z innymi Szerpami przy ogniu, woli pozostać w cieniu, przy ścianie; koledzy, chociaż go lubią, żartują z niego i komenderują nim, on zaś uśmiecha się nieśmiało, jakby z wdzięczności, że

w ogóle go dostrzegają.

17 LISTOPADA

Zeszłej nocy pantera zostawiła ślady tuż przed klasztorem, na ścieżce do Saldang, którą jutro wyruszę; podobnie jak z tropem odcisniętym na śladzie mojego buta, trudno nie odczytać tego jako znaku. Później kot przeszedł na drugą stronę Czarnej Rzeki - albo też, jak podejrzewamy, są w tej okolicy dwie pantery. Idąc śladem lub poprzedzając samotnego wilka - może to samo nieuchwytnie zwierzę, które w naszym tygodniu okrążyło tu mur modlitewny - nasza czy też ta druga pantera grasowała na szlaku do Tsakang; i dzisiaj, mojego ostatniego dnia pobytu, kiedy słońce wschodzi nad lodowym horyzontem, wspinamy się na zachodnie zbocza w nadziei na zlokalizowanie jej zdobyczy. Część głównego stada nachurów powróciła już przez śniegi i pasie się ostrożnie tuż nad Tsakang, a inne stado, w niepełnym składzie, schodzi z gracją po wystęпах skalnych pod pustelnią - wschód słońca odbija się bielą na ich kolanach. Poprzednio raz tylko widzieliśmy nachury na stromej skalnej ścianie tego ranka, kiedy zagnały je tam wilki, ale zapewne uprawiają takie wspinaczki również dobrowolnie, bo kilka owiec zlizuje zasadowy osad z sopli lodu w pieczarach, a inne obgryzają skarłowaciałe berberysy rosnące w szczelinach.

Młody baran próbuje bez przekonania pokryć samicę, ale chyba dopiero w pierwszych dniach grudnia samice osiągną gotowość i nastąpi szczyt rui. Po tych wszystkich tygodniach kroków wstępnych i zabiegów, tylko parę dominujących samców weźmie udział w populacji, która za każdym razem potrwia zaledwie kilka sekund.

G. S. jest przekonany, że nachur nie jest ani owcą, ani kozą, ale stworzeniem bardzo zbliżonym do kozopodobnego zwierzęcia sprzed dwudziestu milionów lat, od którego pochodzą Ovis i Capra. („Zachowanie nachurów - napisał później - potwierdza morfologiczne świadectwo, że są to w gruncie rzeczy kozy. Wiele owczych cech nachurów można przypisać zbieżnej ewolucji, skutkowi osiedlenia się w środowisku zwykle zamieszkanym przez owce... Gatunek stanął na ewolucyjnych rozstajach i gdyby musiał dokonać wyboru, czy ma być Ovis czy Capra, stałby się jednym lub drugim z niewielkimi tylko odchyleniami. Jak arui, nachur musiał wcześniej odłączyć się od rodowego pnia kóz. Jeśli miałbym opisać hipotetycznego wspólnego przodka, od którego wzięły początek linie owiec i kóz, to wyglądem i zachowaniem przypominałby on nachura.”21)

G. S. idzie dalej w górę doliny do stada przy linii śniegu a ja schodzę wolno granią, chcąc spędzić większość tego ostatniego dnia tu, na naszej górze. Kamienie modlitewne przy stępach u wylotu kanionów rozświetla płomienny mech; na widok blasku krzewów ciernistych i starych rzeźbionych głazów, tropu pantery i intensywnego zapachu jałowca ogarnia mnie przejmująca tęsknota. Odwracam się, żeby popatrzeć na Tsakang, na przepaście i głęboki cień Czarnego Kanionu, na ciemną bryłę góry wznoszącej się nad Samling, którego nigdy już nie zobaczę. Na zachodzie Kryształowa Góra wzbija nagie skały w błękit, na południu wije się czarny potok, płynący z Kang, La, „Przełęcz Śniegów”. A niżej, na skale nad dwoma rzekami, rysuje się na śniegu wioska, którą jej mieszkańcy zwą Somdo; białe flagi modlitewne odcinają się czarno w porannym słońcu.

Zima skuła lodem koła modlitewne na wysepkach rzecznych, ale pod mostem woda jest głęboka, brunatna i bystra, wartkim strumieniem rwąca na zachód do wielkiej Karnali. Po

raz ostatni składam uszanowanie białym stupom na urwisku i klaniam się jaskrawoniebieskiemu Dorje-Changowi. Chętnie wszedłbym do środka i puścił w ruch koła mani, wysyłając OM MANI PADME HUM na dziesięć stron świata, ale pojawił się znów handlarz Ongdi i zamknął drzwi, w nadziei pobrania drobnej sumki za wstęp. Wraz z nim przybył też właściciel obejsia, w którym rozpiąłem namiot; nie zamierza brać ode mnie żadnej opłaty, chodzi tylko wzdłuż muru poprawiając kamienie modlitewne, na znak, że mam traktować jego sterty łajna z szacunkiem. To łajno ciągnie się od jednej ściany do drugiej, stoi na nim mój namiot, kto wie, ile wieków liczy najniższa warstwa. Wtem gospodarz wskazuje na skamieniałą grudkę kału, zamrożoną na kość w rogu podwórka. Jestem nieskończenie zawstydzony: nie mam jak wytłumaczyć mu, że ten przypadek łajna na łaźnie zdarzył się tylko raz, wobec nagłej potrzeby w środku nocy, przy przejmującym zimnie. Nie, doprawdy, czuję się śmiertelnie urażony i nie mam na kim wyrzucić gniewu: co ta nieszczęsna grudka ma wspólnego ze stanami uniesienia wysoko w górach?

Stoimy z gospodarzem ramię w ramię patrząc na ziemię w ciszy i wietrze, jakby to leżał przed nami dorje, nieskazitelny diament, gotów przekazać nam jedną z tantryckich nauk: Strzeż się, Pielgrzymie, abyś nie miał w pogardzie tak zwanych niższych funkcji ciała, albowiem i one nieodłącznie niosą ze sobą cud życia. Czyż jeden z wielkich mistrzów nie doznał oświecenia słysząc plusk swoich odchodów spadających do wody? Nawet przezroczystość, Pielgrzymie, może być zawadą, jeśli do niej lgnąć. Nie przeciągaj pobytu na Kryształowej Górze...

Dosyć! Nie doszedłem jeszcze tak daleko na mojej ścieżce, żeby dostrzec Absolut we własnych odchodach - może w cudzych, ale nie we własnych. Gównu to gównu, jak powiedziałby mistrz zen, albo raczej: Gównu! Kopnięciem usuwam z podwórka ten ślad mojej przelotnej egzystencji na ziemi. Potem dziękuję gospodarzowi za jego gościnność i pokazuję mu głaz z bardzo ładną skamieliną; ale nie wiedząc, czego od niego chcę, mężczyzna odnosi się obojętnie do moich podziękowań i skamielin.

Wolno przechodzę przez pole kamieni modlitewnych do malowniczych niskich drzwi Kryształowego Klasztoru, które po obu stronach mają w ścianach stare koła modlitewne, jedno z miedzi, drugie z drewna. Nad drzwiami jest mały Budda ze zwietrzałego kamienia, w jaskrawych czerwieniach i błękitach ziemi i nieba. Jeżeli Tundu nie przyjdzie dziś z kluczem, nigdy nie przekroczę progu Shey Gompy. Stupy na urwisku i kaplica lamy Tupjuka w Tsakang dają mi wyobrażenie co do jej wnętrza, a jutro, przy odrobinie szczęścia, odwiedzę świątynię w Namgung, pięć godzin stąd za górami na wschodzie - to także gompa sekty Karma-Kagy. Niemniej, wielka szkoda, że nie zobaczę w środku Kryształowego Klasztoru będąc u celu po tak długiej podróży.

(Wkrótce po moim odejściu zjawiała się zona Tundu z kluczem do klasztoru, żądając stu rupii za otwarcie drzwi. G. S. ją zignorował i w przeddzień wymarszu pozwoliła mu wejść za pięć rupii. Zgodnie z jego notatkami i planem pomieszczenia, Shey Gompa zawiera szereg figurek Buddy z brązu wiszące bębny, stare miecze i broń z bandyckich czasów oraz ciężkie klocki do drukowania, spod których wyszły „obrazy na wietrze” dane mi przez lamę Tupjuka. Poza tym gompa różni się od innych w tym regionie głównie swoją wielkością oraz jednym dziwnym i niewytłumaczalnym szczegółem: na wiszącym płótnie, przedstawiającym wilka, tybetańskie dzikie osły i sowę, jest też podobizna samicy yeti.

Ten rysunek w Kryształowym Klasztorze jest rzeczą osobliwszą, niż mogłoby się wydawać. W odległych klasztorach lamów zdarzają się podobno obrazy yeti, ale jest to zjawisko niezwykle rzadkie; w Nepalu jedyny prócz tego podobny obraz, o jakim słyszałem, znajduje się w klasztorze Tengboche pod Mount Everestem. Istnienie takiego rysunku daleko na zachód od obszaru, na którym dotąd sygnalizowano obecność yeti, pogłębia jeszcze zagadkę tego słonecznego poranka w lasach Suli Gad, kiedy to dziwny ciemny kształt skrył się za skałą).

Wspinam się do starego punktu obserwacyjnego, szczęśliwy i smutny zarazem w swym niejasnym przeświadczeniu, że te góry są moim domem, ale „tylko Przebudzeni pamiętają swoje liczne narodziny i śmierci”,²² a ja nie słyszę żadnych szeptów z poprzedniego życia. Niewątpliwie pomyliłem „dom” z dzieciństwem, a śnieżne połacie, flagi i zwierzęta Shey z jakimś średniowiecznym miejscem zapomnianych baśni, gdzie przesyconej mitem atmosferze towarzyszy heroiczne życie.

W pragnieniu wędrowki kryje się tęsknota za domem i ja podczas tej podróży w jakiś sposób wkroczyłem na swoją drogę do domu. Powrót do domu jest głównym celem moich praktyk, moich górskich medytacji, moich porannych śpiewów i mojego koanu: Wszystkie szczyty są pokryte śniegiem - dlaczego ten jeden jest nagi? Żeby odpowiedzieć na to nielogiczne pytanie, trzeba by bez reszty się otworzyć, odrzucić wszystkie uprzedzenia i pewniki. Ale ja nie jestem jeszcze gotów na takie otwarcie i nie rozwiążę mojego koanu ani nie zobaczę śnieżnej pantery, nie wejrzę w nią, by tak rzec. Nie zobaczę jej, ponieważ nie jestem gotów.

Po raz ostatni medytuję tu na tej górze, która jest naga, mimo że wszystkie inne wokół bieleją śniegiem. Jak nagi szczyt z koanu, niczym się ona nie różni ode mnie. Znam tę górę, ponieważ sam nią jestem, czuję, jak w tym momencie oddycha, jak koniuszki trawy przedzierają się przez śnieg. Gdyby śnieżna pantera skoczyła teraz ze skały i pokazała mi się S-A-A-O! to w tym ułamku grozy, nie panując nad zmysłami, mógłbym naprawdę w nią wejrzeć i zdobyć wolność.

DROGA POWROTNA

*O sługo, gdzieżeś mnie szukał?
Patrz! Jestem przy tobie.
Nie w świątyni, nie w meczecie,
nie na obrzędach ani uroczystościach,
nie w jodze ani w odosobnieniu.
Gdybyś prawdziwie mnie szukał, znalazłbyś mnie od razu.
Spotkałbyś mnie w ułamku sekundy.*

Songs of Kabir

Nie zdziw się na widok prawdziwego smoka.

Dogen Zenji „Fukanzazenji”

18 LISTOPADA

O świcie idę z Tuktenem i Dawą w górę Białej Rzeki w kierunku słońca. Towarzyszą nam G. S., który pójdzie z nami aż do wschodniej przełęczy rozglądając się za błękitnymi owcami, i Jang-bu oraz Gyaltzen, którzy udają się do Saldang, żeby kupić kozę. Zniechęcony postępowaniem śnieżnej pantery G. S. wrócił do pomysłu z żywą przynętą, która - w razie porażki - dostarczy im przynajmniej mięsa; gdyby pojawiły się wilki, kozy się nie wystawi, bo nie zostawiłyby ani kosteczki.

(W tydzień po moim odejściu para śnieżnych panter okrążyła Shey Gompe. Kozę uwiązano do drzewa i G. S. spał przy niej przez dwie noce, ale pantery zniknęły z okolicy - kozę uśmiercili i zjedli ludzie. Jedną nogę ofiarowano lamie Tupjukowi wraz z parą spodni Phu-Tseringa: Jang-bu chciał dać mu swoje buty, ale powstrzymał go od tego G. S., który musiał przeprowadzić jakoś wyprawę z powrotem przez góry).

Phu-Tsering został w obozie - będzie mi go brak. Zeszłego wieczoru zadziwił nas plikiem pełnych życia rysunków: samolotów, głów dziewcząt, rozmaitych europejskich scen; jeden porwał od razu nasz gospodarz, Ongi, niewątpliwie na handel wymienny lub na sprzedaż. Dziś rano żegnając się z Phu-Tseringiem spytałem, czy mogę odwiedzić go w Khumbu, gdybym kiedyś wybrał się w obchód klasztorów wschodniego Nepalu, a ten dobry przyjaciel i wesoly kucharz, równie zmartwiony naszym rozstaniem jak ja, wykrzyknął: „Dziękuję!”

Nie dalej jak sto metrów za wioską są trzy świeże pary wilczych tropów; srebrne bestie okrążyły oszronione domostwa biegnąc pod blednącym księżycem. Na zboczach nad nami duże barany ze stada z Somdo stoją nieruchomo na tle linii śniegu. Przez chwilę idę tyłem patrząc, jak przezroczyście flagi Kryształowego Klasztoru wtapiają się w górę Somdo... OM! Poprawiam plecak i ruszam naprzód. W lodowatym strumieniu widzę rozłożysty skamieniały grzebień odcisnięty na ciemnoszarym kamieniu w kształcie góry. Kamień jest bardzo piękny, wachlarz promieni skrzy się szronem. Wrzucam go z powrotem do strumienia i idę dalej.

Mur modlitewny na wzniesieniu jest królestwem wilków; wszędzie wokół widać na śniegu świeże ślady i żółte plamy. Szlak skręca na północ w górę kamienistego koryta potoku, u wylotu długiego łagodnego podejścia widać między białymi ścianami misę jasnoniebieskiego nieba. Ten portal cofa się i rozplywa, kiedy podchodzimy bliżej; to nie była przełęcz, tylko iluzja. W zamian czeka nas śliskie, strome podejście po lodzie i piargach, między głębokimi zaspami. Powietrze jest rozrzedzone, zatrzymuję się co chwila dla zacerpienia oddechu i patrzę na świat najczystszej bieli: nigdzie żadnego tropu, odgłosu życia, przelatującego ptaka.

Na szczycie wschodniej przełęczy, na wysokości pięciu tysięcy metrów, stoi wielki kopic zbudowany z kamieni od wieków składanych tu przez podróżnych. Przede mną rozległy księżycowy krajobraz, brunatny i spękany, ciągnie się aż do Tybetu. Tu, na tej górskiej pustyni, wyschniętej i nagiej niczym świat nad chmurami, tylko czubki najwyższych szczytów są białe. Iglice i wąwozy Himalajów zaokrągliły się w góry i głębokie doliny, a na

wschodzie, za górami, leży wielka, jasna kraina - Mustang, stare Królestwo Lo.

Wkrótce spośród zwałów śniegu wynurzają się Tukten i Dawa i zrzucają swoje bagaże na kopiec, a za nimi ukazują się młodzieńcze głowy Jang-bu i Gyaltsena. Szerpowie są poruszeni bezkresnym horyzontem, który opasuje nas wielkim kołem, i przez kilka minut rozglądają się nic nie mówiąc. Tam, skąd przyszedliśmy, z północnych ścian himalajskiego łańcucha (nieczęsto widywanych przez ludzi Zachodu), wznoszą się lodowe wieże lśniącej bieli; trudno uwierzyć, że może tam istnieć życie ludzkie, a jednak wiemy, czy też zdaje nam się, że wiemy, iż w tych zapadłych jarach pod Kryształową Górą jest Shey Gompa.

Czas się rozstać. G. S. żegna się uściskiem dłoni z Tuktenem i z Dawą, których już nie zobaczy, i czterej Szerpowie schodzą gęsiego ośnieżonym północnym zboczem.

Zostaję na chwilę z tyłu. W bezwietrznym, nieruchomym powietrzu George wybuchą:

- Cholernie żałuję, że już odchodzisz - a ja mówię, że i ja cholernie żałuję, i staram się wyrazić mu moją niewypowiedzianą wdzięczność, kiedy podajemy sobie ręce.

- To było naprawdę niezwykle przeżycie - mówię i milknę. Słowa nic nie znaczą, nie oddają tego, co czuję: że to przeżycie mnie odmieniło i już nigdy nie będę taki jak dawniej.

Obaj się cieszymy, że nam się nawzajem wyprawa tak udała. Odbiliśmy dwie różne podróże i większość czasu spędzaliśmy osobno, co nam obu odpowiadało, nawet wieczorami rozmawialiśmy niewiele. Nigdy nie dzieliłem się z George'em zmianami, jakie we mnie zachodziły, z obawy, aby nie wziął mnie za wariata, a z drugiej strony, któż może wiedzieć, jakie zmiany zaszły w nim samym! Ale zawsze z radością spotykaliśmy się pod koniec dnia, a po dwóch miesiącach przymusowego przebywania razem w ciężkich warunkach to wcale nie ma.

Z braku słów raz jeszcze ściskamy sobie dłonie, wiedząc, że kiedy znów się spotkamy, już na powrót w dwudziestym wieku, pancerze współczesnego życia osłonią nas pewno równie szczelnie jak przedtem. I ruszam przez śnieg. Kiedy odwracam się, żeby pomachać, nie ma już niebieskiego skafandra i brązowej twarzy, tylko czarna sylwetka mężczyzny na tle słońca. Postać wolno wznosi prawą rękę. Znów kieruję się na północ i widzę u stóp wyraźne, świeże ślady wilków. Odwracam się raz jeszcze, żeby krzyknąć o tym G. S., ale niebo jest puste. Tylko złote iskiery śniegu wirują wokół wiekowego kopca.

Szlak schodzi w szare, kamieniste kaniony. Zostawiłem mój kij na przełęczy, za daleko, żeby się po niego z powrotem wspinać. Szerpów już dawno nie widać, ale Tukten czeka przy pierwszym rozwidleniu, gdzie mógłbym skrócić w niewłaściwą stronę; nie podkreśla swojej troskliwości, po prostu tu stoi. Czekając na mnie, ten ciekawy świata człowiek znalazł nowe ślady wilków i pokazuje, że jeden trop jest o wiele mniejszy od reszty - mały wilczek. Dwaj pasterze, których spotykamy trochę niżej, mówią, że w okolicy jest dużo *jangu* a także *sao* polujących na zwierzęta domowe i *na*; zwykle wilki częściej niż pantery napadają na bydło, ale ubiegłej nocy właśnie *sao* porwała kozę. Wczesnym popołudniem pokazują się nachury, dwadzieścia lub więcej, najwyraźniej ciągnąc do stada owiec i kóz nad

Namgung. Te *na* z Namgung ściga para myśliwych, którzy z tego żyją; w tym regionie tylko w Shey nikt nie poluje dzięki obecności tam lamy Tupjuka.

Wioska Namgung leży wyżej niż Shey, chyba na wysokości blisko pięciu tysięcy metrów. Namgung Gompa to dom z czerwonych kamieni wbudowany w północną ścianę wąwozu; tutejsi mieszkańcy wykarczowali pola tarasowe po obu stronach potoku Namgung, który płynie do doliny Nam-Khong. Zostawiając resztę towarzystwa na szlaku, Jang-bu i ja schodzimy do pierwszego budynku w wąwozie, sprzed którego przepędza nas rozjuszony mastiff na długim łańcuchu; w tej bezdrzewnej okolicy gorzko teraz żałuję utraty mojego wiernego kija. Wyszedłszy na dach, gospodarz patrzy na nas podejrzliwie; nie czyniąc żadnego wysiłku, żeby uspokoić rozwścieczonego psa, czesze bardzo długie rozplecione włosy dziwaczny grzebieniem, który przypomina zgrzeblo. Ale to właśnie ten mężczyzna ma klucz do Namgung Gompny na ścianie wąwozu. Czerwień i biel gompny i jej stup to jedyne kolory ożywiające pustynny krajobraz.

Wewnątrz gompny stopnie w balu prowadzą do pokoiku na piętrze oświetlonego zakurzonym promieniem światła z małego okienka. Ta kaplica to zbiorowisko zniszczonych draperii, skórzanych pudełek, bębnow, kotłów, miedzianych krętych obrzędowych rogów, pomalowanych skrzynek oprawnych w drewno książek i glinianych figurek Karma-py Siakjamuniego i wypukłookiego Padmy Sambhavy. Wspaniały brązowy posązek Dorje-Changa na wzniesieniu na środku pokoju zdaje się wibrować w zakurzonym świetle cały czas spodziewam się, że zaraz przemówi, i krępuję się odwrócić do niego tyłem.

Poruszony zaniedbaniem i stanem zniszczenia pytam, czy Namgung ma swojego lamę.

Na to dozorca świątyni mówi, że to on jest „lamą”, chociaż tacy jak on to zwykli pomocnicy w porównaniu z prawdziwymi lamami, nie mówiąc już o *tulku*, jak lama z Shey. Jang-bu mówi mi, że jego ojciec też jest „lamą”, zapewne świeckim urzędnikiem tego rodzaju. Mężczyzna zapala dwie lampki maślane demonstrując obrzędowe prerogatywy swojego urzędu, ale sam przyznaje, że świątynia jest mocno zaniedbana, a co cenniejsze thanki już stąd usunięto. Kiedy odchodzimy, znów czesze długie włosy zgrzeblem.

Szlak okrąża górę za górą w długim, powolnym zejściu do Saldang. Drugie stado błękitnych owiec, trzydzieści trzy lub więcej, stoi na turni po przeciwnej stronie doliny. Jang-bu i Gyaltsen, zrzucawszy z siebie bagaże, a wraz z nimi buddyjskie nakazy, na próżno atakują stadko głuszców tybetańskich, ciskając wręcz kamieniami; potem ruszamy dalej. Tukten niesie żywność i przybory kuchenne, Dawa mój plecak, Gyaltsen artykuły na handel wymienny, takie jak stara walizka G. S., za które ma uzyskać kozę na przynętę, a Jang-bu naręcza jałowca, gdyż w tych pustynnych górach trudno o opał; ja zaś prócz namiotu i śpiwora dźwigam plecak pełen książek i skamielin. O zmroku, po dziewięciu godzinach wyteżonego marszu, na płaskowyżu wysoko nad rzeką Nam-Khong, ukazuje się w dole Saldang.

Jang-bu pozawierał już tu znajomości podczas swojego pierwszego pobytu i wiedzie nas prosto do domu, gdzie spotykamy się z życzliwym przyjęciem. Na piętrze jest spiżarnia, która służy również za pokój modlitewny, niemal tak duży jak w Namgung Gompie, lecz znacznie czystszy. Nie ma tu obrazów, tylko dwie lub trzy liche thanki w krzykliwym

współczesnym stylu, ale rząd lampek maślanych i mosiężnych misek ofiarnych, piękny skórzany bęben i inne sprzęty świadczą o silnej wierze całej rodziny. Nasza Namu, Chirjing, i jej starszka matka dają mi ten pokój na sypialnię, powierzając mi w ten sposób swoje ubogie zimowe zapasy; kiedy wieczorem przychodzą goście, starszka zabezpiecza drzwi spiżarni żelazną kłódką tak prymitywną, że gdy później wpuszcza mnie tam z powrotem, otwiera ją bez trudu patykiem.

W rogu spiżarni stoi groźnie wyglądająca dzida, zrobiona, jak mówi Chirjing, tutaj w Saldang; pochodzi sprzed jakichś trzydziestu lat, z czasów kiedy bandyci z Tybetu najężdżali tę okolicę grabiąc i mordując, aż w końcu tutejsi mieszkańcy podnieśli przeciwko nim broń.

Tukten przynosi mi herbatę na dach i w gasnącym świetle patrzę poprzez dolinę Nam-Khong w kierunku Tybetu, zwanego tutaj po prostu Byang, czyli Północ. Zrujnowany erozją krajobraz, strатовany na pył ostrymi kopytami owiec i kóz, przedstawia jałowe pustkowie osypujących się pagórków i głębokich, posepnych żlebów, które przez osiem miesięcy w roku stanowią brunatną pustynię, a nieustanne zamarzanie i topnienie gleby, pęknięcie i kruszenie wywołane różnicą temperatur pogłębia erozję nawet przy braku deszczu i, śniegu. Z upływem wieków przestały tu docierać chmury deszczowe z południa; ziemia jest nieurodzajna, okres Uprawy krótki i nawet odwieczny handel wełną i solą, które wożono karawanami na południe Himalajów, zamiera, jako że z Indii rozchodzą się na północ tańsze dostawy. W końcu i to miasto może zostać oddane na żer pustyni, jak stare miasta zachodniego Tybetu.

Proszę Jang-bu, żeby kupił trochę mięsa i nasze gospodynie przygotowują nam najlepszy posiłek, jaki jedliśmy od września, gulasz kozi z ziemniakami, rzepą i ryżem, popijany obficie jęczmiennym changiem. Moim kompanem do wypitki jest Jang-bu; Dawa i Gyaltzen nie piją, a Tukten mimo swej reputacji odnosi się do alkoholu obojętnie chociaż wypija jedną czy dwie szklaneczki. Uczta odbywa się nad dymiącym ogniem z łajna i chrustu w pozbawionym okien głównym pokoju na parterze, a potem ładniutka Chirjing podaje gorący chleb pszenny z solą i krążkiem masła. Kiedy jemy, raz po raz przychodzi ktoś z mieszkańców wioski, aż całe ognisko otacza krąg przyjaznych twarzy, młodych i starych. Zastanawiam się, czy kiedyś w życiu widziałem na raz tyle miłych osób, i pełen szczęścia idę spać, z przyjemnie sytym brzuchem. Wkrótce Jang-bu znów mnie woła na dół, bo jeden z mężczyzn przyniósł wysmukłą elegancką lutnię zwaną danyen, o gryfie wygiętym jak łabędzia szyja. Wszyscy tańczą. Przychodzi coraz więcej ludzi wypełniając zadymiony pokój towarzyskim zapachem potu i taniego tytoniu, a stara kobieta robi świeży dzbanek changu wyciskając sfermentowane proso przez wiklinowy koszyk. Ponętna, krągłolica dziewczyna, w której wyglądzie jest coś znajomego, przynosi krągłolicą córeczkę zwaną Chiring Lamo, i podczas gdy młoda matka tańczy, nasza starszka trzyma dziewczynkę na kolanach. Obydwie są obwieszane paciorkami, a dziecko ma jeszcze miedziany zameczek na szyi i sznur monet; pomarszczone oblicze i to gładkie jak jabłko mają ten sam wyraz dziecięcego zachwyty w szeroko otwartych oczach, tym bardziej wruszający, że głowa starszki wspiera się podbródkiem o głowę dziecka. Jasna twarz małej promieniuje spokojem, na tej drugiej twarzy maluje się pogoda ducha, która z wiekiem też przeradza się w spokój. Naraz Chiring Lamo wstaje i susia na brudną podłogę, patrząc z ciekawością w dół na mokre, grubiejące nóżki.

Zaśmiewając się, matka dziecka tańczy trzymając się za ręce z roześmianą kociołką Chirjing. Lutnista, wyjątkowo przystojny facet w krótkiej bluzie i w botach, śmieje się do mnie na powitanie pełną gębą, jakbym był jego najbliższym przyjacielem na świecie. Wkrótce przychodzą inni, łącznie z mężczyzną, który wygląda na adoratora Chirjing. Jang-bu gra na swoich organkach, a Dawa i Gyaltzen śmieją się bez opamiętania ze wszystkiego wokół, ale jedyny z naszego towarzystwa z Shey, który tańczy, to Tukten - Szerpa Tukten, kucharz i tragarz, domniemany złodziej, kiepski pijak, stary Gurkha, jest też tancerzem i tańcząc przez cały czas się uśmiecha. Taniec ma krótki rytmiczny krok przystosowany do małej przestrzeni i bardzo przypomina eskimoskie tańce w igloo, do czego przyczyniają się też czarne jak smoła warkoczyki, czerwonobrazowe twarze i szuranie miękkich foczopodobnych botków. Po chwili tancerze zaczynają śpiewać i Tukten przyłącza się, ale Dawa, który ma wyjątkowo dobry głos, jest zbyt nieśmiały. Piosenki są melodyjne i tęskne, podobnie jak ta z Dhorpatan, przypominają mi górskie huainy z Andów. Jedna z buddyjskich piosenek ma skromny tytuł: „Kwiaty dla lamy”, a inna, z dawnych wieków, zwie się: „Najwyższa góra”. „Nawet najwyższa góra nie przeszkodzi mi dotrzeć do Nurpu!” W każdym razie tak Jang-bu ją tłumaczy, patrząc, czy roześmieje się z tego tęsknego refronu skierowanego do antycznego boga.

Przy następnych szklaneczkach changu Jang-bu mówi mi, że Tuktenowi w drodze powrotnej z Jumli skradziono w Ring-mo cały jego mizerny dobytek; sam Tukten nigdy mi o tym nie wspomniał. Jang-bu znowu opowiada, jak członkowie japońskiej ekspedycji wysokogórskiej zaprosili go do Japonii na studia rolnicze. Nęci go ta myśl i z pewnością ten przystojny chłopak ze swoimi organkami, pierścieniami na palcach i olśniewającym uśmiechem jest zbyt zdolny, aby poświęcać resztę życia prowadzaniu wypraw, chociaż świetnie sobie z tym radzi, jest zrównoważony i sprytny, a zarazem wystarczająco stanowczy, by w razie potrzeby popędzić tragarzy - bon-po to jedyna banda, przy której czuł się niepewnie. Ale on lubi to swoje wędrowne życie, swój chane i arak, i nigdy stąd nie wyjedzie.

Siedzę pełen spokoju niczym Budda, a zza ogniska Tukten uśmiecha się do mnie, jakbym podniósł kwiat lotosu. Tańce się skończyły i teraz ten skromny *tulku* Kasapy siedzi ramieniem w ramię z jasnoooką staruszką zabawiając ją swoimi Tuktenowymi żartami, a jednocześnie pieścąc śpiącą dziewczynkę, która wdrapała mu się na kolana. Ten człowiek nieskrępowanego ducha kocha wszystkich.

19 LISTOPADA

Budzę się szczęśliwy przed pierwszym brząskiem i odprawiam poranne śpiewy w kaplicy Chirjing aż do chwili, kiedy słońce zmiękcza niebo za górami, a Tukten sam z siebie przynosi mi herbatę. Potem przychodzą się pożegnać upierścieniony Jang-bu i Gyaltzen w swoich krótkich spodenkach. Dziękuję Jang-bu za dobrą minę, z jaką tłumaczył wszystkie moje głupie pytania, i po raz ostatni droczę się z Gyaltsem na temat moich butów. Później żegnám się z Chirjing i jej matką, mówiąc, jaki to był dla mnie zaszczyt spać w świątyni Buddy. Ze łzami w oczach starszka bierze mnie za rękę i bije głową o moje piersi w geście błogosławieństwa, szepcząc coś w rodzaju: „Tuchi churochi”: „Bardzo dziękuję”, lub też: „Tashi shok!” - Niech to błogosławieństwo cię chroni! - czy może (mam nadzieję, że nie) „Tanga cheke” - niewielka moneta. Następnie idę zwiedzić Saidang.

Chociaż ta miejscowość podobnie jak Ring-mo leży mniej więcej na wysokości trzech i pół tysiąca metrów, wygląda zupełnie inaczej. Ring-mo to himalajska wioska poniżej granicy lasów, podczas gdy Saidang należy do bezdrzewnej pustyni Płaskowyżu Tybetańskiego. Wioska jest rozrzucona na otwartym zbocz doliny Nam-Khong schodzącym do rzeki, a domy pustynnego brązowego koloru tutejszej ziemi wyrastają z niej jak narośla. Susza i erozja zbiły glebę w skamieniały pył, mimo to na zboczach wycięto tarasy pod niewielką uprawę, możliwą dzięki topnieniu śniegów wiosną i latem; ta woda trzyma też przy życiu kępki brzoź i wierzb przy domach, osłonięte przed zglodniałym bydłem kamiennymi murkami. Podobno gałęzie obcina się na paszę, ale ten aspekt użytkowy musi mieć bardzo ograniczone zastosowanie; czuje się, że te drzewa zasadzono tu dla złagodzenia niezwyklej surowości krajobrazu. Późnym listopadem martwość Saldang podkreśla jeszcze niewielka liczba jego mieszkańców - przynajmniej jeden członek każdej rodziny, a zwykle więcej niż jeden, udał się na południe lub na wschód w poszukiwaniu pracy, a i zwierząt też nie ma z braku trawy i paszy. (Dawniej stada zimowały na tybetańskich równinach, ale teraz trzeba je wyprowadzać za góry, na południe). Pośród takich odłogów schludność domów, ścian i pół mówi o silnej indywidualności tutejszych mieszkańców, którzy zrobili sobie dzidy, żeby odpędzić bandytów, i którzy potrafią tak wesoło tańczyć, gdy ich żywność jest niemal na ukończeniu. Żarliwość religijną reprezentują liczne murki z ciężkich kamieni modlitewnych, stupy, które wznoszą się jak wieżyczki na każdym nagim wzgórk, i dziwne rzędy stojących sztorcem, niczym nagrobki, płyt zwanych obo, charakterystycznych dla północnego Tybetu i Mongolii.

Krajobraz jest tajemniczy, kontrastowy: w przejrzystym, jaskrawym świetle cień nieruchomego konia wygląda jak omen. Pewnego dnia ludzie podniosą lament nad wytrzebieniem życia na zimnych, wysokich płaskowyżach, a ostatnie już ślady starej tybetańskiej kultury będą wietrzeć pośród ruin i kamieni.

Schodzę ze wzgórza do Saldang Gompy. Świątynia jest zamknięta, bo jej lama przebywa w innej wiosce, ale w żółtym budynku, który do niej przylega, zawieszono są dwa wielkie cylindryczne koła modlitewne o ponad metrowej średnicy i trzymetrowej wysokości, barwnie pomalowane w takie symbole jak koło Asoki, koncha obrzędowa, krąg współczucia, węże, kwiaty, ofiary z jęczmienia, OM MANI PADME HUM. Saldang to gompa sekty Sakya-pa i czci się tutaj takich bodhisattwów jak Manjusri i Chen-resigs, wraz z

historycznym Buddą Śiakjamunim i Buddą, który nadejdzie, Majtreją. Na wspaniałych freskach na ścianach wszechobecny Padma Sambhava trzyma danyen bardzo podobną do tej, na jakiej grał dziarski lutnista z Saldang; Zrodzony w Lotosie celebrował jakieś wydarzenie niebieskie wraz z błękitnym Panem Śmierci, który pewnego dnia podniesie jasne wszystkie zwierciadło i zważy w ostatecznym rozrachunku czarne i białe kamyki.

Tukten uzupełniał zapasy i wczesnym przedpołudniem wraz z Dawą przyszedł po mnie do gomy. Jest z nimi przystojny lutnista, który wybiera się do Katmandu szukać szczęścia: będzie nam towarzyszył jako tragarz i przewodnik aż do Murwy. Karma - tak ma na imię - zachowuje się mniej bezpośrednio niż zeszłego wieczoru przy changu i ognisku, ale swoim natrętnym wdziękiem jakby się narzucał otoczeniu. Równoważy to prostoduszny śmiech jego młodej żony, tej, która tańczyła tak radośnie zeszłej nocy, i córeczki Chiring Lamo, która siedzi na bagażu matki jak rozanielony Budda - co za szczęście mieć tę małą w naszym towarzystwie! Oprócz dziecka dziewczyna niesie cały rodzinny dobytek, a Karma odciąża bagaże obu Sierpów, zwłaszcza Dawy: chociaż teraz, w drodze powrotnej do domu, Dawa trochę poweselała, to i tak jest apatyczny i milcząco daje do zrozumienia, że cierpi na jakąś nieokreśloną chorobę.

Szlak wznosi się nad brzegiem rzeki do rzędu wiosek zwanych zbiorczo Namdo. W tym regionie zarówno świątynie jak i wioski zdobią przy wejściu stupy z barwnymi, starannie wykonanymi freskami i - mandalami, wszystkie w doskonałym stanie. Są tu także imponujące mury modlitewne z wrytymi tekstami i kolistymi mantrami, które Tukten nazywa *ling-po*. Za Namdo, na samotnej iglicy skalnej nad rzeką, stoi świątynia Nyingmy, zwana Sal Gomba, z cudowną salą medytacji otoczoną krytą galerią, ale otwartą na niebo. Sal Gomba jest bardzo dobrze utrzymana przez wysoką kobietę o wspaniałej prezencji, która nie czuje potrzeby nazywania siebie „lamą”; leży tu posłanie gotowe na przyjęcie lamy z Saldang, kiedy ten zawita. Posągi w tej świątyni Starej Sekty niczym się nie wyróżniają, ale kolorowe thanki są misternie wykonane i chyba najlepsze ze wszystkich, jakie widziałem; wyrażamy opiekunce uznanie za opiekę, z jaką otacza Sal Gompę, pozostającą w takim kontraście do Namgung Gomy.

Ścieżka biegnie dalej zachodnim brzegiem Nam-Khong, mijając jeszcze dwie gomy, z których jedna, po drugiej stronie rzeki, wygląda na opuszczoną. Mury modlitewne na ścieżce nadrzecznej są często odwiedzane przez wilki, ale nie ma śladu błękitnych owiec ani śnieżnej pantery. Dziewczyna siada w słońcu na jednym z murków i podaje pierś Chiring Lamo, wzbudzając głośny popłoch wśród gromady skalnych przepiórek, które stracają święte kamienie w przepaść. Dziewczyna ma na głowie kask z czerwonej wełny i nagle poznaje, że te rumiane policzki i miły uśmiech należą do Tende Samnug, która nosiła ten sam czerwony kask w dniu, kiedy dała mi w Shey cztery kartofle. Karma to naturalnie Karma Dorje, syn handlarza Ongdi - to, co wzięłam za nachalny wdzięk, było po prostu próbą odnowienia znajomości. Tamtego dnia w Shey nie mieli dziecka i byli opatuleni po uszy, niemniej bardzo żałuję, że poznałem ich dopiero po czerwonym kasku Tende i nie odpowiedziałem cieplej na przyjazne gesty podczas wczorajszego ogniska. Wesola Tende wstaje z brzękiem dzwoneczków, które tańczą przy jej szarfie i przy barwnym pasiastym fartuchu noszonym w Tybecie przez mężatki, a Karma, krocząc beztropko z piękną lutnią o ląbedziej szyi przytroczoną do plecaka, jest gotów śmiać się do całego świata. Jak wielu

Bhotyjczyków z Dolpo i z Mustang Karma podaje się za Gurunga - „Karma Dorje, Gurung” - mówi. Uważani za niższą rasę przez plemiona hinduskie, rządzące Nepalem, niektórzy młodszy Bhotyjczycy próbują w ten sposób podnieść swój stan, ale w rzeczywistości nie mają nic wspólnego z Gurungami, których wioski mijaliśmy pod koniec września na południowych zboczach Annapurny.

Dzisiejszą podróż kończymy w małej wiosce zwanej Tcha. Początkowo protestuję: mamy mnóstwo czasu, żeby dojść do Raki, ostatniej osady przed pierwszą z dwóch wysokogórskich przełęczy, jakie dzielą nas od Murwy. Ale Karma mówi, że mieszkańcy Raki to groźni Kamisi, a kiedy Tukten go popiera, ustępuję - dobrze pamiętam Kamisów na szlaku między Dhorpatan a Yamarkhar, nie mówiąc już o Kamisach z Rohagaon.

Usytuowana w wąskim kanionie, już teraz pogrążonym w cieniu, Tcha sprawia ponure wrażenie, a jej mieszkańcy chowają się przed nami do chat. Wioska leży u wylotu sąsiedniego wąwozu, na wzgórzu za rzeką stoi Hrap Gompa, teraz opuszczona. Nadciąga karawana siedemdziesięciu jaków, które puszczone luzem pasą się wokół Hrap Gompę; pasterze są z Nyisal, a zmierzają na południe do Rohagaon w poszukiwaniu pastwisk. Nad ścianami kanionu zbierają się ciężkie chmury i zasłaniają góry, wnosząc mi do serca niepokój o G. S., który ma zostać w Shey do pierwszych dni grudnia i może spotkać się ze szturmem prawdziwie zimowej pogody.

20 LISTOPADA

W nocy wiatr w kanionie Nam-Khong potrząsał moim cienkim namiotem jak suchym listkiem, ale nad ranem ucichł, a skrawek granatowoczarne nieba, widoczny między dwoma ścianami, wypełniają gwiazdy: wyruszam w drogę przed świtem, po prostu żeby się rozgrzać. W kanionie jest przejmująco zimno, jakby cały rok trzymano tu ziemię pod kluczem, w tym lochu z czarnych kamieni i lodu, zamkniętym pionowymi ścianami. Jest zimniej niż podczas najzimniejszego ranka w Shey, musi być dobrze poniżej zera i nie ma nadziei na słońce do późnych godzin rannych. Na zakręcie kanionu nad wioską stoją ciężkie, kwadratowe namioty nomadów z północy; ponieważ nie mam kija i w tej bezdrzewnej okolicy nie mogę go uciąć, cieszę się, że moje kroki na zamrażniętej ziemi zagłusza potok, bo nie ma się tu gdzie schować przed psami.

Na ławicy piasku stoi mizerny kopczyk dla demonów wodnych, *klu*, które potrafią być mściwe, jeśli się je zaniedba, jak mówi Tukten. Między skałami ruszają się cienie, cienie trolli - mała staruszka, o wiele za stara, żeby być matką dwojga zakutanych dzieci, które z nią idą. W zimowej scenerii, w szarej poświacie, ta mała grupka wygląda, jakby wyszła ze stronic gotyckiej baśni. Trzęsący się z zimna chłopiec, najwyżej dziesięcioletni, dźwiga bagaż, który wygląda na cięższy od mojego; mała kędzierzawa dziewczynka dopiero uczy się chodzić i trzeba ją przenosić przez zamrażnięte strumyki, które niczym jężory lodu wypełzają z jarów na wschodniej ścianie. Staruszka ugina się pod naręczem owczych skór; to, co za nie dostanie na południu, niewarte będzie trudów jej morderczej wędrówki. Podnosi sękaty palec do ust, ale ja nie mam ze sobą żywności: pokazuję na migi, żeby poprosiła Szerpów, kiedy za mną nadejdą. Cała trójka odpowiada mi dzielnym uśmiechem. Może te męzne dzieci to sieroty, może wyszły tak wcześnie, żeby nie zamrażać z zimna przy braku opału. Kieruję się do Raki, idąc dla rozgrzewki najszybciej jak mogę.

Z góry schodzi stado jaków poganiane przez rozwrzeszczanych chłopców w stronę zabudowań w Race. W kamiennych zagrodach stoi tu ponad sto sztuk jaków, które zaniosą sól i bele wełny na południe; tych beli strzegą wielkogłowe mastiffy, które leżą spokojnie, z oczami wbitymi jeden w drugiego. Długowłosi mężczyźni, noszący krótkie miecze, pasiaste płaszcze, krótkie tuniki z szarfą i wełniane kapce związane mocno pod kolanem, siedzą paląc przy ogniskach. Mężczyźni północy są odważni i kolorowi, ale mieszkańcy Raki to zbóje, „źli ludzie”, jak mówi Karma Dorje, żyją cały rok w tym ciemnym kanionie, jakby się chowali przed światłem. Kiedy ich mijamy, obserwują nas ze ściągniętymi twarzami, jak więźniowie.

Nad Raką kanion zwęża się w gardziel, a potok wije się od ściany do ściany. Ani mieszkańcy Raki, ani nomadowie nie zadali sobie trudu przerzucenia tu kładek, ale o tej porze roku, po miesiącu bez deszczu, woda jest niska. Musimy ją raz po raz przekraczać i chcąc to zrobić suchą nogą, próbujemy stąpać po kamieniach, które rzucamy w płytsze miejsca, ale duże kamienie są przymarzniałe do gruntu, a mniejsze, wyszarpane z ziemi i spiętrzone w kupki nad wodą, natychmiast pokrywa warstewka lodu. Posypujemy je piaskiem, podajemy sobie ręce i skaczemy. Jednakże po trzech takich ryzykownych przejściach zarzucamy tę taktykę jako zbyt męczącą i czasochłonną. Zdejmujemy buty i skarpetki, podwijamy jak najwyżej nogawki spodni i brodzimy boso, przedzierając się przez

warstwę lodu przy brzegach. Po kilku takich przeprawach nogi mam zmarznięte na kamień i klnę w duchu Karmę: o ile prościej by było minąć Rakę wczoraj po południu, przebyć liczne brody potoku w ciepłe dnia i rozbić obóz trochę dalej, przy wylocie doliny. A tak, trzy godziny dziennego światła zmarnowane wczoraj w Tcha skazały nas na całodzienny żmudny marsz, po którym czeka nas wysokogórska przełęcz. Ale Tende śmieje się i gawędzi przez całą drogę i tym łagodzi moją złość na jej męża, którego zachowanie jest równie bez troskie, choć nie tak ujmujące. Przoduje w usypywaniu kamieni i wypróbowywaniu przejścia, a gdy, co było do przewidzenia, wpada do potoku i moczy ubranie, tylko się z tego śmieje - jak przystoi dzielnemu minstralowi. Tukten jest również pogodny i zaradny, ale Dawa stoi jak muł i muszę go raz po raz wołać, żeby nam pomógł. Jest apatyczny, jakby nieobecny i co rusz się potyka. W pewnej chwili ciągnie багаż po mokrym lodzie dnem do góry, mocząc w ten sposób mój odsłonięty śpiwór. Ostatnio w niezawodny sposób robi głupstwo za głupstwem i nie pomagają żadne wymówki.

Po drugiej stronie gardzieli w wąwozach na wschodzie błyskają snopy zimnego słońca; jeden z wąwozów, mówi Tukten, prowadzi do Tarap. Północne stoki zielenią się krzewami ciernistymi, ale nie ma tu skał i nigdzie ani śladu błękitnych owiec. Rzeka wiosną musi tańczyć pod naporem białych, spienionych strumyków, bo kanion wznosi się stromo w otwartą dolinę, gdzie spod śniegu wynurza się ciemny, piaszczysty ugor bez życia, po którym hulają wiatry. Tutaj skręcamy na południe, w kierunku Himalajów.

Na tym odcinku droga jest łatwa i Tende, wzięwszy багаż Karmy, zdejmuje buty i idzie boso zostawiając Chiring Lamo mężowi. Przy zakręcie rzeki Karma zatrzymuje się, żeby rozpalic ognisko. Nie wierząc w jego zapewnienia, że przełęcz Namdo, choć „bardzo stroma”, leży tylko o godzinę wspinaczki stąd, zdejmuję buty i przechodzę przez strumień dopływowy, idąc dalej z nadzieją, iż mój surowy przykład skłoni tego marudę do przyspieszenia jego południowego posiłku.

Po drugiej stronie strumienia jest duża stupa, a przy niej kopiec z kamieni *mani* z obszarpanymi flagami modlitewnymi. Przemieszane z kamieniami leżą na stosie czaszki argali z wielkimi rogami, a jedna z nich wygląda na stosunkowo świeżą. Argali, długonogie i chyże, nie muszą trzymać się dla bezpieczeństwa urwistych występów skalnych, toteż przez resztę dnia rozglądam się po zarośniętych zboczach w poszukiwaniu *Ovis ammon*.

Przedemną dwóch pasterzy puszcza luzem dwanaście jaków w krzewy ciemiste.

Najwidoczniej nie zamierzają się dzisiaj przeprawiać przez przełęcz, bo jeden zbiera chrust na ognisko, a drugi pilnuje beli wełny zrzucanych przy jaskini. Trochę dalej szlak byłby skręca od koryta rzeki w górę, prowadząc stromo w kierunku śniegów. Jest już popołudnie, mam za sobą siedem godzin nieprzerwanego marszu i pora wydaje się zbyt późna na rozpoczynanie żmudnej wspinaczki do przełęcz. Z drugiej strony, jeżeli będziemy codziennie rozbić obóz tak wcześnie, to podróż do Murwy zajmie nam pięć dni zamiast trzech. Idę dalej z nadzieją, że za namową Tuktena reszta mnie dogoni.

Ktokolwiek przecierał ten szlak po październikowych śnieżcach, musiał bardzo chcieć dotrzeć na południe, bo sądząc ze śladów, jego nieszczęsne zwierzęta co chwila zapadały się w głęboki śnieg i brnęły bez celu żłobiąc głębokie koleiny, ilekroć odłączyły się od reszty.

Od tamtej pory przeszło już tędy szereg karawan. Szeroki, żółto upstrzony szlak jest usiany zamrażającym ląnem, które daje oparcie dla nóg na lodzie. Oprócz dróżki myszy polnej między jednym występek skalnym a drugim, nie ma żadnych śladów dzikiej zwierzyny; jedyny przejaw życia to zmierzające na południe stado jasnych zięb wysoko na mroźnym niebie.

Szlak wspina się ku trójkątnym śnieżnym szczytom, słońce zachodzi. Idę szybko, żeby pozostać w linii światła, która cofa się w wielkiej ciszy coraz wyżej po zboczach, i w ten sposób udaje mi się nie zmarznąć aż do wierzchołka, gdzie słońce zapada w rozek między szczytami. Wiatr zwał gdzieś tam śnieg ze stromych ścian i teraz czarne skrzydła odsłoniętych skał płyną na tle bieli. Niebo skrzy się, a surowe szczyty odbijają blask. Piękno przełęczy Namdo poraża, bo jest to prawdziwy portal Himalajów, przez który podróżnik wkracza z jednego świata do drugiego. Nie znam jej nazwy, ale ta zapożyczona od skupiska wiosek pasuje: Nam-do znaczy „kamienne niebo”.

Przy kopcu odwracam się i patrzę za siebie. Cała północna półkula to brunatna pustynia Płaskowyżu Tybetańskiego bez najmniejszego śladu życia ludzkiego w cieniach jej kanionów. (Tutaj przy kopcu na szczycie, w pierwszym tygodniu grudnia, złapała G. S. zadymka śnieżna: później opisał, jak poganiacz jaków odziany w niewyprawione skóry zatykał w kurzawie swoją flagę modlitewną na tym kopcu, przy którym wysokościomierz G. S. wskazywał pięć tysięcy trzysta pięćdziesiąt metrów).

Słońce już się skryło. Daleko w dole słychać płacz Chiring Lamo, jej dziecięcy głosik to jedyna oznaka życia w tej białej pustyni. Zważywszy na wczorajsze chmury i wiatr w nocy, mamy piekielne szczęście, że dobra pogoda się utrzymała. Kiedy w końcu pokazuje się głowa Dawy, macham do niego ręką i szybko przechodzę na drugą stronę przełęczy, bo już zmierzcha. Podo mną rozpościera się wielka kotlina śnieżna, szeroka na co najmniej półtora kilometra, a za nią wlot doliny, która wiedzie na otwarte zboczach, gdzie możemy rozbić obóz.

Idę szybko w zimnym cieniu gór. Szlak niespodziewanie znów wychodzi na słońce, gdyż ta długa dolina, opadająca na zachód, biegnie teraz pod gołym niebem, z którego słońce, zachodząc, spowija świętym blaskiem stoki gór.

Kiedy Dawa nadchodzi, rozbijamy obóz na grani. Następna zjawia się Tende, zmęczona, ale uśmiechnięta: kręci się w zimnym zmierzchu, nuci Chiring Lamo i zbiera suche łąno jaków na ognisko.

21 LISTOPADA

Obóz leży jakieś trzysta metrów pod przełęczą Namdo, toteż dziś rano jest przejmująco zimno, a i mroźne słońce, kiedy pokazuje się nad wschodnim łańcuchem, nie przynosi ciepła. Ten kanion wpada swym krańcem w wir wąskich, ciemnych wąwozów, które muszą wynurzać się we wschodnim ramieniu Phoksumdo, widzianym przez nas 25 października, bo między jednym lasem wierzchołków a drugim jest przerwa tam, gdzie leży ukryte turkusowe jezioro wielkiej czarownicy.

Pomimo zimna Tende i Chiring Lamo siedzą niemal nago na owczej skórze przy ognisku; głowa dziecka spoczywa między paciorkami, amuletami i zimnym srebrem na krągłych, brązowych piersiach Tende. Ale Dawa jest dzisiejszego ranka chory; przez Tuktena mówi mi, że jeszcze w Shey cierpiał na biegunkę i krwawienie wewnętrzne. To ostatnie jest niepokojące i może mieć groźne następstwa. Zapewne Dawa powinien odpocząć, ale nie możemy zostać na tym pustkowiu między przełęczami. To naturalnie tylko kwestia szczęścia, że wraca teraz z nami; gdyby nie strach Gyaltsena przed Tuktenem, Dawa zostałby pewno w Shey i umarł nie mówiąc nikomu ani słowa, powodowany nie tyle hartem ducha, ile tą wiejską apatią i fatalizmem, które są tak często brane za głupotę.

Daję mu lekarstwo na biegunkę; boję się, żeby go nie zabiła. Przy swoim wycierczeniu Dawa łaknie, aby się nim opiekowano; sprawia mu przyjemność, że się mu przypomina, aby włożył maskę śniegową i nie komplikował sobie choroby śnieżną ślepotą. Stoi przede mną w spodenkach do kolan, ze zwieszoną głową, jak duże, niegrzeczne dziecko.

Szlak jaków zstępuje w cień nocy, przechodzi przez zamarznięte rzeki kanionu i wynurza się na słonecznym zboczu. W miejscu, gdzie słońce i cień się spotykają, stado głuszców himalajskich sfruwa z urwistego stoku. Na północy i zachodzie, za kanionami, ciągną się zakrzewione zbocza poprzecinane skałami; i jak w nagrodę za swój trud zostały ozdobione czerwonymi chwastami przy jukach i mniejszymi, pomarańczowymi, przy uszach. Ciemne sylwetki nomadów połyskują od paciorków i kolczyków, talizmanów i srebrnych sztyletów - wypisz wymaluj Tatarzy Ch'ang sprzed dwóch tysięcy lat. Ze swoim chrapliwym wrzaskiem i przenikliwym gwizdem, nadzy pod brudnymi zwierzęcymi skórami, ci dzicy mężczyźni, wymyślający prymitywnym zwierzętom, są odpowiednimi mieszkańcami takich mrocznych jarów, trudno ich sobie wyobrazić gdzie indziej. Czerwonolice Diabły są ciekawskie i przyglądają mi się uważnie przed typową wymianą zdań pielgrzymów.

Głęboko w żlebie szykuje się do drogi karawana jaków; dwaj mężczyźni przytracają ostatnie ładunki do grzbietów krnąbrnych zwierząt. Wkrótce pokazuje się druga karawana, tym razem zmierzająca na północ. Po sprzedaży wełny i soli wraca do domu z zapasem ziarna, drewna i rozmaitych towarów, a jaki w nagrodę za swój trud zostały ozdobione czerwonymi chwastami przy jukach i mniejszymi, pomarańczowymi, przy uszach. Ciemne sylwetki nomadów połyskują od paciorków i kolczyków, talizmanów i srebrnych sztyletów - wypisz wymaluj Tatarzy Ch'ang sprzed dwóch tysięcy lat. Ze swoim chrapliwym wrzaskiem i przenikliwym gwizdem, nadzy pod brudnymi zwierzęcymi skórami, ci dzicy mężczyźni, wymyślający prymitywnym zwierzętom, są odpowiednimi mieszkańcami takich mrocznych jarów, trudno ich sobie wyobrazić gdzie indziej. Czerwonolice Diabły są ciekawskie i przyglądają mi się uważnie przed typową wymianą zdań pielgrzymów.

Skąd idziesz?

Shey Gompa.

A dokąd?

Do Bheri.

Aha.

Psy węsząc wybiegają naprzód, a my kiwamy sobie głowami, krzywimy się w grymasie uśmiechu i rozchodzimy się w swoje strony, ku własnemu przeznaczeniu i własnej mogile.

Wijąc się pod skalnymi filarami, które giną w przepaściach, ścieżka biegnie tu i tam, we wszystkich kierunkach. W zimnym oślepiającym blasku lodu kontury tego pustynnego królestwa między dwoma przełęczami rozmazują się, drżą. Labirynt jest piękny, ale serce mam ścięte strachem. Idę spiesznie naprzód. W końcu ścieżka skalna prostuje się, zmierza wprost do celu i jestem u stóp ostatniego podejścia pod przełęcz tuż przed południem. Na pagórku stoi mur modlitewny i zagroda dla podróżnych, którzy znajdują się tu zbyt późno, żeby rozpocząć wspinaczkę. Najwyraźniej widać, że mimo wszelkich zapewnień Karma nie tylko nie dotrzemy do Murwy przed nocą, ale będziemy musieli dobrze wyciągać nogi, aby po przejściu przełęczy zejść do jakiegoś miejsca poniżej linii śniegu, gdzie uda nam się znaleźć chrust na podpałkę. Nie mając płuc alpinisty wolno pokonuję strome ściany, toteż zaczynam wspinać się od razu, nie czekając na resztę.

Oglądam się co chwila i widzę, że Karma, dotarłszy do murku modlitewnego, wyciąga owczą skórę i kładzie się, a Tende, Dawa i Tukten przysiadają na kamieniach. Niewątpliwie Karma zaraz rozпали ognisko i przytrzyma wszystkich przy długim posiłku, skazując tym samym siebie, swoją żonę i dziecko na przykrą konieczność rozbijania obozu w ciemności i zimnie, gdyż jest on równie lekkomyślny jak niefrasobliwy i nie zaprzęta sobie głowy tym, co będzie pod koniec dnia. Każda najdrobniejsza informacja, uzyskana od tego wiecznie uśmiechniętego mężczyzny, okazała się fałszywa: podejście pod tę przełęcz, co jasno widać, jest nie tylko straszniejsze, ale i dłuższe niż pod powierzchnią.

W zimnym wietrze szlak jest oblodzony nawet w południe a nie można iść bokiem, bo nogi zapadają się w skorupę śnieżną. Regularny, wolny krok, który sprawdza się najlepiej na stromych zboczach, jest tu znacznie utrudniony, ślizgam się i gramolę niezgrabnie. Wysoko w górze na błyszczącym śniegu odbija się ciemną, krętą linią sznur jaków; wkrótce przegania mnie drugie stado, pasterze w kapturach o sznurowych podeszwach idą w górę oblodzoną, urwistą ścieżką z rękami za plecami, pokrzykując i pogwizdując na ocieźżale zwierzęta. Potem nadciągają czarne kozy - z trzaskiem kopyt na szklistym stoku mkną prosto jak strzała ku niebu, koźle rogi srebrzą się na błękicie; zawrót głowy i oślepiający blask słońca sprawiają, że biały szczyt wiruje mi przed oczami. Pasterz kóz, ubrany od stóp do głów w krwistoczerwoną wełnę, ciska śnieżnymi kulami, żeby utrzymać zwierzęta w szeregu; przelatując na tle słońca, śnieżki rozplywają się w jasnym ogniu.

W końcu szlak dochodzi do śnieżnych połaci pod krawędzią szczytu; jestem wyczerpany. Przez biel płynie orłosep, ciągnąc swój cień po śniegu; widok jego rozpiętych skrzydeł dodaje mi energii i popycha naprzód. Jeszcze dwie godziny wspinam się i dyszę, ześlignuję się i znów podchodzę, krok za krokiem, bez tchu, otępiała jak zwierzę, a nade mną flagi

modlitewne powiewają w zachodzącym słońcu, które oplomienia zimne skały i rozjaśnia kamienne niebo. Cienie flag tańczą na białych ścianach zasp, kiedy w pocie i znoju wchodzę w mrok szczytu, w tunel lodowy, z oczami wbitymi nieprzytomnie w śnieg. I znów jestem w słońcu na ostatniej z wysokich przełęczy; zdejmuję czapkę, żeby wiatr ochłodził mi głowę, i odprężony, wycieńczony, opadam na kolana na wąskim grzbiecie pomiędzy dwoma światami.

Na południu i zachodzie, lśniąc w blasku śniegu i słońca, wznosi się we mgle wielki biały masyw Kanjiroby, jak mistyczne szczyty, które mogą lada moment się rozwiać. Karawany zniknęły w głębi ziemi. Daleko za mną, w dole, na bezbrzeżnej pustyni, z której przyszedłem, moi towarzysze stanowią ciemne plamki na tle śniegu. Wciąż jeszcze ciężko dyszę - wsłuchuję się w świst wiatru w swoim oddechu, w dzwoniącą ciszę, w ognisty śnieg i strzeliste skały, w nieustający łopot flag przezrzystych od starości, rzucających „obrazy na wietrze” na tło północnego błękitu.

Mam cały wszechświat dla siebie. Wszechświat ma mnie całego dla siebie.

Czas odzyskał swój wymiar i przychodzi zmiana nastroju. Pod plecakiem plecy spływają mi potem, lodowaty wiatr przenika mnie na wylot. Zanim zdążyłem odpocząć, zimno wygania mnie ze szczytu na mordercze zejście po stromej kamiennej skarpie, pokrytej śliską skorupą śnieżną i taflami lodu; idę na uginających się nogach, ślizgając się po kamieniach pod ciężarem napierającego plecaka. Kilkaset metrów niżej urwisko przechodzi w stromą, ośnieżoną ścieżkę biegnącą wzdłuż skutego lodem potoku. Przed zmierzchem dogania mnie w tej bolesnej wędrowce Tukten, w swoim skąpym przyrodziewku i turystycznych butach. Odporność Tuktena na zimno i niewygodę nie wynika ze szczególnego hartu czy ascezy, a raczej z niezamąconej akceptacji wszystkiego, co niesie życie, i właśnie ta postawa jest źródłem jego wewnętrznego spokoju, dzięki któremu swoją nieuchwytną osobowością wywiera taki wpływ na otoczenie. Tukten zgadza się ze mną, że nie ma mowy, abyśmy dzisiaj dotarli do Murwy, po czym idzie szybko i zwinnie na dół szukać opału i płaskiego miejsca na obóz.

Spadzisty wawóz schodzi w końcu na piaszczyste zbocze, które opada do kanionu rzeki Murwy. Zapadł już zmrok lecz trzymam się z daleka od dwóch pasterskich ognisk z obawy przed psami. Po pewnym czasie po nadejściu ciemności wołam: „Tukten, Tuk-ten!”, ale nie ma odpowiedzi. Później widzę go w dole rozpalającego ognisko; zmyślny człowiek znalazł kamienną chatę koło wodospadu.

Po godzinie zjawia się Dawa i kładzie się w chacie bez kolacji. Co chwila nawołujemy Karmę i jego rodzinę, ale mija jeszcze godzina, świecą gwiazdy i nikt nie nadchodzi. Dziś rano ziewający Karma tłumaczył swoją niechęć do wstania tym, że najdalej wczesnym popołudniem będziemy już w Murwie. Z pewnością to właśnie ten bezmyślny minstrel powiedział Jang-bu, że „jeden męczący dzień a drugi lekki” wystarczają na przejście z Saldang do Murwy: mamy za sobą dwa męczące dni i jeden lżejszy, a wciąż jeszcze tam nie dotarliśmy. Na swój bez troski sposób Jang-bu stwierdził wtedy, że pokonamy obie przełęcze w jeden dzień, gdyż jak słyszał, żadna nie jest tak wysoka ani tak stroma jak przełęcz Shey, nie mówiąc już o Kang La. Sam nie mogąc nic ma ten temat powiedzieć, nie oponowałem, chociaż zachowanie handlarzy wełną zmuszało do zastanowienia: dlaczego

w takim razie idąc z Saldang wybrali szlak przez przełęcz Shey i Kang La? Teraz już wiem. Pokryta lodem północna ściana Kang La jest zbyt stroma dla jaków i podróżni muszą sami przecierać sobie drogę w śniegu, lecz poza tym ten szlak jest o wiele mniej męczący niż trasa Shey-Murwa, podczas której trzeba przebyć trzy przełęcze. A zejście z trzeciej przełęczy, przy śniegu, jest równie żmudne jak podejście. Drzę na myśl o Chiring Lamo pośród lodów, przy świetle gwiazd, kołyszącej się nad przepaściami na wątłych i zmęczonych ramionach Tende; po tych skalnych krawędziach nie powinno się chodzić podczas bezksiężycowej nocy.

Ale jestem zbyt zmęczony, żeby podjąć jakieś kroki czy choćby myśleć. Leżę już w śpiworze, kiedy ta prostoduszna rodzina wylania się z ciemności; słysząc głos Tuktena, kończę te zapiski i idę spać.

22 LISTOPADA

Zeszłego wieczoru zasnąłem przed ósmą, spałem kamiennym snem do czwartej i obudziłem się z doskonałym samopoczuciem; udało mi się przeżyć wysokie przełęcz przed zimą, wracam do domu! Radość w dziwny sposób wyraża się przyływem wdzięczności w stosunku do rodziny i przyjaciół, którzy okazali nam tyle serca w dniach agonii D. fala smutnych i zarazem ciepłych wspomnień rozgrzewa mnie teraz w zimnej ciemności.

W ostatniej godzinie życia D. przyszedł rosi Eido; ogolił sobie głowę. Trzymałem D. za prawą rękę, a rosi wziął ją za lewą, i śpiewaliśmy raz za razem nasze buddyjskie ślubowanie. Trochę po północy D. bezboleśnie umarła.

Wyszedłem ze szpitala tuż przed świtem. Padał śnieg. Idąc przez ciche ulice przypomniałem sobie ulubioną przez D. sentencję zen: „Ani jeden płatek śniegu nie pada w niewłaściwe miejsce”. Nawet tego ponurego ranka wszystko było tak, jak być powinno, płatki śniegu padały lekko, wokół było cicho i czysto. W swojej książce D. pisze:

„Kwiat wyraża swą immanentność, swą inteligencję pośrednio, poprzez kwitnienie.

Jest w tym dyscyplina.

Kwiat rozwija się nie popełniając błędów.

Człowiek musi się rozwijać, dopóki nie zrozumie inteligencji kwiatu.

Należy postępować tak, jakby się niczego nie znało, nawet swojego wieku, swojej płci ani wyglądu. Postępować, jakby się było pajęczyną... mgielką, przez którą wszystko przenika i która sama przenika przez wszystko, zachowując swoją formę. Mgielką, która traci swoją formę i ciągle jest. Mgielką, która w końcu się rozplywa, a jej cząsteczki rozpraszają się w słońcu”.¹

Tukten przynosi mi do namiotu herbatę i owsiankę, i popędza innych, kiedy wyruszam w głąb doliny. Dawa slania się na nogach - nie jest symulantem, jeśli zasłabnie, będzie poważny kłopot, w tych górach nie ma lekarza i nie możemy zostawić go w Murwie. Z nadzieją, że pomożemy mu dojść do Jumli, rozparcelowaliśmy jego bagaż między siebie, a Karma zgodził się służyć nam za tragarza aż do Tibrikot, nad rzeką Bheri. Na szczęście nasze zapasy się mocno skurczyły, a ja też pozbywam się czegoś z każdym dniem - zgodnie z moim nastrojem ducha najchętniej przybyłbym do Jumli lekki jak wiatr.

Górna Murwa to szeroki kanion pełen jałowca i samotnych, ciemnoomszałych granitowych skał, rozrzuconych jak pomniki natury tu i ówdzie na pastwisku, które schodzi w dół gigantycznymi stopniami; sama rzeka przecina wąwóz wzdłuż wschodniej ściany kanionu.

Jest wciąż ciemno, słońce ma przed sobą jeszcze długą drogę. Na południu, w trójkącie światła, gdzie zbiegają się ściany kanionu, świt muska różowe szczyty Kanjiroby. Wysoko po drugiej stronie kanionu rozlega się brzęk dzwoneczków na sztychach jaków, a zza skał unosi

się widmowy dym: za osłoną ze spiętrzonych worków przykucają nad ogniem dwaj pasterze niczym dwie kamienne figury, a za nimi widnieje na glazie ogromny napis OM MANI PADME HUM.

Uśmiecham się na wspomnienie listu od przyjaciela, który dostałem przed samym wyjazdem: „Wyobrażam sobie, jakie czekają Cię tam dziwne i niezwykle widoki”. Wczoraj o zachodzie słońca skalista wieżyczka wysoko nade mną rzucała wielką podobiznę mojej sylwetki na przeciwległe ściany. Dziś rano znajduję ogromny głaz przecięty wzdłuż równo jak jabłko, a w środku, jak na ołtarzu, spoczywa kamienna kula, którą żywioły i kataklizmy umieściły tu tak uderzająco precyzyjnie, że staję w pół kroku zdjęty strachem wobec dzikiej, morderczej i wspaniałej siły tego świata.

Przechodzę przez mostek na zakręcie potoku, który ucieka teraz spod wschodniej ściany ku zachodniej, złobiąc coraz głębszą koleinę w swoim kamiennym korycie, i sunę w dół długimi susami, niesiony na fali wdzięczności i radości. Moje życie i praca, moje dzieci, miłości i przyjaźnie, przeszłe i teraźniejsze - wszystko zdaje się cudowne, pełne cudów.

Na urwisku nad skałami rzecznyymi stoi stado jaków z wczorajszych śnieżnych zboczy przełęcz, a pod spodem widzę las, widzę każdą brzozę i jodłę. Ścieżka ciągle wiedzie stromo w dół, nawet kiedy kanion się kończy, a miejsce cedrów i jodeł zajmują świerki i sosny, aż wreszcie ukazują się sama Murwa, pogrążona w porannym cieniu góry.

W Murwie kruki zostały zastąpione przez wrony, bo osada leży tysiąc dwieście metrów poniżej Shey. Jest równie malownicza, jak ją pamiętałem, zgrupowanie porządných gospodarstw za kamiennymi murami, rozłożone wzorzyscie na otwartym zboczu, pod wielką północno-zachodnią ścianą, która zamyka jezioro Phoksumdo; zbocze urywa się nagle przy skałach rzecznych, gdzie potok Murwa wpada do wodospadów pod Phoksumdo.

Ponieważ Dawa jest chory, a i my wszyscy czujemy się obolali i zmęczeni po przejściu trzech wysokich przełęcz, w przeciągu czterech dni, resztę dnia spędzimy w wiosce, gdzie rozbijamy obóz pod lasem świerkowym przy opuszczonym domostwie. W pobliskiej zagrodzie dla bydła stoją jaskrawe namioty japońskiej wyprawy wysokogórskiej powracającej z Kanjiroby. Czerwień namiotów budzi mieszane uczucia - za szybko wkraczamy ponownie w dwudziesty wiek. Niemniej to dobrze, że Japończycy są tutaj, bo dowódcą wyprawy jest lekarz. Gdyby nie to nieprawdopodobne spotkanie, Dawa nie otrzymałby pomocy lekarskiej przed Jumłą. Nie zdaje sobie sprawy, jakie miał szczęście, ale Tukten to wie. „Nepalscy doktorzy” mówi ze wzruszeniem ramion i smutnym uśmiechem: wszyscy dobrzy lekarze opuszczają Nepal. Nasz miły dobroczyńca bada Dawę i daje mu niebieskie pastylki, które Dawa, przy całym swoim złym samopoczuciu, zażywa tylko, jeśli mu się cztery razy dziennie o tym przypomnia. Doktor uważa, że to biegunka wysoce zaraźliwa i wmusza nam wszystkim prewencyjną dawkę lekarstwa odmawiając przyjęcia zapłaty za swoją hojność. Jakim cudem uniknęliśmy do tej pory fatalnej choroby Dawy, pozostaje zagadką, gdyż nasze czynności obozowe cechuje, mówiąc najogólniej, pewna niedbałość. Od dawna staram się nie patrzeć, ani jak przyrządza się jadło, ani na ręce, które je przyrządzają, bo i moje wyglądają nie lepiej; jak na ironię, dopóki jego morale nie upadło, Dawa był najczystszy ze wszystkich Szerpów i jedynym, który się kiedykolwiek kąpał.

Z map ekspedycji wysokogórskiej i od Anu, ich głównego Szerpy (sąsiad i przyjaciel Tuktena, z Solu Khumbu, koło Namche Bazaar), dowiaduję się, że szczyt o urwistej lodowej ścianie przypominającej zamaznięty wodospad - ten sam, który podziwiałem z obozu w jaskini, a potem z wierzchołka góry Somdo, za Shey - nazywa się Kang Jeralba, Śniegi Jeralby, czyli inaczej można powiedzieć Kanjiroby; jednakże prawdziwa Kanjiroba leży dalej na zachód, w górę rzeki Phoksumdo. Chociaż jest to drugie wejście na Kanjirobę, która ma siedem tysięcy czterdzieści metrów wysokości. Japończycy osiągnęli szczyt idąc nową drogą i dlatego mogą uznać, że go zdobyli.

Jeśli chodzi o nazwy i położenie przełęczy, które przebyliśmy, mapa jest niejasna. Tam, gdzie powinna być przełęcz Namdo, jest przełęcz zwana Lang-mu Shey, czyli „Długa przełęcz w regionie Shey” - dobry opis przełęczy między Shey a Saldang. Wczorajsza przełęcz jest usytuowana prawidłowo i nazwana Bugu La; ma pięć tysięcy pięćdziesiąt dwa metry wysokości. Zgodnie z tym, co mówi Szerpa Anu, nazwa „Bugu” nawiązuje do walki, jaka miała miejsce między bogiem gór - może Nurpu? - a demonem, który chciał go zabić: w Murwie bóg zwyciężył demona, który zginął w potoku pod wodospadami.

Jestem wdzięczny alpinistom za pomoc, ale jaskrawe namioty i obce twarze, podobnie jak poprzednio listy w Shey, stanowią zakłócenie w krajobrazie, i mój podniosły nastrój z górnej Murwy pryska. Słońce wszędzie dopiero późnym rankiem i wkrótce już go nie będzie: świat jest pogrążony w ciemności. Dwie godziny temu mogłem uznać to za cudowne, że słońce nigdy nie dotknęło namiotu, w którym jego wielbiciel czeka na ciepło, żeby się umyć; teraz pozwalam, aby stało się to źródłem złości i ta głupota denerwuje mnie jeszcze bardziej: czyżbym się niczego nie nauczył? Tukten obserwuje mnie, niewzruszony - patrzę na niego zimno. Ta zwariowana radość, ta droga, podczas której czułem się, jakbym biegnąc w dół zbrocza mógł wyskoczyć ze skóry, pokonać siłę ciężkości, jak to często zdarzało mi się we śnie - czy to tylko ulga po przejściu ostatniej z wysokich przełęczy? Jeżeli tak, to jakie to smutne, żeby cieszyć się z końca cennych dni na Kryształowej Górze. Może odszedłem za wcześnie, może straciłem wielką szansę, może gdybym został w Shey do grudnia, śnieżna pantera nareszcie by mi się pokazała. Te wątpliwości napełniają mnie rozpaczą. Martwiąc się o przyszłość, zubożam teraźniejszość; uciekając, zostawiam za sobą prawdziwą wolność.

Żeby oddalić się od ludzi, biorę ze sobą te notatki i kilka chapatis do iglastego lasu na skałach nad Suli Gad, poniżej wioski. Co nie znaczy, że podczas ostatnich milczących dni miałem zbyt wiele okazji do rozmów w naszej grupce tylko Tukten mówi co nieco po angielsku, a my dwaj już dawno wyczerpaliśmy ograniczony zasób wspólnych tematów; Tukten i ja o wiele lepiej porozumiewamy się bez słów. Jeden z Japończyków też zna trochę angielski, ale żaden z nas nie kwapi się do wykorzystania tego faktu; alpinści pewno też z niechęcią widzą cudzoziemca w takiej niezwykłej scenerii.

Szum ciężkiej wody, szczyty, harmonijny obraz brunatnych domostw ze zwietrzałych kamieni działają kojąco: siedzę na słonecznym mchu, osłonięty przed wiatrem, i czuję, jak wraca mi dobre samopoczucie. Nad wodospadami wał skalny, który otacza „Jezioro pod lasem”, wypełnia sobą niebo. Tam w górze, miesiąc temu, młoda dziewczyna dała mi ser z wiklinowego koszyka, a mężczyźni na zdobionych srebrnym siodłach ostrzegali mnie w przelocie, że śnieg jest o wiele za głęboki, żeby można było przejść przez Kang La.

Wczesnym popołudniem, kiedy ośnieżony szczyt przyszpila słońce do nieba na zachodzie, wstaje, zdrętwiały i obolały, i wracam do obozu. Jest bardzo zimno. Wokół ciągną się ścierniska, a ludzie stoją zbici na ścieżce, czekając na zimę. Lodowaty wiatr wzbija tak silne i dławiące kłęby kurzu, że przenoszę namiot do pustej szopy za opuszczonym domem. Wtem od Bugu La nadchodzą z północy jacyś osobnicy: okupują dom i zaciągają swoje *dzo* do przegrody za moim namiotem wrywając mi po drodze kolki namiotowe. Odbudowuję namiot i leżę bezsennie większość nocy zastanawiając się, jaki też pokarm żują te zwierzaki.

Mieszkańcy Murwy opowiadają o „tygrysie”, który zeszłej nocy zabił nad wioską młodego jaka. Jutro schodzę ze śnieżnych szczytów w dół Suli Gad i ostatnia nadzieja na ujrzanie śnieżnej pantery minie bezpowrotnie.

23 LISTOPADA

Budzę się wypoczęty i leżę przez chwilę słuchając szumu wodospadów. Dawa już się czuje lepiej, słyszę go, jak śpiewa. O świcie, kiedy wychodzę z obozu, Karma daje mi świerkowy kij, który uciął mi wczoraj w charakterze niespodzianki: jego radość z własnej hojności jest tak zaraźliwa, że i ja śmieję się głośno. Tende grzeje pupę Chiring Lamo nad ogniskiem, a Tukten gotuje kark jaka - zabitego przez śnieżną panterę - który dostał od świeżo zdobytych tu przyjaciół. Tukten jest podczas tej wyprawy zarówno kucharzem jak i wszystkim innym i za tę powrotną drogę zostanie opłacony jak główny Szerpa, pod warunkiem, że nie powie o tym Dawie.

W tutejszej stupie kładę na murze swoje odłamki kamieni modlitewnych, kierowany nagłym impulsem, żeby nie wynosić ich z Dolpo. Oficjalnie cała dolina Suli Gad leży w Dolpo, tak jak Dolpo, geopolitycznie, leży w Nepalu. Ale to tutaj, u źródła rzeki, pod śnieżnymi szczytami i wodospadem, który z gzmotem wypływa z magicznego jeziora, przejdę z jednego świata do drugiego.

Już teraz to miejsce wydaje mi się odległe, chociaż jeszcze tu jestem. W Rohagaon, następnej wiosce na południe, nie ma murów modlitewnych, a miejsce Nurpu zajmuje Masta; poniżej Rohagaon leżą wioski doliny Bheri i dolatują pierwsze zapachy hinduskich olejków z dolin wielkiego Gangesu, który unosi wszystkie szepty o królestwie Sh'ang-Sh'ung do morza.

W zimowym kanionie Suli wszystko się zmieniło. Tam, gdzie przedtem lśniły kępy jagód, teraz tułają się do suchych krzaków samotne czerwone listki; zielony mech na kamieniach żółknie. Legowisko księżycowego niedźwiedzia rozebrano, może na opał, a spadające liście odsłoniły spustoszone ściany kanionu wypalone przez liczne ogniska.

Jesienna melancholia przywodzi mi na myśl Francję z lat, kiedy tam mieszkalem, wciąż zakochany w mojej pierwszej żonie. Pewnego dnia poznałem w Paryżu Deborah Love, którą miałem w dziesięć lat później poślubić. A teraz obie te pełne życia istoty odeszły - każda na swój sposób. Spieszonym krokiem idę wzdłuż rzeki.

Mam wrażenie, że całe życie szedłem spiesznie między tymi ścianami, ze słońcem wysoko nad głową i głosem ginącym w szumie zielonych wód. Rzeka, mijające życie, dręczący blask - dlaczego tak się spieszę?

Ukazuje się słońce, wylewając się z parowu. Zmywam w lodowatym strumieniu kurz Murwy, myję zęby i przystrajam czapkę gołęmbim piórkiem znalezionym na szlaku. Pode mną wąwóz Suli, głęboki i ciemny; o tej porze roku muszą tu być miejsca, które w ogóle nie widują słońca.

Koło południa szlak wychodzi z wąwozu na zbocze górskie. W październiku, kiedy spojrzałem tu za siebie na ośnieżone szczyty, ten widok wydał mi się jednym z piękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem, i sądziłem, że sprawi mi tym większą radość w drodze powrotnej, gdy będę wolno schodził w doliny. Tymczasem pędzę, jakby mnie coś

gnało, szybkim, nerwowym krokiem. Nawet na wąskich półkach nie zwalniam tempa, uodporniłem się na nie z wyjątkiem tych najgorszych. Pora roku zmienia się gwałtownie z zimowej na późnojesienną i u stóp zbiega ukazują się nad rzeką świeże zielone pędy bambusa.

Na trawiastej skarpie wysoko nad zielonym potokiem zjadam jeden z ciemnych „chlebków” Tuktena i idę dalej. Zapewne najrozsądniej by było poczekać tu na niego, ale nie mogę czekać. Idę dalej, ożywiony tlenem niższych wysokości, w górę i w dół, w górę i w dół kamienistą ścieżką, która opada do rzeki, wspina się na urwiste zbocze kanionu i znów opada. Mijam wietrzną jaskinię i ulatujące do nieba wody wodospadu, ale kamienny demon - z pewnością ten sam, który przegrał epicką bitwę z bogiem gór na Bugu La i został strącony do jarów Suli Gad - znikł w migających błyskach rwącej rzeki. Myślałem, że dokładnie pamiętam to miejsce, a tu kamienia nie ma.

Las w dolinie skrywa pasterzy i ich ogniska, a w pobliżu chaty ustawiono dużą zagrodę dla jaków, psów, kóz i istot ludzkich w warkoczach i skórach zwierzęcych. Mimo chłodu śniadoskórzy mieszkańcy północy siedzą obnażeni do pasa między półkolami pasiastych wełnianych worków, które znaczą granice każdego obozowiska. Jeden z pasterzy poznaje mnie, wskazuje palcem i krzyczy: „Shey Gompa!” Zaprasza, żebym został; zatrzymuję się tu na jakąś godzinę obchodząc z ciekawością obóz, lecz trzymam się z daleka od zdziczałych psów o wilczych oczach. Jest wczesne popołudnie, cień zaległ dolinę, a ponieważ Tukten i reszta są tak spóźnieni, rozsądek nakazywałby poczekać tu na nich. Ale jestem zbyt niespokojny i nie mogę czekać w tym ciemnym wąwozie, podczas gdy słońce wciąż świeci na górskim szlaku; nagle wstaję i pod niewzruszonym wzrokiem kamiennych tatarskich twarzy wyruszam bez pożegnania na południe.

Przy jedynym strumieniu na tym suchym zboczu leży łączka, dość płaska, aby rozbić namiot; z pewnością Tukten dogoni mnie, zanim tam dojdę, późnym popołudniem. Ale mnie nie dogania, a łąka roi się od ludzi i zwierząt; piję zimną wodę ze strumienia i idę dalej. Teraz jestem już pewien, że Tukten nie nadejdzie, i martwię się, co się mogło stać: Czy Dawa był mimo wszystko zbyt słaby, żeby iść? Czy Chiring Lamo wpadła do ogniska? Czy też Tukten, potwierdzając wszystkie ostrzeżenia o jego wątpliwym morale, uciekł do Indii z moim sprzętem? Mam ze sobą swoje notatki, lornetki i śpiwór wraz ze zmianą ubrania - niech sobie bierze resztę.

Niemniej robi się późno, a ja jestem bez żywności i drewna na opał, i nigdzie nie ma ani kawałka płaskiego miejsca na ognisko, oprócz tej wąskiej ścieżki na stromym zboczu, wystawionej na wiatr. Muszę iść aż do Rohagaon, chociaż nie dotrę tam przed zmierzchem. Wczoraj w zapale pozbywania się rzeczy wyrzuciłem mój zapas marihuany, dzisiaj mam na nią ochotę po raz pierwszy, odkąd ją zebrałem w Yamarkhar, bo jestem wyczerpany po dziesięciu godzinach marszu urwistymi zboczami Suli Gad i nie mam serca do mieszkańców i psów Rohagaon. Ledwie pomyślałem o Cannabis, kiedy tuż przy szlaku pokazuje się mały, uschnięty okaz. Żuję garść liści i w ten sposób wzmocniony maszeruję dalej. Po godzinie, kiedy w załomie skalnym majaczy kopiec dla Masty, jestem już na najlepszej drodze do tej psiej dziury i postukuję nowym kijem świerkowym po ścieżce na znak, że ze mną nie ma żartów.

Jak się okazuje, psy są na łańcuchach, ale szkolną chatę, z którą wiązałem nadzieję na nocleg, okupuje handlarz wełną, ten zaś przejawia niewielki entuzjazm dla mojego towarzystwa. Na dachach domów zbierają się pośepni mieszkańcy. Dzieci z Rohagaon milkną, podobnie jak psy; wszyscy patrzą na mnie z góry z wysokich murów, jakby zaraz mieli wydać jakiś okropny wyrok. Kim jest ta wysoka, obca postać, przybyła po zmroku bez tragarzy? Z powodu ciemności nie poznają we mnie podróżnika sprzed miesiąca.

- Aloo! Aloo! - krzyczę, dając osobliwe sygnały głodu, jakby to mogło mnie utożsamić z ludzkością, i po chwili rozumieją, o co mi chodzi. „Ziemniaki!” Nie ma aloo, jak się okazuje, tylko małe anda zniesione przez wychudzone kury, brudny mężczyzna o zaropiałym oku przyrządza mi je w rondlu, który jego kobieta wytała w swoje czarne łachmany. Myślę o miłym japońskim doktorze i jego mądrych radach żeby bezwzględnie gotować wszystko, co bierzemy do ust i wspieram się nadzieją, że zapas bakterii, który już zgromadziłem, pomoże mi zwalczyć niejedno. Inny mieszkaniec zwabia mnie do swojej niskiej izby i namawia do kupna mosiężnego kubka samogonu, który wygląda i pachnie jak różowa benzyna i który, jak sądzę, skutecznie zdezynfekuje jajka. Mój gospodarz jest nauczycielem w szkole: nazywa mnie „drogim bratem” hinduski zwyczaj, który przyniósł z nizin - i stara się wykazać znajomością również innych angielskich słów, a ja nie szczędzę mu pochwał w nadziei, zwieńczonej powodzeniem, na zajęcie jego łóżka. Wolny od strachu przed psami i chłodem nocy, z żołądkiem przekupionym jajkami, Cannabis i różowym samogonem, leżę pogrążony w doskonałym niemal błogostanie. Po cóż do licha tak zawzięcie uprawiam medytację? Ktoś kiedyś powiedział, że Bóg daje nam wybór między spokojem a prawdą: nie można mieć obu rzeczy na raz. Ledwo zdecydowałem się na życie w spokoju, psy podniosły okropny zgiełk i wszyscy wybiegli w noc.

Wierny Tukten przybył w głębokiej ciemności po ścieżkach, które są mało zachęcające nawet w świetle dnia. Mówi, że Dawa i reszta z pewnością zaraz tu będą i rzeczywiście wkrótce nadchodzą z płaczącą Chiring Lamo. Krzątając się, żeby zapewnić im dach nad głową, opał i wodę, Tukten robi mi miejsce przy palenisku domowym Kaprawego Oka, skąd obserwuję obrzędy kuchenne tak proste i pewne w ruchach, że siedzę na koziej skórze pełen podziwu, wstrzymując oddech. Gotuje kobieta w czarnych łachmanach, a Kaprawe Oko spogląda zezem spod ściany; spokojne, zwinne zabiegi wokół płonących gałązek przy gotowaniu tsampy i suszonej dyni, pieczenie chleba, cicha rozmowa, miłość i pożywienie dawane dzieciom bez zbędnych słów czy gestów, czułość w stosunku do chorego męża - wszystko to ma rytm i godność sakramentu. Przedtem Kaprawe Oko, popisując się przed współziomkami, wrzeszczał bez sensu na żonę, rzucając jej mój banknot w twarz; tu, przy palenisku, gdzie nikogo się nie da oszukać, jest cichy, pokorny, pełen cierpienia, a ta dobra niewiasta wraz z dziećmi otulają go przy glinianej ścianie kocami i kładą obok niemowlę. Pod szarymi łachmanami, brudem i mosiężnymi kolczykami, charakterystycznymi dla mieszkańców dolin, kryje się młoda kobieta, a ja myślałem, że to starowina. Teraz je resztki po dzieciach - i nic więcej - wzdycha, ziewa i rozściela sobie matę obok męża. A wszystko to dzieje się, jakby mnie wcale nie było, chociaż, niczym Budda, siedzę tu w całej swej okazałości przy ogniu. Przez dłuższy czas pozostają zupełnie bez ruchu i dzieci patrzą wprost przeze mnie - to bardzo dziwne uczucie. Może wreszcie stałem się niewidzialny.

24 LISTOPADA

Noc przespałem przy wejściu do domu Kaprawego Oka na miękkim posłaniu z dwucentymetrowej warstwy kurzu. Oszałały pies uwiązany na zewnątrz szczekał cały czas na próżno, bo byłem zbyt zmęczony, żeby się przejmować jego jazgotem. Tylko raz, kiedy mnie obudził, wyszedłem i zagroziłem mu kijem. Doprowadziło go to do wściekłego bulgotu iomal nie wyrwał łańcucha ze ściany. Poniesiony alkoholem i wesołością obsiadałem go, wywierając zemstę zarówno za tamtą koszmarną noc październikową, jak i za tę obecną. I na skrzydłach tego tchórzliwego aktu, popełnionego przy zaciemnionym księżycu, poszedłem z największym spokojem i satysfakcją spać.

O świcie przez glinianą ścianę dochodzą odgłosy rodzinnego ziewania i westchnień, po czym ojciec kuśtyka na dwór, chrząka, oddaje mocz i spluwa. Zaraz po nim jego żona idzie na zbocze po wodę, a może i przykucnie sobie na brzegu ścieżki, patrząc na południe, na ośnieżone szczyty po drugiej stronie Bheri i kto wie, gdzie błądząc myślami.

Jeszcze przed wschodem słońca jest jakby ciepłej; prawie nie widzę obłoczka swojego oddechu w górskim powietrzu. Stado gołębi skalnych opuszcza miejsce noclegu w wężozie poniżej Rohagaon i wzbija się nad dolinę z szumem srebrnoniebieskich skrzydeł.

Mijam skałę, przy której Tamangowie rozłupywali orzechy, potem dzikie drzewo orzechowe, teraz zupełnie nagie. Zniknęły odcienie żółci i bogaty zapach czarnoziemiu: strumyk, który płynie przez las, miesiąc temu przysypany obfitym opadem liści, teraz rwie nagłaco wokół urwistego zbocza do Suli. Wokół tylko milczące szare pnie, zwiędnęty mech, pniaki i zabłakane liście, którym towarzyszy świergot małych zimowych ptaszków. Ale niżej w dolinie, opuszczoną wioskę, tak pustą i nieruchomą wczesną jesienią, ożywiają teraz głosy ludzi, psów i kogutów, gdyż jej zbocza służą w zimie za pastwiska dla jaków z północy.

Z wioski biegnie na południe ścieżka, która, odłączywszy się od głównego szlaku, schodzi pośród skał i błyszczących oliwek do mostu na zielonej rzece. Stupy przy wejściu na most są wyrzeźbione w groteskowe figury, żółte i czerwone. Czekając na resztę, stoję w południowym słońcu na gorących deskach ogarnięty nieokreśloną rozpaczą. W tej rzece spływają się wody strumienia płynącego z Kang La poprzez rzekę i jezioro Phoksumdo, potok z Bugu La i dopływ z wioski bon w Pung-mo; Suli niesie ze sobą turkus z Phoksumdo i kryształy diamentowego błękitu z Kang La.

Mija jeszcze godzina; nikt nie nadchodzi. Nie posiadając się z wściekłości przechodzę przez most i wspinam się na urwisko. Kilkaset metrów niżej szmaragdowe wody ze śnieżnych szczytów giną w szarych odmętach rzeki Beri, która poniesie je na południe do nizinnych bagien.

Szlak wiedzie na zachód wzdłuż Bheri długim, łagodnym podejściem po linię horyzontu i dochodzi do wioski w lesie. Pośród cedrów porywy wiatru trzepocą mizernymi strzępami na miejscach kultu, faliczne rynienki sterczą z czerwonych wizerunków u wioskowych zbiorników, a na zachodnim krańcu stoją kopce i wysokie czerwone pale. Z niżej

położonych pól patrzy w górę stado diabelskich małp o skręconych ogonach, ich głowy płoną w zamierającym świetle. Potem słońce zachodzi za górami.

Boli mnie głowa i czuję się dziwnie. Cały dzień miałem zepsuty tłumionym gniewem na opieszałość moich towarzyszy, którzy przybyli na most dwie godziny po mnie echo tej groteskowej złości w Murwie, kiedy marząc o odrobinie ciepła, żeby się umyć, wymyślałem słońcu, które ominęło mój namiot. Wygląda na to, że straciłem całą odporność, nie mówiąc już o poczuciu humoru czy to wynik strachu przed powrotem do życia na nizinie?

Dziś po południu, wędrując po wzgórzach Bheri, przypominałem sobie, jak trzeba uważać, żeby od razu nie mówić za dużo ani za szybko się nie poruszać po tygodniu cichych rozmyślań w praktyce zen, a także jak niebezpieczny bywa powrót ze stanów narkotycznych po halucynogenach; trzeba powoli wylaniać się z poczwarki, susząc nowe skrzydła w ciepłe słońca jak motyl, aby uniknąć wewnętrznego rozdarcia. To był z pewnością okres cichych rozmyślań, a zarazem halucynacyjna duchowa podróż, teraz zaś dochodzi jeszcze nagle obniżenie wysokości. Niezależnie od powodu, wracam do innego życia zbyt szybko zbyt szybko na co? A jeżeli tak, to dlaczego się spieszę? Daleko mi do radowania się moją wielką podróżą, miotają mną furie, jestem we władaniu ciemnych żywiołów i nie mam żadnej władzy nad swoim złym nastrojem.

Toteż kiedy jakiś Hindus z wioski Roman, roztrzając małe dzieci wtyka owrzodzoną głowę do mojego namiotu, rozgląda się wokół z głupim niedowierzaniem i zaczyna wykrzykiwać mi w twarz gnijącymi wargami jakieś pytania, rzucam się na niego i wypycham go własnoręcznie przez klapę, sam wrzeszcząc niezrozumiale: nie mam dla niego lekarstwa, a poza tym i tak nie ma dla niego ratunku, jak i nie ma ratunku dla mnie. Skąd może wiedzieć biedny, śmierdzący nieszczęśnik, że to nie jego natarczywość, ropa i cuchnący oddech mnie rozzłościły, ale sama cielesność, identyczna jak moja. Swoją przekłętą potrzebą wypycha mnie na powrót w koleiny naszego wspólnego losu, w te czeluści tęsknoty, w których po żalonym nieudanym skoku znów się pograżam.

„Niczego nie oczekuj” - ostrzegwał mnie rosi Eido w dniu wyjazdu. I zamierzałem iść lekko w światło i ciszę Himalajów, nie nastawiając się na zdobycie celu. Teraz jestem wypalony. Ścieżka, którą podążałem bez tchu, znikła między skałami; przez ambicje ducha zaniedbałem własne dzieci, a sobie zrobiłem krzywdę - i nie ma już odwrotu. I nic się nie zmieniło; wciąż rządzą mną te same, stare namiętności i emocje, to samo ego, niekończące się błahostki i chwile irytacji - nie pokonałem bolesnej przepaści między tym, co wiem, a tym, kim jestem. Zagubiłem poczucie płynności rzeczy, zbłądziłem z drogi i sterczę z rozwijającej się spirali mojego życia jak złamana sprężyna. Przy całym uroku, splendorze i „sukcesie” wyprawy na Kryształową Górę straciłem szansę i przegrałem. Będę kontynuował moje obowiązki rodzicielskie, moją pracę, przyjaźnię i praktykę zen, ale wszystkie nadzieje, czyny i podróże zawiodły. Nie oczekuję już w życiu niczego.

25 LISTOPADA

Dzisiaj Karma i jego rodzina pójdą aż do Tibrikot, gdzie skręcą w dolinę Bheri na szlak handlowy wiodący na południe. Karma śpiewa w miękkiej poświacie ścielącej się u stóp wzgórz; zeszłej nocy, patrząc z dachu na dolinę Bheri, grał na lutni po raz pierwszy od tańców w Saldang. O wschodzie słońca żegnam się z tym przystojnym minstrelem i z Tende, która leży nago z Chiring Lamo pod ciepłymi owczymi skórami i odsłania się czarująco, żeby mi pokivać ręką.

W Race była głęboka zima, w Murwie wczesna zima, w Rohagaon późna jesień, a w dolinie, która wiedzie do Tibrikot, drzewa orzechowe wciąż mają liście, wzdłuż strumyków obok pożółkłych paproci rosną też zielone, widzę dudka, a jaskółki i motyle migają w ciepłym powietrzu. I tak wędruję przeciw czasowi, w przygaszonym świetle zamierającego lata.

Nie musząc czekać na Karmę i jego rodzinę, Szerpowie doganiają mnie przed Tibrikot, które leży na trasie wschód-zachód między Tarakot i Jumlą i jest uważane za największe centrum handlowe tego regionu. Na pagórku nad rzeką stoi duża czerwona świątynia hinduska, gdyż Bramini i Czetrowie też podchodzą wzdłuż rzeki Bheri do tego potężnego zakola między górami, a dwa małe przyległe do siebie hinduskie dukhany to pierwsze sklepy, jakie widzę od wyjścia z Pokhary. Kupujemy kilka najważniejszych rzeczy: sól, cukier, zapalki, mydło - ale ponieważ w żadnym ze sklepów nie ma świeczek, nafty ani baterii do latarek, nasze wieczory nadal będą ciemne. Ryżu i mąki również nie ma, musimy więc pozostać przy soczewicy zdobywając, gdzie się da, *aloo* albo *anda*. Tak niewiele można dostać w Tibrikot, że już po kilku minutach zostawiamy to wielkie centrum handlowe za sobą, kierując się na zachód długim, stopniowo wznoszącym się szlakiem nad rzeką Balansuro, pod śnieżnymi szczytami. W drodze do Jumli czekają nas dwie przełęcze, ale obie są niskie, jak mówi Tukten, nie spodziewamy się więc żadnych kłopotów. Na północ poprzez szczyty wiedzie szlak do wioski bon w Pung-mo, nad Phoksumdo, ale w zimie leży on pod śniegiem.

Czy to dzisiaj jest Święto Dziękczynienia?

Pamiętając depresję towarzyszącą mojemu pierwszemu zejściu z Tarakot do kanionu Bheri, powiedziałem sobie, że główną przyczyną moich zmiennych nastrojów jest nagły spadek wysokości. Teraz zaczyna zachodzić jakaś zmiana, coś boleśnie narasta, jak u węża podczas zrzucania skóry - jestem ospały, podenerwowany, bez apetytu, ciągnę za sobą zatęchłe resztki przeszłego życia, na wpół oślepiony starą martwą łuską na nowym oku. Trudno mi się przystosować bo nie wiem, kto się przystosowuje; nie jestem już tym, kim byłem, a jeszcze nie stałem się kimś innym.

Ale w bezmiarze goryczy i niepowodzenia błyska już malutka iskierka, jakbym ujrzał przelotnie sekret tych gór niewiele jeszcze rozumiejąc. Bez przeszłości, bez przyszłości bez oczekiwań zaczynam doświadczać tego „teraz”, o którym mówili wielcy nauczyciele.

Skruszonemu grzesznikowi na krzyżu dobry Jezus z Nowego Testamentu daje nadzieję na życie w Niebie: „Dziś jeszcze będziesz ze mną w raju”. Ale w starszych tłumaczeniach, jak

zauważył rosi Soen, nie ma słowa: „dzisiaj”, nie ma mowy o przyszłości. W rosyjskim tłumaczeniu, na przykład, znaczy to: „już teraz” i Jezus mówi: „Już teraz jesteś w raju” o ile to wymowniejsze! Nie ma nadziei poza daną chwilą, którą rządzą warunki karmy ustanowione przez czyste własne życie. Każdy dzień jest przejawem nirwany, która nie tyle różni się od samsary, ile dzięki misternej alchemii przemienia brudne błoto w czysty, biały kwiat lotosu.

„Oczywiście, że jestem szczęśliwy! Tu jest cudownie! Zwłaszcza, że nie mam wyboru!”

I może właśnie Tukten wie to wszystko że podróż do Dolpo, krok po kroku i dzień po dniu, jest Klejnotem w Sercu Lotosu, Tao, Droga, Ścieżką, ale wcale nie bardziej niż drobne wydarzenia codziennego życia w domu. Nauki, jakie dawał nam lama Tupjuk, podczas gdy śnieżna pantera obserwowała nas gdzieś ze skalnego zaułka, a Kryształowa Góra płynęła po niebie, nie były, jak myślałem, oświeconą mądrością jednego człowieka, ale wspaniałym wyrazem boskości całej rasy ludzkiej.

Wspinamy się w kierunku słońca i z każdym krokiem mój nastrój się poprawia. Idę, stukając kijem o ziemię, i zostawiam poczucie tragizmu za sobą; świadom własnej głupoty, zaczynam się uśmiechać z pogodną akceptacją porażek tej wędrowki na równi z jej cudami, z akceptacją wszystkiego, co może mnie spotkać na ścieżce. Wiem, że ta transformacja jest przelotna, ale póki trwa, sunę przed siebie jak wypuszczony na wolność, czuję się tak lekko, że mógłbym wrócić w podniebne śniegi.

Czyste i ciche światło Himalajów wydaje się jeszcze intensywniejsze przez brak dymu i hałasu. Miriady wysokich szczytów przebijają atmosferę wpuszczając blask z nieba blask, który dzwoni na kamieniach, rozjarza słońce, nadaje srebrzystą poświatę mchom i skrzydłom kruków, rozbrzmiewa tą samą srebrzystą nutą w dzwoneczku kucyka i w zapachu śniegu.

Świat obraca się i srebrne światło nabiera nieprzyjemnego połysku. Przeszywa małe figurki wysoko na zboczu, wieśniaków z mrocznych, rządzonych przez demony wieków, sztywne, dwunożne wizerunki mężczyzn, poganające nieszczęsne bydłeta, które ciągną tępy, drewniany lemiesz. Wio! Wiek po wieku człowiek cmokając i wrzeszcząc wodzi zwierzę z okrutnym kółkiem w nozdrzach tam i z powrotem, tam i z powrotem, w nieublaganej orce po kamienistej glebie. Przygięta do ziemi kanciasta kobieta rozbija kamienie prymitywnym oskardem - krok za krokiem, krok za krokiem - łup! Wzdryga się, kiedy bat spada na stwardniałe boki zwierząt. Łup! Wio! Łup!

Poniżej szlaku staruszka w łachmanach młóci cepem jęczmień na płaskim dachu swojej chaty; kij przecina niebo nad górami, kiedy kobieta odchyła się przy uderzeniu. Pod rozłożystymi konarami orzecha czarna krowa czeka na zmierzch; jej dzwonek wisi nieruchomo.

Szlak wspina się przez parów do Kalibon, które - jak mówi Tukten - jest od dawna okupowane przez Khampów, jeszcze od lat, kiedy „Nepal i Tybet to nie było to samo”. Bez wątpienia w jakimś sensie jest to prawda, prawda Tuktena: a przez „Khampów” Tukten rozumie nie koczowniczych zbójników, ale zwykłą ludność z Khams, we wschodnim

Tybecie, która przybyła do Nepalu później niż Szerpowie i jest przez to uważana za coś trochę gorszego. Podobnie jak to jest w wioskach hinduskich, Khampowie nie mają zamiaru narażać się lokalnym bogom i swoją stupę wykończyli na modłę kopca dla Masty. Są to ludzie gościnni, chętni do pomocy i Tukten nabywa trochę niełuskanych orzechów zieloną mąkę gryczaną i kartofle, a ja myję się w słońcu i piję herbatę, później zaś, wiedziony przez miejscową dzieciarnię idę przy zachodzie słońca na przechadzkę na wschodni grzbiet. Jest stąd widok na szczyty Dhaulagiri, jakiego nie mieliśmy obchodząc ten masyw, a kiedy nadciąga Tukten pokazuje mi z dumą Churen Himal i Wielką Dhaulagiri, w języku alpinistów Dhaulagiri 1, na którą kiedyś towarzyszył pewnej wyprawie. Wieje tam teraz północny wiatr, niosąc wielkie kłęby sypkiego śniegu, jakby szczyty stały w ogniu. Z Kalibon można niemalże zobaczyć region Jang La - jakże odległe, niczym z innego życia, wydają się teraz tamte dni!

26 LISTOPADA

Bezksiężycowa noc. Leżę z głową poza namiotem, obserwując gwiazdy, które mrugają i kołyszają się na granatowoczarnym niebie. Dziś rano jestem zmęczony, chociaż spałem osiem godzin. Zwykle wystarcza mi sześć, ale tym razem zapadłem jeszcze w drzemkę o świcie, kiedy Dawa przyniósł mi herbatę, a i tak wstając czuję się ociężały i obolały.

Teraz, kiedy Dawa ma się lepiej, sprawia wrażenie, jakbyśmy go zepsuli okazywanymi względami: po raz pierwszy wymiguje się od pracy, wykorzystując fakt, że Tukten nie protestuje. Od kiedy zabrakło Karmy, ja sam noszę większość mojego sprzętu, a Tukten odziedziczył najcięższy bagaż; chociaż najdrobniejszy z nas trzech, nie zgadza się nic mi dołożyć i nie domaga się pomocy Dawy. Od początku ten lamparciooki święty pracował najciężej i maszerował najdzielniej z nas wszystkich; ani razu nie widziałem, żeby był zmęczony czy zniechęcony, ani razu nie odpowiedział posępnym spojrzeniem czy opryskliwością na mój zły humor w ostatnich dniach. Na najbardziej stromych zboczach, zatrzymawszy się dla odpoczynku, chętnie gawędzi z tym i owym, a jego cichy głos jest ciepły i kojący jak południowy wiatr. Wszystkie zwierzęta i wszyscy podróżni są jego przyjaciółmi, wszyscy też słuchają go uważnie, chociaż rzadko się odzywa nie zagadnięty i nigdy nie mówi za dużo; nie narzucając się jest zawsze w centrum każdej sytuacji, tak naturalnie przynależy do chwili i miejsca, w którym się znajduje.

Słońce sący złotą mgielkę do doliny Bheri, grzejąc mnie w plecy, kiedy wspinam się szlakiem przez rododendrony i lśniące dęby. Przegania mnie chłopiec w czapeczce koloru nieba zostawiając wiszący w powietrzu dziwny cień. Przechodzi mnie dreszcz - nie chcę, żeby się odwrócił. Nie widziałem jego twarzy i nigdy nie miałem niebieskiej czapeczki, ale ten chłopiec, który zniknął w drzewach, jest jakby mną.

Przełęcz ma nie więcej niż cztery tysiące metrów wysokości i niewiele na niej śniegu. Ostry ból w kolanie zmusza mnie do kuśtykania, a folgowanie tej słabości ośmiela inne dziwne bóle w całym ciele, toteż jestem wdzięczny, że po drugiej stronie przełęczy znajduje się najłagodniejsze zejście, jakie dotąd trafiło nam się w Nepalu; biegnie skrajem lasu nad czterema głębokimi dolinami i znów wynurza się na grzbiecie górskim. Z tego miejsca ścieżka schodzi stromo do ładnej wioski ze starymi flagami modlitewnymi, położonej nad rzeką. Ta ciepła pogoda o tej porze roku jest jak ze snu, nie pamiętam żadnej innej podobnej jesieni. Czuję w powietrzu świeże żabie błoto przy strumykach, słodkawy nawóz w nasłonecznionych kopcach osłoniętych od wiatru, dym z kominą i kwaśny odór gnijących liści - zapachy dzieciństwa, które ściskają mnie za serce.

Ścieżka przechodzi przez mostek i idzie na zachód wzdłuż całej długiej doliny; kiedy podchodzimy bliżej, niska przełęcz między wzgórzami rozświetla się zachodzącym słońcem. Ponieważ kuleję, Tukten i Dawa idą przodem i ich niepozorne sylwetki, zgięte pod ciężarem, potężnieją nagle na tle płonącej kuli; jak wierni pielgrzymi u bram rajy ukazują mi się w aureoli, płoną i znikają.

Odwracam się i wsparty na kiju patrzę na wschód; może już po raz ostatni w tym życiu widzę szczyty Dhaulagiri i dolinę Bheri. Później przechodzę przez wzgórze i wolno idę do

kotliny otoczonej niskimi górami.

Z Sonrikot, po drugiej stronie kotliny, dochodzi dźwięk bębna. Z bolącą nogą nie dotrę tam przed zmierzchem, ale ta często używana droga jest gładka i szeroka, bez większego trudu idę przy świetle gwiazd. Szlak prowadzi otwartym zboczem, schodzi do ciemnego strumienia i znów się wspina.

Podchodząc do ciemnych chat, przygotowuję się na spotkanie z psami. Ale naraz widzę sylwetkę Tuktena i jestem wzruszony; obserwował mnie, gdy przemierzałem dolinę, a teraz stoi czekając na szlaku, jakby wyszedł zaczerpnąć powietrza.

- Dobry wieczór, sah - mruczy, kiedy się zbliżam; bierze mój plecak i prowadzi mnie do wioski, gdzie na jednym z dachów jest już rozstawiony mój namiot. Dostaję ostatek twardego mięsa jaka zabitego w Murwie przez śnieżną panterę i do tego trochę miejscowej rzepy, a nasza namu przynosi świeży jogurt w jasnej mosiężnej miseczce.

W Sonrikot, podobnie jak w Roman, kołki namiotu przyjacielsko i nieformalnie sąsiadują na glinianym dachu z flagami modlitewnymi, nasionami dyni, drewnem na opał, paszą, psimi odchodami i czerwoną papryką, rozłożoną do suszenia. Ale w przeciwieństwie do Roman w tej górskiej wiosce wita się przybyszy życzliwie. Tukten mówi, że wielu mieszkańców przybyło tu z północy na wypas bydła albo po to, żeby wynajmować swoje jaki jako zwierzęta juczne na szlak handlowy do Jumli. Jest to już ostatnia wioska buddyjska, jaką zobaczymy, i nawet tutaj wiara powoli wymiera; mury modlitewne są stare i nikt od wielu lat nie dołożył nowego kamienia. Panuje bowiem Kali Juga. Wiek Ciemności, w którym następuje schyłek wszystkich religii świata.

27 LISTOPADA

Dzisiaj moje nogi szukają pewnego oparcia i unikają obłuzowanych śliskich kamieni, nie chcąc tracić energii na potknięcia. Idę lekko, kolano boli mnie mniej, przez las dębowy i rododendrony docieram wkrótce na wysoką grań, skąd ciągnie się rozległy widok na zachód. Ta przełęcz, jak i wczorajsza, musi leżeć poniżej czterech tysięcy metrów - zanim przyszedł tu człowiek, wszystkie przełęczce na szlaku do Jumli leżały poniżej linii drzew - ale wieje zimny wiatr, a ścieżka po północnej stronie jest oblodzona i stroma, biegnąc krętą linią w głąb dziewiczego lasu. W nozdrza bije silna woń żywicy i drzew iglastych oraz mineralny zapach czarnoziemiu.

Szerpowie pokazują na miejsce w dole pod nami, gdzie potok wnosi światło do lasu. W blasku wody, stąpając po zamrożonym zielonym mchu leżącej jodły, nieustraszone zwierzę futerkowe, wielkości rosomaka, przecina snopy słońca. Szerpowie są radośni i podnieceni jak chłopcy, ja też uśmiecham się szeroko. Czerwona panda - ta jest lśniąca, czerwono-czarna - to jedno z najpiękniejszych leśnych zwierząt w Himalajach; zostawiwszy za sobą dzikie szlaki wężowu Suli, porzuciłem już wszelką nadzieję, że ją zobaczę. I cieszę się, że Szerpowie też czerpią z tego widoku taką przyjemność; panda wywołała pierwszy uśmiech na twarzy Dawy od tańców w Saldang.

Zjednoczeni tym rzadkim przeżyciem śmiejemy się i rozmawiamy, stajemy w słońcu przy strumieniu, żeby podzielić się kawałkiem chleba, i chyba wszyscy trzej zdajemy sobie naraz sprawę, że nasze wspólne życie już się kończy. Ostatnia przełęcz jest za nami, a od Jumli dzieli nas tylko półtora dnia wędrówki.

Dzisiaj obozujemy na brzozonej wyspie na rzece Zuwa, bo zbocza kanionu są tak spadziste, że nad brzegiem rzeki nie można rozbić namiotu; powietrze jest wilgotne i przejmująco zimne, a uciążliwy ryk wody wciąga nasze głosy i unosi je w dal. Trochę wcześniej odrzuciłem dobrą radę Tuktena, żebyśmy rozbili obóz w otwartej dolinie, kilka kilometrów stąd; teraz ta rzeka działa mi na nerwy i warczę na niego, że nie doszlibyśmy jutro do Jumli, gdybyśmy zatrzymali się na noc już wczesnym popołudniem. (W innych dniach narzekałem, gdy rozbijaliśmy obóz po zmierzchu zamiast przy świetle dziennym, kiedy jeszcze można się umyć - biedny człowiek musi myśleć, że zwariowałem). Ale o zmroku już oczywiście, że nie dojdziemy do chat w Muni, po drugiej stronie wężowu Zuwa, który coraz bardziej zwęzał się i ciemniał; wyspa, na którą przedostaliśmy się po zwałonym drzewie, była ostatnią deską ratunku.

Chodzimy w kółko, żeby się rozgrzać, dopóki nie będzie z czego rozpalić ogniska, i wyszarpujemy patyki z zamrożonej ziemi. Jest mi przykro, tym bardziej że Szerpowie są za lekko ubrani, zwłaszcza Tukten, który stracił cały niewielki dobytek w Ring-mo, w drodze powrotnej z Jumli. Tukten z radością wkłada na siebie wszystko, co mogę mu dać, chociaż nigdy o nic nie prosi i zdaje się nie odczuwać żadnych dolegliwości - prawdziwy *repa*. Przy ognisku specjalnie się staram być przyjacielski i przyznaję, że głupio zrobiłem nie zdając się na jego osąd - w końcu przebył tę drogę w zeszłym miesiącu. Ale jeśli chodzi o Tuktena, takie zabiegi nie mają sensu: jak może mi przebaczyć, skoro w ogóle mu nie przyszło do głowy się obrazić?

Przy kolacji rozmawiamy o yetim. Dawa, wciąż pod wpływem nowoczesnego Jang-bu, śmieje się z zażenowaniem na wzmiankę o tym stworzeniu, ale starszy Szerpa unosi się na piętach i patrzy mu w twarz. Tukten mówi spokojnie: „Słyszałem jego głos”, i wydaje z siebie nagle: „Kak-kak-kak KAI-ii!” - dziki chichoczący skowyt, niepodobny do niczego, co znam, który rozbrzmiewa niesamowitym echem w ścianach zimnego kanionu.

Tukten poprawia żarzące się polana i przez chwilę siedzi milcząc; Dawa wpatruje się w niego, bardziej przestraszony niż ja. Według Tuktena yeti jest zwierzęciem, ale „bardziej podobnym do człowieka niż do małpy”. Sam nigdy go nie widział, a nawet gdyby miał zobaczyć, to odwróci się szybko i będzie udawał, że go nie dostrzegł; co prawda yeti nie atakują ludzi, ale ich widok przynosi nieszczęście. Kiedyś yeti były rozpowszechnione w regionie Khumbu, ale w czasach jego dziadka ludzie wysypywali im zatrute ziarno chroniąc zbiory i w ten sposób je wytruli - wszędzie leżało pełno nieżywych yeti, słyszał Tukten od dziadka.2

Podnosi głowę i patrzy na mnie łagodnie przez płomienie. Później mówi coś bardzo dziwnego: „Myślę, że yeti jest buddystą”. Kiedy go pytam, czy ma przez to na myśli świętego, pustelnika o nadprzyrodzonych właściwościach, nałorzę, wzrusza tylko ramionami, z niezwykłym u siebie uporem odmawiając dalszych wyjaśnień.

Tybetańczycy uważają się za potomków małpiego boga, który był wcieleniem Chen-resigsa; ożenił się z pożądaną go czarownicą i mieli sześcioro dzieci z długą sierścią i ogonami. Ale ojciec karmił je świętym ziarnem i stopniowo sierść i ogony robiły się krótsze, aż w końcu całkiem odpadły. Jak podają kroniki³, jedne miały zalety swojego ojca, a inne wady swojej matki, „jednakże wszystkie były silne i odważne”, jak i współcześni Tybetańczycy. W szerpańskiej wersji tej legendy, małpi król nawrócony na buddyzm żył w górach jako pustelnik, pokochała go i poślubiła czarownica, ich potomstwo też miało długą sierść i ogony, i to byli właśnie *mi-teh kang-mi*, „człekostwory śniegów” yeti.

Szerpowie powiadają również⁴, że yeti to dhauliyowie, czyli opiekunowie Dölmy (Tary), żeńskiego odpowiednika Chen-resigsa. Wielu dhauliyów przedstawiają animistyczne bóstwa z pre-buddyjskich religii i przypuszczalnie istnieje „wielka religijna tradycja, która ogniskuje się wokół zagadki Sangbai-Dagpo, czyli Ukrytych Bogów. Ta religia z pewnością poprzedza lamaizm i ma obsesję wędrówki dusz ludzkich do ciał niższych antropoidów. Wyznawcy tej sekty czczą Odrażającego Człowieka Śniegu, a głowy i członki nieżyjących okazów znajdują sobie drogę do ich obrządków. Wpływu tej animistycznej doktryny na buddyzm tybetański nie należy lekceważyć... skłania to miejscową ludność do obrony tych stworzeń przed poszukiwaniami prowadzonymi przez Europejczyków”.5

Patrę na Tuktena z nadzieją, że powie coś jeszcze, ale on milczy; oczy płoną mu w blasku ognia. W powietrzu jest dziwna siła i Dawa też to czuje; wymieniamy niespokojne spojrzenia. Po drugiej stronie naszego ogniska siedzi czarownik. Kiedy go proszę, żeby jeszcze raz wydał krzyk yetiego, robi to, patrząc mi bez uśmiechu prosto w oczy.

„Kak-kak-kak KAI-ii!”

8 LISTOPADA

Szarym świtem w wąwozie Zuwa zagubił się kucyk juczny. Dzikooki i rozszalały jak koń z koszmaru sennego, ślizga się i tańczy na płycie lodowej w miejscu, gdzie Zuwa występuje z brzegów, i nie ma jak mu pomóc czy choćby dosięgnąć, gdyż lód jest tak zdradziecki, że sam ledwo stoje. Kilkanaście razy biedne zwierzę upada, wierzgając chudymi nogami w powietrzu. W końcu dosięga suchego gruntu i kułyka niemrawo do lasu. Zgnębiony tym widokiem idę dalej.

Godzinna wędrówka w zimnym kanionie doprowadza mnie do policyjnego punktu kontrolnego pod Muni odpowiedni wstęp do nizinnego świata, który zostawiliśmy za sobą dwa miesiące temu w Pokharze. Kiedy nadchodzą Szerpowie, gburowaci strażnicy przekopują wszystko, nawet zwinięte namioty, w poszukiwaniu skradzionych przedmiotów religijnych, jak mówią; z pewnością skonfiskowaliby cenne przedmioty znalezione u jakiegoś Tybetańczyka czy Bhotyjczyka bez względu na to, czy byłby on ich prawowitym właścicielem czy też nie. Nawet stojący z boku obserwator ośmiela się grzebać w moich rzeczach; wrywam mu coś z ręki z głośnym przekleństwem, żeby wszyscy słyszeli, na co Tukten kręci ostrzegawczo głową. Kiedy mężczyzna odjeżdża na koniu, Tukten wyjaśnia, że ten wścibski facet to urzędnik policji. (Ten sam urzędnik pojawił się znów na następnym posterunku, bliżej Jumli, i interweniował tam na rzecz tego, który tak niegrzecznie potraktował go w Muni, każąc teraz swoim podwładnym natychmiast nas przepuścić. Ciężko jest zrozumieć pokretny, wrogi respekt Hindusów, z których tak wielu, nawet dzieci, patrzy na nas krzywym okiem). Obląkany strachem kucyk na lodzie był ponurą zapowiedzią tego, co nastąpi, bo po niemiłym początku na posterunku, sygnały zbliżającej się cywilizacji nadchodzą jedne po drugich; zaśmiecone cztery wioski, wszechobecna policja, psy, ludzkie ekskrementy, dudnienie tranzystorów i w końcu Jumla, kiedyś wielkie królestwo północno-zachodniego Nepalu, dziś miasto graniczne, gdzie góry śmieci zalegają zrujnowane erozją wzgórz po drugiej stronie rzeki.

Oprócz półdnioowego odpoczynku w Murwie, zśliśmy bez przerwy przez jedenaście dni. Jestem zmęczony i brudny jak nigdy w życiu, co mówi samo za siebie. Chociaż jest wczesne popołudnie, wioski na południowym brzegu rzeki już leżą w cieniu gór; musimy przejść na drugą stronę i rozbić obóz w słońcu, żeby uczcić nasze przybycie porządnym myciem. Ale Dawa nie może dotrzymać nam kroku, niewiele pozostało mu energii, a i Tukten zachowuje się dziwnie, powodując raz po raz niepotrzebną stratę czasu i podsuwając niemądre propozycje, które wcale nie są niemądre, tylko się takie wydają, bo nie wiem, o co mu chodzi: najwyraźniej temu człowiekowi bynajmniej nie spieszo do Jumli.

Mnie też się tam nie spieszy, bo i tak możemy czekać całe dnie na samolot; przyjemne miejsce na obóz odpowiadałoby mi o wiele bardziej. Z braku celu idziemy naprzód, a Tukten proponuje jedno złe miejsce po drugim - po raz pierwszy widzę go w takim posępnym nastroju - aż w końcu dochodzimy do mostu, przy którym rzeka Tilą łączy się z Zuwą. Jest tu ładna wioska zwana Dansango, w której, jak widzę, słońce będzie świecić do późnego popołudnia, dzięki niskiej przełęczy w zachodnich górach. Wschodni kraniec lotniska w Jumli leży na urwisku tuż za rzeką Tilą, a z Dansango jest niecała godzina drogi do miasta.

Rozbijamy obóz nad wodą, obok dziwnego białego sanktuarium, na dziedzińcu którego, osłoniętym od wiatru. Szerpowie rozpalają ogień. Kiedy woda się grzeje, czytam listy, które Tukten przyniósł do Shey; nie zawierają żadnych złych wiadomości i cieszę się, że otworzyłem je dopiero teraz. Kończę się myć i z kubkiem herbaty siadam o zachodzie słońca w otworze mojego namiotu obserwując, jak rzeka pije światło, a woda wiruje wokół dziwnej czarnej skały pośrodku nurtu. Na łące pasą się kucyki, zachodzące słońce prześwietla gęstą sierść ochronną na ich brzuchach. Po drugiej stronie rzeki przesuwiają się ciemne figurki z pakunkami na plecach, unieśmiertelnione smugą słońca na ramionach. Woda robi się czarna, tylko małe kropelki podskakują, żeby złapać światło uchodzące z doliny. Potem słońce gaśnie, wędrownka się kończy, wschodzi nowy sierp księżycy.

29 LISTOPADA

Dawa zostaje w obozie, a Tukten i ja wspinamy się na płaskowyż za Tilą i przemierzamy ostatnie kilometry dzielące nas od Jumli, idąc poprzez pola i brudne, zaśmiecone peryferia do błota, smrodu i zaduchu miasta. Na szczęście nie zostaniemy tu długo, bo jutro w południe przylatuje samolot z ładunkiem i pocztą, który zabiera robotników do Nepalganj Road, na granicy z Indiami, i wraca tu przed kursem do Bhairawy i Katmandu.

Jeszcze raz meldujemy się na policji, po czym zmieniamy pieniądze w banku, odwiedzamy herbaciarnię i kupujemy mięso kozie, ryż, jajka, pomarszczone jabłka i pomarańcze oraz trochę araku z przemytu na małą uroczystość, którą urządzimy sobie wieczorem. Tukten najwyraźniej zawarł wiele przyjaźni podczas swojego tu pobytu i dobrze wie, dokąd należy iść po arak, który dostajemy w brudnym naczyniu w prywatnym domu.

Przez cały ranek zdumiewała mnie liczba osób, które podchodziły do Tuktena, żeby odnowić znajomość, i zwracały się do niego z wielką serdecznością i szacunkiem; on nikogo nie zbywał i chociaż wyraźnie cieszył się, że go tak witają, przyjmował okazywane względy z prostotą i lekkim zdziwieniem.

O dziwo, Tukten nie wahał się dziś rano przyjść do Jumli mimo swej oczywistej wczorajszej niechęci. Pytam go o zasadność zarzutów Gyaltsena - czy to prawda, że będąc w Jumli uknuł plan, aby ukraść naszą pocztę? Niespieszony pytaniem, przypomina mi, że nigdy nie powiedział nic przeciwko Gyaltsenowi, ale pozwalał mu mówić, co ten zechce. Wzrusza ramionami: w końcu nic się takiego nie stało, oprócz tej bójki w Ring-mo, i uśmiecha się kątem ust: „Gyaltsen uderzył mnie pierwszy”. Tukten nie ma zamiaru dalej się bronić, a ja też bez żalu porzucam ten temat.

Z białej korony Wielkiej Kanjiroby, wznoszącej się na wysokość siedmiu tysięcy metrów na północnym wschodzie, w dolinie Tili widać tylko jeden ośnieżony szczyt, ten właśnie, na który wspinali się Japończycy. Poza tym wzgórze wokół są niskie i zniszczone erozją przez lata prowizorycznej uprawy, a samo miasto, które reprezentuje wszystkie grzechy dwudziestego wieku i żadnej cnoty, robi przygnębiające wrażenie. Z radością wracam do Dansango, gdzie Dawa, który uprał wszystkie swoje rzeczy, chodzi na wpół nago i nuci w słońcu, zachwycony, że trudna wyprawa dobiega końca.

W pobliżu białego sanktuarium u zbiegu rzek spędzam spokojne popołudnie na medytacji, zatapiając się w donośnym szumie zlewających się wód. O zmroku siadam z Tuktenem i Dawą przy ognisku. Sącząc bez pośpiechu arak, niewiele mówimy; jesteśmy zmęczeni i zadowoleni. Ciekaw jestem, czy Tukten będzie dużo pił, ale nie pije.

Przypatruję się temu staremu żołnierzowi z półokrągłą blizną na lewym policzku, smutnymi oczami i dzikim uśmiechem, który rozjaśnia mu twarz podobną do starej mongolskiej maski. Z dala od innych Szerpów Tukten i Dawa doskonale się ze sobą zgadzają, ani razu nie usłyszałem między nimi złego słowa, chociaż muszą spać razem w małym namiocie. Dawa odnosi się do Tuktena z poważaniem i tak być powinno, gdyż przez cały okres jego choroby i niedyspozycji Tukten zachowywał się jak prawdziwy

bodhisattwa i był równie uprzejmy i miły wobec młodszego Szerpy jak wobec mnie.

W nocy mam sen o spadaniu - lecę w dół w maszynie pozbawionej kontroli. Opanowuję swoją panikę robiąc głębokie wdechy i udaje mi się nawet życzyć współpasażerom szczęścia. W chwili katastrofy rozlega się dzwonienie kosmosu - ukojony szumem rzeki zastanawiam się, czy żyję, czy umarłem; czuję, że tkwię na poły w ciele, a na poły już poza ciałem - wrywam się na wolność, ale nie jestem jeszcze gotów, żeby się wyzwolić.

30 LISTOPADA

Jesteśmy na lotnisku wcześniej, czyści i trochę onieśmieleni sobą. Tukten wyrzucił swoją czapkę i lachmany i wygląda schludnie w moim zapasowym swetrze, bo w Katmandu mam zamiar rekomendować go dostawcom sprzętu ekspedycyjnego na sirdara, czyli szefa Szerpów. Wypłacam obu Szerpom ich zarobek za dwumiesięczną wierną służbę, prosząc Tuktena, aby wyjaśnił Dawie, ile i za co dostaje: potem biorę Tuktena na bok i daję mu obiecaną premię. Żaden nic nie kwestionuje i nie liczy otrzymanych pieniędzy z obawy, aby nie wyglądało to niegrzecznie, i obaj są zachwyceni swoimi napiwkami. Gdy przychodzi do pokwitowania, Dawa ze szczególną uciechą podpisuje się po raz pierwszy w życiu - cała ta sprawa rozśmiesza go do łez. Jeśli chodzi o Tuktena, to zdaje się sprawiać mu przyjemność, że uważam go za godnego polecenia na szefa Szerpów i jest gotów udać się na rozmowy wstępne w Katmandu - ale, jak czuję, nie tyle w nadziei na polepszenie swego bytu, ile z przejęłości dla moich ambitnych planów co do jego osoby.

Jakiś mężczyzna, przyjaciel Tuktena, przyjeżdża konno z pożegnalnym prezentem w postaci araku. Koło południa z nieba nad Kanjirobą dochodzi dźwięk motoru; latająca maszyna okrąży księżyc w nowiu i całe miasto zbiega się na lotnisko. Kiedy samolot ląduje, konie płoszą się, a dzieci biegną w kurzu wzbitym przez koła; przy pasie startowym dwie niepomne na nic postaci spulchniają ziemię prymitywnymi bronami, idąc mozolnie przed siebie, krok za krokiem, krok za krokiem. Później samolot z rykiem wzlatuje na południe, a wystraszone wrony kołują nad doliną.

Kontrola policyjna przebiega tym razem szybko, bo inspektor także okazuje się być przyjacielem Tuktena. Kiedy samolot wraca, zabiera nas z Jumli z powrotem na wschód, w ciągu paru godzin pokonując przestrzeń nad ciemnymi kanionami i białymi górami, których przejście wymagało tyle tygodni uciążliwego marszu. Przemykając przez wysokogórską przełęcz między szczytami, pilot żartuje z drugim pilotem i leci pięć metrów nad ziemią, muskając niemal jednym skrzydłem błyszczący lód, a jedynym pasażerem przyjmującym bez strachu tę idiotyczną sztuczkę jest Dawa, który uśmiecha się nieśmiało, w osłupieniu.

Samolot wynurza się z ośnieżonych szczytów i płynie spokojnie na południowy wschód, nad białym masywem Dhaulagiri, Annapurną i jasnym stożkiem Machhapuchary, a potem na południe nad wzgórzami do Bhairawy, gdzie Kali Gandak wypływa z gór do Indii. Kiedy samolot kołuje, jego cień pada na miejsce, gdzie musiało być Lumbini, na końcu nowej górskiej drogi, która jest darem od buddystów japońskich; mówię Tuktenowi, żeby pokazał Dawie miejsce narodzin Buddy Śiakjamuniego. Dawa wzdycha.

Bhairawa, na Nizinie Gangesu, to inna nazwa Śiwy Niszczyciela. Leży niezbyt wysoko nad brzegiem morza i po dwóch miesiącach w wysokich górach ciężko dyszymy w tutejszym wilgotnym i parnym powietrzu. Później samolot znów się wzbija i kieruje na północ i wschód, a cała biała panorama Himalajów rozciąga się pod nami szczyt po szczyt. Kiedy kołujemy nad Katmandu, Tukten pokazuje na wschód na Everest, wielki Lachi Kang, gdzie umarł Milarepa. Jednakże myślę, że Tukten się myli. Lachi Kang jest za daleko, żeby go można było zobaczyć.

W towarzystwie ekspedycyjnym, gdzie oddajemy nasze garnki i namioty, żadne pochwały Tuktena nie zdają się na nic: kierownik zna jego złą reputację i nie chce mieć z nim nic wspólnego. Tukten, mówi, to samotnik, nie umie współżyć z klanem Szerpów, którzy tworzą najlepsze zespoły wysokogórskie; w przeciwieństwie do większości z nich nadużywa alkoholu i jest agresywny, a jego brudny koszarowy język obraża ich uszy. Niewątpliwie jest inteligentny i zdolny, niewątpliwie potrafi się dzielnie spisywać dzień po dniu, ale prędzej czy później - tu kierownik wskazuje na drzwi, za którymi czeka mój przyjaciel - ten człowiek zawiedzie właśnie w chwili, kiedy będzie najbardziej potrzebny.

A Tukten znalazł odpowiedź od początku, zgodził się na moje wielkie plany tylko z uprzejmości, bo kiedy wychodzę, wita mnie uśmiechem - nie żeby zbagatelizować sprawę ani tym bardziej zachować twarz, ale żeby mnie pocieszyć. „Nie zabraknie mi roboty, sah” - mówi; Tukten przyjmuje życie takim, jakie jest, i będzie wiecznym wędrowcem do końca swych dni.

Nagle robi się ciemno i nasze drogi się rozchodzą. Nieśmiały Dawa, wróciwszy bezpiecznie do domu z dwumiesięcznym zarobkiem, jest szczęśliwy i uśmiechnięty; podniecony lotem w rozrzedzonym powietrzu zbiera się na odwagę, żeby wydukać kilka słów po angielsku, a nawet patrzy mi w oczy - „Do widzenia, sahib!” Ale Tukten nalega, aby mnie odprowadzić do drzwi hotelu, i żałuje, że mu nie pozwalam zapłacić za taksówkę. Mówi, że chciałby się ze mną spotkać za trzy dni przy wielkiej stupie w Bodhinath, kilka kilometrów stąd, gdzie zatrzyma się na krótko u siostry swego ojca, aby się odrodzić jako dobry buddysta przed powrotem na zimę do Khundu, koło Namche Bazaar.

Przy posykiwaniu personelu hotelowego za moimi plecami ściskam Tuktenowi dłoń pod portykiem i przychodzi mi na myśl, żeby zaprosić go na kolację. Wiem, że to sentymentalne, że byłby to pokaz demokratycznych zasad na jego koszt, bo opanowany manią praw kastowych personel dałby się we znaki temu brudnemu Szerpie w o wiele za dużym swetrze. A nawet gdyby się powstrzymali ze względu na baczysz, to przyjaźń nawiązaną w górskim słońcu może zniszczyć ostre światło hotelu. Wszystko to święta prawda, a jednak przygnębia mnie fakt, że czuję się zbyt zmęczony, aby przezwyciężyć te trudności. Pozwalam mu odejść.

W tylnym oknie taksówki Tukten wygląda jak duch; patrzę za nim, póki nie ginie w mroku. Nie można nawet powiedzieć, że ten człowiek i ja jesteśmy przyjaciółmi raczej wiąże nas jakaś niewidzialna nić, jak czarna niteczka żywego nerwu; coś między nami zostało niedopowiedziane, i on też to wie. Nigdy nie próbowaliśmy nawet o tym rozmawiać, ale patrzemy na życie w ten sam sposób, czy też raczej ja patrzę na nie tak, jak Tukten je przeżywa. Swoim życiem z chwili na chwilę, brakiem przyzwyczajęń, prostotą codziennego przykładu uczył mnie cały czas, godzina po godzinie - on właśnie jest nauczycielem, którego miałem nadzieję znaleźć: mówiłem to sobie na wpół żartem, ale teraz zastanawiam się, czy to nie była prawda. „Kiedy będziesz gotów - mówią buddyści - nauczyciel sam się znajdzie”. Sposób, w jaki na mnie patrzył, w jaki się uśmiechał, wskazywał, że czeka na mnie; gdybym był gotów, mógłby powieść mnie ścieżką tak daleko, że zdołabym „zobaczyć śnieżną panterę”.

Wiedziony szacunkiem stoję w miejscu, dopóki Tukten nie znika mi z oczu. Hinduski boy

hotelowy oddalił się z moimi oboma plecakami i śpiworem, i przez chwilę stoję całkiem sam na stopniach hotelu. Na północy nad czarnymi górami gromadzą się czarne chmury: pada śnieg. Zastanawiam się, czy G. S. zszedł już z Kryształowej Góry. Oto tu jestem, wróciłem bezpiecznie przez śnieżne szczyty z podróży o wiele piękniejszej i bardziej niezwykłej, niż mogłem się spodziewać - dlaczego ten powrót niesie taki żal?

Przez pomyłkę cała moja listopadowa poczta została wysłana do Jumli: stałem tuż obok niej dziś rano na lotnisku. India Airlines strajkuje i nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy będzie można wylecieć z Nepalu. W moim pokoju z łazienką, o którym marzyłem od dwóch miesięcy, wieje przeciąg i nie ma ciepłej wody; przez godzinę niewykwalifikowany personel kolejno wchodzi i wychodzi, a ja stoję wściekły w oblepionych brudem gaciach. Potem czterech czy pięciu mężczyzn ustawia się w kolejce po bączysz i hydraulik którykolwiek z nich to był znika do jutra, o czym się dowiaduję, kiedy okazuje się, że jak nie było ciepłej wody, tak nie ma. Włamuję się do sąsiedniego pokoju i zajmuję łazienkę: leci ciepła woda, a ja się namydlam. Po ukradkowym powrocie do własnego pokoju odkrywam, że ciepła woda pojawiła się ni stąd, ni zowąd sama z siebie. Czuję się głupio i nagle zdając sobie sprawę z ogromnego znużenia, siadam na łóżku i zaczynam się śmiać, lecz mógłbym równie dobrze płakać. W wychudłej, brązowej twarzy w lustrze - nie widzianej od końca września niebieskie oczy w małej chwili są dziwnie jasne, ale jest to twarz człowieka, którego nie znam.

1 GRUDNIA

Tego dnia po raz pierwszy od początku listopada niebo nad Shey zachmurzyło się i powiał groźny wiatr, a trzeciego grudnia Jang-bu i dwóch ludzi z Saldang poszło do Namdo z większością ekwipunku G. S. Piątego grudnia, jakby chcąc go pożegnać, na górze Somdo pojawił się srebrzysty wilk z trzema swoimi towarzyszami ze stada, a nazajutrz G. S. i Phu-Tsering wyruszyli przez przełęcz Shey do Namgung Gompy i stamtąd do Namdo, omijając Saldang. Z Namdo, gdzie Jang-bu czekał na nich z tragarzami, poszli w górę rzeki Nam-Khong obok Tchy i Raki, aż do kopca z wielkimi czaszkami argali pod przełęczą Namdo. Tragarze obiecali pokonać tego dnia przełęcz, ale potem odmówili i postanowili czekać do rana. O szóstej po południu zaczął padać śnieg. Dalej przytaczam wyjątki z zapisków G. S. z dnia ósmego i dziewiątego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku, które nadeszły w liście z Katmandu.

8 GRUDNIA.

Jest już kilka dobrych centymetrów śniegu i o szóstej rano ciągle pada. Tragarze naturalnie wynieśli się do domu. Spotkaliśmy człowieka, który obiecał poprowadzić nas do przełęczy. Nie mamy wyboru, musimy iść. Wyrzucamy większość żywności, cały dodatkowy sprzęt kuchenny, trochę moich okazów, itd., itd., ale bagaże i tak są okropnie ciężkie. Przewodnik ulatnia się po godzinie. Coraz gorsza pogoda kończy się zadymką. Nie widzimy nic na odległość trzydziestu metrów, wiatr wyje, śnieg wali poziomo, okrywając nas grubą skorupą. Raz przejaśniło się trochę i zobaczyliśmy karawanę pięćdziesięciu jaków schodzących rzędem po zboczu z czarnym ładunkiem na grzbietach w tym białym niebycie. Jeden z bardziej dramatycznych widoków, jakie pamiętam. Zostawili nam przetarty szlak, którego mogliśmy się przez jakiś czas trzymać. Później, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, dogoniła nas karawana sześciu jaków, tym razem idąca w naszym kierunku i wzięła moją walizkę. Ciągle w śnieżycy przekraczamy przełęcz (wys. 5300 m) i po godzinie pogoda nieco się poprawia. Idziemy do zmierzchu, zatrzymujemy się na noc w małej jaskini.

9 GRUDNIA.

Właściciel jaka powiedział, że zostaje tu na parę dni, dopóki jego jak się nie napasie. Na szlaku blisko dwadzieścia centymetrów świeżego śniegu. Mówi, że zniesie jeden bagaż na następną przełęcz za sześćdziesiąt rupii płatnych z góry. Byłem pełen złych przeczuć, ale nie miałem wyboru. W godzinę po wyjściu z obozu naumyślnie się przewrócił, twierdząc, że skrzył nogę; wyplacone pieniądze zostały w obozie z przyjaciелеm. Jest słonecznie i musimy dziś dojść jak najdalej. Jang-bu wyładowuje złość bijąc go na kwaśne jabłko. To wyleczyło mu nogę, ale na przełęcz iść nie chciał. Zaproponował, żebyśmy poszli dołem wzdłuż rzeki do jeziora. Nie podobał mi się ten pomysł, bo znam tutejsze kaniony. Ale Szerpowie chcieli iść tą trasą a Gyaltzen, jak się okazało, nie kupił sobie butów za pieniądze, które na to dostał. Szedł w trampkach, a było bardzo zimno. Nie chciałem mieć jego odmrożonych nóg na sumieniu. Zmusiliśmy naszego przyjaciela, żeby zniósł bagaż do kanionu, lecz o drugiej po południu nam uciekł. Ale odpracował większość wyplaconej sumy. Piekielna droga. Gołoledź, oblodzone, pokryte śniegiem kamienie, wąskie, zaledwie kilkunastocentymetrowe przejścia po krawędziach pokrytych śniegiem z głazami nad głową i pod nogami. Ponieważ byłem najcięższy, wszyscy uważali to za logiczne, że ja powinienem prowadzić i wypróbować przejścia po lodzie podczas przechodzenia z jednej strony potoku na drugą. Co logiczne, nie zawsze jest przyjemne: raz wpadłem do wody mocząc się od stóp do głów i kilka razy przemoczyłem buty. Ale do wieczora przeszliśmy prawie cały kanion i przynajmniej rozpalił się sobie wielkie ognisko”.

Dziesiątego grudnia wyszli z kanionu na płaszczyznę wschodniej odnogi Jeziora Phoksumdo, którą widzieliśmy dwudziestego piątego października. I tu śnieżna pantera jedyna, jaką udało się zobaczyć podczas całej ekspedycji przemknęła w górę przed oczami G. S. sadząc susy po płatach śniegu, a w pobliżu znalazł też ślady drugiego zwierzęcia; ponieważ G. S. oblicza, że cała ich populacja w regionie Shey-Saldang-Phoksumdo wynosi nie więcej niż sześć sztuk,6 z przyjemnością wyobrażam sobie, że może była to para w okresie godowym.

Tego dnia G. S. i Szerpowie wspięli się wokół stromego północnego krańca jeziora do naszego starego obozowiska przy srebrnych brzożach nad rzeką Phoksumdo. Nazajutrz rano, zostawiwszy z tyłu Jang-bu i Gyaltzena, którzy mieli dojść później z ciężkim sprzętem, G. S. i Phu-Tsering wyruszyli szybkim marszem do Jumli, dokąd przybyli piętnastego grudnia, wylatując dwa dni później do Katmandu. Cały ten wysiłek był daremny - rodzina G. S. nie zdołała przyjechać do Katmandu, jak było zaplanowane, a przez strajk lotniczy i inne niepowodzenia on sam dotarł do domu w Pakistanie dopiero trzy dni po Gwiazdce. Wkrótce potem nadeszła wiadomość z Nepalu, że z powodu krwawych potyczek między Khampami a wojskiem nepalskim w pobliżu granicy tybetańskiej na północ od Shey Kraina Dolpo została znów zamknięta przed światem.

Pieszko i na rowerze zwiedzam stare miasto Patan, po drugiej stronie rzeki, w którym uchodzący tybetańscy robią kopie prawdziwych starych relikwów z Krainy B'od. Odwiedzam stupy, świątynie i pagody w dolinie i wspinam się na trzysta trzydzieści stopni do Swayambhunath, gdzie podobno Budda nauczał pośród małp i sosen. W Asan Bazaar rozglądam się za kupcem Ongdi, a zamiast niego spotykam zakłopotanego Dawę w nowej,

czerwonej, plastikowej kurtce. Kupuję od jakiegoś złodzieja antyczny, malowany w glinie wizerunek Awalokity o jedenastu twarzach, z rozplataną głową, która oznacza Jego wielkie zatroskanie podłą kondycją ludzką. Spotykam Pirima i Tulo Kanszę; po raz ostatni widziałem ich, jak wymykali się do sosnowego lasu nad Jeziorem Phoksumdo ze swoją porcją kozy i changiem. Tamangowie witają mnie szczerym, szerokim uśmiechem, równie zachwyceni skromnym życiem jak zawsze. Popychani przez ciżbę północnych Bhotyjczyków, którzy zeszli z gór, stoimy uśmiechając się, pokrzykując i klepiąc się po plecach z braku innych środków komunikacji. Zasoń angielskich słów Pirima kończy się, raz jeszcze poklepujemy się i uśmiechamy, i rozstajemy równie nagle, jak się spotkaliśmy.

W dniu umówionego spotkania z Tuktenem pedałuję przez jesienny krajobraz doliny Katmandu do starej świątyni w Bodhinath; obserwują mnie oczy wymalowane nad białą kopułą stupy, patrzące ponad brązowymi dachami. Tradycja mówi, że powstanie Bodhinath pobłogosławił sam Awalokita i że tu znajdują się szczątki Kasapy, tego samego, który uśmiechnął się uśmiechem Tuktena, kiedy Budda podniósł bez słowa kwiat lotosu. Dawniej świątynię odwiedzały tłumy pielgrzymów z Tybetu - kolorowa stupa jest otoczona kwadratem domostw i sklepikami, które sprzedają mosiężne figurki Buddy, obrazki, urny i rytualne sztylety, kościane paciorki, kamienie, drewno oraz turkus, kadzidło, młynki modlitewne, cymbalki, bębny i dzwoneczki.

W jednym z tych domów miał mieszkać Tukten z siostrą swojego ojca. Wypytuje mieszkańców, wołam jego imię i obchodzę z rowerem raz po raz placyk, a z góry patrzą na mnie ogromne, wymalowane oczy, nos jak wielki znak zapytania i smagane wiatrem proporce - Tukten? Tukten? Ale nie ma odpowiedzi, nikt nie zna Szerpy Tuktena. Pod Okiem Bodhi wsiadam na rower i wracam szarą grudniową drogą do Katmandu.

PRZYPISY

PROLOG

- 1 George B. Schaller, *The Serengeti Lion* (Chicago: University of Chicago Press, 1972).
- 2 Lama Angarika Govinda, *The Way of White Clouds* (Boulder: Shambhala, 1971).
- 3 David Snellgrove, *Himalayan Pilgrimage* (Oxford: Cassirer, 1961).
- 4 Peter Matthiessen, *The Tree Where Man Was Bom* (New York: E. P. Dutton, 1972).

DROGA NA ZACHÓD

- 1 George B. Schaller, *Mountain Monarchs* (Chicago: University of Chicago Press, 1977).
- 2 Istnieje teoria, że jogowie stworzyli coś w rodzaju syntezy surowego trybu życia Ariów i zawilej wiedzy o psychice Drawidów. „Nowo osiedleni nomadzi dążyli do zahartowania ducha i ciała, aby były w gotowości i napięciu jak naprężona cięciwa łuku - ich ulubione porównanie. Poddawali się wielu ciężkim próbom... siedząc bez ruchu przez długie godziny pod prażącym słońcem pośród rozpalonych ognisk...” (Gerald Heard, *The Human Venture*, New York: Harper and Row, 1955). Usiłowano w ten sposób odchylić niezmierzone siły Kosmosu za pomocą Siddhi, czyli mocy, jaką daje jogistyczne panowanie nad ciałem i umysłem - nie był to wcale pasywny fatalizm, o który tak często oskarża się religie Wschodu, ale akceptacja każdej chwili, wyraz odporności i pogody, spokoju w działaniu i intensywnego przeżywania tego spokoju. Joga w pozycji medytacyjnej to „płomień, który płonie równo, nie trzepocząc na wietrze” (A. K. Coomaraswamy, *Buddha and the Gospel of Buddhism*, New York: Harper and Row, 1964).
- 3 Coomaraswamy, *Buddha and the Gospel of Buddhism*.
- 4 Pomiar wysokości w Nepalu, oparte głównie na dziewiętnastowiecznym Pomiarze Indii przeprowadzonym pod kierunkiem Sir George'a Everesta, różnią się w zależności od posiadanej mapy, i z wyjątkiem tych odczytanych na wysokościomierzu George'a Schallera należy je traktować jako przybliżone.
- 5 Heinrich Harrer, *Seven Years in Tibet* (New York: E. P. Dutton, 1959); i Michael Peissel, *Mustang* (New York: F. P. Dutton, 1967). W 1974 roku Khampów ostatecznie rozgromiono i przesiedlono, co nastąpiło po groźnej potyczce z wojskiem nepalskim, po której Dolpo znów zostało zamknięte przed światem.
- 6 (Tybetańska) *Book of Golden-Precepts*, wyd. H. P. Blavatsky, cyt. za W. Y. Evans-Wentz, *Tibetan Yoga and Secret Doctrines* (New York: Oxford University Press, 1967).
- 7 P'ang Chu-shih.
- 8 William Blake, *The Marriage of Heaven and Hell*.
- 9 Kenneth Grahame, *O czym szumią wierzby*, tłum. M. Godlewska.
- 10 C. G. Jung, *Collected Works* (Princeton: The Bollingen Foundation, for the Princeton University Press, 1954); XVII, roz. 7.
- 11 Farid ud-Din Attar, *The Conference of the Birds, A Sufi Fable* (Boulder: Shambhala,

1971).

12 L. Austine Waddell, *The Buddhism of Tibet, or Lamaism* (London, 1895). Dorje (lub vajra) tłumaczy się różnie: grom, święty kamień, nieskazitelny diament - w istocie rzeczy czysta energia kosmiczna, która wszystko przenika.

13 Por. różne fantastyczne prace H. P. Blavatsky, np. *The Secret Doctrine*.

14 Ma Tuan-lin, *Non-Chinese People of China* (ms. w Sterling Library, Yale University).

15 Cyt. za A. David-Neel, *Magie and Mystery in Tibet* (New York: Penguin, 1971); por. Część II, 18.

16 Evans-Wentz, *Tibetan Yoga and Secret Doctrines*. Por. też George Gurdjieff, *Meetings with Remarkable Men* (New York: E. P. Dutton, 1969).

17 Mircea Eliade, *Shamanism: Archaic Techniques of Ecstasy* (Princeton: Princeton University Press, 1964).

18 Carlos Castaneda, *The Teachings of Don Juan* (Berkeley: University of California Press, 1968); *A Separate Reality and Journey to Ixtlan* (New York: Simon and Schuster, 1971, 1973). Autentyczność tego szamana była szeroko dyskutowana, a autor jeszcze przyczynił się do zaciemnienia obrazu - ale to nic. Jeżeli „Don Juan” jest zmyślony, to rzekoma etnologia staje się wspaniałym wytworem wyobraźni; zapożyczone czy nie, same nauki brzmią przekonująco.

19 To nieprawda, to nieprawda, że przybyliśmy na świat, aby żyć. Przybyliśmy, aby spać, aby śnić. Anonim z plemienia Azteków.

Czasem błąkam się, pełen litości nad sobą i cały czas

Potężny wiatr niesie mnie po niebie.

Anonim z plemienia Odżibwejów

20 Sufici nazywają to „baroka”: „Czy wie pan, dlaczego szejk chucha do ucha nowo narodzonego dziecka? Oczywiście, że pan nie wie! Uważa pan to za magię, za prymitywny symbolizm reprezentujący życie, ale prawdziwy powód, ważna sprawa nakarmienia świadomości, umyka panu.” Szejk suficki, cyt. za Rafael Lefort, *The Teachers of Gurdjieff* (Garden City, N. Y.: Doubleday, 1968).

21 Por. Benjamin Whorf. „An American Indian Model of the Universe.” *International Journal of American Linguistics* 16. 1950.

22 Lao-cy, Tao-te-cing.

23 Rygweda.

24 Werner Heisenberg, cyt. za Lawrence LeShan w „How Can You Tell a Physicist from a Mystic?” *Intellectual Digest*, February 1972.

25 Lama Angarika Govinda. *The Way of White Clouds* (Boulder: Shambhala, 1971).

26 Evans-Wentz, *Tibetan Yoga and Secret Doctrines*.

27 Carl Sagan, w I. S. Shklovsky i Carl Sagan, *Intelligent Life in the Universe* (San Francisco: Holden-Day, 1966).

28 Harlow Shapley, *Beyond the Observatory* (New York: Charles Scribner's Sons, 1967).

DROGA NA PÓŁNOC

1 Deborah Love, *Annaghkeen* (New York: Random House, 1970).

2 Trevor Leggett, *The Tiger's Cave* (London: Rider, 1964).

3 W. Y. Evans-Wentz, *Tibet's Great Yogi: Milarepa* (New York: Oxford University Press,

1969).

4 Z braku odpowiedniego słownictwa trzeba się uciekać do mglistych terminów, pretensjonalnych dużych liter albo sanskrytu. Ale terminy sanskryckie też są różnie interpretowane przez hinduistów i buddystów, a i w samym buddyzmie rozmywają się nieco i zachodzą jedne na drugie, jak węże polykające własne ogony w owym prastarym symbolu wieczności: samadhi (zjednoczenie, unifikacja) może prowadzić do sunyaty (przezroczystość, próżnia), która może otworzyć się w nagłym satori (wejrzenie), co może zaowocować prajną (transcendentalna mądrość) nirwany (stan poza ułudą, poza całą naturą, życiem i śmiercią, poza stawaniem się), którą z kolei można określić jako wieczną samadhi. W ten sposób koło się zamyka, każdy stan jest uwarunkowany innymi, a wszystkie są nieodłącznie związane z medytacją, która jest sama w sobie realizacją Drogi.

5 Lawrence LeShan w *The Medium, the Mystic, and the Physicist* (New York: Grossman, 1974) sugeruje, że właśnie taki niezakłócony niczym stan, podobny do transu, w którym człowiek staje się przekąźnikiem czyli „medium” bez własnych myśli i odczuć, otwartym na energię i „wiedzę” krążące swobodnie po Wszechświecie, jest tym, co umożliwia transmisję takich zjawisk jak telepatia, prekognicja a nawet uzdrawianie.

6 Richard M. Bucke, *Cosmic Consciousness* (Secaucus, N. J.: University Books, 1961).

7 W. Y. Evans-Wentz, *Tibetan Yoga and Secret Doctrines* (New York: Oxford University Press, 1967).

8 Por. D. T. Suzuki, *Mysticism: Christian and Buddhist* (New York: Harper and Brothers, 1957).

9 Święty Franciszek Salezy nazwał przeżycie mistyczne bezpośrednim dowodem miłości Boga.

10 Maha Ati, cyt. za Chögyam Trungpa w *Mudra* (Boulder: Shambala, 1972).

11 Iwan Turgieniew, *Nowizna*.

12 Maurice Herzog, *Annapurna* (New York: E. P. Dutton, 1953).

13 Evans-Wentz, *Tibetan Yoga and Secret Doctrines*.

14 Edward Cronin, „The Yeti”, *Atlantic*, November 1975. Por. też E. Cronin, J. McNely, H. Emery, „The Yeti Not a Snowman”. *Oryx*, May 1973.

15 John Napier, *Big Foot: The Yeti and Sasqualch in Myth and Reality* (New York: E. P. Dutton, 1973).

16 Mircea Eliade, *Images and Symbols* (New York: Sheed and Ward, 1961). [Polski wybór pt. *Sacrum, mit, historia*, PIW, 1974]

17 Por. David Snellgrove, *Himalayan Pilgrimage* (Oxford: Cassirer, 1961).

18 Tamże.

19 David Snellgrove, *The Nine Ways of B'on* (London: Oxford University Press, 1967).

20 John Blofeld, *The Tantric Mysticism of Tibet*. Por. też Lama Angarika Govinda, „The Significance of Meditation in Buddhism”, w *Main Currents of Modern Thought*. „Odbicie nie powstaje ani wewnątrz, ani na zewnątrz lustra i w ten sposób przedmioty są uwolnione ze swojej »przedmiotowości«, ze swojej izolacji bez pozbywania się swojego kształtu; są odarte z materialności bez unicestwienia” - nauki o lustrze z sutry Atamsaka przypisywanej Nagardżunie, hinduskiemu mędrcomowi z pierwszego wieku n.e, który miał również skompletować sutrę Prajna Paramita, fundamentalny tekst buddyzmu Mahajany.

21 Por. Snellgrove, *Himalayan Pilgrimage*.

22 A. David-Neel, *Magie and Mystery in Tibet* (New York: Penguin, 1971). Por. też Lama Angarika Govinda, *The Way of the White Clouds* (Boulder: Shambhala, 1971). i Carlos

Castaneda.

23 Cyt. za Eliade, *Shamanism: Archaic Techniques of Ecstasy* (Princeton University Press, 1964).

24 „Sufici uważali, że cuda stanowią »zasłonę« między duszą a Bogiem. Hinduscy mistrzowie przykazywali uczniom nie zwracać uwagi na siddhi, czyli moc psychiczną, jaką może spłynąć na nich zniecka, jako produkt uboczny wytezonej kontemplacji”. Aldous Huxley. *The Perennial Philosophy* (New York: Arno Press, 1970).

25 Sven Hedin, *Central Asia and Tibet, I: Towards the Holy City of Lhasa* (Westport, Conn.: Greenwood, 1968).

26 A. Henry Savage Landor, *In the Forbidden Land* (New York, 1899).

27 H. E. Richardson i David Snellgrove. *A Cultural History of Tibet* (London: Weidenfeld, 1968).

28 Snellgrove, *Himalayan Pilgrimage*.

29 Por. Gerald Heard, *The Human Venture* (New York: Harper and Row, 1955).

KRYSTAŁOWA GÓRA

1 David Snellgrove, *Himalayan Pilgrimage* (Oxford: Cassirer, 1961).

2 Lama Angarika Govinda, *The Way of the White Clouds* (Boulder: Shambhala, 1971).

3 David Snellgrove, *Four Lamas of Dolpo* (Cambridge, Mass.: Harvard University Press, 1967).

4 L. A. Waddell, *The Buddhism of Tibet* (London, 1895).

5 H. F. Richardson, „The Karma-pa Scot: A Historical Note”, *Journal of the Royal Anthropological Society*, October 1958.

6 George B. Schaller, „A Naturalist in South Asia”. *New York Zoological Society Bulletin*, Wiosna 1971.

7 V. Geist, *Mountain Sheep* (Chicago: University of Chicago Press, 1971).

8 Tamże.

9 A. David-Neel, *Magie and Mystery in Tibet* (New York: Penguin, 1971).

10 Tamże.

11 Lao-cy, *Tao-te-cing*.

12 Malcolm Lowry. *Hear Us, O Lord from Heaven Thy Dwelling Place*

13 Thomas Traherne, *Centuries of Meditation*.

14 Tamże.

15 Kolejno: *Alticola Stoliczkanus*, *Pitymys irene*, *Sorex avaneus*.

16 Por. Robert Ornstein, *The Psychology of Consciousness* (New York: Grossman, 1973).

17 *The Hundred Thousand Songs of Milarepa* (Secaucus, N. J.: University Books, 1975).

18 Snellgrove, *Four Lamas of Dolpo*.

19 Chögyamie Trungpa, *Cutting Through Spiritual Materialism* (Boulder: Shambhala, 1973).

20 Dogen Zenji. *Shobogenzo* (San Francisco: Japan Publications, 1977).

21 George B. Schaller (ms. w opracowaniu).

22 Bhagavadgila.

DROGA POWROTNA

1 Deborah Love, Annaghkeen (New York: Random House, 1970).

2 Ta historia to jedna z wersji tradycyjnej relacji przekazywanej sobie w regionie Tuktena.

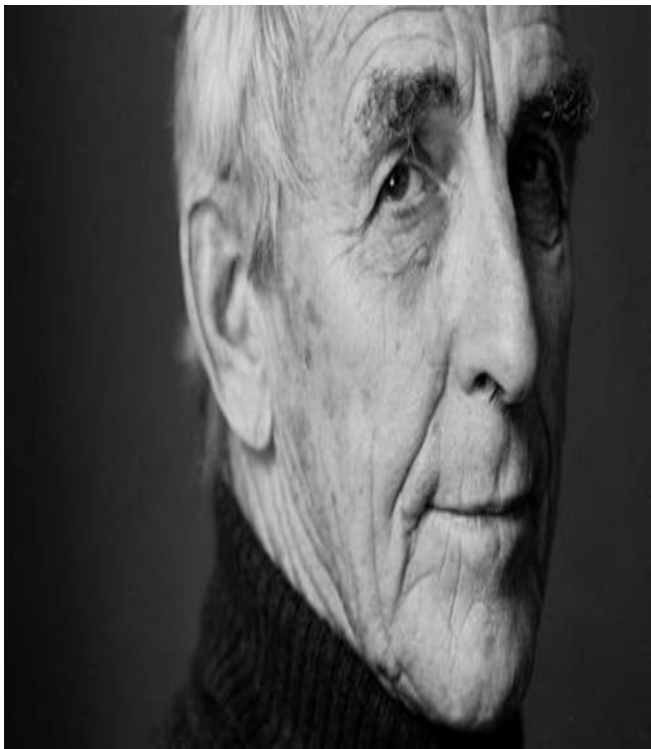
3 Pawo Tsuk-lar-re Cho-chung III; cyt. za Sir Charles Bell, Tibet: Past and Present (London: Oxford University Press, 1969).

4 Swami Pranavananda, Journal of the Bombay Natural History Society 54, 1956.

5 Yonah N. ibn Aharaon. cyt. za I. Sanderson, The Abominable Snowman (Radnor, Pa. Chilton. 1961). str. 458. Może pomyłono tu Sangbai-Dagpo z Sabdag-po czyli „Panem Ziemi” lokalnym duchem ziemi, który wzbudza postrach i szacunek, ale nie słyszałem, aby identyfikowano go z „człekostwórcem śniegów”, Sanbahi dag-po, „Ukryły Bóg”, to imię nadane przez egzoteryczne kultury Dorje-Changowi, pierwotnemu Buddzie sekty Karma-Kagyü-pa. Por. L. Austine Waddell. The Buddhism of Tibet (London, 1895).

6 Opinia doktora Schallera, przedłożona rządowi nepalskiemu, przyczyniła się do utworzenia Rezerwatu Przyrody w Shey, obejmującego sto sześćdziesiąt mil kwadratowych, który jednak nie otrzymał dotąd oficjalnego statusu parku narodowego. Wielka szkoda, gdyż wszelkie dowody wskazują na to, że śnieżna pantera może już wkrótce stać się w tym kraju gatunkiem wymarłym. Badacz przyrody, ekolog Rodney Jackson, powiedział mi, że w Nepalu jest zapewne nie więcej niż sto dwadzieścia sztuk tych zwierząt, z czego większość w zachodnim regionie na północ od Himalajów. W zimie na przełomie roku 1976/77 prowadził on badania nad śnieżną panterą w rejonie rzeki Langu w Mugu, na zachód od Dolpo (odmówiono mu przepustki do Dolpo, które na początku 1974 roku zostało zamknięte dla cudzoziemców), i chociaż sam nie zobaczył śnieżnej pantery, znalazł ślady pięciu sztuk na terenie badawczym wynoszącym mniej więcej dwieście mil kwadratowych. W tej pustynnej okolicy nie było wypasu bydła, które padaloby ofiarą panter, a i wartość skóry tego zwierzęcia spadła do dziesięciu dolarów z powodu międzynarodowych obostrzeń eksportowo-importowych. Mimo to w Mugu nadal poluje się zażarcie na te stworzenia - tradycje łowieckie są tu silniejsze niż gasnący buddyzm, a handel piżmem stanowi główne źródło utrzymania tutejszych mieszkańców. Technika łowiecka polega na umieszczeniu w odpowiednich miejscach zatrutych dziid w przypadku wędrownej pantery na szlaku, którym zwykle krąży w poszukiwaniu łupu. Chociaż zarówno piżmowiec jak i śnieżna pantera są pod ochroną, nikt tego zarządzenia nie przestrzega. Podczas pobytu Jacksona dwie z miejscowych panter zostały zabite, a trzecia ranna, myśliwi zaś narzekali, że jeszcze dwa lata temu udało im się upolować ich sześć czy siedem.

PETER MATTHIESSEN



Peter Matthiessen urodził się w Nowym Jorku, studiował w Europie i tu napisał pierwszą powieść. Po powrocie do USA przez trzy lata pracował na morzu jako rybak, a następnie uczestniczył w licznych wyprawach od Alaski po Afrykę i Nową Gwineę. Matthiessen jest autorem kilku powieści wysoko ocenionych przez krytykę, ale prawdziwą popularność zawdzięcza książkom przyrodniczym i podróżniczym.

Śnieżna pantera to bardzo osobisty dziennik pisarza z wyprawy w Himalaje. Celem wyprawy było poznanie obyczajów godowych mało znanych błękitnych owiec, autora jednak bardziej fascynowała niewidzialna, ale niewątpliwie obecna, prawie legendarna śnieżna pantera i jeszcze bardziej mityczny yeti. Dla Matthiessena, adepta buddyzmu zen, wyprawa jest również, duchową pielgrzymką do pradawnego świętego miejsca - klasztoru Shey Gomba na Kryształowej Górze. *Śnieżna pantera* zyskała w roku 1980 najważniejszą z amerykańskich nagród literackich (The American Award) w kategorii książek niebeletrystycznych.